GAZETA PRAWNA | poleca

BESTSELLER NEW YORK TIMES

JOHN PERKINS

HITMAN

WYZNANIA EKONOMISTY od brudnej roboty

WYDAWNICTWO

Tytuł oryginału:
Confessions of an Economic HitMan

Projekt okładki: Marek Zadworny
Przekład: Eryk Czajkowski
Redakcja: Piotr Wilczkowski

ISBN 83-60652-01-5

Wszelkich informacji udziela:
Wydawnictwo Studio EMKA
Al. Jerozolimskie 101/43,02-011 Warszawa
tel./fax 022 628 08 38
wydawnictwo@studioemka.com.pl
www.studioemka.com.pl

Skład i łamanie: „Enterek", Warszawa
Druk i oprawa:
Drukarnia Wydawnictw Naukowych
Łódź, ul. Żwirki 2

Moim rodzicom, Ruth Moody i Jasonowi Perkinsom,
którzy nauczyli mnie miłości
i wpoili we mnie odwagę konieczną
do napisania tej książki

Spis treści

Spis treści

Przedmowa

Ekonomiści od Brudnej Roboty (EBR-owcyj są wysoko opłacanymi profesjonalistami, którzy wyduszają z różnych krajów świata miliardy dolarów. Przekazują oni pieniądze pobierane z Banku Światowego, amerykańskiej Agencji Rozwoju Międzynarodowego** oraz innych organizacji międzynarodowej „pomocy ekonomicznej" do skarbców wielkich korporacji i portfeli nielicznych bogatych rodzin dysponujących zasobami naturalnymi świata. Narzędziami ich pracy są fałszowane sprawozdania, oszustwa wyborcze, przekupstwa, wymuszenia, seks i morderstwa. Działają od czasów, kiedy powstało imperium, ale obecnie, w dobie globalizacji, ich działalność przybrała nową, przerażającą skalę.*

Wiem, co mówię - sam byłem jednym z EBR-owców.

Napisałem te zdania w roku 1982, rozpoczynając od nich książkę pod roboczym tytułem *Conscience of an Economic Hit Man*. Dedykowałem ją prezydentom dwóch krajów, ludziom, którzy byli moimi klientami, których szanowałem i z którymi łączyło mnie umysłowe pokrewieństwo: Jaime Roldósowi, prezydentowi Ekwadoru i Omarowi Torrijosowi, prezydentowi Panamy. Obaj ponieśli

[1] W oryg. EHM - Economic Hit Men (przyp. tłum.).

" US Agency for International Development - USAID (przyp. tłum.).

śmierć w wypadkach lotniczych. Wypadkach nieprzypadkowych. Zostali uśmierceni, ponieważ przeciwstawiali się bractwu szefów korporacji, banków i rządowych oficjeli dążących do stworzenia globalnego imperium. My, ekonomiści od brudnej roboty, nie zdołaliśmy zmiękczyć oporu stawianego przez Roldósa i Torrijosa, więc do akcji wkroczyli innego rodzaju spece od mokrej roboty - pracujący dla CIA zawodowi zabójcy, których obecność wyczuwaliśmy stale za naszymi plecami.

Wówczas przekonano mnie jednak, bym zaniechał pisania tamtej książki. Przez następne dwadzieścia lat czterokrotnie zabierałem się do niej od nowa. Za każdym razem pobudzały mnie do tego bieżące wydarzenia: inwazja amerykańska w Panamie w roku 1989, pierwsza wojna w Zatoce Perskiej, Somalia, pojawienie się Osamy bin Ladena. Zawsze jednak pogróżki albo łapówki odwodziły mnie od tego zamiaru.

W roku 2003 prezes dużej oficyny wydawniczej, będącej własnością potężnej korporacji międzynarodowej, zapoznał się z roboczym rękopisem tego, co obecnie nosi tytuł „Wyznania ekonomisty od brudnej roboty". Uznał tę książkę za „przejmującą historię, która powinna zostać opowiedziana". Po czym uśmiechnął się smutno, potrząsnął głową i oznajmił mi, iż mogliby ją źle przyjąć członkowie najwyższego kierownictwa owej międzynarodowej korporacji, więc on nie może zaryzykować jej opublikowania. Doradzał mi, bym nadał jej charakter fikcji powieściowej. „Moglibyśmy reklamować ją jako coś w rodzaju powieści Johna Le Carre'ego czy Grahama Greene'a".

Ale moja opowieść nie jest fabułą zmyśloną. Stanowi prawdziwą historię mojego życia. Wydawca odważniejszy, nie podlegający żadnej międzynarodowej korporacji, zgodził się dopomóc mi w przedstawieniu mych wyznań czytelnikom.

Historia mojego życia *musi* zostać opowiedziana. Żyjemy w okresie straszliwego kryzysu - i niezwykłych możliwości. Dzieje jednego z ekonomistów od brudnej roboty stanowią zarazem opowieść o tym, w jaki sposób znaleźliśmy się w obecnej sytuacji i dlaczego stanęliśmy w obliczu kryzysu, który wydaje się nieprzezwyciężalny. Historia mojego życia musi być opowiedziana, ponieważ

tylko wtedy, kiedy zrozumiemy nasze dawne błędy, będziemy w stanie wykorzystać możliwości stwarzane przez przyszłość; ponieważ zdarzył się 11 września, gdy z rąk terrorystów śmierć poniosło trzy tysiące osób, co doprowadziło do drugiej wojny w Iraku; ponieważ każdego dnia z głodu umiera dwadzieścia cztery tysiące ludzi[1]. Przede wszystkim zaś musi być opowiedziana, ponieważ dziś, po raz pierwszy w historii, jeden kraj dysponuje środkami umożliwiającymi dokonanie zmiany tej sytuacji. Jest to kraj, w którym się urodziłem i któremu służyłem jako EBR-owiec: Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

Co w końcu zdecydowało o tym, że przeciwstawiłem się pogróżkom i przekupstwom?

Najprostszą odpowiedź stanowi moje jedyne dziecko, Jessica, która ukończyła wówczas studia w college'u i rozpoczynała samodzielne życie. Kiedy zwierzyłem się jej w końcu, że zamierzam opublikować tę książkę i przyznałem do obaw przed następstwami tego kroku, powiedziała: „Nie przejmuj się, tato. Jeśli cię dopadną, ja podejmę się dokończenia twego dzieła. Musimy je wykonać w imię dobra wnucząt, którymi mam nadzieję cię za jakiś czas obdarzyć".

Druga, rozwinięta wersja ma swoje korzenie w moim oddaniu krajowi, w którym urodziłem się i dorastałem, mojemu umiłowaniu ideałów głoszonych przez Ojców Założycieli republiki amerykańskiej, mojemu zaangażowaniu w sprawy kraju, który dziś obiecuje „życie, wolność i prawo do szczęścia" wszystkim ludziom na całej planecie, oraz mojemu postanowieniu powziętemu po 11 września 2001 roku, by ani chwili dłużej nie pozostawać biernym, podczas gdy EBR-owcy przekształcają mój kraj w globalne imperium. To właśnie ta dłuższa odpowiedź stanowi szkielet mej książki, której ciałem i krwią są kolejne rozdziały.

Moje zwierzenia są opowieścią prawdziwą. Zdarzenia, ludzie, rozmowy i ludzkie uczucia, które opisuję, stanowią część mej przeszłości. Niniejsza książka zawiera opowieść o moim życiu ukazanym w szerszym kontekście wydarzeń światowych, które ukształtowały historię i doprowadziły nas do dzisiejszej sytuacji stanowiącej punkt wyjścia dla przyszłych losów naszych dzieci. Dokładałem wszelkich

starań, by przedstawić jak najwierniej moje doświadczenia, ludzi, z jakimi się stykałem, i rozmowy, w których uczestniczyłem. Rekonstruując wydarzenia korzystałem z różnych narzędzi i źródeł: opublikowanych dokumentów, własnych notatek, wspomnień własnych oraz innych uczestników owych wydarzeń, pięciu manuskryptów, które kolejno rozpoczynałem i porzucałem, a także relacji innych autorów, głównie opublikowanych ostatnio, w których podano informacje dawniej tajne lub w inny sposób niedostępne. Źródła bibliograficzne i archiwalne podaję w przypisach, by umożliwić czytelnikom zgłębienie interesujących ich wątków.

Wydawca mojej książki zapytał, czy naprawdę określaliśmy samych siebie mianem ekonomistów od brudnej roboty. Zapewniłem go, że tak właśnie było, chociaż w potocznym języku posługiwaliśmy się skrótem EBR. Kiedy w roku 1971 rozpoczynałem trening z instruktorką, Claudine, powiedziała: „Moje zadanie polega na zmienieniu cię w ekonomistę od brudnej roboty. Nikt nie może się dowiedzieć, jakie zadanie wypełniasz - nawet twoja żona". Po tych słowach spoważniała i dorzuciła: „Raz wciągnięty w tę robotę, pozostaniesz w niej na resztę życia". Później nader rzadko używaliśmy pełnej nazwy, ograniczając się do skrótu EBR.

Szkolenie prowadzone przez Claudine jest wyrazistym przykładem manipulatorstwa, tkwiącego u podstaw biznesu, w który wkroczyłem. Piękna i inteligentna kobieta, wykazywała niepospolitą sprawność w swej pracy; natychmiast zidentyfikowała moje słabości i wykorzystywała je do swoich celów. Jej praca i sposób jej wykonywania doskonale ilustrują wyrafinowanie cechujące ludzi tworzących ten system.

Opisując moje przyszłe zadania nie owijała niczego w bawełnę. Powiedziała wprost, że będą one polegały na „zachęcaniu przywódców różnych państw, by włączyli się w gigantyczną sieć promującą amerykańskie interesy handlowe. W rezultacie przywódcy ci obciążą swe kraje zadłużeniem wymuszającym ich lojalność wobec amerykańskiego kredytodawcy. W dowolnym momencie możemy zażądać zwrotu pieniędzy, by wymusić realizację naszych celów politycznych, ekonomicznych lub militarnych. W zamian oni umacniają swą pozycję polityczną dając swoim obywatelom kompleksy

przemysłowe, elektrownie i lotniska. Zaś właściciele amerykańskich korporacji budowlanych osiągają gigantyczne zyski".

Widzimy dziś jak na dłoni szkodliwe skutki funkcjonowania tego systemu. Zarządcy najbardziej szanowanych koncernów amerykańskich angażują do pracy w podległych im azjatyckich przedsiębiorstwach miejscową siłę roboczą, za głodowe płace wyciskając z niej siódme poty. Koncerny naftowe w amoku wypompowują trujące substancje do rzek w lasach deszczowych, świadomie zabijając ludzi, zwierzęta i roślinność, wyniszczając do korzeni rdzenne kultury. Przemysł farmaceutyczny odmawia ratujących życie leków milionom zakażonych wirusem AIDS Afrykanów. W samych Stanach Zjednoczonych dwanaście milionów rodzin ma problemy z zapewnieniem sobie środków na wyżywienie[3]. Przemysł energetyczny zrodził Enron. Sektor doradczy może poszczycić się Andersenem. Stosunek zarobków jednej piątej ludności świata zamieszkałej w najbogatszych krajach do zarobków jednej piątej ludności zamieszkałej w krajach najbiedniejszych w roku 1960 wynosił 30:1. W roku 1995 proporcja ta wyniosła już 74: 1[3]. Stany Zjednoczone wydały ponad 87 miliardów dolarów na wojnę w Iraku[4], podczas gdy ONZ zakłada, iż połowa tej sumy pozwoliłaby zapewnić wszystkim mieszkańcom naszej planety czystą wodę, właściwe odżywianie, urządzenia sanitarne i podstawowe wykształcenie[5].

A my dziwimy się, że terroryści nas atakują?

Niektórzy ludzie przypisują odpowiedzialność za nasze kłopoty jakimś grupom konspiratorskim. Chciałbym, żeby sprawy przedstawiały się tak prosto. Konspiratorów można wytropić i wydać w ręce sprawiedliwości. System, o którym mówię, ma jednak o wiele bardziej niebezpieczny charakter. Nie kieruje nim wąska grupa osób, lecz koncepcja, która zyskała niemal status aksjomatu, a która mówi, że każdy rodzaj wzrostu gospodarczego służy ludzkości, i że im wzrost większy, tym szerzej odczuwane są jego dobroczynne skutki. Logiczną konsekwencją takiego podejścia jest przeświadczenie, że ci, którzy rozpalają ogień wzrostu gospodarczego powinni być podziwiani i nagradzani, zaś ci urodzeni na marginesie zasługują na to, by ich wykorzystywano.

Koncepcja ta jest w oczywisty sposób błędna. Wiadomo przecież, że w wielu krajach rozwój ekonomiczny przynosi wzrost dochodów jedynie niewielkiej części ludności, podczas gdy warunki życia większości mogą wręcz ulec pogorszeniu. Efekt ten dodatkowo jest pogłębiany przez mylne przekonanie, że liderzy biznesu stojący na czele systemu powinni korzystać ze specjalnego statusu społecznego. Pogląd ten zrodził wiele z naszych dzisiejszych problemów i zapewne jest przyczyną popularności teorii spiskowych. Gdy ludzie są premiowani za chciwość, staje się ona motywem do ulegania korupcji. Jeśli ludzi w nieumiarkowany sposób wykorzystujących zasoby planety stawiamy na równi z bohaterami i świętymi, jeżeli uczymy nasze dzieci, by darzyły ich szczególnym uznaniem i godzimy się na to, by wielkie rzesze ludzkie służyły im w wiernym poddaństwie - sami prosimy się o kłopoty. I kłopoty do nas przychodzą.

W swoich dążeniach do budowy globalnego imperium korporacje, banki i rządy (składające się w sumie na korporacjokrację) używają swej finansowej i politycznej potęgi do takiego ukierunkowania szkolnictwa, biznesu i mediów, by umacniały dominację owego fałszywego i szkodliwego poglądu o uzasadnionym uprzywilejowaniu potentatów. Doprowadza to do przekształcenia kultury światowej w monstrualną machinę globalistyczną, domagającą się stale rosnących dostaw paliwa i zasobów, tak że w końcu pochłonie ona wszystko, włącznie z samą sobą.

Korporacjokracja nie jest spiskiem, choć jej członków łączą wspólne wartości i cele. Jednym z jej najważniejszych zadań jest nieustanne umacnianie i rozbudowywanie systemu. Styl życia oraz majątki jej liderów - rezydencje, jachty, prywatne odrzutowce - przedstawia się nam jako wzory mające nas zachęcać do coraz intensywniejszej konsumpcji wszelkich dóbr. Każdą nadarzającą się sposobność wykorzystuje się do wpajania nam przeświadczenia, że konsumpcja jest obywatelskim obowiązkiem, że rabunkowa eksploatacja zasobów Ziemi służy gospodarce i tym samym naszym interesom. Ludzie mojego pokroju otrzymują bajeczne wynagrodzenie za utrzymywanie systemu w ruchu. Jeżeli się nam nie uda, do akcji wkraczają szakale - bardziej złowroga forma specjalistów od brudnej roboty. A gdy i oni zawiodą, do akcji wkracza wojsko.

Niniejsza książka zawiera zwierzenia człowieka, który będąc w przeszłości EBR-owcem należał do dość wąskiego grona osób. Dziś szeregi tego typu specjalistów są nieporównanie liczniejsze. Przybierają oni różne eufemistyczne tytuły i snują się po korytarzach firm w rodzaju Monsanto, General Electric, Nike, General Motors, Wal-Mart i niemal każdej innej wielkiej światowej korporacji. Moja historia mogłyby równie dobrze dotyczyć któregokolwiek z nich.

Ta opowieść dotyczy również Ciebie, Czytelniku, świata Twojego i mojego, a przede wszystkim pierwszego światowego imperium. Historia poucza nas, że jeśli tego imperium nie zmienimy, czeka je nieuchronny upadek. Imperia nigdy nie trwają wiecznie. Każde z imperiów przeszłości runęło w gruzy. Unicestwiły wiele kultur w swym dążeniu do dominacji, po czym same upadły. Żadne państwo ani unia państw nie utrzyma władzy opartej na wyzyskiwaniu innych.

Książkę tę napisałem w taki sposób, by każdy mógł ją odnieść do siebie, do swoich doświadczeń. Jestem pewien, że jeśli dostatecznie wielu ludzi zrozumie, w jaki sposób jesteśmy wykorzystywani przez gospodarczą machinę zaprogramowaną na wysysanie światowych zasobów oraz utrwalania niewolnictwa, to system przestanie być tolerowany. Inaczej zdefiniujemy naszą rolę w świecie, w którym nieliczni opływają w bogactwa, a większość ludzi pogrąża się w nędzy, przemocy i cierpi z powodu zanieczyszczenia środowiska. Zaangażujemy się w działalność wytyczającą kurs ku wzajemnemu zrozumieniu, demokracji, ogólnoludzkiej sprawiedliwości.

Przyznanie się do istnienia problemu stanowi pierwszy krok ku jego rozwiązaniu. Wyznanie winy jest początkiem odrodzenia moralnego. Niech więc ta książka zapoczątkuje proces samooczyszczenia. Niech zachęci nas do postawienia sobie wyższych wymagań i wrażliwości etycznej, niech pobudza nas do realizacji marzeń o świecie zrównoważonych i sprawiedliwych społeczności.

*

Bez wielu ludzi, wśród których żyłem i których opisuję na dalszych kartach tej książki, nie mogłaby ona zostać napisana. Jestem im wdzięczny za wspólne doświadczenia i nauki, których mi udzielili.

Dziękuję również tym osobom, które zachęcały mnie do przeciwstawienia się systemowi i spisania historii mego życia. Są to: Stephan Rechtschaffen, Bill i Lynne Twist, Ann Kemp, Art Roffey, a także liczni uczestnicy wypraw i seminariów Dream Change - przede wszystkim współorganizatorzy tych przedsięwzięć: Eve Bruce, Lyn Roberts-Herrick i Mary Tendall oraz moja wspaniała żona od dwudziestu pięciu lat, Winifred, oraz nasza córka, Jessica.

Wdzięczny jestem wielu osobom, które udzieliły mi informacji i osobistych spostrzeżeń dotyczących międzynarodowych banków, międzynarodowych korporacji oraz podtekstów wydarzeń politycznych w różnych krajach. Szczególnie dziękuję Michaelowi Ben-Eli, Sabrinie Bologni, Juanowi Gabriel Carrasco, Jamie'mu Grant, Paulowi Shaw, a także tym osobom, które pragnęły zachować anonimowość, ale które wiedzą, o kogo chodzi.

Kiedy manuskrypt był już gotów, Steven Piersanti - założyciel oficyny Berret-Kochler - nie tylko odważył się przyjąć mą książkę do druku, ale również poświęcił wiele godzin na zredagowanie tekstu. Najgorętsze podziękowanie kieruję do Stevena, a także do Richarda Perlą, który mnie z nim zapoznał, a także do zespołu redakcyjnego, w którego skład wchodzili: Nova Brown, Randi Fiat, Allen Jones, Chris Lee, Jennifer Liss, Laurie Pellouchoud i Jenny Williams. Denis Korten nie tylko uczestniczył w redagowaniu mego tekstu, lecz nakłonił mnie do sprostania najwyższym wymogom edytorskim, Paul Fedorko był mym agentem, Todd Manza cyzelującym słówka edytorem, a Valerie Brewster zaprojektowała oprawę graficzną tej książki.

Ciepłe słowa kieruję również do pracowników BK, którzy rozumieją potrzebę oświecania ludzi i pracowali bez wytchnienia, by uczynić świat lepszym miejscem: sekretarz wydawnictwa Jeevan Sivasubramanian, Ken Lupoff, Rick Wilson, Maria Jesus Aguiló, Pat Anderson, Marina Cook, Michael Crowley, Robin Donovan, Kristen Frantz, Tiffany Lee, Catherine Lengronne, Dianne Platner.

Winienem również wdzięczność moim współpracownikom w MAIN, którzy nie wiedzieli, jaką rolę odgrywali pomagając EBR-owcowi konstruować globalne imperium. Szczególnie gorąco dziękuję moim podwładnym, z którymi podróżowałem do odle-

głych krain i którzy dzielili ze mną tyle niezwykłych chwil. Dziękuję także Ehudowi Sperlingowi i jego zespołowi Inner Traditions International, wydawcy mych poprzednich książek na temat rdzennych kultur i szamanizmu, przyjacielowi wprowadzającemu mnie w arkana pisarskiego rzemiosła.

Na zawsze zachowam w sercu wdzięczność dla osób, które zapraszały mnie do swoich domów w dżunglach, górach i na pustyniach, do swych kartonowych chatek stojących na brzegu kanałów w Dżakarcie i w slumsach w niezliczonych miastach na świecie, dla ludzi, którzy dzielili się ze mną swym pożywieniem i których życie stawało się dla mnie bezcennym źródłem inspiracji.

John Perkins
Sierpień 2004

Prolog

Stolica Ekwadoru, Quito, rozciąga się wzdłuż rozległej doliny wulkanicznej sięgając w głąb Andów na wysokości prawie trzech tysięcy metrów n.p.m. Historia miasta sięga jeszcze ery prekolumbijskiej, a jego mieszkańcy od wieków przywykli do widoku ośnieżonych szczytów, choć równik przebiega o kilka kilometrów od ich miasta.

Miasto Shell to usytuowana na wydartym dżungli terenie nadgraniczna osada pełniąca zarazem funkcję bazy wojskowej. Leży ponad dwa i pół tysiąca metrów niżej od Quito i służy interesom koncernu naftowego, którego imię nosi. Miejsce to, zaludnione głównie przez żołnierzy i nafciarzy oraz Indian z plemion Shuar i Kichwa, którzy pracują jako niewykwalifikowani robotnicy i prostytutki, tętni gorączkową krzątaniną.

Droga łącząca miasto z osadą Shell jest wyboista i wprost zapiera dech w piersi. Miejscowi mówią, że przebywając ją w ciągu jednego dnia przejeżdża się przez wszystkie cztery pory roku.

Choć przejeżdżałem nią wiele razy, nigdy nie znudziły mi się efektowne widoki. Po jednej stronie ogląda się strome zbocza poprzecinane wstęgami wodospadów i udekorowane tropikalną roślinnością, po drugiej otwiera się przepaść, w której wije się spływająca z Andów rzeka Pastaza, jeden z głównych dopływów Amazonki. Ma ona swoje źródła na lodowcu Cotopaxi, jednym z najwyższych na świecie czynnych wulkanów (uznawanym przez

Inków za bóstwo), a w drodze do Atlantyku pokonuje blisko pięć tysięcy kilometrów.

W roku 2003 wyruszyłem z Quito moim Subaru Outback do osady Shella w misji odmiennej od wszystkich, w jakich kiedykolwiek brałem udział. Miałem nadzieję zakończyć wojnę, którą kiedyś pomagałem rozpętać. Jak w wielu podobnych przypadkach, za które odpowiadają EBR-owcy, o wojnie tej nie wie praktycznie nikt spoza kraju, w którym jest toczona. Czekały mnie rozmowy z Indianami z plemion Shuar, Kichwa oraz ich sąsiadami Achuar, Zaparos i Shiwar, które starały się powstrzymać koncerny naftowe przed zniszczeniem ich domostw, rodzin i terytoriów, nawet za cenę własnego życia. Wojna ta oznaczała dla nich walkę o ocalenie własnych dzieci i kultury, zaś nam chodziło o władzę, pieniądze i zasoby naturalne. Była to jedna z bitew o dominację nad światem i realizację marzeń garstki chciwych ludzi - globalnego imperium[1].

I to właśnie jest specjalność nas, EBR-owców: budowa globalnego imperium. Stanowimy elitarną grupę ekspertów wykorzystujących środki międzynarodowych organizacji finansowych do tworzenia warunków, w których inne narody zostają podporządkowane największym korporacjom, naszemu rządowi i naszym bankom. Podobnie jak mafia, EBR-owcy oferują swoim partnerom określone korzyści. Przybierają one formy pożyczek na rozbudowę infrastruktury - elektrowni, autostrad, portów, lotnisk, zakładów przemysłowych, a przyznawane są jedynie pod warunkiem, że wszystkie finansowane z nich obiekty zostaną zaprojektowane i wybudowane przez nasze firmy. Dzięki takiemu układowi pieniądze, tak naprawdę, nigdy nie opuszczają Stanów Zjednoczonych, są po prostu przekazywane z banków w Waszyngtonie do przedsiębiorstw budowlanych w Nowym Jorku, Huston czy San Francisco.

Pomimo tego, że gotówka wraca niemal natychmiast do firm tworzących korporacjokrację (kredytodawcę), kraj otrzymujący kredyt musi spłacić go w całości wraz z odsetkami. EBR-owiec odnosi pełny sukces, gdy kredyty są tak duże, że po kilku latach kredytobiorca nie jest zdolny spłacać kolejnych rat. A wtedy my, jak mafia, zgłaszamy się po nasz łup. Przybiera on różne formy: przejęcie głosu danego kraju w głosowaniach na forum ONZ, instalacja

baz wojskowych, lub uzyskanie praw do korzystania z zasobów naturalnych danego kraju, takich jak pola naftowe albo Kanał Panamski. Oczywiście kredytobiorca nadal pozostaje naszym dłużnikiem, a kolejny kraj zostaje wchłonięty przez nasze globalne imperium.

Jadąc owego słonecznego dnia w roku 2003 z Quito do osady Shella, rozpamiętywałem mój pierwszy pobyt w tej części świata trzydzieści pięć lat wcześniej. Wyruszając w tamtą podróż wiedziałem, że Ekwador zajmuje obszar mniej więcej równy powierzchni stanu Newada, na jego terytorium znajduje się ponad trzydzieści czynnych wulkanów, piętnaście procent występujących na świecie gatunków ptaków i tysiące niesklasyfikowanych jeszcze roślin, a ludność należy do rozmaitych plemion, które używają - obok hiszpańskiego - swych pradawnych języków. Spodziewałem się fascynujących i egzotycznych wrażeń, a słowa, jakie nasuwały mi się na myśl w związku z tym, co mnie czekało, brzmiały: *czystość, niewinność, dziewiczość.*

Wiele się zmieniło w ciągu tych trzydziestu pięciu lat.

Wtedy, w roku 1968, Texaco dopiero odkryło złoża ropy naftowej w ekwadorskiej Amazonii. Dziś ropa stanowi blisko połowę eksportu tego kraju. Z rurociągu transandyjskiego, wybudowanego wkrótce po mojej pierwszej wizycie, wyciekło od tamtej pory do niezwykle wrażliwego lasu deszczowego ponad pół miliona baryłek ropy - dwukrotnie więcej niż w katastrofie tankowca Exxon *Valdez*[2]. Obecnie zorganizowane przez EBR-owców konsorcjum buduje za cenę miliarda trzystu tysięcy dolarów nowy, liczący pięćset kilometrów rurociąg, którego uruchomienie uczyni Ekwador jednym z głównych światowych dostawców ropy do Stanów Zjednoczonych[3]. Wycięto ogromne obszary lasu deszczowego, wytępiono niemal doszczętnie jaguary i wypleniono makawy, trzy rdzenne kultury zepchnięto na skraj zagłady, a dziewicze rzeki zamieniono w kanały ściekowe.

Ale lokalne plemiona podjęły walkę o przetrwanie. 7 maja 2003 roku grupa prawników amerykańskich reprezentujących ponad trzydzieści tysięcy Ekwadorczyków wystąpiła o wynoszące miliard dolarów odszkodowanie od koncernu ChevronTexaco Corp. Podstawę tego roszczenia stanowiło stwierdzenie, że w latach 1971-1992

koncern ten wylewał codziennie ponad cztery miliony galonów toksycznych ścieków zanieczyszczonych ropą, metalami ciężkimi i substancjami rakotwórczymi do otwartych zbiorników wodnych i rzek, a po opuszczeniu wyrobisk pozostawił w nich 350 niezabezpieczonych składowisk odpadów, które wciąż stanowią przyczynę śmierci ludzi i zwierząt[4].

Przez okna terenówki widziałem obłoki mgły, spływające w dolinę rzeki Pastaza. Pot przesiąkał mi przez koszulę, a żołądek podchodził pod gardło, kiedy samochód pokonywał kolejne serpentyny. Przepełniało mnie poczucie winy za udział w zniszczeniu tej pięknej krainy. Ekwador znajduje się dziś w stanie o wiele gorszym niż go zastaliśmy przed trzydziestu pięciu laty, zanim zaimplementowaliśmy tam cuda nowoczesnej gospodarki, bankowości i inżynierii. Oficjalne statystyki podają, że w okresie tak zwanego Boomu Naftowego, od roku 1970 poczynając, odsetek ludzi żyjących w biedzie wzrósł z 50% do 70%, liczba bezrobotnych lub nie mających stałego zajęcia -z 15% do 70%, zaś zadłużenie kraju wzrosło z 240 milionów do 16 miliardów dolarów. Zmniejszyły się natomiast świadczenia na rzecz najbiedniejszych - z 20% do 6% budżetu państwa-.

Niestety, Ekwador nie jest wyjątkiem. Podobny los spotkał niemal wszystkie kraje, które EBR-owcy wprowadzili do struktur globalnego imperium[6]. Zadłużenie Trzeciego Świata sięgnęło ponad dwóch i pół bilionów dolarów, a koszt jego obsługi wynosił 375 miliardów dolarów w roku 2004 - co przekracza roczne łączne wydatki wszystkich tych krajów na służbę zdrowia i oświatę; stanowi również dwudziestokrotność kwoty międzynarodowej pomocy udzielanej corocznie krajom rozwijającym się. Ponad połowa ludności świata żyje za równowartość niecałych dwóch dolarów dziennie - mniej więcej tyle samo mieli do dyspozycji na początku lat 70-tych. Jednocześnie jeden procent najbogatszych mieszkańców tych krajów posiada od 70% do 90% bogactw i nieruchomości - wskaźniki te układają się różnie w poszczególnych krajach[7].

Subaru wjechało w kręte uliczki pięknego kurortu Bańos, słynącego z gorących wód mineralnych wypływających z góry Tungurahgua. Obok samochodu biegły dzieci, machając rączkami i starając się sprzedać gumę do żucia i ciasteczka. Zaraz za granicami mia-

steczka piękne widoki nagle zniknęły, a ich miejsce zajęły piekielne krajobrazy przywodzące na myśl dzieło Dantego.

Z koryta rzeki wyłonił się jakiś potwór: gigantyczny szary mur. Nie pasował w żaden sposób do otoczenia, wbijał się brutalnie w krajobraz. Ale ten widok mnie nie zaskoczył. Wiedziałem, że będzie na mnie czyhał. Spotykałem podobne wiele razy w przeszłości i widziałem w nich symbol dokonań EBR-owców. Mimo to skóra mi ścierpła.

Ten mur to elektrownia wodna Agoyan o mocy 156 MW, zatrzymująca nurt rzeki Pastoza, wtłaczająca ją w tunel wydrążony pod górą i przetwarzająca na energię elektryczną. Elektrownia dostarcza energii zakładom przemysłowym, z których zyski czerpie garstka Ekwadorczyków, a szkodliwych skutków tych przemian doznają rzesze rolników i tubylców zamieszkałych w dolinie rzeki. Tama ta jest jednym z wielu projektów przeprowadzonych dzięki wysiłkom moim i innych EBR-owców. Takie właśnie „osiągnięcia" sprawiły, że Ekwador stał się częścią światowego imperium, a także stały się powodem, dla którego plemiona Shuar i Kichwa zagroziły wojną koncernom naftowym.

W rezultacie projektów przeprowadzonych przez EBR-owców Ekwador został przytłoczony ciężarem zagranicznego zadłużenia i musi przeznaczać ogromną część budżetu na jego obsługę, zamiast wykorzystywać ją dla zlikwidowania nędzy, w jakiej żyją miliony jego obywateli. Jedynym sposobem umożliwiającym Ekwadorowi spłacanie zadłużenia jest odsprzedawanie koncernom naftowym znacznych obszarów lasów deszczowych. W istocie jednym z głównych powodów, dla których EBR-owcy zainteresowali się tym krajem, jest morze ropy naftowej zalegającej w regionie Amazonii - ekwadorskie złoża porównuje się z zasobami Bliskiego Wschodu[8]. Globalne imperium domaga się łupu w postaci koncesji naftowych.

Żądania nasiliły się po 11 września 2001 roku, kiedy Waszyngton zaniepokoił się, że może zostać zagrożona ciągłość dostawy ze złóż bliskowschodnich. Obawy te pogłębiły się po tym, jak w Wenezueli, trzecim z głównych dostawców ropy, urząd prezydenta objął populista Hugo Chavez, stanowczo przeciwstawiający się temu, co

nazywał amerykańskim imperializmem. Zagroził wręcz wstrzymaniem dostaw ropy do USA. EBR-owcy ponieśli klęskę w Iraku i w Wenezueli, lecz odnieśli sukces w Ekwadorze, który teraz doili bez skrupułów.

Ekwador jest typowym przykładem kraju uzależnionego politycznie i gospodarczo. Z każdych 100 dolarów płaconych za ropę wydobywaną z tamtejszych złóż, koncerny naftowe otrzymują 75 dolarów. Z pozostałych 25 dolarów trzy czwarte przeznacza się na spłatę zadłużenia. Resztkę pochłaniają niemal w całości wydatki wojskowe i rządowe - na opiekę zdrowotną, oświatę i pomoc społeczną pozostaje około 2,5 dolara[9]. Tym sposobem z każdych 100 dolarów uzyskanych z eksploatacji złóż amazońskich mniej niż 3 dolary przeznacza się na zaspokojenie potrzeb ludzi, którym pieniądze są najbardziej potrzebne, których życie zostało zrujnowane zaporami wodnymi, szybami wiertniczymi i rurociągami, i którzy cierpią wskutek braku pożywienia i wody pitnej.

Wszyscy oni - miliony Ekwadorczyków, miliardy na całym świecie - są potencjalnymi terrorystami. Nie dlatego, że są komunistami, anarchistami czy też wcielonymi diabłami, ale po prostu dlatego, że znajdują się w desperackim położeniu. Przypatrując się owej zaporze na rzece Pastaza, zastanawiałem się - podobnie jak często w podobnych chwilach - kiedy ci ludzie przystąpią do walki o swoje, takiej jaką Amerykanie podjęli przeciw Anglii w latach 1770-tych, a Latynosi przeciw Hiszpanii na początku XIX wieku.

Perfidia budowniczych nowoczesnego globalnego imperium pozostawia daleko w tyle rzymskich centurionów, hiszpańskich konkwistadorów, osiemnasto- i dziewiętnastowiecznych kolonialistów europejskich. My, EBR-owcy jesteśmy dobrze przygotowani do naszych działań, wyciągamy wnioski z doświadczeń historycznych. Nie używamy mieczy i nie przywdziewamy zbroi. W krajach takich jak Ekwador, Nigeria albo Indonezja ubieramy się jak miejscowi nauczyciele czy właściciele sklepów. W Waszyngtonie czy też Paryżu nosimy się jak urzędnicy państwowi lub bankowcy. Zachowujemy się normalnie. Odwiedzamy place budowy i biedne wioski. Manifestujemy altruizm, rozmawiamy z miejscowymi dziennikarzami o humanitaryzmie naszych działań. Na spotkaniach z przed-

stawicielami rządów rozkładamy całe sterty raportów, opracowań i prognoz finansowych, wygłaszamy odczyty w Harvard Business School na temat cudów makroekonomii. Pracujemy jawnie, a przynajmniej na takich się skutecznie kreujemy. Rzadko uciekamy się do nielegalnych działań, ponieważ w założeniu cały system opiera się na podstępie, będąc jednocześnie w pełni legalnym.

A jednak - i jest to ważna przestroga - jeśli nasze działania zawodzą, do akcji wkracza bardziej wredny gatunek, który EBR-owcy określają mianem szakali, sięgający po metody wypróbowane przez dawne imperia. Szakale stale nam towarzyszą, czają się w cieniu czekając na wezwanie. Kiedy to następuje, rządy zostają obalone, a prezydenci giną w „wypadkach"[10]. A jeżeli również szakale ponoszą klęskę, jak to miało miejsce w Afganistanie i w Iraku, uruchamia się stare metody: młodzi Amerykanie zostają wysyłani do bitwy, by zabijać i być zabijanymi.

Jadąc wzdłuż monstrualnej zapory, spociłem się cały. Zmierzałem na spotkanie z biednymi ludźmi, którzy podjęli desperacką walkę o powstrzymanie imperium, które pomagałem budować. Przepełniało mnie poczucie winy.

Pytałem sam siebie: jak to się stało, że taki miły dzieciak z wiejskiego New Hampshire wplątał się w taki brudny biznes?

Część I

LATA 1963-1971

Rozdział 1

Narodziny Ekonomisty od Brudnej Roboty

Wszystko zaczęło się dość niewinnie.

Byłem jedynakiem, przyszedłem na świat w średniozamożnej rodzinie w roku 1945. Moi rodzice pochodzili z rodzin jankeskich od trzech stuleci osiadłych w Nowej Anglii, które od pokoleń dochowywały wierności purytańskim zasadom moralnym i republikańskiej tradycji politycznej. Oboje należeli do pierwszego pokolenia inteligenckiego. Matka uczyła łaciny w szkole średniej, a ojciec walczył w II Wojnie Światowej w randze porucznika marynarki wojennej dowodząc obsługą działa na tankowcu pływającym po Atlantyku. Kiedy się urodziłem w Hanoverze, w stanie New Hampshire, leżał w teksańskim szpitalu kurując uraz stawu biodrowego. Zobaczyłem go po raz pierwszy, kiedy miałem rok.

Po wyleczeniu objął posadę nauczyciela języków obcych w Tilton School. Było to elitarne męskie gimnazjum z internatem, położone na wzgórzu nad miasteczkiem o tej samej nazwie, w rolniczej części New Hempshire. Na każdym poziomie wiekowym pobierało nauki około pięćdziesięciu uczniów, w większości synów z bogatych rodzin z Buenos Aires, Caracas, Bostonu i Nowego Jorku.

W naszym domu nie przelewało się, aczkolwiek nie uznawaliśmy się za biednych. Chociaż płace nauczycieli były bardzo niskie, to jednak w ramach świadczeń dodatkowych zaspokajano wszystkie nasze podstawowe potrzeby: wyżywienie, mieszkanie, ogrzewanie,

wodę, a pracownicy szkoły zimą odgarniali śnieg, zaś latem strzygli trawniki. Od ukończenia czwartego roku życia jadałem obiady w szkolnej stołówce, w piłkę grałem w drużynie, którą trenował mój ojciec, a ręcznik trzymałem w szafce przy hali sportowej.

Łatwo zrozumieć, że nauczyciele wraz z żonami stanowili miejscową elitę. Zdarzało mi się słyszeć żartobliwe uwagi rodziców, że czują się jak posiadacze ziemscy rezydujący w dworze i górujący pod każdym względem nad wieśniakami oraz mieszkańcami miasteczka. Wiedziałem, że nie jest to tylko żart.

Moi koledzy w podstawówce należeli do tej niższej kasty: byli dziećmi ubogich farmerów, drwali, robotników zatrudnionych w różnych drobnych przedsiębiorstwach. Nie lubili „paniczyków" ze szkolnego wzgórza - a moi rodzice przestrzegali mnie przed brataniem się z dziewczętami z miasteczka, które nazywali „puszczalskimi" lub „dziwkami". Jednak już od pierwszej klasy wymieniałem się z nimi zeszytami i kredkami, a w trzech koleżankach - Ann, Priscilli i Judy - kolejno się podkochiwałem. Nie podzielałem uprzedzeń moich rodziców, ale podporządkowałem się ich woli.

Co roku wyjeżdżaliśmy, na trzy wakacyjne miesiące, nad jezioro do letniego domku zbudowanego przez mojego dziadka w roku 1921. Otaczały go lasy, a nocą słyszeliśmy sowy i kuguary. Nie mieliśmy sąsiadów - byłem jedynym dzieckiem w promieniu wielu kilometrów. Spędzałem dni wyobrażając sobie, że drzewa są rycerzami Okrągłego Stołu, a Ann, Priscilla lub Judy (w zależności od roku) damami, którym grozi niebezpieczeństwo. Uczucia moje - nie miałem żadnych wątpliwości - były równie gorące jak miłość Lancelota do Guinewry, ale może jeszcze bardziej skrywane.

Gdy miałem czternaście lat, przyjęto mnie bez czesnego do Tilton School. Zgodnie z życzeniem rodziców, zerwałem wszelkie kontakty z kolegami i koleżankami ze szkoły podstawowej. Kiedy zaś moi nowi koledzy szkolni rozjeżdżali się na wakacje do swych posiadłości, pozostawałem na szkolnym wzgórzu sam jak palec. Ich dziewczynami zostawały panienki z dobrych domów, a ja nie miałem w ogóle dziewczyny. Wszystkie dziewczęta, które znałem, były „puszczalskimi". Zerwałem z nimi kontakty, a one o mnie zapomniały.

Rodzice manipulowali mną po mistrzowsku - zapewniali, że osamotnienie powinienem uznać za wyróżnienie, i że pewnego dnia będę za to wdzięczny, gdy znajdę sobie wspaniałą żonę odpowiadającą wysokim standardom moralnym stawianym przez rodzinę. W skrytości ducha tęskniłem do towarzystwa kobiet - marzyłem o seksie, a dziwki z natury rzeczy wydawały mi się niezwykle pociągające.

Zamiast się jednak zbuntować, zagłuszałem mą frustrację dążeniem do osiągania perfekcji we wszystkich możliwych dziedzinach. Byłem prymusem, kapitanem dwóch drużyn reprezentacyjnych, redaktorem szkolnej gazetki. Chciałem wyróżnić się wśród bogatych kolegów i jak najszybciej pozostawić za sobą Tilton School. W ostatniej klasie zdobyłem stypendium sportowe z Brown i akademickie z Middlebury. Wybrałem Brown, ponieważ chciałem zostać sportowcem, a także dlatego, że uczelnia ta znajdowała się w mieście. Moja matka studiowała w Middlebury, a ojciec zdobył tam dyplom magisterski, toteż oboje namawiali mnie na studia na tej uczelni, mimo iż to Brown należała do *Ivy League**.

- A co będzie, jak złamiesz nogę? - przestrzegał ojciec. - Zawsze lepiej mieć stypendium akademickie. Uległem.

Middlebury wydawało mi się po prostu większą wersją Tilton, wiejską dziurą w stanie Vermont. Uczelnia była co prawda koedukacyjna, ale będąc ubogim znalazłbym się tam wśród bogatych studentów. Poza tym od czterech lat nie miałem już szkolnych koleżanek. Brakowało mi pewności siebie, czułem się gorszy i nieszczęśliwy. Błagałem ojca, żeby mnie z tej uczelni wypisał, albo pozwolił na roczny urlop od nauki. Chciałem przenieść się do Bostonu, zaznawać życia i kobiet. On nie chciał nawet o tym słyszeć.

- Jakże bym mógł przygotowywać dzieci innych rodziców do studiów w college'u, skoro mój syn się od nich uchyla? - pytał.

* Ivy League (Liga Bluszczowa) - stowarzyszenie ośmiu prestiżowych uczelni w północno-wschodniej części USA: Brown University, Columbia University, Cornell University, Dartmouth College, Harvard University, University of Pennsylvania, Princeton University, Yale University. Nazwa pochodzi od bluszczu porastającego stare budynki uczelniane, (przyp. tłum.)

Doszedłem do wniosku, że życie składa się z serii zbiegów okoliczności. To, w jaki sposób na coś reagujemy, jak korzystamy z tzw. „wolnej woli", determinuje naszą przyszłość. Wybory dokonywane w ramach tego co narzuca nam los określają, kim jesteśmy. O moim życiu zadecydowały dwa zdarzenia, które miały miejsce w Middlebury. Pierwszym było poznanie pewnego Irańczyka, syna generała piastującego stanowisko osobistego doradcy szacha. Drugim było poznanie pięknej dziewczyny o imieniu Ann, takim samym, jakie nosiła jedna z mych szkolnych miłości.

Irańczyk, nazwę go Farhad, był zawodowym piłkarzem w Rzymie. Miał figurę atlety, kruczoczarne wijące się włosy i orzechowe oczy. Posiadał szczególną charyzmę, której kobiety nie potrafiły się oprzeć. Pod wieloma względami stanowił moje przeciwieństwo. Bardzo zabiegałem o jego przyjaźń, a on nauczył mnie wielu rzeczy, które miały mi się w przyszłości przydać. Ann, kiedy ją poznałem, chodziła ze studentem jednego z sąsiednich college'ów, ale wzięła mnie pod swe skrzydła. Nasz platoniczny związek okazał się moją pierwszą prawdziwą miłością.

Farhad nauczył mnie popijać, bawić się na przyjęciach i nie przejmować się rodzicami. Postanowiłem przerwać studia, by wyrównać rachunki z ojcem. Moje oceny pogorszyły się, straciłem stypendium. W połowie drugiego roku studiów postanowiłem opuścić uczelnię. Ojciec groził, że mnie wydziedziczy, zaś Farhad nakłaniał mnie do realizacji mojego postanowienia. Wybrałem się do dziekana i wypisałem z college'u. Był to zwrotny moment w moim życiu.

Ostatni wieczór w mieście spędziłem z Farhadem w lokalnym barze. Jakiś pijany farmer-dryblas oskarżył mnie, że flirtuję z jego żoną. Podniósł mnie i przycisnął do ściany. Wtedy Farhad wdarł się pomiędzy nas, wyciągnął nóż i rozorał napastnikowi policzek. Potem zaciągnął mnie do okna, przez które wyskoczyliśmy na zewnątrz i wróciliśmy do akademika.

Następnego dnia, gdy przesłuchiwała mnie kampusowa policja, skłamałem twierdząc, że nic nie wiem o żadnym incydencie. Mimo tego Farhada usunięto z uczelni. Obaj przenieśliśmy się do Bostonu, gdzie zamieszkaliśmy razem. Dostałem pracę w wydawanych przez

Hearsta pismach *Record American / Sunday Advertiser* jako asystent naczelnego redaktora *Sunday Advertiser.*

W roku 1965 kilku moich kolegów z pracy zostało powołanych do wojska. Aby uniknąć podobnego losu, wstąpiłem na Boston University's College of Business Administration. W tym czasie Ann zerwała z poprzednim chłopakiem i zaczęła składać mi w Bostonie częste wizyty. Bardzo mi to pochlebiało. Skończyła studia w roku 1967, gdy mi pozostał jeszcze rok na BU. Odmówiła stanowczo zamieszkania ze mną przed ślubem. Choć żartowałem, że wymusza na mnie małżeństwo, co przywodziło mi na myśl rygorystyczne i pruderyjne standardy moralne moich rodziców, było mi z nią dobrze. I w końcu pobraliśmy się.

Ojciec Ann, świetny konstruktor, opracował system nawigacyjny do ważnego typu rakiet, dzięki czemu awansował na ważne stanowisko w Ministerstwie Marynarki. Jego bliski przyjaciel, którego Ann nazywała „wujkiem Frankiem" (nie było to jego prawdziwe imię), pracował w najwyższym kierownictwie National Security Agency (NSA) - najmniej znanej, a zarazem największej organizacji wywiadowczej w kraju.

Wkrótce po ślubie armia wezwała mnie na badania. Zostałem uznany za zdolnego do służby i stanęła przede mną perspektywa skierowania do Wietnamu po ukończeniu uczelni. Możliwość znalezienia się na froncie w Południowo-Wschodniej Azji przerażała mnie, choć skądinąd wojna zawsze mnie fascynowała. W dzieciństwie nasłuchałem się opowieści o moich przodkach, kolonistach, do których należeli między innymi Thomas Paine i Ethan Allen. Obwożono mnie po miejscach bitew stoczonych w Nowej Anglii z Francuzami, Indianami, a także z Brytyjczykami w czasie Wojny o Niepodległość. Czytałem wszystkie powieści historyczne, jakie tylko udało mi się dorwać. Wręcz byłem bliski dobrowolnego zaciągnięcia się do wojska w dniach, kiedy do Południowo-Wschodniej Azji skierowano pierwsze oddziały sił specjalnych. Jednak gdy media zaczęły opisywać okropności toczonych walk oraz niekonsekwencję polityki USA, zmieniłem zdanie. Zacząłem się zastanawiać, po której stronie opowiedziałby się Tom Paine, i nabrałem pewności, że dołączyłby do naszych przeciwników z Yietcongu.

Wtedy właśnie odwiedził mnie „wujek Frank" i poinformował, że zgłosił mnie do biura rekrutacyjnego NSA, które przeprowadzi ze mną serię rozmów wstępnych, przesłuchań i badań, włącznie z testami na wykrywaczu kłamstw. Mają one rozstrzygnąć o tym, czy nadaję się do pracy w agencji, oraz określić moje słabe i mocne strony, których identyfikacja pomoże w zaplanowaniu mojej ewentualnej dalszej kariery. Byłem przekonany, że obleję te egzaminy ze względu na krytyczny stosunek do interwencji w Wietnamie.

W ich trakcie oświadczyłem, że jako lojalny Amerykanin sprzeciwiam się wojnie - i zdziwiłem się, że egzaminatorzy nie podjęli tej kwestii. Zajęli się natomiast szczegółowo moim dzieciństwem, stosunkiem do rodziców, uczuciami, jakie się rodziły we mnie w związku z dorastaniem w niezamożnej, purytańskiej rodzinie wśród bogatych, hedonistycznie nastawionych rówieśników. Wypytywali mnie również o frustracje związane z brakiem kobiet, seksu i pieniędzy w moim życiu, oraz o moje marzenia. Zdumiało mnie też to, jak wiele uwagi poświęcili Farhadowi i mojej determinacji, z jaką chroniłem go kłamiąc kampusowej policji.

Z początku przypuszczałem, że wszystko to, co sam oceniałem tak negatywnie, przekreśli moje szanse na pracę w agencji. Jednak przedłużanie się testów zdawało się świadczyć o czymś przeciwnym. Dopiero po latach zrozumiałem, że moje wady były z punktu widzenia NSA zaletami. Bardziej od lojalności wobec ojczyzny interesowały ich moje życiowe frustracje. Gniew wobec rodziców, obsesyjne pragnienie kobiet, chęć osiągnięcia wysokiego standardu życiowego stawały się dla nich haczykami, na które można mnie było złowić. Moje ambicje przodowania w nauce i w sporcie, sprzeciwienie się ojcu, łatwość nawiązywania kontaktów z cudzoziemcami oraz zdolność do okłamania policji - to były cechy, jakich szukali. Później odkryłem także, że ojciec Farhada współpracował z wywiadem amerykańskim w Iranie - moja znajomość z jego synem musiała więc stanowić duży atut.

W kilka tygodni po rozmowach w NSA zaoferowano mi pracę przygotowującą do rzemiosła szpiegowskiego - miałem ją rozpocząć parę miesięcy później, po uzyskaniu dyplomu na Boston University. Zanim jednak oficjalnie przyjąłem tę ofertę, pod wpływem impulsu zapisałem się na seminarium prowadzone w BU przez we-

rbownika Peace Corps. Ważnym czynnik stanowił fakt, że - podobnie do NSA - Peace Corps zapewniał swym pracownikom zwolnienie od służby wojskowej.

Zapisanie się na to seminarium okazało się jedną z tych decyzji, które w momencie ich podejmowania wydają się błahe, a które wywierają wpływ na całe życie człowieka. Werbownik opisywał różne rejony świata, w których ochotnicy Peace Corps są najbardziej potrzebni. Wśród nich znajdowały się lasy deszczowe Amazonii zamieszkiwane przez tubylców żyjących w sposób bardzo przypominający życie Indian w Ameryce Północnej przed przybyciem Europejczyków.

Zawsze marzyłem o tym, by żyć jak Indianie z plemienia Abnakis zamieszkujący obszar stanu New Hampshire, gdy pojawili się tam pierwsi osadnicy. Wiedziałem, że w mych żyłach płynie odrobina indiańskiej krwi i chciałem poznać leśne życie, które Indianie tak doskonale opanowali. Po wykładzie podszedłem do werbownika i spytałem, czy mógłbym uzyskać skierowanie do pracy w Amazonii. Zapewnił mnie, że istnieje wielkie zapotrzebowanie na ochotników chcących udać się w ten region, i że mam duże szanse. Wtedy zadzwoniłem do „wujka Franka".

Ku memu zdziwieniu gorąco zachęcał mnie do podjęcia pracy w Peace Corps. Stwierdził, że po upadku Hanoi - co w owym czasie wydawało się, ludziom jego pokroju, pewne - Amazonia stanie się kluczowym rejonem.

- Po prostu siedzi na ropie - dowodził. - Będziemy potrzebowali tam dobrych agentów, kogoś, kto dobrze rozumie tubylców.

Zapewnił mnie, że Peace Corps będzie dla mnie świetnym treningiem i namawiał, bym solidnie zabrał się do nauki hiszpańskiego oraz lokalnych dialektów. Chichocząc dodał:

- Niewykluczone, że potem wylądujesz w prywatnej firmie zamiast pracować dla rządu.

Wówczas nie zrozumiałem, co miał na myśli. Nieświadomie awansowałem ze szpiega na EBR-owca, choć jeszcze wtedy nie zetknąłem się z tym określeniem i nie miałem go poznać przez kilka następnych lat. Nie zdawałem sobie sprawy, że setki osób rozsianych po całym świecie pracują dla firm konsultingowych i innych przedsiębiorstw prywatnych nie pobierając ani grosza od żadnej

agencji rządowej, a mimo to służą interesom imperium. Nie mogłem też wtedy przewidzieć, że przed końcem tysiąclecia liczba agentów imperium, kryjących się pod najrozmaitszymi przedziwnie nieraz nazywanymi stanowiskami, sięgnie tysięcy, i że przyjdzie mi odegrać znaczącą rolę w tworzeniu tej rosnącej armii.

Wspólnie z Ann zgłosiliśmy się do Peace Corps i otrzymaliśmy skierowanie do Amazonii. Kiedy dotarło do nas oficjalne zawiadomienie, odczułem potężny zawód, wysyłano nas bowiem do Ekwadoru.

O, nie! - pomyślałem sobie - prosiłem o skierowanie do Amazonii, a nie do Afryki.

Sięgnąłem po atlas, by odszukać Ekwador, ale nie znalazłem go na kontynencie afrykańskim. W indeksie odkryłem, że faktycznie kraj ten leży w Ameryce Łacińskiej, a na mapie dostrzegłem, że rzeki spływające z indyjskich lodowców na jego terytorium tworzą główne dopływy Amazonki. Z dalszych lektur dowiedziałem się, że ekwadorskie lasy należą do najbardziej zróżnicowanych i niezwykłych na świecie, a ludzie od tysiącleci żyją tam w nie zmienionych warunkach. Przyjęliśmy więc skierowanie.

Najpierw odbyliśmy przygotowawcze szkolenie w obozie w południowej Kaliforni, po czym we wrześniu 1968 roku wysłano nas do Ekwadoru. Zamieszkaliśmy w Amazonii wśród ludzi, których życie w istocie przypominało egzystencję Indian północnoamerykańskich sprzed kolonizacji. W Andach zdarzało się nam pracować z potomkami Inków. Dotąd nie zdawałem sobie sprawy, że może jeszcze istnieć na świecie taka kraina. Jedyni Latynosi, których do tego czasu spotykałem, byli synami zamożnych rodzin uczęszczającymi do szkoły, w której nauczał mój ojciec. Odkryłem w sobie umiejętność dzielenia radości i trosk z tymi tubylcami, którzy wiedli proste życie rolników i myśliwych. Odczuwałem łączącą nas szczególną więź. W pewien sposób przypominali mi wieśniaków, których pozostawiłem w rodzinnym miasteczku.

Pewnego dnia na prowizorycznym lotnisku obok naszej wioski wylądował mężczyzna w garniturze. Był to Einar Greve, wiceprezes Chas. T. Main, Inc. (MAIN), działającej dyskretnie międzynarodowej firmy konsultingowej. MAIN miała ocenić, czy Bank Światowy powinien udzielić Ekwadorowi oraz sąsiednim państwom

miliardów dolarów kredytów na budowę elektrowni wodnych oraz na realizację innych inwestycji infrastrukturalnych. Einar był również pułkownikiem rezerwy armii amerykańskiej.

Rozpoczął ze mną rozmowę o wspaniałych perspektywach, jakie niesie ze sobą praca w firmie takiej jak MAIN. Kiedy wspomniałem mu, że NSA zaakceptowała mnie jako przyszłego współpracownika przed mym wyjazdem do Ekwadoru, i że mam zamiar zwrócić się do niej po powrocie do kraju, poinformował mnie, że on również występuje czasem jako współpracownik NSA. Obrzucił mnie przy tym spojrzeniem, które sugerowało, że ocena moich umiejętności stanowiła część jego misji. Dziś wydaje mi się, że uzupełniał moje *dossier,* a w szczególności oceniał moją zdolność do przystosowywania się i funkcjonowania w warunkach, które większość Amerykanów uznałaby za nieprzyjazne lub wręcz wrogie.

Spędziliśmy wspólnie w Ekwadorze kilka dni, a później utrzymywaliśmy kontakt listowny. Poprosił mnie o wysłanie mu raportu oceniającego perspektywy gospodarcze Ekwadoru. Miałem ze sobą składaną maszynę do pisania, lubiłem pisać i chętnie spełniłem jego prośbę. W ciągu następnego roku przesłałem Einarowi przynajmniej piętnaście obszernych listów analizujących ekonomiczną i polityczną przyszłość Ekwadoru. Sygnalizowałem również rosnący opór rdzennych mieszkańców wobec wdzierających się w ich życie koncernów naftowych, międzynarodowych agencji rozwoju oraz wobec innych prób wciągania ich do nowoczesnego świata.

Kiedy moja misja w Peace Corps dobiegła końca, Einar zaprosił mnie do Bostonu na rozmowę kwalifikacyjną. Wcześniej, w czasie prywatnej rozmowy, poinformował mnie, że firma skupia się na działalności inżynieryjno-budowlanej, ale ostatnio główny klient, Bank Światowy, zaczął nalegać, by zatrudniono ekonomistów do sporządzania prognoz i analiz wykonalności oraz opłacalności przeprowadzanych inwestycji. Dodał, że zatrudnił już trzech wysoko wykwalifikowanych specjalistów - dwóch magistrów i jednego doktora ekonomii - ale żaden z nich nie sprawdził się w pracy.

- Żaden z nich - stwierdzał Einar - nie chciał podjął się sporządzenia prognoz gospodarczych dla krajów, w których nie istnieją wiarogodne dane statystyczne.

Opowiadał, że żaden z nich nie zgodził się podróżować do odległych krajów takich jak Ekwador, Indonezja, Iran czy Egipt, w celu odbycia rozmów z miej scowymi przywódcami i wyrobienia sobie własnego zdania na perspektywy rozwoju danych regionów. Jeden z nich uległ załamaniu nerwowemu w odległej panamskiej wiosce, skąd policja odstawiła go na lotnisko i odesłała do Stanów Zjednoczonych.

- Pańskie pisemne raporty dowodzą, że nie boi się pan wystawiać nosa poza próg, kiedy nie ma dostępnych normalnych danych. A biorąc pod uwagę warunki, w których pan mieszkał w Ekwadorze, nabrałem przekonania, że jest pan w stanie dać sobie radę praktycznie wszędzie.

Powiedział, że jednego z tych specjalistów już zwolnił, a dwóch pozostałych również zwolni, o ile ja zdecyduję się podjąć pracę w MAIN.

W ten sposób w styczniu 1971 roku objąłem stanowisko ekonomisty w MAIN. Miałem dwadzieścia sześć lat - wcielenie do wojska przestało mi już zagrażać. Naradziłem się z rodziną Ann, która nakłaniała mnie do przyjęcia tej pracy, więc uznałem, że podobnego zdania był wujek Frank. Przypomniałem sobie, że wspominał kiedyś o możliwości pracy w firmie prywatnej. Nic nie zostało nigdy powiedziane wprost, ale nie miałem wątpliwości, że mój angaż w MAIN był rezultatem testów, które wujek Frank zaaranżował trzy lata wcześniej, a których pozytywny wynik został poparty moim doświadczeniem z pracy w Ekwadorze i raportami przesyłanymi stamtąd Einarowi.

Przez kilka tygodni różne myśli krążyły mi po głowie, a moje ego urosło do niezwykłych rozmiarów. Z BU wyniosłem jedynie dyplom licencjata, co nie predestynowało mnie do zajęcia stanowiska ekonomisty w tak poważnej firmie konsultingowej. Wiedziałem, że moi koledzy z BU - którzy chcąc uniknąć wojska zdobywali dyplomy magisterskie i inne dodatkowe tytuły - teraz zzielenieją z zazdrości. Wyobrażałem już sobie siebie jako tajnego agenta podróżującego do egzotycznych krajów, wylegującego się przy hotelowych basenach, otoczonego pięknymi kobietami w bikini i sączącego schłodzone martini.

Choć były to tylko fantazje, okazało się, że zawierały elementy prawdy. Einar zatrudnił mnie jako ekonomistę, ale wkrótce odkryłem, że moja rola sięgała o wiele dalej. Miałem upodobnić się do Jamesa Bonda w stopniu większym, niż mogłem to przewidzieć.

Rozdział 1

„Na całe życie"

Z prawnego punktu widzenia MAIN była firmą należącą do pracowników, z których jednakże jedynie ok. 5% miało w niej udziały. Określano ich mianem wspólników, a pozostali zazdrościli im pozycji. Nie tylko posiadali władzę, ale również zarabiali krocie. Dyskrecja była ich wizytówką; utrzymywali kontakty z szefami państw i menedżerami najwyższego szczebla, którzy od swoich konsultantów oczekiwali takiego samego stopnia poufności, jak od prawników i psychoterapeutów. Wszelkie kontakty z prasą były naj surowiej zakazane. W rezultacie mało kto spoza firmy w ogóle wiedział ojej istnieniu, choć wielu znało naszych konkurentów-Arthur D. Little, Stone & Webster, Brown & Root, Halliburton i Bechtel.

Używam określenia *konkurenci* dość luźno, ponieważ MAIN stanowiła klasę samą dla siebie. Większość pracowników miała wykształcenie inżynierskie, ale nie posiadaliśmy żadnego sprzętu budowlanego i nigdy nie zbudowaliśmy choćby szopy na narzędzia. Zatrudnialiśmy wielu byłych wojskowych, lecz mimo tego nie zawieraliśmy żadnych kontraktów z Departamentem Obrony, ani żadnymi innymi instytucjami wojskowymi. Nasza działalność tak dalece odbiegała od przyjętych norm, że przez pierwszych kilka miesięcy nie byłem w stanie w ogóle się zorientować, czym właściwie się zajmowaliśmy. Wiedziałem tylko, że moim pierwszym zadaniem będzie wyjazd do Indonezji. Miałem zostać członkiem jedenastoosobowego zespołu, którego za-

danie polegało na opracowaniu planu rozwoju systemu energetycznego wyspy Jawa.

Zorientowałem się też, że Einar i inni szefowie omawiający czekające mnie zadania wyraźnie sugerowali, że gospodarka Jawy znajduje się w przededniu boomu, i że jeśli pragnę wykazać się jako dobry analityk (od czego zależały potencjalne awanse), powinienem opracować prognozy, które będą ten optymizm odzwierciedlać.

- Poza wykres! - zwykł był mawiać Einar naśladując ruchem dłoni start samolotu. - Gospodarka, która wystrzeli w górę jak rakieta!

Einar często wybierał się w podróże trwające nie dłużej niż dwa-trzy dni. Nikt o nich nie rozmawiał i wydawało się, że nikt nie wie, dokąd wiceprezes się udawał. Gdy przebywał w biurze, często zapraszał mnie na krótkie pogawędki przy kawie. Wypytywał mnie o Ann, o nasze nowe mieszkanie i o kotka, którego sobie przywieźliśmy z Ekwadoru. W miarę jak poznawałem go coraz lepiej, ośmielałem się i próbowałem wyciągnąć z niego, na czym właściwie ma polegać moja praca. Nigdy jednak nie uzyskiwałem satysfakcjonujących odpowiedzi na moje podpytywania. Einar był mistrzem w zbywaniu ogólnikami wszelkich niewygodnych dlań pytań. Ale za którymś razem obrzucił mnie uważnym spojrzeniem.

- Nie masz powodów do zmartwienia - stwierdził. - Wiążemy z tobą duże nadzieje. Ostatnio byłem w Waszyngtonie... - zawiesił głos i uśmiechnął się tajemniczo. - W każdym razie, jak wiesz, pracujemy nad poważnym projektem w Kuwejcie. Jeszcze trochę czasu minie, zanim cię wyślemy do Indonezji. Myślę, że na razie powinieneś poświęcić swój czas, by poczytać o Kuwejcie. Wiele materiałów znajdziesz w bostońskiej bibliotece publicznej, możemy ci też załatwić dostęp do bibliotek MIT* i Harvardu.

Spędziłem więc wiele godzin na lekturach, głównie w bibliotece bostońskiej położonej o kilka przecznic od naszego biura i w pobliżu mojego mieszkania. Dowiedziałem się wiele na temat Kuwejtu, zapoznałem się też z wieloma książkami dotyczącymi statystyki gospodarczej opublikowanymi przez Organizację Narodów Zjednoczonych, Międzynarodowy Fundusz Walutowy (MFW) i Bank

* MIT - Massachussetts Institute ofTechnology (przyp. tłum.).

Światowy. Wiedziałem, że oczekiwano ode mnie stworzenia modeli ekonometrycznych dla Indonezji i Jawy, więc doszedłem do wniosku, że mogę się wiele nauczyć opracowując taki model dla Kuwejtu.

W ramach mojego wykształcenia nie zdobyłem umiejętności niezbędnych przy sporządzaniu modeli ekonometrycznych, więc wiele czasu spędziłem starając się zgłębić tajniki tej gałęzi wiedzy. Zapisałem się nawet na kilka stosownych kursów. W trakcie nauki przekonałem się, że danymi statystycznymi można manipulować w celu uzyskania szerokiego wachlarza wyników, w tym takich, które udowadniały tezy postawione przez analityka.

MAIN była firmą opartą na kulturze macho. W roku 1971 na samodzielnych stanowiskach zatrudniano jedynie cztery kobiety. Równocześnie około dwustu pań pełniło w firmie funkcje pomocnicze - sekretarek (każdy z wiceprezesów i szefów działów miał jedną do własnej dyspozycji), stenotypistek (z których pomocy mogliśmy wszyscy korzystać), itp. Byłem przyzwyczajony do takiej preferencji płciowej, więc tym bardziej zaskoczyło mnie to, co zdarzyło się któregoś dnia w bostońskiej bibliotece publicznej.

Po drugiej stronie stołu, przy którym pracowałem, usiadła atrakcyjna brunetka. Ubrana w ciemnozielony kostium wyglądała na bardzo inteligentną i wykształconą osobę. Uznałem, że jest ode mnie o kilka lat starsza. Starałem się nie zwracać na nią uwagi. Jednak po kilku minutach bez słowa przesunęła w moim kierunku otwartą książkę, która, jak się okazało, zawierała tabelę z poszukiwanymi przeze mnie danymi statystycznymi dotyczącymi Kuwejtu. W książkę wetknięta była wizytówka z jej nazwiskiem - Claudine Martin, Doradca Specjalny przy Chas. T. Main, Inc. Spojrzałem prosto w jej zielone oczy, a ona wyciągnęła do mnie rękę.

- Poproszono mnie, bym pomogła panu w szkoleniu - powiedziała. Nie dowierzałem własnemu wzrokowi i słuchowi.

Następnego dnia rano spotkaliśmy się w jej mieszkaniu przy Beacon Street, o kilka przecznic od naszego biura w Prudential Center. W ciągu paru godzin wyjaśniła mi, że moje stanowisko w MAIN ma niezwykły charakter, i że treść naszych rozmów musi zostać zachowana w całkowitej tajemnicy. Dodała, że nikt nie udzielał mi dotychczas żadnych informacji dotyczących mej pracy, ponieważ nikt oprócz niej

nie był do tego upoważniony. Po tym wstępie oznajmiła, że powierzono jej zadanie przeszkolenia mnie na ekonomistę od brudnej roboty.

To określenie obudziło we mnie dawne marzenia w klimacie płaszcza i szpady. Zawstydził mnie nerwowy śmiech, który wyrwał mi się z ust. Claudine uśmiechnęła się i stwierdziła, że to właśnie zabawność tego określenia była powodem, dla którego je stosowali.

- Któż traktowałby je poważnie? - spytała ironicznie.

Przyznałem, że nie mam pojęcia, jaką rolę pełni ekonomista od brudnej roboty.

- Nie ty jeden - roześmiała się, po czym spoważniała i kontynuowała. - Jesteśmy rzadkim gatunkiem działającym w brudnym biznesie. Nikt nie może się dowiedzieć o twoim zaangażowaniu, nawet twoja żona. Będę z tobą całkiem szczera i nauczę cię wszystkiego, co potrafię. Później będziesz musiał podjąć decyzję - ostateczną decyzję. Gdy już raz się zdecydujesz, zostaniesz w tym na całe życie.

Po tamtej rozmowie nigdy już nie używaliśmy pełnej nazwy; posługiwaliśmy się jedynie skrótem EBR.

Dziś wiem już to, czego wówczas nawet się nie domyślałem - Claudine w pełni wykorzystała słabości mojego charakteru, które wykazało badanie przeprowadzone przez NSA. Nie mam pojęcia, kto jej tę wiedzę przekazał - czy był to Einar, ktoś z NSA, dział personalny MAIN, czy też jeszcze ktoś inny. W każdym razie posługiwała się nią po mistrzowsku. Stosowała wobec mnie przyrządzoną specjalnie dla mnie mieszankę fizycznego uwodzicielstwa i manipulacji słownej, która jednakże była całkowicie zgodna ze standardami, którymi posługiwano się wówczas w rynkowej walce o dużą stawkę i lukratywne kontrakty. Rozumiała dobrze, że nie zaryzykuję mego małżeństwa przez ujawnienie naszych tajnych spotkań. I była szczera aż do bólu, gdy odsłaniała mroczną stronę mego nowego zajęcia.

Nie mam pojęcia, kto płacił jej pensję, choć nie mam powodów przypuszczać, że nie była to - zgodnie z informacją z jej wizytówki - MAIN. Byłem wówczas zbyt naiwny i onieśmielony, by stawiać pytania, które dziś wydają się oczywiste.

Claudine wytłumaczyła mi, że moje zadanie będzie polegało na realizowaniu dwóch głównych celów. Po pierwsze, miałem przygo-

towywać uzasadnienia zaciągania przez różne kraje olbrzymich kredytów na realizację projektów budowlanych, które skierują pieniądze z powrotem do MAIN i innych wielkich amerykańskich firm (takich jak Bechtel, Halliburton, Stone & Webster, Brown & Root). Po drugie, moja praca miała doprowadzić te kraje do bankructwa (oczywiście dopiero po tym, jak już spłacą zobowiązania wobec MAIN i innych amerykańskich kontrahentów), co na zawsze uzależni je od kredytodawców i zmusi do świadczenia rozmaitych „przysług", takich jak zgoda na instalację baz wojskowych na własnym terytorium, posłuszeństwo w głosowaniach na forum ONZ lub udzielanie praw do wydobycia ropy naftowej i innych zasobów naturalnych.

Moja praca, tłumaczyła Claudine, ma polegać na sporządzaniu przewidywań wpływu miliardowych inwestycji na gospodarkę danego kraju. Miałem się skupić na przygotowywaniu długookresowych, dwudziesto-dwudziestopięcioletnich prognoz wzrostu gospodarczego uwzględniającego wpływ rozmaitych projektów. Na przykład, jeśli zapadnie decyzja o udzieleniu danemu krajowi wynoszącej miliard dolarów pożyczki, w zamian za to, że się nie sprzymierzy ze Związkiem Radzieckim, to moim obowiązkiem będzie przedstawić porównanie, jakich zysków można się spodziewać z zainwestowania tych pieniędzy w budowę sieci kolejowej, a jakich ze stworzenia systemu telekomunikacyjnego. Albo też mogę otrzymać polecenie udowodnienia, że zaoferowany danemu krajowi nowoczesny system energetyczny doprowadzi do takiego wzrostu gospodarczego, który umożliwi terminowe spłacenie zaciągniętych na jego budowę długów. W każdym z tych przypadków decydujące znaczenie odgrywa Produkt Krajowy Brutto (PKB). Zwycięża projekt, który zapewnia wyższy przyrost PKB. A jeśli w grę wchodzi tylko jeden, moim zadaniem będzie przekonanie miejscowych decydentów, że przyniesie on znaczny przyrost PKB.

Ukrytym celem wszelkich tego typu projektów jest zapewnienie maksymalnych zysków firmom realizującym wynikający z niego kontrakt, uszczęśliwienie udziałem w zyskach kilkunastu miejscowych bogatych i wpływowych rodzin oraz zapewnienie długotrwałego uzależnienia finansowego gwarantującego polityczną lojalność

lokalnych rządów. Zasadniczo im większy kredyt, tym lepiej. Fakt, iż olbrzymie zadłużenie pozbawi najuboższych obywateli dostępu do służby zdrowia, edukacji i innych świadczeń socjalnych, nie jest w ogóle brany pod uwagę.

Otwarcie omawialiśmy z Claudine zwodniczy charakter PKB. Może on na przykład wykazywać wzrost nawet wtedy, jeśli wynikające z niego dobrodziejstwa służą tylko jednej osobie - takiej jak właściciel przedsiębiorstwa użyteczności publicznej - podczas gdy większość mieszkańców ugina się pod ciężarem zadłużenia. Bogaci się bogacą, a biedni biednieją, ale ze statystycznego punktu widzenia stanowi to gospodarczy postęp.

Podobnie jak ogół obywateli Stanów Zjednoczonych, większość pracowników MAIN wierzyła, że wyświadczamy krajom przysługę budując w nich elektrownie, autostrady i porty. Szkolnictwo i prasa wpajają w nas przekonanie, że każda nasza działalność ma charakter altruistyczny. Przez całe lata wysłuchiwałem komentarzy w rodzaju: „Skoro oni palą flagę amerykańską i demonstrują przed budynkami naszych ambasad, to dlaczego po prostu nie wyniesiemy się z tych krajów pozostawiając mieszkańców ich własnemu, nędznemu losowi?"

Ludzie wygłaszający takie opinie są często posiadaczami dyplomów stwierdzających, iż otrzymali wyższe wykształcenie. Mimo tego nie są w stanie zrozumieć, że głównym powodem, dla którego utrzymujemy ambasady w tak wielu krajach na całym globie, jest fakt, iż realizują one nasze własne interesy, które w ciągu minionego półwiecza doprowadziły do przekształcania republiki amerykańskiej w globalne imperium. Pomimo zdobytych dyplomów akademickich, ludzie ci są równie niewyedukowani, jak owi osiemnastowieczni koloniści amerykańscy uważający, iż Indianie, którzy bronili przed nimi swych ziem, byli sługami diabła.

Za kilka miesięcy miałem udać się na Jawę w Indonezji, opisywanej w owym czasie jako najgęściej zaludniona kraina na świecie. Indonezja była jednocześnie obfitującym w ropę naftową muzułmańskim krajem, w którym intensywną działalność prowadzili komuniści.

- To następna kostka domina po Wietnamie - tłumaczyła Claudine. - Musimy przeciągnąć Indonezję na naszą stronę. Gdyby prze-

szła do bloku komunistycznego, to... - zawiesiła głos i przejechała palcem po swoim gardle, po czym słodko się uśmiechnęła. - Powiedzmy wprost, masz za zadanie opracować bardzo optymistyczne prognozy ekonomiczne ukazujące gwałtowny wzrost gospodarki w wyniku zbudowania tam nowych elektrowni i sieci energetycznych. Dzięki temu USAID i międzynarodowe banki będą miały podstawy do przyznania kredytów. Oczywiście zostaniesz sowicie wynagrodzony, a później weźmiesz udział w następnych projektach przygotowywanych w różnych egzotycznych krajach. Świat staje przed tobą otworem.

Ostrzegła mnie jednak, że rola, jaką mam spełnić, nie będzie łatwa.

- Twoimi śladami ruszą eksperci bankowi. Ich zadaniem będzie wykrycie luk w twoich prognozach - za to im płacą. Znalezienie słabych stron w twojej pracy jest dla nich sukcesem.

Któregoś dnia przypomniałem Claudine, że do Indonezji udaję się wraz z dziesięcioma innymi pracownikami MAIN. Zapytałem, czy oni przeszli takie samo szkolenie. Zapewniła mnie, że tylko ja zostałem w ten sposób przygotowany do misji.

-To są inżynierowie - wyjaśniała. - Oni projektują elektrownie, linie przesyłowe, a także porty i drogi, którymi dostarczane będzie paliwo. Tylko ty masz za zadanie przewidywanie przyszłości. Od twoich prognoz uzależniona jest skala projektów, które oni przygotowują, oraz wysokość kredytu. Jak widzisz, twoja rola jest kluczowa.

Ilekroć opuszczałem mieszkanie Claudine, zastanawiałem się, czy to, co robię, jest słuszne. Gdzieś w głębi serca podejrzewałem, że nie. Ale prześladowały mnie frustracje związane z moim dotychczasowym życiem. MAIN zdawała się oferować to wszystko, czego mi dotychczas brakowało - nadal jednak zadawałem sobie w skrytości ducha pytanie, czy Tom Paine postąpiłby tak samo. I w końcu przekonałem samego siebie, że im pełniejszą zyskam wiedzę o tej działalności, włączając się w nią, tym łatwiej będę mógł ją w przyszłości zdemaskować. Ot, stara wymówka mówiąca o zniszczeniu systemu „od środka".

Kiedy zwierzyłem się z tego Claudine, spojrzała na mnie z zakłopotaniem.

- Nie bądź śmieszny. Kiedy raz w to wejdziesz, nigdy już się nie wygrzebiesz. Musisz sam zdecydować, czy tego chcesz, zanim wejdziesz w to głębiej.

Zrozumiałem jej słowa - i przeraziły mnie one. Kiedy opuściłem jej mieszkanie, spacerując po Commonwealth Avenue i Dartmouth Street, ostatecznie przekonałem sam siebie, że będę wyjątkiem od reguły.

W kilka miesięcy później siedziałem z Claudine przy oknie przypatrując się wirującym za szybą płatkom śniegu opadającym na Beacon Street.

- Należymy do nielicznego, ekskluzywnego klubu - powiedziała. - Płacą nam hojnie - za wyłudzanie miliardów dolarów z krajów na całym świecie. Znaczna część twojej pracy polega na zachęcaniu przywódców państw, by dołączyli do sieci realizującej handlowe interesy Stanów Zjednoczonych. W końcu przywódcy ci wpadają w pułapkę zadłużenia, która zapewnia nam ich lojalność. W każdej chwili możemy przycisnąć ich do ściany, by osiągnąć nasze cele polityczne, ekonomiczne lub wojskowe. W zamian przywódcy ci umacniają pozycję polityczną w swoich krajach budując obywatelom kompleksy przemysłowe, elektrownie i lotniska. A tymczasem właściciele amerykańskich koncernów budowlanych opływają w bogactwa.

Tego popołudnia w wytwornym apartamencie Claudine zrozumiałem historyczne uwarunkowania biznesu, w który wkraczałem. Claudine przypomniała mi, że wszystkie dotychczasowe imperia budowano za pomocą działań wojskowych lub gróźb użycia siły militarnej. Ale po zakończeniu II Wojny Światowej i wyłonieniu się Związku Radzieckiego - mocarstwa dysponującego bronią atomową - rozwiązania siłowe stały się zbyt ryzykowne.

Punktem zwrotnym stał się rok 1951, kiedy Iran zbuntował się przeciw brytyjskiemu koncernowi naftowemu eksploatującemu jego zasoby naturalne i wykorzystującemu ludność. Koncernem tym był poprzednik British Petroleum, dzisiejszego BP. Demokratycznie wybrany i niezwykle popularny premier Iranu, Mohammad Mossadegh (uznany przez tygodnik *Time* za „człowieka roku 1951"), znacjonalizował wszystkie pola naftowe. Wściekła Anglia zwróciła się

0 pomoc do swego sojusznika z czasów niedawno zakończonej wojny, Stanów Zjednoczonych. Oba kraje lękały się jednak, że interwencja wojskowa w Iranie sprowokuje Związek Radziecki do zbrojnej reakcji.

Zamiast wysyłać do Iranu piechotę morską, Waszyngton skierował tam agenta CIA, Kermita Roosevelta (wnuka prezydenta Theodora). Posługując się po mistrzowsku łapówkami i szantażem spowodował serię zamieszek i brutalnych demonstracji sprawiających wrażenie, że Mossadegh jest niepopularny i nieudolny. W rezultacie premier stracił stanowisko, a resztę życia spędził w areszcie domowym. Władzę objął nastawiony proamerykańsko Mohammad Reza Szach, który rychło stał się dyktatorem. Kermit Roosevelt dał tym sposobem początek nowej profesji, której szeregi miałem właśnie zasilić[1].

Gambit Roosevelta zmienił historię Bliskiego Wschodu oraz uczynił przestarzałymi dawne metody budowy imperiów. Zbiegł się też w czasie z eksperymentalnymi „ograniczonymi akcjami wojskowymi bez użycia broni jądrowej", które doprowadziły do upokorzenia Ameryki w Korei i Wietnamie. W okolicach roku 1968, kiedy przechodziłem wstępne rozmowy w NSA, stało się jasne, że jeśli Stany Zjednoczone zamierzają zrealizować swe marzenia o stworzeniu globalnego imperium (jak deklarowali prezydenci Johnson 1 Nixon), to muszą posłużyć się strategią opartą na zastosowaniu irańskiego modelu Roosevelta. Był to jedyny sposób na pokonanie Sowietów bez ryzyka wywołania wojny atomowej.

Wiązał się z tym jednak pewien problem. Roosevelt pracował dla CIA. Gdyby go przyłapano na gorącym uczynku, konsekwencje byłyby poważne. Dyrygował pierwszą amerykańską operacją mającą na celu obalenie rządu innego kraju, a ponieważ prawdopodobne było, że nastąpią kolejne działania tego typu, należało znaleźć taki sposób ich przeprowadzania, który nie angażowałby bezpośrednio Waszyngtonu.

Tak się szczęśliwie dla strategów złożyło, że w latach sześćdziesiątych XXw. dokonała się jeszcze jedna rewolucja - znaczącą rolę na świecie zaczęły odgrywać międzynarodowe koncerny oraz wielonarodowe organizacje, takie jak Bank Światowy i Międzyna-

rodowy Fundusz Walutowy. Ta druga była przede wszystkim finansowana przez Stany Zjednoczone i państwa budujące imperium w Europie. Doprowadziło to do powstania bliskich związków pomiędzy rządami, korporacjami i ponadnarodowymi organizacjami.

W czasie, kiedy rozpocząłem studia na Boston University, rozwiązano już problem alternatywy dla agentów CIA w rodzaju Roosevelta. Agencje wywiadowcze Stanów Zjednoczonych - włącznie z NSA - zajmowały się wyszukiwaniem potencjalnych EBR-owców, których następnie zatrudniały międzynarodowe korporacje. EBR-owcy nigdy nie otrzymywali pensji od rządu USA, lecz od prywatnych pracodawców. W wyniku tego zabiegu odpowiedzialność za ich brudne machinacje, jeśli by je odkryto, można było zrzucić na karb chciwości prywatnych firm, a nie na politykę rządową. Co więcej, korporacje zatrudniające EBR-owców, choć opłacane z pieniędzy podatników przez agencje rządowe i ich partnerów z międzynarodowych banków, były wyłączone spod kontroli Kongresu i publicznego nadzoru, osłaniane licznymi ustawami, jak np. ustawy o znaku towarowym, o wolnym handlu oraz o Wolności Informacji[2].

- Jak sam widzisz - podsumowała Claudine - stanowimy następne pokolenie kontynuujące chlubną tradycję, która powstała, gdy byłeś na pierwszym roku studiów.

Rozdział 1

Indonezja: Lekcja dla EBR-owca

Oprócz książek, które rozwijały moje kwalifikacje zawodowe, zacząłem czytać również publikacje na temat Indonezji.

- Im więcej wiesz o kraju, do którego cię skierują, tym łatwiej wykonasz swoje zadanie - doradzała mi Claudine. Wziąłem sobie jej słowa do serca.

Kiedy Krzysztof Kolumb wyruszył w swą wyprawę w roku 1492, jego celem była Indonezja, nazywana wówczas Wyspami Korzennymi. W epoce kolonialnej ceniono ją nieporównanie wyżej od obu Ameryk. Jawa, ze swymi wzorzystymi tkaninami, wonnymi przyprawami i opływającymi w bogactwa królestwami stanowiła przedmiot pożądania i ostrej rywalizacji między Hiszpanami, Portugalczykami, Brytyjczykami i Holendrami. Ci ostatni zdobyli kontrolę nad Jawą w roku 1750, ale jeszcze półtora wieku zajęło im opanowywanie sąsiednich wysp.

Gdy w czasie II Wojny Światowej Japończycy dokonali inwazji na Indonezję, siły holenderskie stawiły im niewielki opór. Okupacja japońska przyniosła Indonezyjczykom - zwłaszcza mieszkańcom Jawy-wiele cierpień. Po kapitulacji Japonii charyzmatyczny lokalny przywódca, Sukarno, stanął na czele ruchu dążącego do uzyskania niepodległości. Czteroletnie walki zakończyły się 27 grudnia 1949 roku, gdy Holendrzy uznali suwerenność kraju, którego ludność zaznała od trzech stuleci wyłącznie przemocy i kolonialnej dominacji. Sukarno został pierwszym prezydentem Indonezji.

Rządzenie krajem okazało się jednak zadaniem o wiele trudniejszym od pokonania Holandii. Ludność archipelagu, złożonego z około 17 500 wysp i wysepek, była niezmiernie zróżnicowana pod względem etnicznym, kulturowym, językowym i religijnym, obciążona plemiennymi uprzedzeniami i dziedziczonymi od wieków wzajemnymi animozjami. Brutalne konflikty wybuchały tak często, że Sukarno ogłosił stan wyjątkowy. W roku 1960 rozwiązał parlament, a trzy lata później ogłosił się dożywotnim prezydentem. W zamian za uzbrojenie i szkolenia wojskowe zawarł bliskie sojusze z rządami państw komunistycznych na całym świecie. Wyposażoną w radziecką broń armię indonezyjską wysłał do sąsiedniej Malezji, próbując poszerzyć komunistyczne wpływy w Azji Południowo-Wschodniej oraz zdobyć poparcie socjalistycznych przywódców.

Opozycja rosła w siłę i w roku 1965 dokonała zamachu stanu. Sukarno uniknął śmierci tylko dzięki zręcznym wybiegom swojej kochanki. Wielu wyższych dowódców wojskowych i najbliższych współpracowników prezydenta miało mniej szczęścia. Scenariusz wydarzeń przypominał Iran z roku 1953. W końcu całą odpowiedzialnością obarczono partię komunistyczną, a zwłaszcza jej frakcje powiązane z Chinami. Szacuje się, że liczba śmiertelnych ofiar rozpętanego przez armię terroru, to trzysta tysięcy do pół miliona. Głównodowodzący indonezyjskich sił zbrojnych, generał Suharto, został prezydentem w roku 1968[1].

W roku 1971, wobec rysującego się coraz wyraźniej fiaska interwencji amerykańskiej w Wietnamie, rząd Stanów Zjednoczonych nasilił swe dążenia do definitywnego wyrwania Indonezji z orbity komunistycznych wpływów. Latem roku 1969 prezydent Nixon rozpoczął wycofywanie wojsk amerykańskich, a polityka USA nabierała bardziej globalnego charakteru. Skupiono się na przeciwstawieniu się radzieckiej taktyce wchłaniania po kolei krajów w sferę dominacji bloku komunistycznego. W tym starciu o sferę wpływów Indonezja odgrywała kluczowe znaczenie. Opracowany przez MAIN projekt elektryfikacji Indonezji stanowił część amerykańskiego planu, którego celem było umocnienie amerykańskiej dominacji w Południowo-Wschodniej Azji.

Plan zakładał, że Suharto będzie realizował politykę amerykańską równie wiernie jak szach Iranu. Waszyngton żywił również nadzieję, że Indonezja posłuży krajom regionu za wzór do naśladowania. Zakładano, że korzyści osiągnięte przez Indonezję wywołają pozytywne echa w świecie islamskim, zwłaszcza w wybuchowym regionie Bliskiego Wschodu. Ponadto Indonezja posiadała złoża ropy naftowej. Nikt nie znał ich dokładniej wielkości ani jakości, ale geolodzy pracujący dla koncernów naftowych tryskali entuzjazmem.

Im więcej czytałem o Indonezji, tym bardziej się ekscytowałem czekającą mnie przygodą. Praca dla MAIN oznaczała, że zamienię prymitywizm czasów Peace Corps na komfort i luksusy. Współpraca z Claudine zapowiadała spełnienie moich marzeń. Wszystko to wydawało się zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Czułem, że przynajmniej częściowo zrekompensuje mi to ciężkie czasy spędzone w purytańskiej męskiej szkole.

Coś jeszcze działo się w moim życiu: Ann i ja zaczęliśmy się od siebie oddalać. Myślę, że żona zorientowała się, że prowadzę podwójne życie. Swoje nieszczere podejście usprawiedliwiałem żalem, jaki czułem do niej za to, że zmusiła mnie do małżeństwa. Fakt, że opiekowała się mną i wspomagała w trakcie naszego pobytu w Ekwadorze przestało mieć znaczenie. Była dla mnie symbolem czasów, gdy ulegałem życzeniom moich rodziców. Patrząc z perspektywy rozumiem, że związek z Claudine odegrał znaczącą rolę. Nie mogłem przyznać się do tego przed Ann, ale ona to wyczuwała. W każdym razie postanowiliśmy zamieszkać osobno.

Któregoś dnia w 1971 roku, na tydzień przed moim odlotem do Indonezji, kiedy przyszedłem do mieszkania Claudine, zastałem w jadalni stół zastawiony serami i pieczywem oraz butelkę dobrego Beaujolais. Claudine wzniosła toast.

- Dotarłeś do celu - uśmiechnęła się, ale ten uśmiech wydał mi się nie całkiem szczery. - Jesteś już jednym z nas.

Pogawędziliśmy sobie przez jakieś pół godziny, po czym - kiedy już osuszyliśmy wino - rzuciła mi spojrzenie, jakiego nigdy przedtem u niej nie widziałem.

- Nigdy nie wspominaj nikomu o naszych spotkaniach - rzekła twardym jak stal głosem. - Nigdy bym ci tego nie wybaczyła i wyparłabym się jakiejkolwiek z tobą znajomości.

I znów rzuciła mi spojrzenie tak groźne, że się naprawdę przestraszyłem - po czym roześmiała się chłodno.

- Opowiadając o nas naraziłbyś swoje życie na niebezpieczeństwo.

Byłem oszołomiony, czułem się okropnie. Ale gdy później wracałem pieszo do Prudential Center, uświadomiłem sobie misterność całego planu. Zawsze spotykaliśmy się w jej mieszkaniu. Nie pozostawiliśmy żadnego dowodu, żadnego świadka ani świadectwa, że cokolwiek nas kiedykolwiek łączyło. Żaden pracownik MAIN nie był zaangażowany w naszą sprawę.

Muszę przyznać, że doceniałem i podziwiałem jej szczerość. Nie oszukiwała mnie w taki sposób, w jaki czynili to moi rodzice w związku z Tilton i Middlebury.

Rozdział 1

Ratując kraj przed komunizmem

Moje wyobrażenia o Indonezji, były nieco nazbyt romantyczne, o czym miałem się przekonać podczas trzymiesięcznego pobytu w tym kraju. Niektóre z książek, jakie czytałem, ilustrowano zdjęciami pięknych kobiet w bajecznie kolorowych sarongach, egzotycznych tancerek z Bali, szamanów ziejących ogniem, wojowników wiosłujących w wydrążonych z pni drzew canoe, płynących po szmaragdowych wodach u stóp dymiących wulkanów. Szczególnie silne wrażenie wywierały fotografie zaopatrzonych w czarne żagle galeonów, którymi sławni piraci Bugi wciąż jeszcze opływają wyspy. Piraci owi w przeszłości tak dali się we znaki europejskim żeglarzom, że ci po powrocie do ojczyzny straszyli nimi dzieci: „Bądźcie grzeczne, bo dorwą was Bugimeni!"*.

Te zdjęcia nie dawały mi usnąć.

Indonezja obfituje w legendy o postaciach nadludzkich rozmiarów: gniewnych bożkach, smokach Komodo, sułtanach plemiennych. Pełna jest starożytnych opowieści powstałych jeszcze przed narodzinami Chrystusa, które przedarły się przez azjatyckie łańcuchy górskie, perskie pustynie i dotarły do basenu Morza Śródziemnego, gdzie wrosły głęboko w naszą zbiorową psyche. Już same nazwy głównych wysp archipelagu - Jawa, Sumatra,

* W kulturze anglosaskiej słowo „Boogieman" (lub „Bogeyman") przetrwało do dziś i oznacza obecnie nocnego potwora, którym wciąż straszy się dzieci (przyp. tłum.)

Borneo, Sulawesi (Celebes) - urzekały swym brzmieniem. Ta kraina jest matecznikiem mistycyzmu, mitów, erotycznego uroku. Poszukiwana przez Kolumba, który nie zdołał do niej dotrzeć, kusząca Hiszpanów, Holendrów, Portugalczyków, Japończyków, którzy nie zdołali jej posiąść - pozostaje niczym nieuchwytne senne marzenie.

Żywiłem więc wielkie nadzieje, będące zapewne pogłosem oczekiwań wielkich odkrywców. Korzystając z doświadczeń Kolumba, powinienem był jednak utemperować swoje fantazje i zdać sobie sprawę z tego, że rzeczywistość często rozmija się z takimi wizjami. Indonezja ma do zaoferowania skarby, ale nie znaczy to, że chodniki wyłożone są tam złotem. Prawdę mówiąc, pierwsze dni, jakie spędziłem latem 1971 roku w parnej stolicy tego kraju, Dżakarcie, były dla mnie szokiem.

Piękno niewątpliwie było obecne. Cudowne kobiety w kolorowych sarongach. Ogrody z bujną tropikalną roślinnością. Egzotyczne tancerki z Bali. Rowerowe ryksze ozdobione scenami w tęczowych barwach, oferujące pasażerom niemal leżące miejsca umieszczone przed kierowcą. Holenderskie wille kolonialne i meczety z minaretami. Ale miasto miało również swoją drugą, brzydką twarz - trędowatych obnoszących zakrwawione kikuty zamiast dłoni, dziewczęta oferujące swe ciała za garść monet, niegdyś wspaniałe kanały holenderskie zamienione w cuchnące ścieki, rzędy skleconych z przypadkowych materiałów ruder, służących za mieszkanie całym rodzinom, rozstawionych wzdłuż wałów śmieci tworzących brzegi czarnych rzek. Wszechobecne klaksony i duszące spaliny. Piękno i szpetota, elegancja i brud, wzniosłość i prostactwo. Oto Dżakarta, gdzie zapach goździków i rozkwitających orchidei walczy o dominację z fetorem otwartych ścieków.

Biedę widywałem już przedtem. Część mych kolegów ze szkoły podstawowej w New Hampshire mieszkała w domach pozbawionych ciepłej wody i przychodziła do szkoły w mroźne dni ubrana w liche kurteczki i tenisówki, a niemyte ciała wydzielały zapach potu i brudu. Mieszkałem w lepiankach andyjskich pastuchów, których dieta składała się niemal wyłącznie z suszonej ku-

kurydzy i ziemniaków, a ich nowonarodzone dzieci miały takie same szanse umrzeć, co doczekać pierwszych urodzin. Nic z tego, co widziałem, nie przygotowało mnie jednak na widok nędzy w Dżakarcie.

Naszą ekipę zakwaterowano oczywiście w jednym z najwykwintniej szych hoteli - InterContinental Indonesia. Rozrzucona po całym świecie sieć hoteli InterContinental należy do Pan American Airlines i specjalizuje się w obsłudze bogatych cudzoziemców, a zwłaszcza wysokiego szczebla pracowników przemysłu naftowego i ich rodzin. Pierwszego dnia po naszym przybyciu Charlie Illingworth, kierownik projektu, podjął nas wytworną kolacją w restauracji położonej na najwyższym piętrze hotelu.

Charlie był wytrawnym znawcą wojen; większość wolnego czasu spędzał na studiowaniu książek historycznych i powieści o wielkich wodzach i bitwach. Był typowym przykładem salonowego stratega bawiącego się w wojnę w domowym zaciszu. Jak zwykle nosił tego wieczoru szorty i koszulę z krótkim rękawem z epoletami imitującymi mundur - wszystko w kolorze khaki.

Powitał nas i zapalił cygaro. Podnosząc kielich szampana wzniósł toast.

-Za dobre życie!

Odwzajemniliśmy życzenia, zadźwięczało szkło.

Po chwili spowił go obłok dymu z cygara. Rozejrzał się dokoła i oznajmił:

- Będą nas tu dopieszczać - powiedział kiwając z zadowoleniem głową. - Indonezyjczycy zadbają, by było nam tu wygodnie, a pracownicy z ambasady będą im w tym pomagać. Ale nie zapominajcie, że mamy misję do wykonania. - Zajrzał do notatek, których plik trzymał w ręku. - Tak, będziemy musieli opracować wielki plan elektryfikacji Jawy - naj gęściej zaludnionej krainy na świecie. Ale to zaledwie wierzchołek góry lodowej.

Wypowiadając te słowa minę miał tak poważną, jak George C. Scott grający generała Pattona, jednego z idoli Charliego.

- Znaleźliśmy się tutaj po to, by uchronić ten kraj przed wyciągającymi się po niego szponami komunizmu. Jak wiecie, Indonezja ma długą i tragiczną historię. Teraz stoi na progu XX wieku i raz je-

szcze została wystawiona na próbę. Jesteśmy odpowiedzialni za to, by nie podążyła śladem swych północnych sąsiadów - Wietnamu, Kambodży i Laosu. Zintegrowany system energetyczny ma tu kluczowe znaczenie. To właśnie on, bardziej niż jakikolwiek inny czynnik - z wyjątkiem być może ropy naftowej - zapewni, że kapitalizm i demokracja zatryumfują.

Przerwał na chwilę, po czym zajrzał do notatek, zaciągnął się dymem z cygara i kontynuował swój wywód:

- Jeśli chodzi o ropę naftową, to doskonale wiemy, jak bardzo nasz kraj jest od niej uzależniony. Z tego punktu widzenia Indonezja może stać się naszym potężnym sojusznikiem. Toteż opracowując wasz plan starajcie się zagwarantować przemysłowi naftowemu wraz z towarzyszącą mu infrastrukturą - portami, rurociągami, przedsiębiorstwami budowlanymi - dostateczną ilość energii na najbliższe dwadzieścia pięć lat.

Oderwał wzrok od notatek i spojrzał wprost na mnie.

-Lepiej przeszacować niż niedoszacować wielkość projektu. Nie chcecie przecież mieć na rękach krwi indonezyjskich dzieci. Nie chcecie, by żyły pod sierpem i młotem, które widnieją na czerwonej fladze chińskiej.

Przed zaśnięciem w moim pokoju, z którego okien rozciągał się widok na miasto, przypomniałem sobie Claudine i nasze rozmowy dotyczące zadłużenia zagranicznego. Próbowałem uspokoić się przywołując z pamięci lekcje makroekonomii pobierane na uniwersytecie bostońskim. Tłumaczyłem sobie, że przecież przybyłem tutaj, by pomagać Indonezyjczykom wyciągnąć ich gospodarkę ze średniowiecza i wprowadzić ją do nowoczesnego świata przemysłowego. Ale zdawałem sobie sprawę z tego, że kiedy rano wyjrzę przez okno i sięgnę wzrokiem poza okalający hotel ogród z fontannami i basenami, zobaczę rozciągające się po horyzont slumsy. Wiedziałem, że dzieci umierają tam z braku pożywienia i wody pitnej, a te, którym uda się przeżyć, cierpią na straszliwe choroby.

Przewracając się z boku na bok nie mogłem uwolnić się od myśli, że Charlie, ja i wszyscy pozostali członkowie zespołu przybyliśmy tu z samolubnych powodów. Realizujemy polityczne cele Sta-

nów Zjednoczonych i interesy korporacji amerykańskich. Powoduje nami chciwość, a nie troska o poprawę bytu większości Indonezyjczyków. I wtedy przyszło mi do głowy słowo: korporacjokracja. Nie byłem pewien, czy już je gdzieś słyszałem, czy właśnie je wymyśliłem, ale uznałem, że doskonale określa nową elitę, która zdecydowała się zawładnąć całą planetą.

Elitę tę stanowi szczelnie zamknięte bractwo połączone wspólnotą celów i potrafiące płynnie zmieniać stanowiska - z zarządów korporacji do posad w administracji rządowej i odwrotnie. Uderzyła mnie, jak klasycznym przykładem tego trendu był ówczesny prezes Banku Światowego, Robert McNamara, który zaczął karierę jako prezes Ford Motor Company, by zostać następnie Sekretarzem Obrony przy prezydentach Kennedym i Johnsonie, a następnie objąć najwyższe stanowisko w najpotężniejszej na świecie instytucji finansowej.

Doszedłem też do wniosku, że moi profesorowie nie zdawali sobie sprawy z prawdziwej natury makroekonomii i z faktu, że w wielu przypadkach wzrost gospodarczy przynosi korzyści tylko nielicznym siedzącym na szczycie piramidy społecznej, podczas gdy całej reszcie nie daje nic, a w niektórych przypadkach wręcz coraz bardziej pogrąża ich w biedzie. W istocie promowanie kapitalizmu często doprowadza do powstania systemu społecznego przypominającego średniowieczne struktury feudalne. Jeżeli któryś z wykładowców o tym wiedział, to zachował to w tajemnicy - prawdopodobnie dlatego, że to wielkie korporacje oraz ludzie, którzy nimi kierują, finansują wyższe uczelnie. Ujawnienie tej prawdy mogłoby oznaczać dla krnąbrnych profesorów utratę pracy. Ja znajdowałem się w podobnej sytuacji.

Te myśli spędzały mi sen z powiek przez cały czas pobytu w hotelu InterContinental Indonesia. Jedyne pocieszenie stanowił dla mnie argument osobisty: dzięki własnej determinacji wyrwałem się z małego miasteczka w New Hampshire, miejscowej szkoły i uniknąłem powołania do wojska. Dzięki wytrwałej pracy i pomyślnym zbiegom okoliczności utorowałem własną ścieżkę do dobrego życia. Pocieszałem się również tym, że postępuję zgodnie z zasadami mojej kultury. Staję się skutecznym i szanowanym ekonomistą. Wy-

konuję zawód, do którego przygotowały mnie studia. Uczestniczę we wprowadzaniu modelu rozwoju opracowanego przez najtęższe umysły świata.

Mimo tego, budząc się w środku nocy musiałem jeszcze niejednokrotnie obiecywać sobie, że któregoś dnia ujawnię prawdę o całej tej sprawie. Następnie, by zasnąć, sięgałem po którąś z książek Louisa UAmour opowiadającą o rewolwerowcach z Dzikiego Zachodu.

Rozdział 1

Zaprzedanie duszy

Nasza jedenastoosobowa ekipa spędziła w Dżakarcie sześć dni, odbywając narady w ambasadzie amerykańskiej, spotykając się z przedstawicielami władz, rozplanowując pracę i relaksując się w hotelowym ogrodzie z basenem. Zadziwiła mnie liczba Amerykanów rezydujących w naszym hotelu. Z przyjemnością przypatrywałem się pięknym kobietom - żonom menedżerów pracujących dla koncernów naftowych i przedsiębiorstw budowlanych - które dni spędzały nad basenem, a wieczory w ekstrawaganckich restauracjach okalających hotel.

Następnie Charlie przeniósł całą naszą ekipę do górskiego miasta Bandung. Klimat był tu łagodniejszy, a bieda mniej rzucała się w oczy, co nieco poprawiło mi nastrój. Ulokowano nas w rządowym ośrodku zwanym Wisma, a usługiwali nam: jego kierownik, kucharz, ogrodnik i cały zespół służących. Ośrodek zbudowano w okresie kolonialnego panowania Holendrów. Czuliśmy się tam jak w raju. Z werandy roztaczał się widok na pola upraw herbacianych spływające z łagodnych zboczy wzgórz i wspinające się na strome szczyty wulkaniczne. Do dyspozycji pozostawiono nam jedenaście terenowych Toyot z kierowcami i tłumaczami. Przyjęto też nas do ekskluzywnego Bandung Golf and Racket Club, a pomieszczeń biurowych użyczył nam lokalny oddział Perusahaan Umum Listrik Negara (PLN), państwowego przedsiębiorstwa energetycznego.

W ciągu pierwszych dni pobytu w Bandung odbyłem serię spotkań z Charliem i Howardem Parkerem. Parker był siedemdziesięcioletnim, emerytowanym głównym planistą New England Electric System, Powierzono mu opracowanie dla Jawy prognoz zużycia energii i niezbędnej do jej zaspokojenia mocy produkcyjnej na najbliższe dwadzieścia pięć lat oraz ustalenie udziału poszczególnych miast i regionów w ogólnym zapotrzebowaniu. Ponieważ jest ono ściśle powiązane z rozwojem gospodarczym, plany Howarda zależały od moich prognoz gospodarczych. Pozostali członkowie ekipy mieli za zadanie tworzyć szczegółowe plany na podstawie dostarczanych przez nas danych - planować rozmieszczenie elektrowni, linii przesyłowych i szlaków dostarczania paliwa - tak by dostosować się do prognoz, a zarazem zapewnić maksymalną wydajność całego systemu. W czasie tych rozmów Charlie ustawicznie podkreślał wagę stojącego przede mną zadania i potrzebę opracowania optymistycznych przewidywań. Claudine miała rację, odgrywałem kluczową rolę w całym przedsięwzięciu.

- Pierwsze tygodnie trzeba poświęcić na zbieranie danych - postanowił Charlie.

Zasiadaliśmy we trzech - Charlie, Howard i ja - w ratanowych fotelach w prywatnym biurze Charliego. Ściany były udekorowane farbowanymi kilimami przedstawiającymi sceny ze starożytnego hinduskiego poematu Ramayana. Charlie delektował się grubymi cygarami.

- Inżynierowie zbiorą szczegółowe dane dotyczące obecnie funkcjonującego systemu energetycznego, zdolności przeładunkowej portów, dróg, linii kolejowych i tym podobnych rzeczy - planował Charlie. Wskazał na mnie cygarem - Musisz działać szybko. Pod koniec pierwszego miesiąca Howard musi już dość dokładnie znać rozmiary cudu gospodarczego, który nastąpi po uruchomieniu naszego nowego systemu. Do końca drugiego miesiąca będzie potrzebował szczegółowych planów dla poszczególnych regionów. Ostatni miesiąc poświęcimy na poprawki i uzupełnianie braków. To będzie kluczowy moment. Każdy z nas musi dać z siebie wszystko i współpracować z pozostałymi. Musimy uzyskać absolutną pewność, że wyjeżdżamy stąd zaopatrzeni we wszystkie informacje,

których potrzebujemy. Do domów wrócimy na Święto Dziękczynienia. Powroty tutaj nie wchodzą w rachubę.

Howard wydawał mi się miłym, starszym panem o łagodnym usposobieniu, ale w gruncie rzeczy był zgorzkniałym starcem zawiedzionym swoim życiem. Nigdy nie osiągnął w New England Electric System szczytów zawodowej kariery i bardzo nad tym ubolewał.

- Ominęły mnie awanse - tłumaczył - gdyż nie zgadzałem się z linią firmy.

Zmuszono go do przejścia na emeryturę, a ponieważ nie mógł wytrzymać przesiadywania w domu z żoną, podjął pracę konsultanta w firmie MAIN. Skierowanie do Indonezji było jego drugim zleceniem. Zarówno Charlie, jak i Einar ostrzegali mnie, bym miał go na oku. Określali go jako człowieka *upartego, wrednego* i *mściwego.*

Z upływem czasu uznałem go za najmądrzejszego spośród moich nauczycieli, choć wówczas nie potrafiłem jeszcze tego docenić. On nie przeszedł takiego szkolenia, jakie ja odbyłem z Claudine. Być może uznano go za zbyt starego, zbyt upartego, albo po prostu zatrudniano go tylko doraźnie, szukając w międzyczasie bardziej odpowiedniego pracownika na stałe. W każdym razie, z punktu widzenia moich pracodawców, stanowił on pewien problem. Doskonale zdawał sobie sprawę z sytuacji i z roli, jakiej od niego oczekiwano, jednakże zdecydowanie nie miał ochoty pełnić roli pionka. Wszystkie epitety, jakimi Einar i Charlie go określali, wydawały się trafne, ale przynajmniej w części jego postawa wynikała z determinacji, by nie być bezwolnym sługą. Nie sądzę, by kiedykolwiek zetknął się z określeniem ekonomista od brudnej roboty, ale zdawał sobie sprawę, że chcą użyć go do umacniania imperializmu. Po prostu nie mógł tego zaakceptować.

Po którymś spotkaniu u Charliego odciągnął mnie na bok. Używał aparatu słuchowego, a pod koszulą nosił małe pudełko kontrolujące głośność.

- Niech to, co powiem, zostanie między nami - wyszeptał.

Staliśmy przy oknie w biurze, które dzieliliśmy, popatrując na kanał, który opasywał budynek PLN. Kąpała się w nim jakaś młoda kobieta, osłaniając sarongiem swoje nagie ciało. Howard kontynuował.

- Będą się starali przekonać cię, że gospodarka w tym kraju eksploduje. Charlie jest bezwzględny, nie pozwól mu się omamić.

Jego słowa mnie przygnębiły, ale próbowałem jakoś się pozbierać. W końcu moja kariera zależała od tego, czy spełnię oczekiwania moich szefów w MAIN.

- Przecież ona będzie się rozwijać - odparłem nie spuszczając z oczu kąpiącej się kobiety. - Popatrz lepiej, co tam się dzieje.

- A więc to tak - zamruczał nie zwracając żadnej uwagi na rozgrywającą się przed nami scenę. - Już cię przekabacili, prawda?

Mój wzrok przyciągnął ruch nad kanałem. Jakiś starszy mężczyzna zszedł nad wodę, opuścił spodnie i ukucnął nad wodą załatwiając potrzebę. Dziewczyna dostrzegła go, lecz nie przerwała kąpieli. Odwróciłem się od okna i spojrzałem w oczy Howardowi.

-Widziałem już co nieco-rzekłem. - Jestem wprawdzie młody, ale dopiero co spędziłem trzy lata w Ameryce Południowej. Widziałem, co się dzieje, gdy odkrywane są złoża ropy. Sprawy toczą się szybko.

- O, ja też już trochę widziałem - odparł z przekąsem. - Przez wiele, wiele lat. Coś ci powiem, młody człowieku. Nic mnie nie obchodzą złoża ropy, ani żadne takie. Przez całe życie prognozowałem zapotrzebowanie na energię elektryczną - w czasach Wielkiego Kryzysu i II Wojny Światowej, w okresach boomu i recesji. Widziałem, jakie korzyści przyniosła Bostonowi Route 128*, nazwana później „Cudem Massachusetts". I mogę cię zapewnić, że zapotrzebowanie na energię nigdy nie rosło szybciej niż o 7 do 9 procent rocznie. A i to w okresach najszybszego rozwoju. Najbardziej prawdopodobny jest wzrost o 6 procent.

Przypatrywałem mu się uważnie. Część mnie przyznawała mu rację, ale próbowałem się bronić. Odczuwałem potrzebę przekonania go, ponieważ moje własne sumienie tego się domagało.

- Howardzie, nie jesteśmy w Bostonie. W tym kraju do niedawna nikt w ogóle nie używał elektryczności. To zupełnie inna sytuacja.

Odwrócił się wymachując rękami jakby chciał mnie usunąć ze swojego otoczenia.

-A więc rób swoje - żachnął się. - Sprzedawaj się. Nic mnie nie obchodzi, co zrobisz.

Odszedł od okna i z impetem opadł na swoje krzesło.

* Route 128 to obwodnica Bostonu (przyp. tłum.)

-Ja moje przewidywania zapotrzebowania na energię oprę na tym, co uważam za realne, nie na jakichś ekonomicznych mrzonkach - podniósł ołówek i zaczął mazać coś na kartce papieru. Nie mogłem nie podjąć rzuconego mi wyzwania. Stanąłem na wprost jego biurka.

- Ośmieszysz się - powiedziałem - jeśli ja przedstawię prognozy mówiące - zgodnie z tym, co przewidują wszyscy - że nastąpi tu boom gospodarczy porównywalny z gorączką złota w Kalifornii, a ty zaplanujesz tempo wzrostu zużycia energii właściwe dla Bostonu w latach sześćdziesiątych XX w.

Wściekły rzucił ołówek i spojrzał na mnie.

-To nie do pomyślenia! - wykrzyknął. - Ty, wy wszyscy, zaprzedaliście dusze diabłu! I wszystko dla pieniędzy! Dość tego - uspokoił się nieco. - Wyłączam aparat słuchowy i zabieram się do pracy.

Wstrząsnął mną do głębi. Wyszedłem z pokoju i skierowałem kroki ku gabinetowi Charliego. W połowie drogi zatrzymałem się jednak, niepewny, co właściwie zamierzam osiągnąć. Zawróciłem, zszedłem po schodach i wyszedłem z budynku, w ciepło popołudnia. Młoda kobieta wychodziła z kanału owinięta szczelnie sarongiem. Mężczyzna gdzieś zniknął. Jacyś chłopcy brodzili w kanale opryskując się wodą. Inna, starsza kobieta stała po kolana w wodzie myjąc zęby. Kolejna robiła pranie.

Zaschło mi w gardle. Przysiadłem na bryle betonu, nie zważając na odór unoszący się z wody. Z trudem powstrzymywałem łzy. Starałem się zrozumieć, dlaczego poczułem się tak żałośnie.

Zaprzedaliście dusze za pieniądze. Słowa Howarda odzywały się we mnie echem. Dotknęły czułego punktu.

Chłopcy dokazywali w wodzie coraz gwałtowniej. Zastanawiałem się na tym, co powinienem teraz zrobić. Czego potrzebowałem, by poczuć się tak beztrosko, jak ci chłopcy? Im uważniej wpatrywałem się w igraszki chłopców, tym głębszy przejmował mnie lęk o moją przyszłość. Jakiś starzec chodzący o lasce zatrzymał się nieopodal i również przyglądał się chłopcom z dziwnym grymasem na twarzy.

A może powinienem zaufać Howardowi, przyłączyć się doń? Może we dwóch znaleźlibyśmy jakieś rozwiązanie tej sytuacji? Odczułem nagłą ulgę, podniosłem z ziemi kamyk i cisnąłem go w wo-

dę kanału. Ale moja euforia wygasła tak szybko, jak wywołane kamieniem fale. Zdałem sobie sprawę z tego, że nie mogę tak postąpić. Howard był stary i zgorzkniały. Dawno temu zaprzepaścił swoje szanse na zrobienie kariery. Teraz nie miał powodu, by się zmieniać. Ale ja byłem młody, dopiero wkraczałem w życie i nie chciałem skończyć jak on.

Wpatrując się w mętną wodę kanału przywoływałem wspomnienia ze szkoły w New Hampshire, gdy spędzałem samotnie wakacje, podczas gdy moi koledzy bawili się na balach. I oto historia się powtarzała. Znów nie miałem nikogo, z kim mógłbym szczerze porozmawiać.

Noc spędziłem na rozmyślaniach, jak też potoczyłoby się moje życie, gdybym nie spotkał Howarda, Charliego, Claudine, Ann, Einara, wujka Franka. Gdzie bym się w tej chwili znajdował? Bez wątpienia nie w Indonezji. Zastanawiałem się także nad swą przyszłością. Stanąłem w obliczu bardzo poważnej decyzji. Charlie nie ukrywał, że oczekuje ode mnie i Howarda przewidywań mówiących o rocznym wzroście na poziomie 17 procent. Jakąż prognozę będę musiał przygotować?

Nagle olśniła mnie myśl przynosząca ukojenie. Dlaczego nie wpadłem na to wcześniej? Przecież ode mnie nic tak naprawdę nie zależało. Howard zapowiedział, że dokona swoich obliczeń na podstawie tego, co sam uznaje za słuszne nie zwracając uwagi na wyciągnięte przeze mnie wnioski. Mogę więc zadowolić szefów optymistycznymi przewidywaniami, a on i tak zrobi po swojemu. Moje prognozy nie będą miały wpływu na cały plan. Ludzie zdecydowanie przeceniali moją rolę. Kamień spadł mi z serca. Zasnąłem spokojnie.

Kilka dni później Howard ciężko zachorował, gdy jakaś ameba zainfekowała jego układ trawienny. Umieściliśmy go w szpitalu prowadzonym przez misję katolicką. Lekarze przepisali mu leki i zalecili jak najrychlejszy powrót do Stanów Zjednoczonych. On sam zapewnił nas, że rozporządza już wszystkimi potrzebnymi mu danymi i może swoje obliczenia dokończyć w Bostonie. Pożegnał mnie powtarzając swoje poprzednie ostrzeżenie.

- Podrasowywanie wyników nie ma sensu. Nie przyłożę ręki do tego oszustwa, niezależnie od tego, jakie gospodarcze cuda przewidzisz!

Część II

LATA 1971-1975

Rozdział 1

W roli inkwizytora

Nasz kontrakt z rządem indonezyjskim, Asian Development Bank oraz USAID przewidywał, że jeden z członków naszej ekipy odwiedzi wszystkie najgęściej zaludnione regiony Indonezji objęte planem. Ja zostałem wyznaczony do wykonania tego zadania. Charlie wyjaśnił ten wybór.

- Wytrzymałeś w Amazonii i potrafisz sobie radzić z robactwem, wężami i brudną wodą.

W asyście tłumacza i kierowcy wyruszyłem więc w teren. Odwiedziliśmy wiele pięknych miejsc, zatrzymując się również w kilku okropnych. Spotykałem się z lokalnymi przedsiębiorcami i politykami, wysłuchiwałem ich opinii na temat perspektyw rozwoju gospodarczego. Stwierdziłem jednak, że większość z nich wzdraga się przed udzielaniem mi informacji. Wydawali się skrępowani moją obecnością. Zazwyczaj odsyłali mnie po szczegółowe informacje do swoich szefów, agencji rządowych, albo firmowej centrali w Dżakarcie. Odniosłem wrażenie, że zawiązano przeciwko mnie jakiś rodzaj spisku.

Moje wyprawy były zazwyczaj krótkie, najwyżej dwu- lub trzydniowe. W międzyczasie rezydowałem w ośrodku Wisma w Bandung. Zarządzająca nim kobieta miała syna nieco ode mnie młodszego. Miał na imię Rasmon, ale wszyscy z wyjątkiem matki nazywali go Rasy. Studiował ekonomię na lokalnym uniwersytecie, toteż natychmiast zainteresował się moją pracą. Przypuszcza-

łem, że miał nadzieję na zatrudnienie. Zaczął też uczyć mnie języka bahasa.

Wprowadzenie łatwego do opanowania języka było najpilniejszym zadaniem, jakie postawił przed sobą prezydent Sukarno po wywalczeniu przez Indonezję niepodległości. Na wyspach archipelagu posługiwano się bowiem ponad 350 językami i dialektami[1]. Sukarno rozumiał, że jego kraj potrzebował jednolitego słownictwa, by skutecznie zjednoczyć mieszkańców licznych wysp, reprezentujących tak wiele różnych kultur. Do realizacji tego zadania zaangażował wielonarodowy zespół językoznawców, a opracowany przez nich języka bahasa okazał się wielkim sukcesem. Oparto go na języku malajskim, unikając wielu form czasownikowych, wyjątków i niekonsekwencji gramatycznych komplikujących większość języków. Większość Indonezyjczyków opanowała go już na początku lat siedemdziesiątych XXw., choć w kontaktach ze współplemieńcami posługiwano się nadal lokalnymi dialektami. Rasy był świetnym nauczycielem, obdarzonym wspaniałym poczuciem humoru, a bahasa - w porównaniu z językiem shuar, czy nawet hiszpańskim - okazał się łatwy.

Rasy miał skuter i obiecał zapoznać mnie ze swym rodzinnym miastem i jego mieszkańcami. Któregoś wieczoru kazał im wskoczyć na siodełko za nim.

- Pokażę ci Indonezję od strony, do której jej dotychczas nie poznałeś.

Ruszyliśmy oglądać kukiełkowy teatr cieni, występy tradycyjnych zespołów ludowych, połykaczy ognia, żonglerów oraz ulicznych sprzedawców handlujących absolutnie wszystkim, od przemyconych amerykańskich kaset po rzadkie miejscowe artefakty. W końcu trafiliśmy do małej kawiarenki wypełnionej młodymi ludźmi ubranymi, jak gdyby wybierali się na koncert Beatlesów pod koniec lat sześćdziesiątych XX w. Wszyscy byli jednak Indonezyjczykami. Rasy przedstawił mnie kilku swym znajomym i zasiedliśmy przy wspólnym stoliku.

Wszyscy obecni, lepiej lub gorzej, ale mówili po angielsku. Tym niemniej zachęcali mnie do posługiwania się bahasa. Pytali, dlaczego żaden Amerykanin nie uczy się nigdy ich języka. Nie umiałem

na to odpowiedzieć. Nie potrafiłem też wyjaśnić, dlaczego byłem jedynym Amerykaninem bądź Europejczykiem, który trafił do tej części miasta, choć tak wielu można było spotkać w Golf and RacketClub, eleganckich restauracjach, kinach i supermarketach.

Tę noc zapamiętałem na całe życie. Rasy i jego przyjaciele potraktowali mnie jak swojego. Odczuwałem swoistą euforię z powodu przebywania w tym miejscu, kosztowania ich potraw, słuchania ich muzyki, śmiania się z ich dowcipów, popalania ich papierosów i upajania się zapachami, które składały się na ich życie. Przypomniały mi się doświadczenia z czasów *Peace Corps* i zacząłem zachodzić w głowę, dlaczego tak bardzo pragnąłem podróżować pierwszą klasą i oddzielać się od takich ludzi. Im dłużej rozmawialiśmy, tym więcej pytań zaczęli mi zadawać. Chcieli się dowiedzieć, co sądzę o ich kraju i o wojnie, którą mój kraj toczył w Wietnamie. Wszyscy byli przerażeni tym, co nazywali „bezprawną inwazją", i z ulgą przyjęli do wiadomości fakt, że podzielałem ich opinię.

Wróciliśmy do Wiśmy tak późno, że wszyscy już spali, a światła zostały wygaszone. Podziękowałem mu gorąco za wprowadzenie mnie w jego świat - on zaś za otwartość wobec jego przyjaciół. Obiecaliśmy sobie powtórzyć jeszcze tę eskapadę, uściskaliśmy się i udaliśmy do swoich pokoi.

Doświadczenie to rozbudziło we mnie potrzebę spędzania większej ilości czasu poza ekipą MAIN. Następnego ranka w trakcie spotkania z Charliem powiedziałem mu, że jestem rozgoryczony trudnościami, jakie napotykam podczas prób uzyskania informacji od lokalnych działaczy i biznesmenów. Poza tym większość interesujących mnie danych statystycznych można uzyskać w instytucjach rządowych w Dżakarcie. Zgodziliśmy się obaj, że powinienem spędzić tydzień lub dwa w stolicy kraju.

Charlie wyraził ubolewanie, że muszę opuścić Bandung udając się do parnej Dżakarty, a ja udałem, że również tego żałuję. W głębi duszy cieszyłem się jednak, że zyskam więcej czasu dla siebie, zwiedzę Dżakartę i zamieszkam w eleganckim hotelu InterContinental Indonesia. Jednak, kiedy się już tam znalazłem, stwierdziłem, że patrzę teraz na wszystko z innej perspektywy. Wieczór spędzony z Rasym i jego przyjaciółmi oraz podróże po kraju zmieniły

mnie wewnętrznie. Odkryłem, że innym okiem patrzę obecnie na mych rodaków, Amerykanów. Młode żony już nie wydały mi się takie piękne. Ogrodzenia oddzielające basen od ulicy i metalowe kraty w oknach na parterze, na które przedtem nie zwróciłem uwagi, sprawiały ponure wrażenie. Straciłem nawet apetyt na dania serwowane w wytwornych hotelowych restauracjach.

Odkryłem też istotny szczegół. W trakcie rozmów z politykami i biznesmenami zacząłem dostrzegać pewne subtelności, które uprzednio uchodziły mojej uwadze. Zauważyłem, że wielu mych rozmówców nie akceptowało mojej obecności. Przedstawiając mnie sobie wzajemnie w bahasa używali określeń, które wedle mojej znajomości tego języka oznaczały inkwizytora lub przesłuchującego. Celowo ukrywałem przed nimi swoją wiedzę, nawet mój tłumacz sądził, że znam tylko kilka codziennych zwrotów. Tymczasem kupiłem sobie dobry słownik bahasa-angielski, w którym sprawdzałem znaczenie wyrazów zasłyszanych w czasie spotkań.

Czy mój słownik zawierał błędy? Chciałem w to uwierzyć. Ale im więcej czasu spędzałem z tymi ludźmi, tym większej nabierałem pewności, że traktują mnie jak intruza. Ktoś z góry nakazał im współpracę, a oni nie mieli wyjścia i musieli się podporządkować rozkazowi. Nie miałem pojęcia, kto go im wydał - wysokiego szczebla funkcjonariusz rządowy, bankier, generał, a może ambasada USA. Wiedziałem tylko, że zapraszali mnie do swoich gabinetów, częstowali herbatą, uprzejmie odpowiadali na pytania starając się ze wszystkich sił stworzyć pozory serdecznego powitania, lecz pod powierzchnią kurtuazji kryła się rezygnacja i tłumiona niechęć.

Zastanawiałem się nad wiarygodnością otrzymywanych od nich informacji. Nigdy nie było tak, bym mógł wraz z tłumaczem zajść niespodziewanie do jakiegoś biura - zawsze musieliśmy się umówić. To samo w sobie nie wydaje się niezwykłe, ale pochłaniało nieprawdopodobne dużo czasu. Ponieważ telefony działały rzadko, musieliśmy dojeżdżać na miejsce potwornie zakorkowanymi ulicami, które w dodatku wytyczono tak nieudolnie, że dotarcie do budynku oddalonego o zaledwie kilka przecznic potrafiło zająć nawet godzinę. Gdy już znajdowaliśmy się na miejscu, proszono nas o wypełnienie kilku formularzy. W końcu wychodził do nas sekre-

tarz (zawsze mężczyzna), który grzecznie, z uprzejmym uśmiechem na twarzy, wypytywał, jakich informacji potrzebowałem, po czym wyznaczał termin spotkania.

Bez wyjątku, wszystkie spotkania odbywały się najwcześniej po kilku dniach, a kiedy stawiałem się w umówionym miejscu i czasie, wręczano mi folder z przygotowanymi dla mnie informacjami. Właściciele fabryk przedstawiali mi pięcio- lub dziesięcioletnie plany produkcji, bankierzy sterty wykresów, a oficjele rządowi listy projektowanych inwestycji, które po zejściu z desek kreślarskich miały pchnąć gospodarkę do przodu. Wszystkie dostarczane mi materiały sugerowały, że Jawa znajduje się w przededniu największego boomu gospodarczego w historii świata. Nikt, absolutnie żaden z moich rozmówców nie poddał w wątpliwość takich przewidywań, ani nie dostarczył mi jakiejkolwiek negatywnej informacji.

Po powrocie do Bandung wiele rozmyślałem o swoich doświadczeniach. Coś tu się ewidentnie nie zgadzało. Nabierałem gorzkiego przekonania, że wszystko, co robiłem w Indonezji, stanowiło rodzaj gry nie mającej wiele wspólnego z rzeczywistością. Tak, jakbyśmy grali w pokera. Obie strony trzymały zakryte karty. Nie mogliśmy sobie wzajemnie ufać, ani traktować uzyskiwanych informacji za wiarogodne. Lecz ta gra była śmiertelnie poważna, a jej skutki miały w ciągu najbliższych dziesięcioleci wywrzeć wpływ na miliony ludzi.

Rozdział 10

Cywilizacja w czasie próby

Zabieram cię na *dalang* - oznajmił Rasy, wyraźnie ucieszony, że już wróciłem do Bandung. - Wiesz, to słynny indonezyjski teatr kukiełkowy. Dziś wieczorem występuje w naszym mieście znany artysta.

Przejechaliśmy jego skuterem przez część miasta, o której nie wiedziałem, że istnieje. Zabudowa składała się tradycyjnych jawajskich domków *kampong,* przypominających ubogą wersję małych świątyń pokrytych dachówką. Gdzieś zniknęły holenderskie budynki kolonialne, do których się przyzwyczaiłem. Mieszkańcy tej dzielnicy byli niewątpliwie ubodzy, ale zachowywali się z wielką godnością. Nosili podniszczone, ale czyste, sarongi, kolorowe bluzy i słomiane kapelusze o szerokich rondach. Wszędzie witano nas uprzejmymi uśmiechami. Gdy się zatrzymywaliśmy, dzieci podbiegały do mnie, by dotknąć materiału moich jeansów. Jakaś dziewczynka wetknęła mi we włosy pachnący kwiat.

Zaparkowaliśmy skuter obok ulicznego teatru, przy którym zebrało się już kilkaset osób. Większość stała, a niektórzy przynieśli ze sobą składane krzesełka. Wieczór był pogodny. Pomimo tego, że znajdowaliśmy się w centrum najstarszej części Bandung, nie paliły się żadne latarnie, więc mogliśmy podziwiać gwiazdy skrzące się nad naszymi głowami. Powietrze przenikały aromaty palącego się drewna, orzeszków ziemnych i goździków.

Rasy odszedł na chwilę i powrócił z licznym gronem przyjaciół, których poznałem już w czasie spotkania w kawiarni. Poczęstowano mnie gorącą herbatą, ciasteczkami i *sate* - kulkami mięsnymi smażonymi w oleju orzechowym. Najwyraźniej zawahałem się przed skosztowaniem trzeciego z tych przysmaków, ponieważ częstująca mnie nim kobieta wskazała na pobliskie ognisko i zaśmiała się.

-To świeżutkie mięso, dopiero co przyrządzone.

Rozległa się muzyka - magiczne dźwięki *gamalong,* instrumentu przypominającego kształtem dzwony świątynne.

- *Dalang* sam wykonuje całą muzykę - wyszeptał Rasy. - Sam porusza kukiełkami i przemawia ich głosami, używając różnych języków. Będziemy ci je tłumaczyli.

Przedstawienie było niesamowite, łączyło tradycyjne legendy z bieżącymi wydarzeniami. Dowiedziałem się później, że *dalang* jest szamanem, wpadającym w trakcie przedstawienia w trans. Korzystał z ponad stu lalek, a każda mówiła swoim własnym głosem. Nigdy nie zapomnę tego wieczoru, który wywarł wpływ na całe moje życie.

Po odegraniu klasycznych tekstów z *Ramayany, dalang* zademonstrował kukiełkę prezydenta Richarda Nixona, z jego charakterystycznym długim nosem i obwisłym podbródkiem. Kukiełka ubrana była w stereotypowy strój Wuja Sama, miała na głowie cylinder ozdobiony gwiazdkami i paskami i frak w ten sam deseń. Towarzyszyła jej druga kukiełka, przystrojona w trzyczęściowy garnitur w paski. W jednej ręce trzymała wiaderko ozdobione symbolami dolara, zaś w drugiej flagę amerykańską, która powiewała nad głową prezydenta naśladując niewolnika wachlującego swego pana.

W tle pojawiła się mapa Bliskiego i Dalekiego Wschodu, poszczególne kraje zawieszono na haczykach w ich prawdziwym geograficznym położeniu. Nixon natychmiast podszedł do mapy, zdjął z haczyka Wietnam i włożył go sobie do ust. Wykrzykiwał jakieś słowa, które przetłumaczono mi tak:

-To gorzkie! Nie do przełknięcia! Nie chcemy tego więcej!

Wrzucił Wietnam do wiaderka i zajął się kolejnymi krajami.

Zdziwiło mnie jednak, że imitacja prezydenta nie sięgała po kraje Południowo-Wschodniej Azji. Skupiała się raczej na kolejnych krajach Bliskiego Wschodu - Palestyny, Kuwejtu, Arabii Saudyjskiej, Iraku, Syrii i Iranu. Następnie zerwała z mapy Pakistan i Afganistan. Za każdym razem, przed wrzuceniem kraju do wiaderka, Nixon wykrzykiwał jakiś obraźliwy epitet, na ogół o antyislamskim charakterze: „islamskie psy", „mahometańskie potwory", „islamskie diabły" i tym podobne.

Tłum wpadł w podekscytowanie, rosnące w miarę zapełniania się wiaderka. Wyczuwało się mieszankę nastrojów złożoną ze śmiechu, oburzenia i gniewu. Zorientowałem się, że widownia czuje się urażona epitetami wykrzykiwanymi przez kukiełkę. Ogarnął mnie strach. Wyróżniałem się wzrostem spośród tłumu i bałem się, że wzburzenie ludzi może skierować się przeciw mnie. W końcu Nixon wypowiedział kwestię, która zmroziła mi krew w żyłach, gdy Rasy mi ją przetłumaczył.

- Dajcie to Bankowi Światowemu. Zobaczymy, co da się zrobić, żeby wydusić dla nas trochę pieniędzy z Indonezji.

Zdarł Indonezję z mapy, ale kiedy chciał ją wrzucić do wiaderka, z mroku wyłoniła się inna kukiełka. Przedstawiała Indonezyjczyka w farbowanej bluzie i spodniach khaki. Miała wypisane na sobie nazwisko.

- To popularny polityk z Bandung - wytłumaczył mi Rasy.

Kukiełka wdarła się pomiędzy dwie już obecne na scenie i chwyciła Nixona za rękę.

-Dość! Indonezja jest niepodległa! - wykrzyczała.

Widownia powitała to gorącym aplauzem. Lecz pomocnik Nixona nagle uniósł trzymaną flagę i rzucił nią jak włócznią w Indonezyjczyka, który padł jak rażony gromem. Z tłumu rozległo się buczenie i gniewne okrzyki, niektórzy wznieśli do góry zaciśnięte pięści.

- Chyba powinienem już iść - zasugerowałem Rasy'emu.

Położył mi uspokajająco dłoń na ramieniu.

- Wszystko w porządku, nie przejmuj się. Oni nie mają nic przeciw tobie osobiście.

Ale nie byłem tego taki pewny.

Po spektaklu udaliśmy się wszyscy do kawiarenki. Rasy i jego przyjaciele zapewnili mnie, że nie wiedzieli o tym fragmencie przedstawienia, które dotyczyło Nixona i Banku Światowego.

- Nigdy nie wiadomo, czego się spodziewać po *dalangu* - stwierdził jeden z moich rozmówców.

Zagadnąłem czy tego punktu nie włączył on do swego programu ze względu na moją obecność na widowni. Ktoś wybuchnął śmiechem i zażartował, że mam przerost ego.

-Typowo amerykańskie - dodał poklepując mnie protekcjonalnie po plecach.

- Indonezyjczycy bardzo interesują się polityką - wtrącił inny mężczyzna. - Czy w Ameryce nie pokazuje się takich przedstawień?

Piękna dziewczyna siedząca naprzeciwko mnie, studentka anglistyki, spytała, czy ja nie pracuję dla Banku Światowego. Odparłem, że moimi zleceniodawcami są Asian Development Bank oraz United States Agency for International Development.

-A czy to nie jest to samo? - odparła. I nie czekając na odpowiedź kontynuowała. - Czy nie jest tak, jak pokazano w tym przedstawieniu? Czy rząd twojego kraju nie traktuje Indonezji i innych krajów jak... - szukała odpowiedniego słowa.

- Gałęzi winogron! - podpowiedział któryś z jej kolegów.

-Dokładnie! Jak gałąź winogron. Nic tylko wybierać. Zachować Anglię. Połknąć Chiny. Wyrzucić Indonezję.

-Ale dopiero po wyciśnięciu z niej ostatniej kropli ropy! - dorzuciła inna kobieta.

Próbowałem jakoś się bronić, ale nie byłem w stanie. Chciałem ich przekonać, że czuję się dumny z tego, iż przybyłem do tej części miasta, by obejrzeć to antyamerykańskie przedstawienie, które mogło mnie przecież urazić. Chciałem zwrócić ich uwagę na mą odwagę, przypomnieć, że jako jedyny członek naszej ekipy uczę się języka bahasa i próbuję poznać ich kulturę, że byłem jedynym cudzoziemcem oglądającym to przedstawienie. Ale doszedłem do wniosku, że rozsądniej będzie nie wspominać o tych sprawach ani słowem. Zamiast tego spróbowałem zmienić temat rozmowy. Zapytałem, dlaczego *dalang* wybrał na ofiary amerykańskiej zaborczości, za wyjątkiem Wietnamu, wyłącznie kraje muzułmańskie.

Piękna studentka anglistyki roześmiała się tylko.

- Bo taki Amerykanie mają plan.

- Wietnam jest tylko wstępem - rzucił ktoś inny. - Takim, jakim dla nazistów była Holandia.

- Prawdziwym celem jest świat islamski - kontynuowała.

Nie mogłem pominąć tego milczeniem.

- Ejże, nie wierzysz chyba w to, że Stany Zjednoczone są przeciwne islamowi?

- A nie są? - trwała przy swoim. - Od kiedyż to? Poczytaj sobie jednego z waszych historyków, Brytyjczyka nazwiskiem Toynbee. Jeszcze w latach pięćdziesiątych przewidywał, że w następnym stuleciu prawdziwa wojna toczyć się będzie nie między komunistami i kapitalistami, lecz między chrześcijanami a muzułmanami.

-ArnoldToynbee tak twierdził? - zdumiałem się.

-Tak. przeczytaj jego *Cywilizację w czasie próby** oraz *The World and the West***.

- Ale dlaczego między muzułmanami a chrześcijanami miałby narosnąć konflikt? - próbowałem zaoponować.

Moi rozmówcy wymienili pomiędzy sobą znaczące spojrzenia. Chyba nie mogli uwierzyć, że ktoś może zadawać takie naiwne pytania.

- Ponieważ - w końcu odezwała się moja rozmówczyni cedząc powoli słowa, jak gdyby mówiła do kogoś przygłuchego - Zachód, a w szczególności jego przywódca, Stany Zjednoczone, postanowił przejąć kontrolę nad światem, by stać się największym mocarstwem w historii. I jest już bliski sukcesu. Póki co Związek Radziecki stoi mu na drodze, ale on nie przetrwa. Toynbee to przewidział. Sowieci nie mają religii, wiary, żadnej treści stojącej za ich ideologią. A historia dowodzi, że wiara, dusza, wiara w siły nadprzyrodzone - ma decydujące znaczenie. My muzułmanie posiadamy tę wiarę. Wiarę silniejszą niż jakakolwiek inna religia na świecie, nawet chrześcijaństwo. Toteż czekamy. Rośniemy w siłę.

- I nasza chwila w końcu nadejdzie - włączył się jeden z mężczyzn. - A wtedy uderzymy jak wąż.

* Civilization on Trial (przyp. tłum.)

** Świat i Zachód (przyp. tłum.)

- Cóż za straszliwa koncepcja! - ledwo nad sobą panowałem. - Co możemy zrobić, by do tego nie dopuścić?

Studentka anglistyki spojrzała mi prosto w oczy.

-Przestańcie być tacy chciwi i tacy samolubni. Uświadomcie sobie, że są na świecie rzeczy ważniejsze od waszych wielkich domów i modnych sklepów. Ludzie głodują, a wy się martwicie o paliwo do waszych samochodów. Dzieci konają z pragnienia, a wy wertujecie magazyny z modą. Narody takie jak nasz toną w nędzy, ale wy nie słuchacie naszego wołania o pomoc. Zatykacie sobie uszy, by nie słyszeć głosów, które usiłują wam to przekazać. Przyklejacie im etykietkę radykałów albo komunistów. Musicie otworzyć serca dla biednych i uciśnionych, zamiast wpychać ich w coraz głębszą nędzę i niewolnicze uzależnienie. Niewiele czasu już wam zostało. Jeśli się nie zmienicie, wasz los będzie przesądzony.

W kilka dni później dowiedziałem się, że ten popularny polityk z Bandung, którego kukiełka sprzeciwiła się Nixonowi i została zadźgana przez jego pomocnika, zginął w wypadku samochodowym spowodowanym przez niezidentyfikowanego kierowcę, który zbiegł z miejsca zdarzenia.

Rozdział 10

Jezus widziany inaczej

Wieczór spędzony na występie *dalanga* zapadł mi w pamięć na zawsze, tak jak i słowa urodziwej studentki anglistki. Te dwa zdarzenia wprowadziły mnie na nowy poziom wrażliwości. Choć poprzednio również nie byłem całkiem obojętny na skutki naszych działań w Indonezji, to jednak moimi reakcjami rządziły emocje, nad którymi mogłem zapanować chłodnym rozumowaniem - powołując się na przykłady historyczne i biologiczne uwarunkowania. Uznawałem naszą działalność za jeden z przejawów ludzkiej natury, przekonując sam siebie, że Einar, Charlie i wszyscy pozostali zachowują się tak, jak zachowywali się mężczyźni od zarania dziejów - troszczymy się o siebie i o swoje rodziny.

Tymczasem dyskusja z młodymi Indonezyjczykami zmusiła mnie do dostrzeżenia drugiej strony medalu. Starając się spojrzeć na sprawę z ich punktu widzenia, uświadomiłem sobie, że egoistyczne traktowanie polityki zagranicznej nie przynosi korzyści i nie gwarantuje bezpieczeństwa przyszłym pokoleniom. Jest to podejście krótkowzroczne, przypominające roczne sprawozdania korporacji lub strategie wyborcze polityków kształtujących tę politykę.

Okazało się, że dane niezbędne do opracowania prognoz gospodarczych wymagały częstych wizyt w Dżakarcie. Wykorzystywałem chwile samotności na przemyśliwanie dręczących mnie kwestii, a wyniki przemyśleń zapisywałem w dzienniku. Odbywałem wędrówki po ulicach miasta, w trakcie których wręczałem żebra-

kom jałmużnę i próbowałem nawiązać rozmowę z trędowatymi, prostytutkami i zaniedbanymi dziećmi.

W międzyczasie analizowałem również system pomocy zagranicznej, zastanawiając się, do jakiego stopnia kraje wysoko rozwinięte powinny się zaangażować w zwalczanie ubóstwa w krajach słabo rozwiniętych. Zadawałem sobie pytania, w jakich przypadkach pomoc zagraniczna jest szczera, a kiedy wynika jedynie z chciwości i samolubstwa. Zacząłem wręcz wątpić, czy taka pomoc w ogóle bywa altruistyczna, i rozważałem, czy da się to zmienić. Nabrałem przekonania, że kraje takie jak mój własny powinny podjąć zdecydowane działania, by zlikwidować gnębiące świat choroby i głód. Nie miałem jednak wątpliwości, że te szczytne cele tylko czasami - o ile w ogóle - stanowiły podstawę przeprowadzanych akcji pomocy.

Ustawicznie powracałem do podstawowego pytania: czy to źle, jeżeli nawet faktycznie motywem systemu pomocy zagranicznej jest imperializm? Chwilami zazdrościłem ludziom takim jak Charlie, którzy tak silnie wierzyli w nasz system, że starali się go narzucić całemu światu. Wątpiłem, by ograniczone zasoby naturalne planety mogły umożliwić całej ludzkości życie na tak wysokim poziomie konsumpcji, jaki osiągnął naród amerykański, skoro przecież w samych Stanach Zjednoczonych nie brakuje milionów biedaków. Nie byłem również przekonany, czy inne narody chcą przyjąć nasz styl życia. Dane statystyczne dotyczące przemocy, liczby depresji, uzależnienia od narkotyków, rozwodów i przestępczości dowodzą, że choć nasze społeczeństwo jest jednym z najzamożniejszych w historii, należy również do najmniej szczęśliwych. Dlaczego ktokolwiek miałby chcieć nas naśladować?

Claudine próbowała mnie przestrzec przed takimi myślami. Ale nie byłem już pewien, co właściwie usiłowała mi przekazać. W każdym razie dni mojej niewinności odeszły w przeszłość, co uświadomiłem sobie z prawdziwym bólem. W dzienniku zanotowałem następującą refleksję:

„Czy ktokolwiek w Stanach Zjednoczonych jest niewinny? Ludzie usytuowani na szczytach piramidy ekonomicznej zyskują najwięcej, ale zamożność milionów pozostałych również zależy - bezpośrednio

lub pośrednio - od wykorzystywania krajów słabo rozwiniętych. Surowce oraz tania siła robocza napędzające prawie każdą gałąź naszej działalności gospodarczej pochodzą z krajów takich jak Indonezja, które praktycznie nic z tego nie mają. Zadłużenie z tytułu pomocy zagranicznej sprawi, że dzisiejsze dzieci, a nawet wnuki tych dzieci, staną się zakładnikami. Zostaną zmuszone pozwolić naszym korporacjom na rabunkową eksploatację ich zasobów naturalnych, ograniczyć wydatki na oświatę, służbę zdrowia i inne świadczenia socjalne po to, by móc spłacać swoje długi. Fakt, że nasze korporacje dostały już większość tych pieniędzy na budowę elektrowni, lotnisk i zakładów przemysłowych, niczego nie zmienia w ich sytuacji. Czy stanowi okoliczność łagodzącą to, że większość Amerykanów nie zdaje sobie z niczego sprawy? Jesteśmy niedoinformowani oraz świadomie dezinformowani, ale czy jesteśmy niewinni?"

Musiałem pogodzić się z faktem, że teraz sam stałem się jednym ze świadomie dezinformujących społeczeństwo.

Koncepcja ogólnoświatowej świętej wojny niepokoiła mnie i im dłużej się nad nią zastanawiałem, tym bardziej umacniałem się w przekonaniu, że stanowi realną groźbę. Wydawało mi się jednak, że *dżihad,* który zostanie wszczęty, będzie w mniejszym stopniu wojną muzułmanów z chrześcijanami, a w większym konfliktem pomiędzy krajami wysoko i słabo rozwiniętymi - być może z muzułmanami walczącymi w pierwszej linii. To my, mieszkańcy krajów wysoko rozwiniętych, wykorzystujemy surowce naturalne, podczas gdy kraje słabo rozwinięte są ich dostawcami. To nowe wcielenie systemu kolonialno-merkantylnego zaprogramowane tak, by posiadającym władzę i ubogie zasoby ułatwiać wykorzystywanie tych, którzy mają bogate zasoby, lecz są słabi.

Nie miałem w Indonezji egzemplarza dzieła Toynbee'ego, ale znałem historię na tyle, by wiedzieć, że dostawcy wykorzystywani zbyt długo w końcu się buntują. Aby to zrozumieć, wystarczyło przypomnieć sobie Toma Paine'a i amerykańską Wojnę o Niepodległość. Przecież Wielka Brytania usprawiedliwiała nakładane podatki pomocą w formie wsparcia militarnego udzielaną koloniom dla ochrony przed Indianami i Francuzami. Koloniści jednak widzieli tę sytuację zgoła odmiennie.

Paine w swym znakomitym dziele *Common Sense* zaoferował rodakom tę duszę, którą mieli na myśli moi indonezyjscy rozmówcy - ideę, wiarę w wyższą sprawiedliwość, religię wolności i równości, która kontrastowała z modelem brytyjskiej monarchii i systemu klasowego. Muzułmanie oferują wyznawcom islamu to samo: wiarę w wyższą siłę i przekonanie, że kraje rozwinięte nie mają prawa podporządkowywać sobie i wykorzystywać reszty świata. Podobnie jak amerykańscy milicjanci-ochotnicy, muzułmanie stają do walki o swoje prawa, a my - podobnie jak Brytyjczycy w latach siedemdziesiątych XVIII w. - określamy tę walkę mianem terroryzmu. Najwyraźniej historia znów się powtarza.

Próbowałem wyobrazić sobie świat, jaki mógłby powstać, gdyby Stany Zjednoczone i ich sojusznicy przeznaczyliby wszystkie fundusze wydawane na wojny kolonialne - takie jak wojna w Wietnamie - na zlikwidowanie głodu oraz zapewnienie podstawowego szkolnictwa i świadczeń medycznych wszystkim ludziom na ziemi, w tym naszym własnym obywatelom. Wyobrażałem sobie, jaki wpływ na przyszłe pokolenie wywarłoby zlikwidowanie obszarów nędzy oraz ochrona źródeł wody pitnej, lasów i innych elementów globalnego ekosystemu oczyszczających wodę, powietrze i dostarczających pożywienia zarówno dla naszego ducha jak i ciała. Nie mogłem uwierzyć, by Ojcowie Założyciele wymarzyli sobie prawo do życia, wolności i dążenia do szczęścia, z których mieliby korzystać wyłącznie Amerykanie. Dlaczego więc dzisiaj wdrażamy w życie imperialistyczne strategie i wartości, przeciw którym nasi wielcy przodkowie walczyli z taką determinacją?

Ostatniej nocy w Indonezji zbudziłem się ze snu, usiadłem na łóżku i zapaliłem lampę. Wydawało mi się, że ktoś znajduje się w moim pokoju. Rozejrzałem się uważnie po znajomych meblach, farbowanych kilimach i zawieszonych na ścianach kukiełkach. I wtedy powrócił mój sen.

Ujrzałem stojącego przede mną Chrystusa - takiego samego, jakiemu w latach dzieciństwa, po każdej wieczornej modlitwie, zawierzałem swe marzenia i tęsknoty. Z jedną tylko różnicą - Jezus

* „Zdrowy rozsądek" (przyp tłum.)

z czasów mego dzieciństwa był bladolicym blondynem, a ten, który mi się teraz objawił, miał czarne, wijące się włosy i ciemną karnację. Pochylił się i wyciągnął jakiś przedmiot ku mojemu ramieniu, jak sądziłem - krzyż. Jednak przedmiot okazał się samochodową osią wychodzącą z felgi tworzącej nad głową Jezusa metalową aureolę. Smar spływał mu z czoła jak krew. Wyprostował się, spojrzał mi prosto w oczy i powiedział:

- Gdybym teraz zstąpił na ziemię, widziałbyś mnie inaczej.
- Dlaczego? - zapytałem.
- Ponieważ świat się zmienił - odparł.

Zegarek wskazywał nadchodzący świt. Wiedziałem, że już nie zasnę, więc ubrałem się, zjechałem windą do pustego holu na parterze i wyszedłem na spacer do hotelowych ogrodów otaczających basen. Księżyc świecił jasno, a zapach orchidei wypełniał powietrze. Przysiadłem na jakimś krześle i zacząłem się zastanawiać, co ja właściwie tu robię, dlaczego życiowe zbiegi okoliczności poprowadziły mnie tą ścieżką, dlaczego znalazłem się w Indonezji. Zdawałem już sobie sprawę z tego, że moje życie uległo zmianie, ale jeszcze nie wiedziałem, jak drastycznej.

*

Z Ann spotkałem się w Paryżu, w drodze powrotnej do domu. Mieliśmy nadzieję, że uda nam się pogodzić. Jednak nawet w czasie francuskich wakacji wciąż się kłóciliśmy. Nie brakowało wprawdzie spędzonych wspólnie niezwykłych i pięknych chwil, ale chyba oboje uświadomiliśmy sobie, że wzajemne urazy i pretensje stanowią zbyt poważną przeszkodę. Poza tym istniało tyle tematów, o których nie wolno mi było z nią rozmawiać. Jedyną osobą, z którą mógłbym to robić, była Claudine, o której bezustannie rozmyślałem. Wysiedliśmy z Ann na bostońskim lotnisku Logan i każde z nas pojechało taksówką do swojego mieszkania.

Rozdział 10

Życiowa szansa

Prawdziwa próba nerwów w związku z moim indonezyj skim zadaniem czekała na mnie w biurze MAIN. Udałem się tam nazajutrz po powrocie do Bostonu. Jadąc windą z grupą innych pracowników dowiedziałem się, że Mac Hall, enigmatyczny, osiemdziesięcioletni przewodniczący rady nadzorczej MAIN mianował Einara dyrektorem oddziału firmy w Portland w Oregonie. Podlegałem więc teraz oficjalnie Bruno Zambottiemu.

Nosił przezwisko „srebrny lis" z powodu koloru włosów oraz umiejętności wykołowania każdego, kto stanął mu na drodze. Wyglądem przypominał Cary'ego Granta. Był elokwentny, posiadał zarówno dyplom inżyniera jak i MBA. Znał się na ekonometrii. Pełnił funkcję wiceprezesa MAIN odpowiedzialnego za dział energii elektrycznej oraz większość zagranicznych projektów firmy. Wydawał się żelaznym faworytem do objęcia schedy prezesa po przejściu na emeryturę swego mentora, sędziwego Jake'a Daubera. Jak wszyscy pracownicy firmy zarazem go podziwiałem i panicznie się bałem.

Jeszcze przed lunchem wezwano mnie do jego gabinetu. Po wstępnej pogawędce na temat Indonezji powiedział coś, od czego żołądek podskoczył mi do gardła.

- Zwolniłem Howarda Parkera. Nie ma potrzeby wdawać się w szczegóły, po prostu utracił kontakt z rzeczywistością - jego uśmiech był niepokojąco szeroki. - Osiem procent rocznie! To jego

prognoza wzrostu zużycia energii elektrycznej! Dałbyś wiarę? I to w kraju o takim potencjale jak Indonezja!

Uśmiech na jego ustach przygasł, kiedy spojrzał mi prosto w oczy:

- Charlie Illingworth poinformował mnie, że twoje prognozy są trafne i przewidują przyrost zapotrzebowania na energię w granicach 17 do 20 procent rocznie. Czy tak?

Potwierdziłem. Wstał i wyciągnął do mnie dłoń ze słowami:

- Gratuluję. Właśnie dostałeś awans.

Zapewne powinienem wyjść z biura i w jakiejś modnej restauracji oblać to wyróżnienie z kolegami z pracy - lub nawet samotnie. Ale pomyślałem o Claudine - to z nią chciałem podzielić się mą radością i wrażeniami z pobytu w Indonezji. Zastrzegła, żebym nie telefonował do niej z zagranicy - i zastosowałem się do tego życzenia. Ale kiedy zadzwoniłem już z Bostonu, okazało się, że jej numer telefonu został odłączony. Poszedłem więc odwiedzić ją w mieszkaniu.

Wprowadziła się do niego jakaś młoda para. Zapukałem do nich w porze lunchu, ale najwyraźniej wyrwałem ich z łóżka. Nie wiedzieli nic o Claudine. Odwiedziłem agencję wynajmu nieruchomości, podając się za kuzyna poprzedniej lokatorki. Dowiedziałem się tyle tylko, że mieszkanie wynajął jakiś mężczyzna, który zastrzegł sobie anonimowość. Także w dziale personalnym MAIN twierdzili, że nic o niej wiedzą. Przyznali tylko, że mają osobną teczkę zawierającą dane dotyczące „specjalnych konsultantów", ale nie jest ona dostępna dla osób nieupoważnionych.

Późnym popołudniem poczułem się zmęczony i psychicznie wyczerpany. W dodatku zacząłem z opóźnieniem odczuwać skutki podróży pomiędzy strefami czasowymi. Po powrocie do mieszkania poczułem się potwornie samotny i opuszczony. Awans nagle utracił dla mnie wszelką wartość. Odezwały się wyrzuty sumienia - przecież stanowił on nagrodę za gotowość sprzedania się. Zagrzebałem się w pościeli, tłumiąc wzbierającą rozpacz. Claudine wykorzystała mnie do swych celów i porzuciła. Postanowiłem jednak zebrać się w sobie, odrzucić emocje. Sam nie wiem, jak długo leżałem na łóżku wpatrując się tępo w ściany.

W końcu jednak wstałem i wyjąłem z lodówki piwo, które wypiłem jednym tchem, a pustą butelkę rozbiłem o stół. Podszedłem do okna i wyjrzałem przez nie. Dostrzegłem jakąś kobietę idącą - jak mi się wydało - w kierunku mego domu. Podbiegłem do drzwi, ale zaraz wróciłem do okna. Kobieta znajdowała się już bliżej. Była atrakcyjna, a jej krok przypominał krok Claudine, jednak to nie była ona. Serce mi zamarło i znów ogarnął mnie lęk.

Oczyma wyobraźni ujrzałem ciało Claudine wstrząsane gradem kul i upadające na ziemię. Otrząsnąłem się, podszedłem do apteczki, zażyłem valium i upiłem się, by zasnąć.

Następnego ranka z otępienia wyrwał mnie telefon od szefa działu personalnego MAIN, Paula Mormino. Zapewnił mnie, że rozumie moją potrzebę odpoczynku po wyczerpującej podróży, ale nalegał, bym zgłosił się doń jeszcze tego samego popołudnia.

-Mam dla ciebie dobre wiadomości - zachęcał - a to jest najlepszy środek, by dojść do siebie.

Spełniłem jego życzenie i okazało się, że Bruno nie rzucał słów na wiatr. Nie tylko awansowano mnie na stanowisko zajmowane uprzednio przez Howarda, ale także dodano tytuł Głównego Ekonomisty. Dostałem również podwyżkę, co nieco poprawiło mi nastrój.

Wziąłem sobie wolne na resztę popołudnia i z puszką piwa w ręce poszedłem na spacer wzdłuż rzeki. Przysiadłem na ławce wpatrując się w żaglówki zdążające w różnych kierunkach i walcząc z połączonymi skutkami: zmiany stref czasowych i wrednego kaca doszedłem do wniosku, że Claudine miała po prostu zadanie do wykonania, a po jego zakończeniu zajęła się kolejnym. Zawsze podkreślała konieczność zachowania naszych spotkań w ścisłej tajemnicy. To ona telefonowała do mnie, nie ja do niej. Zacząłem opanowywać moje rozżalenie.

W ciągu następnych tygodni starałem się uwolnić od rozmyślań o Claudine. Skupiłem się na opracowaniu raportu na temat gospodarki indonezyjskiej i korygowaniu prognoz energetycznych Howarda. Otrzymałem wyniki, jakich oczekiwali moi szefowie - 19-procentowy roczny wzrost zapotrzebowania na energię w ciągu pierwszych dwunastu lat, od uruchomienia systemu, spadający do

17 procent w ciągu kolejnych ośmiu lat i 15 procent na resztę dwudziestopięcioletniego okresu.

Zaprezentowałem raport na formalnym spotkaniu z przedstawicielami międzynarodowych agencji, które miały udzielić kredytów. Zasypali mnie lawiną bezlitośnie dociekliwych pytań. Wprawiło mnie to w rodzaj gniewnej determinacji, podobnej do tej, która motywowała mnie do ciężkiej pracy w szkole, gdy zamiast zbuntować się przeciw rodzicom wolałem wyróżnić się wśród kolegów. Ale duch Claudine ciągle mi towarzyszył. Kiedy pewien młody, pewny siebie ekonomista próbujący zrobić karierę w Asian Development Bank przez całe popołudnie trzymał mnie w krzyżowym ogniu pytań, przypomniałem sobie radę Claudine.

- Kto jest w stanie przewidzieć, co się stanie za dwadzieścia pięć lat? - pytała retorycznie. - Twoje prognozy są równie dobre jak ich. Wszystko jest kwestią pewności siebie.

Wmawiałem sobie, że jestem ekspertem, uzasadniając to tym, że przecież spędziłem w krajach rozwijających się więcej czasu niż wielu z tych siedzących przede mną mężczyzn - niektórych dwukrotnie ode mnie starszych - którzy mieli ocenić moją pracę. Mieszkałem w Amazonii i odwiedziłem te rejony Jawy, w które nikt inny nie chciał się udać. Przeszedłem kilka intensywnych kursów z zakresu ekonometrii i przekonywałem sam siebie, że należę do nowego gatunku ekspertów specjalizujących się w statystyce, mądrali zapatrzonych w Roberta McNamarę, prezesa Banku Światowego, byłego prezesa Ford Motor Company i sekretarza obrony przy prezydencie Kennedym. Ten człowiek zbudował swoją karierę na liczbach, rachunku prawdopodobieństwa, modelach matematycznych oraz - jak podejrzewałem - na brawurze wynikającej z wyjątkowo silnego ego.

Starałem się naśladować zarówno McNamarę jak i mego szefa, Bruna. Przejąłem sposób mówienia tego pierwszego i dumny krok tego drugiego. Moje umiejętności i doświadczenie były co prawda mizerne, ale nadrabiałem to bezczelnością.

Moja taktyka działała. Zespół ekspertów w końcu zatwierdził mój raport.

W ciągu kilku kolejnych miesięcy odbyłem rundę spotkań w Teheranie, Caracas, Guatemala City, Londynie, Wiedniu i Waszyngto-

nie. Poznałem wiele słynnych osobistości - szacha Iranu, byłych prezydentów różnych krajów oraz samego Roberta McNamarę. Był to hermetyczny świat mężczyzn. Zdumiało mnie, jak bardzo mój nowy tytuł oraz odniesiony w międzynarodowych agencjach sukces zmieniał nastawienie do mnie innych osób.

Na początku woda sodowa uderzyła mi do głowy. Widziałem w sobie Merlina, który jednym machnięciem swojej różdżki może spowodować, że cały kraj rozświetli elektryczność, a przemysł rozkwitnie jak kwiaty na łące. Z czasem mój entuzjazm przygasał. Poddałem w wątpliwość motywy własnych działań, jak i wszystkich ludzi, z którymi współpracowałem. Zrozumiałem, że ani imponujące stanowisko, ani tytuł doktora, nie pomagają w zrozumieniu sytuacji trędowatego żyjącego w slumsach Dżakarty, a umiejętność manipulowania danymi statystycznymi nie umożliwia przewidywania przyszłości. Im lepiej poznawałem możnych tego świata podejmujących decyzje ważące na jego losach, tym bardziej stawałem się sceptyczny co do ich kompetencji i motywów. Przypatrując się twarzom osób zasiadających przy stołach konferencyjnych musiałem tłumić wzbierający we mnie gniew.

Ale z czasem i ten gniew zaczął przygasać. Przekonałem się, że większość tych ludzi wierzyła, że postępują słusznie. Podobnie jak Charlie byli przekonani, że komunizm i terroryzm są dziełem szatana, a nie przewidywalną reakcją na decyzje podejmowane przez nich i przez ich poprzedników. Wierzyli, że ich powinnością wobec Boga i ojczyzny jest nawrócenie całego świata na kapitalizm. Wyznawali prawo silniejszego - skoro mieli szczęście urodzić się jako członkowie klas uprzywilejowanych, a nie w lepiance, to muszą przekazać tę spuściznę swoim potomkom.

Wahałem się, czy uznać tych ludzi za członków prawdziwego spisku, czy tylko ekskluzywnego bractwa dążącego do panowania nad światem. Z biegiem czasu zacząłem porównywać ich do plantatorów - właścicieli niewolników z południowych stanów USA sprzed Wojny Secesyjnej. Tworzyli luźne zrzeszenia spajane wspólnotą poglądów i interesów, a nie grupę spiskowców spotykających się potajemnie i dążących do realizacji jakiegoś mrocznego planu. Plantatorzy-autokraci dorastali otoczeni służącymi i niewolnikami,

wychowywano ich w przeświadczeniu, że jest ich prawem, a wręcz obowiązkiem, by opiekować się „pogańskimi dzikusami" i nawracać ich na własną religię i styl życia. Nawet jeśli uznawali niewolnictwo za moralnie odrażające - jak Thomas Jefferson - uzasadniali jego istnienie tym, że jego zniesienie doprowadziłoby do społecznego i gospodarczego chaosu. Przywódcy współczesnych oligarchii, które zacząłem określać mianem korporacjokracji, należeli to tego samego typu ludzi.

Zacząłem się też zastanawiać nad tym, kto zarabia na wojnie, produkcji broni na masową skalę, na wznoszeniu na rzekach zapór, na dewastacji środowiska i niszczeniu rdzennych kultur. Kto odnosi korzyści, gdy setki tysięcy ludzi umiera z głodu, braku wody pitnej i chorób, które można uleczyć. Powoli doszedłem do wniosku, że na dłuższą metę nie korzysta na tym nikt, ale krótkoterminowo zyskują na takiej sytuacji - przynajmniej materialnie - ludzie zajmujący szczyty piramidy społecznej - moi szefowie, a także ja sam.

Nachodziły mnie kolejne pytania: dlaczego ta sytuacja wciąż trwa? Dlaczego przetrwała tak długo? Czyżby działało tu po prostu prymitywne „prawo silniejszego" mówiące, że możni i potężni dbają o utrzymanie działania swojego systemu?

Nie wydawało mi się, by to w pełni wyjaśniało istniejący stan rzeczy. Na pewno było w tym dużo prawdy, ale wyczuwałem, że musi tu działać jeszcze inna przemożna siła. Przypomniałem sobie wywody jednego z wykładowców z Boston University pochodzącego z północnych Indii. Wykłady jego dotyczyły ograniczoności zasobów naturalnych, żywionej przez ludzkość potrzeby nieustannego rozwoju oraz zasad pracy niewolniczej. Zdaniem owego profesora we wszystkich funkcjonujących systemach kapitalistycznych wytwarzają się zhierarchizowane systemy sztywnych poziomów decyzyjnych, poczynając od garstki decydentów najwyższego stopnia kontrolujących kolejne, coraz niższe stopnie podwładnych, aż po armię robotników na spodzie piramidy, która stanowi de facto odpowiednik klasy niewolników. Uznając ów opis za słuszny, stwierdziłem, że akceptujemy ten system, ponieważ korporacjokracja przekonała nas, że Bóg dał nam prawo do umieszczenia kilku naszych na szczycie piramidy i rozprzestrzeniania tego modelu na cały świat.

Oczywiście nie jesteśmy w tym pierwsi. Wśród naszych poprzedników znaleźć można budowniczych starożytnych imperiów Afryki Północnej, Bliskiego Wschodu i Azji. Byli nimi także Persowie, Grecy, Rzymianie i krzyżowcy oraz wszyscy kolonizatorzy ery postkolumbijskiej. Imperialistyczny pęd stanowił i nadal stanowi zarzewie większości wojen, przyczynę zanieczyszczania środowiska, głodu, wymierania różnych gatunków zwierząt oraz ludobójstwa. Zawsze też odciskał straszliwe piętno na sumieniach i samopoczuciu obywateli ekspansywnych imperiów - doprowadzając do społecznej apatii i sytuacji, gdy najbogatsze kultury w historii ludzkości cierpią z powodu rekordowego poziomu samobójstw, narkomanii i przemocy.

Bardzo poważnie zastanawiałem się nad tymi problemami, ale unikałem wyciągania wniosków dotyczących własnej roli. W owym czasie postrzegałem siebie jeszcze nie jako jednego z EBR-owców, lecz po prostu głównego ekonomistę. To brzmiało przecież tak legalnie! A gdybym potrzebował jakiegoś potwierdzenia, wystarczyło spojrzeć, kto wypłacał mi pensję - prywatna korporacja, MAIN. Nigdy nie dostałem ani centa z NSA, ani żadnej innej agencji rządowej. I tak oto przekonałem sam siebie. Prawie.

Któregoś popołudnia Bruno wezwał mnie do swego gabinetu. Stanął za moim krzesłem i poklepał mnie po ramieniu.

- Wykonałeś kawał dobrej roboty - pochwalił mnie. - W uznaniu twojej pracy chcemy zaoferować ci życiową szansę, szansę, jaka staje się udziałem niewielu ludzi, nawet dwukrotnie od ciebie starszych.

Rozdział 10

Prezydent i bohater Panamy

Wylądowałem na Międzynarodowym Lotnisku Tocumen w Panamie późno w nocy w kwietniu 1972 roku podczas tropikalnej ulewy. Jak to było w zwyczaju w owym czasie, dzieliłem taksówkę z kilkoma innymi urzędnikami, a ponieważ mówiłem po hiszpańsku, trafiłem na przednie siedzenie obok kierowcy. Patrzyłem tępo przez przednią szybę taksówki. Reflektory oświetlały przez deszcz billboardowy portret przystojnego mężczyzny o wydatnym czole i błyszczącym spojrzeniu. Szerokie rondo jego kapelusza było z jednej strony zawadiacko zawinięte do góry. Rozpoznałem w nim bohatera współczesnej Panamy, Omara Torrijosa.

Przygotowałem się do tej podróży w zwykły dla siebie sposób - odwiedzając dział tematyczny Publicznej Biblioteki w Bostonie. Wiedziałem, że jeden z powodów popularności Torrijosa w jego narodzie stanowił fakt, iż był on twardym obrońcą zarówno prawa Panamy do niezależności jak i jej roszczeń do sprawowania kontroli nad Kanałem Panamskim. Z determinacją walczył o to, by kraj pod jego przewodnictwem nie wpadł w pułapki, które zdarzały się już w jego nieszczęśliwej historii.

Panama stanowiła część Kolumbii, gdy francuski inżynier Ferdynand de Lesseps, budowniczy Kanału Sueskiego, postanowił wybudować kanał poprzez przesmyk Środkowoamerykański, by połączyć Ocean Atlantycki ze Spokojnym. Rozpoczynając prace w 1881 roku Francuzi podjęli się arcytrudnego zadania, które prze-

śladowała seria niepowodzeń. W końcu w 1889 roku projekt zakończył się finansową katastrofą, ale obudził marzenie w umyśle Teodora Roosevelta. W pierwszych latach XX wieku USA domagały się do Kolumbii podpisania traktatu oddającego przesmyk północnoamerykańskiemu konsorcjum. Kolumbia odmówiła.

W 1903 roku prezydent Roosevelt wysłał do akcji okręt *Nashville*. Amerykańscy żołnierze wylądowali, schwytali i zabili popularnego przywódcę lokalnej milicji i ogłosili Panamę niepodległym państwem. Utworzono marionetkowy rząd i podpisano pierwszy Traktat; ustanawiał on amerykańską strefę po obu stronach przyszłego szlaku wodnego, legalizował amerykańską interwencję wojskową i dawał Waszyngtonowi faktyczną kontrolę nad tym nowopowstałym, „niepodległym" narodem.

Co ciekawe, traktat podpisał Sekretarz Stanu USA Hay oraz francuski inżynier, Philippe Bunau-Varilla, który należał do pierwszego zespołu budowniczych, ale podpisu nie złożył żaden Panamczyk. W wyniku umowy zawartej pomiędzy Amerykaninem a Francuzem Panama została zmuszona do odłączenia się od Kolumbii, by służyć Stanom Zjednoczonym - patrząc z perspektywy czasu był to proroczy początek[1].

Przez ponad pół wieku Panamą rządziła oligarchia bogatych rodzin silnie związanych z Waszyngtonem. Ci prawicowi dyktatorzy imali się wszelkich środków, które uznali za konieczne do ochrony amerykańskich interesów. Na wzór innych dyktatorów w Ameryce Łacińskiej, którzy zawierali sojusze z Waszyngtonem, władcy Panamy widzieli w propagowaniu interesów USA środek do stłumienia wszelkich populistycznych ruchów, które trąciły socjalizmem. Wspierali również CIA i NSA w ich antykomunistycznych działaniach na całym kontynencie oraz pomagali wielkim amerykańskim przedsiębiorstwom, takim jak Standard Oil Rockefellera oraz United Fruit Company (zakupione przez George'a H.W.Busha). Rządy te najwyraźniej nie dostrzegały faktu, że promowały interesy USA kosztem warunków życia ludzi żyjących w skrajnej nędzy lub będących faktycznymi niewolnikami wielkich plantacji i korporacji.

Rodziny rządzące Panamą były szczodrze wynagradzane za swe wsparcie. Siły zbrojne USA interweniowały w ich obronie kilkana-

ście razy pomiędzy ogłoszeniem niepodległości Panamy a rokiem 1968. Jednak w tym roku, podczas gdy wciąż działałem w Peace Corps w Ekwadorze, panamska historia nagle zmieniła swój kurs. Obalono Arnuldo Pariasa, ostatniego dyktatora, a Omar Torrijos stanął na czele państwa, choć sam nie uczestniczył aktywnie w tym przewrocie[2].

Torrijos był bardzo ceniony przez średnie i niższe klasy społeczne Panamy. Sam dorastał w prowincjonalnym mieście Santiago, gdzie jego rodzice pracowali jako nauczyciele. Szybko piął się po szczeblach Gwardii Narodowej, głównej siły zbrojnej w Panamie, a zarazem instytucji, która w ciągu lat sześćdziesiątych XX w. zdobywała rosnącą popularność wśród nędzarzy. Torrijos zdobył swą popularność wysłuchując ludzi pozbawionych majątku. Spacerował ulicami dzielnic biedoty, organizował spotkania w slumsach, które politycy bali się odwiedzić, pomagał bezrobotnym w znalezieniu pracy i często ofiarowywał własne, ograniczone środki finansowe rodzinom dotkniętym przez choroby lub tragedie[3].

Jego uwielbienie życia i współczucie dla ludzi sięgały nawet poza granice Panamy. Torrijos pragnął zmienić swój kraj w przystań dla uciekających przed prześladowaniami, miejsce oferujące azyl uchodźcom z obu stron politycznego muru - od lewackich przeciwników chilijskiego Pinocheta po prawicowych partyzantów walczących z Castro. Wielu postrzegało go jako orędownika pokoju, czym zdobył sobie wielki szacunek na całym kontynencie. Zdobył również reputację przywódcy poświęcającego się łagodzeniu konfliktów pomiędzy różnymi frakcjami, które to rozdzierały tak wiele krajów w Ameryce Łacińskiej: Honduras, Gwatemalę, Salwador, Nikaraguę, Kubę, Kolumbię, Peru, Argentynę, Chile i Paragwaj. Jego mały, dwumilionowy naród służył jako model społecznej reformy i inspiracja dla światowych przywódców tak różnych, jak związkowi agitatorzy planujący obalenie ZSRR i islamscy bojówkarze w rodzaju Muammara Kadafiego w Libii[4].

Widok tego przystojnego, charyzmatycznego i odważnego człowieka, który uśmiechał się do mnie z billboardu, poruszył mnie. Stało się to podczas mojej pierwszej nocy w Panamie, gdy jego ogromny portret zobaczyłem zza wycieraczek ścierających krople

deszczu z przedniej szyby taksówki, którą jechałem z lotniska do hotelu. Wiedziałem, po godzinach spędzonych w bibliotece, że był wierny swoim poglądom. Po raz pierwszy w swojej historii Panama nie była marionetką Waszyngtonu, ani nikogo innego. Torrijos nigdy nie dał się skusić Moskwie ani Pekinowi; wierzył w społeczną reformę i pomaganie tym, którzy urodzili się w biedzie, ale nie popierał komunizmu. W przeciwieństwie do Castro, Torrijos był zdecydowany wywalczyć niezależność od USA bez zawierania sojuszy z ich wrogami.

W jakimś nieznanym czasopiśmie znalezionym na bibliotecznej półce natrafiłem na artykuł wychwalający Torrijosa jako człowieka, który zmieni historię obu Ameryk, odwracając długoterminowy trend rosnącej dominacji Stanów Zjednoczonych. Autor cytował na wstępie Manifest Destiny („boskie przeznaczenie") - doktrynę popularną wśród wielu Amerykanów w latach czterdziestych XIX w., zgodnie z którą podbój Ameryki Północnej był nakazany przez Boga, i że to Bóg, a nie ludzie, nakazał wymordowanie Indian, wyniszczenie lasów, wybicie bizonów, osuszenie bagien, uregulowanie rzek i rozwój gospodarki opartej na nieustannym wykorzystaniu pracy i zasobów naturalnych.

Po przeczytaniu artykułu zacząłem się zastanawiać nad stosunkiem mojego kraju do świata. Doktryna prezydenta Jamesa Monroe ogłoszona w 1823 roku, w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XIXw. została wykorzystana do uzasadnienia poglądu, że Stany Zjednoczone mają specjalne prawa na całym kontynencie, włączając w to prawo do najazdu na każdy kraj w Ameryce Środkowej i Południowej, który odmówił popierania amerykańskiej polityki. Teodor Roosevelt powołał się na Doktrynę Monroe by usprawiedliwić amerykańską interwencję w Republice Dominiki, w Wenezueli oraz w czasie „wyzwalania" Panamy spod władzy Kolumbii. Szereg kolejnych prezydentów USA, a zwłaszcza Taft, Wilson i Franklin Roosevelt, powoływali się na nią rozszerzając panamerykańską działalność Waszyngtonu aż do końca II Wojny Światowej. W końcu, w drugiej połowie XX wieku, USA używały zagrożenia komunizmem do uzasadnienia ekspansji tej idei w krajach na całym świecie, włączając w to Wietnam i Indonezję[5].

A teraz, jak się wydawało, jeden człowiek stanął Waszyngtonowi na drodze. Wiedziałem, że nie był pierwszym - przywódcy w rodzaju Castro i Allende byli przed nim - ale Torrijos jako jedyny robił to poza sferą komunistycznej ideologii i nie nadawał swojemu ruchowi miana rewolucji. Po prostu twierdził, że Panama ma swoje prawa - niezależności dla swoich mieszkańców, ziemi i szlaku wodnego, który ją przedziela - i że te prawa były tak samo ważne i nadane z bożej woli jak te, którymi cieszyły się Stany Zjednoczone.

Torrijos sprzeciwiał się również istnieniu, zlokalizowanych w Strefie Kanału, School of Americas oraz centrum Południowego Dowództwa USA przygotowującego do walk w warunkach tropikalnych. Przez lata Stany Zjednoczone zachęcały dyktatorów i prezydentów państw z Ameryki Łacińskiej do wysyłania ich synów i zaufanych dowódców wojskowych do tych placówek - największych i najlepiej wyposażonych spośród znajdujących się poza Ameryką Północną. Tam uczyli się umiejętności przesłuchiwania i przeprowadzania tajnych operacji oraz taktyki wojskowej, które mogli następnie wykorzystać do zwalczania komunizmu, a także do ochrony majątków własnych oraz należących do koncernów naftowych i innych prywatnych korporacji. Otrzymywali również w ten sposób szanse na zawieranie znajomości z amerykańską elitą.

Placówki te były nienawidzone przez mieszkańców Ameryki Łacińskiej - z wyjątkiem nielicznych bogaczy, którzy z nich korzystali. Znane były ze szkolenia prawicowych szwadronów śmierci i specjalistów od tortur, którzy zmienili tak wiele krajów w totalitarne reżimy. Torrijos dał jasno do zrozumienia, że nie chce obecności tych ośrodków treningowych na terenie Panamy, oraz że Strefę Kanału uznawał za znajdującą się w jej granicach[6].

Oglądając przystojnego generała na billboardzie i czytając hasło umieszczone poniżej jego twarzy - „Ideałem Omara jest wolność; nie wynaleziono rakiety, która może zabić ideał!" - czułem ciarki przechodzące mi po plecach. Miałem przeczucie, że historię Panamy w XX wieku czekało wiele wydarzeń, i że Torrijos miał jeszcze przed sobą ciężkie, a może i tragiczne chwile.

Strugi tropikalnego deszczu uderzały o szybę, zapaliło się zielone światło, a kierowca zatrąbił na samochód przed nami. Myślałem

0 mojej własnej sytuacji. Wysłano mnie do Panamy bym zawarł umowę, która miała stać się pierwszym w pełni kompletnym planem rozwojowym MAIN. Plan ten dałby podstawy Bankowi Światowemu, Inter-American Developmyent Bank i USAID do zainwestowania miliardów dolarów w sektor energetyczny, transportowy 1 rolniczy tego malutkiego kraju o wielkim strategicznym znaczeniu. Był to oczywiście podstęp mający na celu zadłużenie Panamy raz na zawsze i przywrócenia jej statusu marionetki.

Gdy taksówka przebijała się przez noc, dopadły mnie wyrzuty sumienia, ale stłumiłem je. Co mnie to obchodziło? Jeszcze na Jawie podjąłem decyzję, zaprzedałem swą duszę, a teraz stała przede mną życiowa szansa. Mogłem stać się bogaty, sławny i wpływowy, wszystko za jednym zamachem.

Rozdział 10

Piraci w Strefie Kanału

Następnego dnia rząd panamski przysłał przewodnika, by mnie oprowadził po okolicy. Miał na imię Fidel i od razu mnie zafascynował. Był wysoki, szczupły i najwyraźniej dumny ze swego kraju. Jego prapradziadek walczył u boku Bolivara o niezależność od Hiszpanii. Powiedziałem mu, że jednym z moich przodków był Tom Paine i byłem zachwycony, gdy okazało się, że Fidel czytał „Zdrowy rozsądek" po hiszpańsku. Mówił po angielsku, ale niezmiernie się ucieszył, gdy odkrył, że biegle władam językiem używanym w jego kraju.

- Wielu waszych mieszka tu latami i nigdy nie zadają sobie trudu, by się go nauczyć - powiedział.

Fidel zabrał mnie na przejażdżkę przez rozkwitającą część miasta, który nazywał Nową Panamą. Gdy mijaliśmy nowoczesne wieżowce ze stali i szkła tłumaczył, że w Panamie znajduje się więcej międzynarodowych banków niż w jakimkolwiek innym kraju na południe od Rio Grandę.

- Często nazywają nas Szwajcarią obu Ameryk - powiedział. - Zadajemy naszym klientom bardzo niewiele pytań.

Późnym popołudniem, gdy słońce zsuwało się do Pacyfiku, skierowaliśmy się na aleję podążającą wzdłuż brzegu zatoki. Długa kolejka statków stała na redzie. Zapytałem Fidela, czy jest jakiś problem z kanałem.

- Zawsze tak jest - odpowiedział śmiejąc się. - Długie kolejki oczekujących. Połowa ruchu to statki przypływające z lub odpływające do Japonii. Więcej nawet niż do Stanów Zjednoczonych.

Przyznałem, że nie wiedziałem o tym.

- Nie dziwi mnie to - odparł. - Amerykanie nie wiedzą wiele o reszcie świata.

Zatrzymaliśmy się przy pięknym parku, w którym *bougainvilłea* wspinała się po malowniczych ruinach. Tabliczka wyjaśniała, że był to fort zbudowany do ochrony miasta przed angielskimi piratami. Liczna rodzina - ojciec, matka, syn i córka, oraz starszy pan, który, jak założyłem, był dziadkiem tych dzieci - przygotowywała wieczorny piknik. Zatęskniłem nagle za spokojem, który zdawał się otaczać tych pięcioro ludzi. Gdy ich mijaliśmy, para uśmiechnęła się, pomachała i pozdrowiła nas po angielsku. Spytałem, czy są turystami, a oni się roześmiali. Mężczyzna podszedł do nas.

- Jestem trzecim pokoleniem w Strefie Kanału - tłumaczył dumnie. - Mój dziadek przybył tu trzy lata po jego wybudowaniu. Był kierowcą „muła", jednego z ciągników, które przeciągały statki przez śluzy. - Wskazał na starszego mężczyznę, który pomagał dzieciom ustawić stolik piknikowy - Mój ojciec był inżynierem, a ja poszedłem w jego ślady.

Kobieta zajęła się ponownie pomaganiem teściowi i dzieciom. Za nimi słońce tonęło w niebieskiej wodzie. Była to scena iście idylliczna, przypominająca obraz Moneta. Spytałem mężczyznę, czy są obywatelami USA. Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

- Oczywiście. Strefa Kanału to terytorium USA.

Chłopiec podbiegł by powiedzieć ojcu, że obiad jest już gotowy.

- Czy pana syn będzie czwartym pokoleniem?

Mężczyzna złożył dłonie w geście modlitwy i wzniósł je ku niebu.

- Modlę się o to codziennie do miłosiernego Boga. Życie w Strefie jest wspaniałe.-Wtedy opuścił ręce i spojrzał wprost na Fidela.-Mam tylko nadzieję, że utrzymamy ją przez następne pięćdziesiąt lat. Ten despota Torrijos robi wiele zamieszania. To niebezpieczny człowiek.

Naszła mnie nagła potrzeba i powiedziałem do niego po hiszpańsku -*Adios.* Mam nadzieję, że pan i pańska rodzina spędzicie tu miło czas i nauczycie się wiele o kulturze Panamy.

Obrzucił mnie pogardliwym spojrzeniem. - Nie mówię w ich języku - powiedział. Po czym odwrócił się energicznie i odszedł do rodziny i pikniku.

Fidel objął mnie ramieniem i uścisnął mocno.

- Dziękuję - powiedział.

Po powrocie do miasta Fidel zawiózł nas w miejsce, które określał jako slumsy.

- Bywają i gorsze, ale i to da ci pojęcie jak one wyglądają - stwierdził.

Drewniane chaty i rowy wypełnione stojącą wodą wyznaczały ulice, kruche domy przypominały rozlatujące się łodzie zatopione w szambie. Zapach zgnilizny i ścieków wdarł się do samochodu. Dzieci z nabrzmiałymi brzuchami biegły obok nas. Kiedy zwolniliśmy zebrały się po mojej stronie nazywając mnie wujkiem i błagając o pieniądze. Przypomniało mi to Dżakartę.

Wiele ścian pokrywało graffiti. Było tam trochę standardowych serc z wpisanymi w środku imionami par, ale większość stanowiły slogany wyrażające nienawiść wobec Stanów Zjednoczonych: „Wracajcie do domu, gringo", „Przestańcie srać do naszego kanału", „Wujek Sam, władca niewolników" i „Powiedzcie Nixonowi, że Panama to nie Wietnam". Jednak ten, który najbardziej ścisnął mi serce, brzmiał: „Śmierć za wolność jest drogą do Chrystusa". Wśród nich były rozrzucone portrety Omara Torrijosa.

- A teraz druga strona - powiedział Fidel. - Mam oficjalne dokumenty, a ty jesteś Amerykaninem, więc możemy jechać. - W purpurowym świetle zachodzącego słońca zawiózł nas do Strefy Kanału. Wydawało mi się, że byłem przygotowany na nagłą zmianę otoczenia, ale okazało się, że nie wystarczająco. Ledwo mogłem uwierzyć w przepych tego miejsca - wielkie białe budynki, wypieszczone trawniki, luksusowe domy, pola golfowe, sklepy i kina.

- A teraz fakty - powiedział. - Wszystko tutaj stanowi własność USA. Wszystkie przedsiębiorstwa - supermarkety, fryzjerzy, salony piękności, restauracje, absolutnie wszystkie - są wyłączone spod panamskiego prawa i opodatkowania. Jest tu siedem osiemnastodołkowych pól golfowych, amerykańskie urzędy pocztowe rozrzucone dogodnie po okolicy, amerykańskie sądy i szkoły. To prawdziwe państwo w państwie.

- Co za arogancja!

Fidel spojrzał na mnie jakby dokonując szybkiej oceny.

- Tak - zgodził się. - To naprawdę dobre słowo. Tam - wskazał do tyłu na miasto - dochód na osobę wynosi mniej niż tysiąc dolarów rocznie, a bezrobocie sięga 30%. Oczywiście w tym małym slumsie, który odwiedziliśmy, nikt nawet nie zbliża się do tysiąca dolarów i prawie nikt nie ma pracy.

-Wjaki sposób próbujecie temu zaradzić?

Odwrócił się i obrzucił mnie spojrzeniem, które zdawało zmieniać się z wściekłego na smutne.

- Co możemy zrobić? - pokręcił głową. - Nie wiem, ale powiem tyle: Torrijos próbuje. Myślę, że to może sprowadzić na niego śmierć, ale niewątpliwie daje z siebie wszystko. Jest człowiekiem, który zginie walcząc za swoich ludzi.

Gdy wyjeżdżaliśmy ze Strefy Kanału, Fidel uśmiechnął się.

- Lubisz tańczyć? - i nie czekając na moją odpowiedź dodał - Chodźmy na obiad, a potem pokażę ci jeszcze jedną twarz Panamy.

Rozdział 10

Żołnierze i prostytutki

Zjedliśmy soczysty stek, popiliśmy zimnym piwem, po czym opuściliśmy restaurację i wsiedliśmy do samochodu. Po pewnym czasie wjechaliśmy w jakąś ciemną ulicę. Fidel doradził mi, bym nigdy nie spacerował po tej okolicy.

- Jeżeli chcesz tu przyjść, podjedź taksówką do samego wejścia. Kawałek dalej, za płotem - wskazał - znajduje się Strefa Kanału.

W końcu dotarliśmy do parkingu wypełnionego samochodami, gdzie zaparkowaliśmy na wolnym miejscu. Jakiś stary człowiek przykuśtykał do nas. Fidel wysiadł i poklepał go po plecach, a następnie czule pogładził dłonią błotnik swojego samochodu.

- Dbaj o niego dobrze. To mój skarb - powiedział i wręczył mężczyźnie banknot.

Przeszliśmy kilkadziesiąt kroków z parkingu i nagle znaleźliśmy się na ulicy zalanej światłem migających neonów. Dwóch chłopców przebiegło obok nas mierząc w siebie patykami i naśladując odgłos wystrzałów. Jeden z nich uderzył w nogę Fidela - jego głowa ledwo sięgała do uda mojego przewodnika. Chłopczyk zatrzymał się i cofnął o krok.

- Przepraszam pana - wykrztusił po hiszpańsku.

Fidel położył obie dłonie na ramionach chłopca.

- Nic takiego się nie stało, kolego - powiedział. - Ale powiedz mi, do czego ty i twój przyjaciel strzelaliście?

Drugi chłopiec podszedł do nas i opiekuńczo objął pierwszego ramieniem.

- To mój brat - wyjaśnił. - Bardzo przepraszamy.

- Nie ma sprawy - Fidel zachichotał. - Nie zrobił mi krzywdy. Po prostu pytałem, do czego strzelaliście. Wydaje mi się, że kiedyś bawiłem się w podobny sposób.

Bracia spojrzeli na siebie. Starszy uśmiechnął się.

- On jest jankeskim generałem w Strefie Kanału. Próbował zgwałcić naszą matkę, a ja wyganiam go tam, gdzie jego miejsce.

Fidel zerknął na mnie ukradkiem.

-A gdzie jest jego miejsce?

-W domu, w Stanach Zjednoczonych.

- Czy wasza matka tu pracuje?

-Tam! - obaj chłopcy z dumą wskazali na neon w głębi ulicy. - Jest barmanką.

-Zmykajcie już. - Fidel wręczył każdemu po monecie. - Ale bądźcie ostrożni. Chodźcie tylko tymi miejscami, w których jest jasno.

-Tak proszę pana. Dziękujemy - odbiegli.

Gdy ruszyliśmy dalej, Fidel zaczął wyjaśniać, że prawo zabrania prostytucji panamskim kobietom.

- Mogą być barmankami i tancerkami, ale nie wolno im sprzedawać swojego ciała. Tym zajmują się pracownice z importu.

Weszliśmy do baru i ogłuszyła nas popularna amerykańska piosenka. Chwilę trwało, zanim moje oczy i uszy się przystosowały. Kilku barczystych amerykańskich żołnierzy stało w pobliżu wejścia. Opaski na ramionach munduru zdradzały, że byli żandarmami.

Fidel prowadził mnie wzdłuż baru i wtedy zobaczyłem scenę, na której tańczyły trzy młode kobiety - jedyne ich ubranie stanowiły nakrycia głowy. Jedna nosiła czapkę marynarza, druga zielony beret, a trzecia kapelusz kowbojski. Miały doskonałe figury i śmiały się. Wydawało się, że rywalizują między sobą, jakby tańczyły w jakimś konkursie. Muzyka, styl tańca, scena, wszystko to - oprócz nagości - mogło się dziać w dowolnej dyskotece w Bostonie.

Przepchnęliśmy się przez grupkę młodych mężczyzn mówiących po angielsku. Nosili t-shirty i niebieskie jeansy, ale krótko przystrzyżone włosy zdradzały, że są żołnierzami z bazy wojskowej w Strefie Kanału. Fidel postukał kelnerkę w ramię. Odwróciła się, wydała okrzyk radości i rzuciła mu się na szyję. Grupa młodzień-

ców przyglądała się temu uważnie, spoglądając na siebie z niezadowoleniem. Zastanawiałem się, czy myśleli, że Manifest Destiny obejmowało również tę panamską kobietę. Kelnerka zaprowadziła nas w róg sali. Znalazła dla nas mały stolik i dwa krzesła.

Gdy się rozsiedliśmy, Fidel wymienił po hiszpańsku pozdrowienia z dwoma mężczyznami siedzącymi przy stoliku obok. W przeciwieństwie do żołnierzy nosili wzorzyste koszule z krótkimi rękawami i spodnie w kanty. Kelnerka wróciła z dwoma piwami Balboa, a Fidel poklepał ją po pośladku, gdy odwróciła się, by odejść. Uśmiechnęła się i przesłała mu buziaka. Rozejrzałem się i z ulgą odkryłem, że młodzi mężczyźni spod baru już nas nie obserwowali - skupili się na tancerkach.

Większość klientów stanowili angielskojęzyczni żołnierze, ale byli też inni, jak nasi sąsiedzi, którzy niewątpliwie byli Panamczykami. Wyróżniali się fryzurami, które nie przeszłyby pomyślnie wojskowej inspekcji, i tym, że nie nosili t-shirtów ani jeansów. Kilku z nich siedziało przy stolikach, inni opierali się o ściany. Wydawali się zachowywać czujność, jak psy pilnujące stada owiec.

Kobiety przechadzały się pomiędzy stołami. Poruszały się nieustannie, siadając na kolanach, krzycząc do kelnerek, tańcząc, wirując, śpiewając, występując na zmianę na scenie. Były ubrane w obcisłe spódniczki, t-shirty, jeansy, dźwięczące sukienki i wysokie obcasy. Jedna założyła wiktoriańską suknię z woalką. Inna nosiła tylko bikini. Było oczywiste, że tylko najpiękniejsze mogły tutaj przetrwać. Zdumiało mnie, jak wiele ich dotarło do Panamy i zastanawiałem się, jak bardzo musiały być zdesperowane, by się na to zdecydować.

-Wszystkie pochodzą z innych krajów? - zapytałem Fidela przekrzykując muzykę.

Kiwnął głową.

- Z wyjątkiem... - wskazał na barmanki. - One są z Panamy.

- Z jakich krajów pochodzą pozostałe?

- Z Hondurasu, Salwadoru, Nikaragui i Gwatemali.

- To sąsiedzi.

-Tak ich traktujemy, ale jedynie Kostaryka i Kolumbia są naszymi prawdziwymi sąsiadami.

Kelnerka, która przyprowadziła nas do stolika, wróciła i usiadła Fidelowi na kolanach. Delikatnie gładził ją po plecach.

- Clarissa - zwrócił się do niej - powiedz proszę mojemu amerykańskiemu przyjacielowi, dlaczego one wyjechały ze swoich krajów - wskazał na scenę ruchem głowy. Trzy nowe dziewczyny przejęły nakrycia głowy od poprzedniczek, które zeskoczyły i zaczęły się ubierać. Muzyka zmieniła się na salsę, a nowoprzybyłe tancerki zaczęły zrzucać ubrania w rytm muzyki.

Clarissa wyciągnęła rękę.

- Miło mi cię poznać - powiedziała i wstała, by zabrać puste butelki.

- Te dziewczyny przybyły tu uciekając przed brutalnością - wyjaśniła, odpowiadając na pytanie Fidela.- Przyniosę więcej piwa.

Gdy odeszła, skarciłem Fidela.

- Daj spokój, przecież wiem, że są tu dla amerykańskich dolarów.

- To prawda, ale dlaczego tak wiele pochodzi z państw rządzonych przez faszystowskich dyktatorów?- odpowiedział.

Zerknąłem na scenę. Tancerki chichotały i rzucały między sobą marynarską czapką jak piłką. Spojrzałem Fidelowi prosto w oczy.

- Nie żartujesz, prawda?

-Nie - odpowiedział poważnie. - Chciałbym, żeby było tak jak myślisz. Jednak większość z nich straciła swoje rodziny - ojców, braci, mężów, chłopaków. Dorastały wśród tortur i śmierci. Taniec i prostytucja nie wydają im się aż takie złe. Mogą zarobić dużo pieniędzy, a potem zacząć wszystko od początku - kupić jakiś sklepik, otworzyć kafejkę...

Przerwało mu zamieszanie w pobliżu baru. Zobaczyłem jak kelnerka próbowała uderzyć pięścią żołnierza, który złapał jej rękę i zaczął wykręcać. Krzyknęła i upadła na kolana. Roześmiał się i krzyknął do swoich kumpli, którzy też się roześmiali. Kelnerka starała się uderzyć go drugą ręką, ale on tylko wzmocnił swój uścisk. Jej twarz wykrzywił grymas bólu.

Żandarmi pozostali przy drzwiach, obserwując spokojnie. Fidel poderwał się i ruszył w kierunku baru. Jeden z mężczyzn siedzących obok wyciągnął rękę, by go zatrzymać.

- *Tranąuiło, hermano* - powiedział. - Zachowaj spokój bracie. Enriąue panuje nad sytuacją.

Wysoki, szczupły Panamczyk wynurzył się z cienia obok sceny. Poruszał się jak kot i błyskawicznie znalazł się obok żołnierza. Jedną rękę zacisnął naokoło jego szyi, a drugą chlusnął mu w twarz wodą. Kelnerka wyrwała się z uścisku. Kilku Panamczyków, którzy stali pod ścianami, utworzyło ochronny pierścień wokół wysokiego bramkarza. Ten rzucił żołnierza na bar i powiedział coś, czego nie usłyszałem. Potem podniósł głos i zaczął mówić powoli po angielsku, wystarczająco głośno, by każdy w pomieszczeniu mógł go usłyszeć pomimo muzyki.

- Kelnerki nie są dla was dostępne panowie, a innych kobiet nie wolno wam dotknąć, zanim im nie zapłacicie.

Dwaj żandarmi w końcu wkroczyli do akcji. Zbliżyli się do grupy Panamczyków.

- Teraz my go przejmiemy, Enrique - powiedzieli.

Bramkarz opuścił żołnierza na podłogę i ścisnął jego szyję po raz ostatni, odchylając mu głowę i wymuszając okrzyk bólu.

- Rozumiesz mnie? - odpowiedział mu słaby jęk. - W porządku. Rozumiem. - Popchnął żołnierza na żandarmów. - Zabierzcie go stąd.

Rozdział 10

Rozmowy z generałem

Zaproszenie było dla mnie kompletnym zaskoczeniem. Któregoś ranka siedziałem w oddanym mi do dyspozycji biurze w Instituto de Recursos Hidraulicos y Electrificacion, państwowym przedsiębiorstwie użyteczności publicznej. Studiowałem arkusz danych statystycznych, gdy jakiś mężczyzna zapukał delikatnie we framugę otwartych drzwi. Zaprosiłem go do środka zadowolony z pretekstu do oderwania się od liczb. Przedstawił się jako szofer Torrijosa i powiedział, że przybył zabrać mnie do jednego z bungalowów generała.

Godzinę później siedziałem przy stole z Omarem Torrijosem. Ubrany był zwyczajnie, w typowo panamskim stylu - spodnie khaki i jasnoniebieska koszula z krótkimi rękawami z delikatnym zielonym wzorem i guzikami z przodu. Był wysoki, wysportowany i przystojny. Wydawał się niesamowicie rozluźniony jak na kogoś z takimi obowiązkami. Pukiel czarnych włosów opadł mu na czoło.

Zapytał o moje ostatnie podróże do Indonezji, Gwatemali i Iranu. Te trzy kraje fascynowały go, ale wydawało się, że szczególnie interesuje go król Iranu, Szach Mohammad Reza Pahlavi. Szach doszedł do władzy w 1941 roku, po tym jak Brytyjczycy i Sowieci obalili jego ojca, którego oskarżali o kolaborację z Hitlerem[1].

- Czy potrafisz sobie wyobrazić uczestnictwo w spisku zmierzającym do zdetronizowania własnego ojca? - zapytał Torrijos.

Panamski przywódca wiedział wiele o historii tego odległego kraju. Rozmawialiśmy o tym, jak knuto intrygi przeciwko szachowi

w 1951 roku, i jak jego własny premier, Mohammad Mossadegh, wygnał go z kraju. Torrijos wiedział, podobnie jak większość świata, że to CIA napiętnowała premiera jako komunistę i wkroczyła, by przywrócić szacha do władzy. Ale nie wiedział, a przynajmniej się z tym nie zdradził, o tej części, w którą wprowadziła mnie Claudine - o błyskotliwych posunięciach Kermita Roosevelta i fakcie, że te zdarzenia stanowiły początek nowej ery imperializmu. Były iskrą, od której zapłonął niszczycielski ogień globalnego imperium.

- Po przywróceniu go do władzy - kontynuował Torrijos - szach wprowadził wiele rewolucyjnych programów mających na celu rozwój przemysłu i unowocześnienie kraju.

Zapytałem go, skąd wie tak wiele o Iranie.

- Traktuję go jako drogowskaz - stwierdził. - Nie mam zbyt wysokiego mniemania o polityce szacha - jego chęci do obalenia własnego ojca i stania się marionetką CIA - ale wygląda na to, że robi także dobre rzeczy dla swojego kraju. Być może mógłbym się czegoś od niego nauczyć. O ile przeżyje.

- Myśli pan, że nie?

- Ma potężnych wrogów.

-1 jednych z najlepszych na świecie ochroniarzy.

Torrijos obdarzył mnie sardonicznym uśmiechem.

- Jego tajna policja, SAVAK, ma opinię brutalnych oprychów. To nie przysparza wielu przyjaciół. Nie, nie utrzyma się zbyt długo - zamilkł na chwilę. - Ochroniarze? Sam mam kilku - machną ręką w kierunku drzwi. - Myślisz, że ocalą mi życie, jeśli twój kraj zdecyduje się mnie pozbyć?

Spytałem, czy naprawdę uważa to za możliwe. Uniósł brwi w taki sposób, że poczułem się idiotycznie zadawszy to pytanie.

- Posiadamy Kanał. To o wiele więcej niż Arbenz czy United Fruit.

Zbierałem informacje na temat Gwatemali i rozumiałem tok myślenia Torrijosa. United Fruit Company była w tym kraju politycznym odpowiednikiem Kanału. Założona na początku XIX wieku, wkrótce stała się jedną z najbardziej wpływowych sił w Ameryce Środkowej. Na początku lat pięćdziesiątych XXw. reformatorski kandydat Jacobo Arbenz został wybrany na prezydenta Gwatemali

w wyborach, które na całym kontynencie stawiano za wzór dla procesów demokratycznych. W owym czasie mniej niż 3% Gwatemalczyków posiadało 70% ziemi. Arbenz obiecał ubogim pomoc i walkę z głodem, a po wyborach wprowadził program reform rolnych.

- Biedota i klasa średnia w całej Ameryce Łacińskiej poparła Arbenza - powiedział Torrijos. - Był również jednym z moich osobistych bohaterów. Ale jednocześnie wszyscy wstrzymywaliśmy oddech. Wiedzieliśmy, że United Fruit sprzeciwiała się tym zmianom, ponieważ była jednym z największych i stosujących największy wyzysk posiadaczy ziemskich w Gwatemali. Miała również duże plantacje w Kolumbii, Kostaryce, Kubie, Jamajce, Nikaragui, Santo Domingo oraz tutaj, w Panamie. Nie mogli pozwolić Arbenzowi na dawanie pozostałym przykładu.

Wiedziałem, co stało się dalej: United Fruit rozpoczęło kampanię informacyjną w USA mającą na celu przekonanie amerykańskiej opinii publicznej oraz kongresu, że Arbenz stanowił część rosyjskiego spisku, i że Gwatemala to radziecki przyczółek. W 1954 roku CIA zorganizowała przewrót. Amerykańskie samoloty zbombardowały miasto Gwatemala, a demokratycznie wybrany Arbenz został obalony i zastąpiony przez pułkownika Carlosa Castillo Arrasa, bezwzględnego prawicowego dyktatora.

Nowy rząd zawdzięczał wszystko firmie United Fruit. Spłacając dług wdzięczności wycofał się z reformy rolnej, zlikwidował podatki od odsetek i dywidend dla zagranicznych inwestorów, zniósł anonimowość głosowania i uwięził tysiące swoich krytyków. Prześladowano każdego, kto ośmielił się wystąpić przeciwko Castillo. Historycy badają teraz dzieje przemocy i terroryzmu nękających Gwatemalę przez większość drugiej połowy XX wieku i docierają do nie-całkiem-tajnego przymierza United Fruit, CIA i gwatemalskiej armii dowodzonej przez pułkownika-dyktatora[2].

-Arbenz został zamordowany - kontynuował Torrijos. - Zamordowany politycznie i ideologicznie - zamilkł i zmarszczył brwi z irytacją. - Jak Amerykanie mogli się nabrać na te brednie CIA? Ale ze mną nie pójdzie tak łatwo. Wojskowi w Panamie to moi ludzie. Zlecenie politycznego morderstwa nie załatwi sprawy - uśmiechnął się. - CIA będzie musiała zabić mnie osobiście.

Siedzieliśmy w milczeniu przez kilka chwil, każdy pogrążony w swoich myślach. Torrijos pierwszy się odezwał.

- Czy wie pan, kto jest właścicielem United Fruit? - zapytał.

- Zapata Oil, firma Georga Busha - naszego ambasadora przy Narodach Zjednoczonych.

- To człowiek z ambicjami - pochylił się do przodu i ściszył głos. - A ja zamierzam zadrzeć z jego poplecznikami w Bechtel.

To mnie zaskoczyło. Bechtel była najpotężniejszą firmą budowlaną na świecie często uczestniczącą w realizacji projektów MAIN. W przypadku planu dotyczącego Panamy domyślałem się, że jest jednymi z naszych głównych konkurentów.

- Co ma pan na myśli?

- Rozważamy budowę nowego kanału - na poziomie morza, bez śluz. Mógłby obsługiwać większe statki. Japończycy mogliby być zainteresowani sfinansowaniem tego przedsięwzięcia.

- Są największym klientem Kanału.

-Dokładnie. Oczywiście, jeżeli wyłożą pieniądze, zajmą się również budową.

Dotarło do mnie.

-A Bechtel zostanie na lodzie.

- Największa budowa naszych czasów - przerwał. - Prezesem Bechtel jest George Schultz, Sekretarz Skarbu za Nixona. Może pan sobie wyobrazić, jaką ma władzę - i porywczy charakter. Bechtel jest pełne ludzi Nixona, Forda i Busha. Mówiono mi, że rodzina Bechtel pociąga za sznurki w Partii Republikańskiej.

Nasz rozmowa sprawiła, że zacząłem czuć się bardzo niezręcznie. Byłem jednym z ludzi podtrzymujących system, którym tak pogardzał, i byłem pewien, że on o tym wie. Wydawało się, że moje zadanie polegające na przekonaniu go do przyjęcia międzynarodowych pożyczek w zamian za zatrudnienie amerykańskich firm budowlanych natrafiło na przeszkodę nie do przejścia. Postanowiłem skończyć to owijanie w bawełnę.

- Generale - zapytałem wprost - w jakim celu mnie pan tu zaprosił?

Spojrzał na swój zegarek i uśmiechnął się.

-Tak, pora przejść już do naszych interesów. Panama potrzebuje pana pomocy. Ja potrzebuję pana pomocy.

Byłem zdumiony.

- Mojej pomocy? Co mógłbym dla pana zrobić?

- Przejmiemy Kanał. Ale to nie wystarczy - usadowił się wygodnie na swoim krześle. - Musimy również dawać przykład. Musimy pokazać, że dbamy o naszych biednych, i że nasza determinacja do uzyskania niepodległości nie wynika z nakazów Rosji, Chin ani Kuby. Musimy udowodnić światu, że Panama jest rozsądnym krajem, że nie opowiadamy się *przeciwko* Stanom Zjednoczonym, lecz *za* prawami ubogich.

Założył nogę na nogę.

- Aby to osiągnąć, musimy zbudować ekonomiczne podstawy, których próżno szukać na tym kontynencie. Elektryczność, tak, ale subsydiowana, docierająca do najbiedniejszego z biednych. Podobnie w przypadku transportu i komunikacji, a zwłaszcza rolnictwa. Na to wszystko potrzebne są pieniądze - wasze pieniądze z Banku Światowego i z Inter-American Development Bank.

Ponownie pochylił się ku mnie patrząc mi prosto w oczy.

- Wiem, że pana firma chce dostawać więcej zleceń i z reguły dostaje je przeszacowując wielkość projektu - szersze autostrady, większe elektrownie, głębsze przystanie. Tym razem jest jednak inaczej. Niech mi pan da to, co najlepsze dla mych ludzi, a ja dam panu wszystkie zlecenia, które pan chce.

Jego propozycja była całkowicie nieoczekiwana i zszokowała mnie w tym samym stopniu, co podnieciła. Podważała wszystko, czego się nauczyłem w MAIN. Najwyraźniej wiedział, że cała ta zabawa z pomocą zagraniczną to tylko kamuflaż, musiał to wiedzieć. Istniała, by uczynić go bogatym, a jego kraj obciążyć długiem. Miała na zawsze uzależnić Panamę od USA i korporacjokracji. Służyła utrzymaniu Ameryki Łacińskiej na ścieżce Manifest Destiny i wiecznego poddaństwa wobec Waszyngtonu i Wall Street. Byłem pewien, iż wie, że system opiera się na założeniu, że wszystkich ludzi mających władzę można skorumpować, i że jego decyzja, by nie wykorzystać go do osiągnięcia osobistej korzyści zostanie

odczytana jako zagrożenie - zdarzenie, które może zapoczątkować reakcję łańcuchową i doprowadzić całość do upadku.

Spojrzałem ponad stołem na tego człowieka, który niewątpliwie wiedział, że ze względu na Kanał posiadał szczególną i unikalną władzę, i że to stawiało go na bardzo niebezpiecznej pozycji. Musiał być ostrożny. Stał się przywódcą przywódców krajów nisko rozwiniętych. Jeżeli planował, jak jego bohater Arbenz, postawić się, świat będzie to obserwował. Jak zareaguje system? A konkretnie, jak zareaguje rząd USA? Historia Ameryki Łacińskiej była wybrukowana ciałami martwych bohaterów.

Patrzyłem na człowieka, który rzucał wyzwanie wszystkim usprawiedliwieniom, które wymyśliłem dla swojego postępowania. Niewątpliwie posiadał wady, ale nie był piratem, jak Henry Morgan czy Francis Drakę - zwykli poszukiwacze przygód, którzy kamuflowali swoje piractwo, korzystając z licencji korsarskich wydanych przez angielskich królów. „Ideałem Omara jest wolność; nie wynaleziono rakiety, która może zabić ideał!" Czy Tom Paine nie napisał czegoś podobnego?

Naszła mnie refleksja. Może ideały nie umierają, ale co z ludźmi je propagującymi? Che, Arbenz, Allende. I drugie pytanie: jak bym zareagował, gdyby Torrijosowi przypadła rola męczennika?

Zanim wyszedłem, obaj ustaliliśmy, że MAIN dostanie kontrakt na realizację planu, a ja zatroszczę się o rozpatrzenie propozycji Torrijosa.

Rozdział 10

Nowy, złowieszczy okres historii gospodarczej

Jako główny ekonomista byłem nie tylko szefem departamentu w MAIN odpowiedzialnym za badania, które prowadziliśmy na całym świecie, ale oczekiwano ode mnie również znajomości najnowszych trendów i teorii ekonomicznych. Na początku lat siedemdziesiątych XX w. nastał czas znaczących zmian w międzynarodowej gospodarce.

W latach sześćdziesiątych XX w. grupa państw założyła OPEC, kartel zrzeszający producentów ropy naftowej, będący odpowiedzią na potęgę firm zajmujących się jej przetwórstwem. Istotny czynnik decyzyjny stanowiła również sytuacja polityczna Iranu. Szach zawdzięczał swą pozycję, a być może także życie, tajnym operacjom Stanów Zjednoczonych podczas walki z Mossadegh'em. Jednak władca Iranu doskonale zdawał sobie sprawę, że sytuacja może w każdej chwili obrócić się na jego niekorzyść. Przywódcy innych państw wydobywających ropę dzielili z nim tę świadomość i paranoję jej towarzyszącą. Wiedzieli również, że główne międzynarodowe koncerny naftowe, znane jako „Siedem Sióstr", współpracowały ze sobą w celu utrzymania niskich cen ropy, a co za tym idzie niskich marż płaconych wydobywającym ją krajom. Dzięki temu same zwiększały zyski. OPEC powołano do życia, by umożliwić kontratak.

Sytuacja osiągnęła punkt krytyczny na początku lat siedemdziesiątych XX w., gdy OPEC rzucił na kolana potężne, wysoko uprzemysłowione państwa. Seria zaplanowanych działań, zakoń-

czona wprowadzonym w 1973 roku embargiem na ropę, które zaowocowało długimi kolejkami na amerykańskich stacjach benzynowych, groziła doprowadzeniem do gospodarczej katastrofy na miarę Wielkiego Kryzysu. To był głęboki wstrząs dla całej światowej gospodarki, którego ogrom skutków tylko nieliczni zaczynali rozumieć.

W przypadku Stanów Zjednoczonych kryzys naftowy nie mógł się zdarzyć w gorszym momencie. Amerykańskie społeczeństwo było zagubione, przepełnione strachem i wątpliwościami. Lizało rany spowodowane wojną w Wietnamie, a rządził nim prezydent, który miał za chwilę podać się do dymisji. Problemy Nixona nie ograniczały się do Południowo-Wschodniej Azji i do Watergate. Wstąpił na szczyty władzy w okresie, który, patrząc z perspektywy, można uznać za granicę nowej epoki w światowej gospodarce i polityce. Wówczas wydawało się, że „maluczcy" - włączając w to kraje z OPEC - zaczynają przejmować władzę.

Wydarzenia na świecie fascynowały mnie. Korporacjokracja płaciła moje rachunki, ale jakaś głęboko ukryta cząstka mojej duszy radowała się widząc, jak moi szefowie są rozstawiani po kątach. Wydaje mi się, że uśmierzało to moje poczucie winy. Dostrzegałem ducha Thomasa Paine'a stojącego z boku i zagrzewającego OPEC do walki.

Nikt z nas nie mógł przewidzieć wszystkich skutków embarga w momencie jego wprowadzenia. Oczywiście snuliśmy swoje teorie, ale nie mogliśmy pojąć tego, co już stało się jasne. Teraz wiemy, że wskaźniki wzrostu gospodarczego spadły o połowę w stosunku do tych z poprzedzających kryzys lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX w., a presja inflacyjna znacznie wzrosła. Nowy rozwój gospodarczy miał już zupełnie inną strukturę i nie tworzył tak wielu miejsc pracy, więc znacząco rosło bezrobocie. Na domiar złego również międzynarodowy system walutowy otrzymał cios, w wyniku którego zawalił się funkcjonujący od końca II Wojny Światowej reżim sztywnych kursów walutowych.

W tamtych czasach często spotykałem się z przyjaciółmi, by przy lunchu lub po pracy przy piwie omówić bieżącą sytuację. Część z nich pracowała dla mnie - mój zespół składał się z wielu bystrych osób, w większości młodych wolnomyślicieli. Inni byli wysokiego szczebla doradcami lub profesorami w bostońskich col-

lege'ach, a jeden piastował stanowisko asystenta stanowego kongresmana. Spotykaliśmy się nieformalnie w grupach od dwóch do kilkunastu osób i zawsze prowadziliśmy namiętne i burzliwe dyskusje.

Gdy wspominam te rozmowy, wstydzę się poczucia wyższości, które mnie często przepełniało. Wiedziałem o sprawach, o których nie mogłem mówić. Moi przyjaciele często się chwalili, a to swoimi koneksjami w Beacon Hill i Waszyngtonie, a to znajomościami z profesorami i doktorami. Ja rewanżowałem się wiedzą głównego ekonomisty znaczącej firmy konsultingowej podróżującego po świecie pierwszą klasą. Nie mogłem opowiadać o prywatnych spotkaniach z Torrijosem, ani o tym, jak manipulowaliśmy państwami na wszystkich kontynentach. Stanowiło to dla mnie źródło wewnętrznej arogancji i frustracji.

Rozmowy dotyczące perspektyw poprawienia sytuacji maluczkich tego świata wymagały ode mnie dużej dozy samokontroli. Wiedziałem to, o czym nie mógł wiedzieć żaden z nich - korporacjokracja, przy pomocy swojej armii EBR-owców oraz stad szakali czekających na okazję na uboczu, nigdy nie pozwoli maluczkim na zdobycie władzy. Wystarczyłoby przytoczyć przykłady Arbenza i Mossadegha, a z jeszcze świeższych - obalonego przez CIA demokratycznie wybranego prezydenta Chile, Salvadora Allende. Tak naprawdę dławiący chwyt globalnego imperium stawał się coraz silniejszy, pomimo powstania OPEC, lub też - jak już wtedy podejrzewałem, ale potwierdziłem dopiero później - z jego pomocą.

Nasze dyskusje często skupiały się na podobieństwach pomiędzy początkiem lat siedemdziesiątych XX w., a czasami Wielkiego Kryzysu pod koniec lat trzydziestych XX w., które doprowadziły do znaczących zmian w międzynarodowej gospodarce, a także w sposobie jej postrzegania i analizowania. Tamto dziesięciolecie otworzyło drzwi keynesowskiej ekonomii i koncepcji, zgodnie z którą rządy powinny odgrywać znaczącą rolę w nadzorowaniu rynku oraz organizacji świadczeń społecznych, takich jak służba zdrowia i zasiłki dla bezrobotnych. Stare teorie mówiące o samoregulacji rynków i ograniczające udział państwa do minimum odchodziły do lamusa.

Wielki Kryzys zaowocował programem Nowego Ładu *(New Deał)* oraz działaniami popierającymi ręczne regulowanie gospodarki przez

rząd i szerokie zastosowanie polityki fiskalnej. Gospodarcza recesja i następująca po niej II Wojna Światowa doprowadziły do powstania Banku Światowego, Międzynarodowego Funduszu Walutowego i GATT*. Lata sześćdziesiąte XX w. były ostatecznym okresem przejścia z ekonomii neoklasycznej do keynesowskiej. Przemiana dokonała się za rządów Kennedy'ego i Johnsona, a prawdopodobnie największy wpływ miał na nią jeden człowiek - Robert McNamara.

Często dyskutowaliśmy o McNamarze. Wszyscy znaliśmy jego błyskotliwą karierę, którą rozpoczął w 1949 roku od stanowiska menadżera ds. analiz i planowania w Ford Motor Company, by następnie zasiąść w fotelu prezesa tej firmy w roku 1960. Był jej pierwszym prezesem wybranym spoza grona rodziny Fordów. Niedługo potem Kennedy powołał go na stanowisko Sekretarza Obrony.

McNamara stał się popularyzatorem keynesowkiego podejścia do rządzenia. Przy pomocy modeli matematycznych oraz metod analizy statystycznej określał liczebność wojsk, alokację funduszy i podejmował inne strategiczne decyzje dotyczące wojny w Wietnamie. Propagowane przez niego „agresywne przywództwo" stało się wzorem nie tylko dla urzędników rządowych, lecz również dla menedżerów w prywatnych firmach. Stworzyło także podstawę nowego filozoficznego podejścia do nauczania zarządzania na czołowych uczelniach ekonomicznych w kraju, a w rezultacie doprowadziło do wyhodowania nowego gatunku menedżerów wysokiego szczebla - gotowych do krzewienia idei globalnego imperium[1].

Podczas prowadzonych przy stole dyskusji na temat światowych wydarzeń, namiętnie analizowaliśmy rolę McNamary jako prezesa Banku Światowego. Posadę tę objął wkrótce po odejściu z Departamentu Obrony. Dla większość moich przyjaciół stanowiło to ewidentny przykład tzw. syndromu przemysłowo-wojskowego. Najpierw prezes wielkiej korporacji, następnie członek rządu, aż wreszcie szef najpotężniejszego banku na świecie. Tak oczywiste złamanie zasad rozdziału władzy przerażała wielu z nich. Prawdopodobnie byłem jedynym, którego to w ogóle nie dziwiło.

General Agreement on Tariffs and Trade - Układ Ogólny w Sprawie Taryf Celnych i Handlu.

Teraz wiem, że największym i najmroczniejszym wkładem McNamary do historii było wmanewrowanie, na skalę dotąd niespotykaną, Banku Światowego w rolę agenta globalnego imperium. Jego umiejętność tworzenia więzów spajających kluczowe elementy korporacjokracji została dopracowana przez jego następców. Na przykład Georgie Schultz został Sekretarzem Skarbu i przewodniczącym Council of Economic Policy* za prezydentury Nixona, później prezesem Bechtel, aż w końcu Sekretarzem Stanu u Reagana. Caspar Weinberger był wiceprezesem i głównym doradcą Bechtel, a następnie Sekretarzem Obrony w rządzie Reagana. Richard Helms szefował CIA za Johnsona, by u Nixona zostać ambasadorem w Iranie. Richard Cheney piastował stanowiska Sekretarza Obrony u George'a H. W. Busha, prezesa Halliburton i wreszcie wiceprezydenta w gabinecie George'a W. Busha. Nawet jeden z prezydentów Stanów Zjednoczonych, George H. W. Bush, zrobił podobną karierę - zaczynając jako założyciel Zapata Petroleum Corp, służąc jako amerykański ambasador przy Narodach Zjednoczonych za Nixona i Forda oraz dyrektor CIA za Forda.

Gdy patrzę wstecz, uderza mnie niewinność tamtych czasów. W wielu aspektach wciąż hołdowaliśmy staremu podejściu do budowania imperium. Kermit Roosevelt pokazał nam lepszy sposób obalając irańskiego demokratę i zastępując go despotycznym królem. My, EBR-owcy, skutecznie realizowaliśmy wiele naszych celów w takich miejscach jak Indonezja i Ekwador, a pomimo tego przydarzyła się wpadka w Wietnamie - zdumiewający przykład, z jaką łatwością wracaliśmy do starych nawyków.

Zmieniła to dopiero Arabia Saudyjska, państwo przewodniczące OPEC.

* Rada ds. Polityki Gospodarczej

Rozdział 10

Pranie brudnych pieniędzy w Arabii Saudyjskiej

W 1974 roku dyplomata z Arabii Saudyjskiej pokazał mi zdjęcia stolicy swojego kraju, Rijadu. Zaintrygowało mnie jedno z nich przedstawiające stado kóz rozgrzebujące stosy śmieci zalegające przed budynkiem rządowym. Zapytałem o nie, a odpowiedź mnie zszokowała. Okazało się, że kozy te stanowią główny system oczyszczania miasta.

- Żaden szanujący się Saudyjczyk nie będzie zbierał śmieci - powiedział dyplomata. - Zostawiamy je zwierzętom.

Kozy w stolicy najpotężniejszego na świecie naftowego królestwa! To wydawało się nieprawdopodobne.

W owym czasie byłem członkiem zespołu konsultantów próbującego znaleźć rozwiązanie kryzysu naftowego. Wspomniane kozy oraz ścieżka rozwoju pustynnego królestwa w ostatnich trzech wiekach dały mi ogólne pojęcie, w jakim kierunku może ewoluować opracowywane rozwiązanie.

Historia Arabii Saudyjskiej jest przesiąknięta przemocą i fanatyzmem religijnym. W XVIII wieku Mohammed ibn Saud, lokalny watażka, połączył siły z fundamentalistami z ultrakonserwatywnej sekty Wahhabi. Powstało potężne przymierze, a rodzina Saudów wspierana przez Wahhabi w ciągu dwustu lat podbiła większość Półwyspu Arabskiego, w tym najświętsze miasta Islamu - Mekkę i Medynę.

Saudyjskie społeczeństwo odzwierciedlało purytański idealizm swoich przywódców, czego przejawem było narzucenie ścisłego

przestrzegania zasad Koranu. Policja religijna pilnowała obowiązku odmawiania modlitwy pięć razy dziennie. Kobiety musiały zakrywać się od stóp do głów. Przestępców karano surowo, a publiczne egzekucje i ukamienowania były na porządku dziennym. Podczas pierwszego pobytu w Rijadzie zdumiało mnie, gdy kierowca powiedział mi, że mogę zostawić aparat, walizkę, a nawet portfel na widocznym miejscu w otwartym samochodzie zaparkowanym tuż obok targu.

-Nikomu nawet nie przyjdzie do głowy kradzież - stwierdził. - Złodziejom obcina się dłonie.

Nieco później tego samego dnia zapytał mnie, czy chciałbym odwiedzić plac, na którym odbędzie się ścięcie. Wahhabskie przywiązanie do ekstremalnego purytanizmu, wymagając najsroższych kar cielesnych dla łamiących prawo, oczyściło ulice ze złodziei. Jednak nie skorzystałem z zaproszenia, by obejrzeć wymiar sprawiedliwości w akcji.

Saudyjskie postrzeganie religii jako integralnego elementu polityki i gospodarki przyczyniło się do wprowadzenia naftowego embarga, które wstrząsnęło światem Zachodu. 6 października 1973 roku, podczas Jom Kippur - najważniejszego żydowskiego święta, Egipt i Syria równocześnie zaatakowały Izrael. W ten sposób zaczęła się Wojna Jom Kippur-czwarta i najbardziej niszczycielska spośród wojen arabsko-izraelskich, a zarazem w największym stopniu oddziaływująca na resztę świata. Prezydent Egiptu, Sadat, naciskał na króla Arabii Saudyjskiej Faisala, by ukarać Stany Zjednoczone za pomaganie Izraelowi używając przeciw nim „broni naftowej". 16 października Iran oraz pięć państw znad Zatoki Perskiej, w tym Arabia Saudyjska, ogłosiły 70% podwyżkę cen sprzedawanej ropy.

Podczas spotkania w Kuwejcie, arabscy ministrowie radzili nad dalszymi działaniami. Przedstawiciel Iraku zdecydowanie domagał się wzięcia na celownik Stanów Zjednoczonych. Namawiał innych delegatów do znacjonalizowania amerykańskich przedsiębiorstw działających w krajach arabskich, wprowadzenia całkowitego embarga na ropę wobec USA i innych państw sprzyjających Izraelowi oraz do wycofania wszystkich arabskich funduszy z amerykańskich banków. Zwrócił uwagę, że arabskie depozyty były bardzo znaczą-

ce, więc ich nagła likwidacja mogłaby doprowadzić do paniki przypominającej tę z początków Wielkiego Kryzysu w 1929 roku.

Pozostali ministrowie nie byli skłonni do aż tak radykalnych działań, ale 17 października podjęto decyzję o wprowadzeniu częściowego embarga. Na początek produkcja miała zostać obniżona o 5%, a kolejne obniżki tej samej wielkości następowałyby co miesiąc, aż do momentu zrealizowania wszystkich celów politycznych. Delegaci zgodzili się, że USA muszą zostać ukarane za swoją proizraelską postawę za pomocą najsurowszego embarga. Niektóre kraje uczestniczące w obradach zapowiedziały, że będą ograniczały produkcję o 10% a nie 5%.

19 października prezydent Nixon poprosił Kongres o przyznanie 2,2 mld dolarów na pomoc dla Izraela. Następnego dnia arabscy producenci ropy ogłosili całkowite embargo na ropę wysyłaną do USA[1].

18 marca 1974 roku embargo zostało zniesione. Nie trwało długo, ale było brzemienne w skutki. Cena sprzedawanej przez Arabię Saudyjską baryłki ropy skoczyła z 1,39 dolara 1 stycznia 1970 roku do 8,32 dolara 1 stycznia 1974 roku[2] Politycy już nigdy nie zapomnieli o lekcji z początku lat 1970-ych. Na dłuższą metę bolesne doświadczenia z tych kilku miesięcy wzmocniły korporacjokrację. Jej trzy filary - wielkie korporacje, międzynarodowe banki oraz rząd - zbliżyły się do siebie jak nigdy dotąd. Zaciśnięte wówczas więzy miały przetrwać długo.

Embargo zmieniło również nastawienie rządzących i sposób prowadzenia polityki. Przekonało Wall Street i Waszyngton, że tego rodzaju ograniczenia handlowe nigdy więcej nie mogą być tolerowane. Zapewnienie ciągłości dostaw ropy zawsze było amerykańskim priorytetem, ale po roku 1973 stało się narodową obsesją. W wyniku tych zdarzeń Arabia Saudyjska zyskała status wpływowego gracza w światowej polityce i zmusiła Waszyngton do uznania jej strategicznego znaczenia dla gospodarki USA. Co więcej, zmusiła amerykańską korporacjokrację do gorączkowego poszukiwania sposobów na skierowanie strumienia petrodolarów z powrotem do Stanów Zjednoczonych. Szansę upatrywano w tym, że Arabii Saudyjskiej brakowało ram administracyjnych i instytucjonalnych do zarządzania gwałtownie pęczniejącym bogactwem.

Dla samej Arabii Saudyjskiej dodatkowy przychód wynikający ze wzrostu cen stał się tylko połowicznym błogosławieństwem. Państwowy skarbiec został wypełniony miliardami dolarów, ale proces ten zaczął również podkopywać niektóre surowe przekonania religijne Wahhabów. Bogaci Saudyjczycy podróżowali po świecie, uczęszczali do szkół i uniwersytetów w USA i w Europie. Kupowali szpanerskie samochody i wyposażali swoje mieszkania w zachodnim stylu. Konserwatywne wierzenia religijne zostały zastąpione czymś nowym - konsumpcyjnym materializmem, który dawał nadzieję na uniknięcie przyszłych kryzysów naftowych.

Niemal natychmiast po zniesieniu embarga Waszyngton rozpoczął negocjacje z Saudyjczykami oferując im wsparcie techniczne, sprzęt wojskowy, wyszkolenie oraz szansę na wkroczenie w XX wiek. W zamian USA chciały petrodolarów, ale przede wszystkim zapewnienia, że już nigdy więcej embargo nie zostanie wprowadzone. Negocjacje zakończyły się utworzeniem niezwykłej organizacji - United States-Saudi Arabia Joint Economic Commission*, w skrócie JECOR. Instytucja ta miała wdrażać innowacyjną koncepcję stanowiącą odwrotność tradycyjnych programów pomocowych - za Saudyjskie pieniądze wynajmowała amerykańskie firmy, by budowały nowoczesną Arabię Saudyjską.

Pomimo tego, że ogólny nadzór i odpowiedzialność finansowa zostały w rękach Departamentu Skarbu, komisja była niezależna do granic możliwości. W rezultacie miała wydać w ciągu 25 lat miliardy dolarów praktycznie bez kontroli Kongresu. Ponieważ wydawane środki nie pochodziły z budżetu USA, Kongres nie miał odpowiednich kompetencji do ich kontrolowania. Po dogłębnym przestudiowaniu zasad funkcjonowania JECOR, David Holden i Richard Johns stwierdzili: „Była to najdalej idąca umowa spośród wszystkich zawartych przez Stany Zjednoczone z krajami rozwijającymi się. Miała potencjał umożliwiający głębokie zakorzenienie interesów USA w Królestwie i umocnienie wzajemnych zależności między państwami"[3].

Departament Skarbu już na wczesnym etapie zatrudnił MAIN jako doradcę. Zakomunikowano mi, że moja praca będzie miała

* Amerykańsko-Saudyjska Wspólna Komisja Gospodarcza.

kluczowe znaczenie, i że wszystko, czego się dowiem, należy traktować jako ściśle tajne. Wyglądało to na operację niejawną i nie do końca legalną. Wówczas pozwolono mi myśleć, że MAIN był głównym doradcą, ale stopniowo dowiadywałem się, że kilka firm konsultingowych przygotowywało ekspertyzy równolegle.

Ponieważ wszystko odbywało się w atmosferze tajności i nie znałem szczegółów uzgodnień dokonywanych z innymi konsultantami, więc nie jestem w stanie jednoznacznie określić doniosłości mojej roli w powstaniu tej bezprecedensowej umowy. Wiem, że wyznaczyła ona nowe standardy dla EBR-owców i przetestowała alternatywy dla tradycyjnych sposobów rozwijania interesów imperium. Wiem też, że wdrożono większość propozycji, które wynikały z moich analiz, i że MAIN otrzymał jeden z pierwszych wielkich i niezwykle dochodowych kontraktów w Arabii Saudyjskiej, a ja dostałem tego roku dużą premię.

Moim zadaniem było opracowywanie prognoz określających, co się może stać w Arabii Saudyjskiej, gdy wielkie sumy pieniędzy zostaną zainwestowane w jej infrastrukturę, oraz przygotowywanie planów wydatkowania tych pieniędzy. W skrócie chodziło o to, bym wykazał się jak największą pomysłowością dla uzasadnienia wartych setki milionów dolarów inwestycji w saudyjską gospodarkę, przy założeniu wykorzystania amerykańskich firm budowlanych. Polecono mi zająć się tym osobiście i nie polegać na moich pracownikach. W tym celu odizolowano mnie w małej sali konferencyjnej znajdującej się kilka pięter ponad moim departamentem. Ostrzeżono mnie, że otrzymane zadania wiążą się bezpośrednio z kwestią bezpieczeństwa narodowego, oraz że mogą okazać się niezwykle lukratywne dla MAIN.

Rozumiałem oczywiście, że celem tego projektu nie było tradycyjne obciążenie kraju długami, których nie będzie w stanie spłacić, lecz raczej znalezienie sposobów na skierowanie znacznej części petrodolarów z powrotem do USA. W wyniku tych działań gospodarka Arabii Saudyjskiej miała zostać silnie związana i zarazem uzależniona od naszej, a samo państwo miało nabrać cech państw zachodnich, stać się przeto bardziej przyjaznym i lepiej zintegrować się z całym systemem.

Gdy zacząłem pracę, zrozumiałem, że kozy wędrujące po ulicach Rijadu stanowiły klucz do rozwiązania problemu. Były dysonansem zakłócającym nieskazitelny wizerunek saudyjskich odrzutowców podróżujących po świecie. Błagały wręcz, by zastąpić je czymś godnym pustynnego królestwa pragnącego przekroczyć próg cywilizowanego świata. Wiedziałem również, że ekonomiści z OPEC podkreślali konieczność uzyskiwania wyższej wartości dodanej ze sprzedawanej ropy. Alternatywą dla eksportu nieprzetworzonej ropy miał być rozwój własnego przemysłu naftowego, który pozwoliłby na wytwarzanie produktów ropopochodnych uzyskujących wyższe ceny.

Na tej podstawie obmyśliłem strategię, której realizacja byłaby korzystna dla wszystkich zainteresowanych. Kozy stanowiły oczywiście jedynie wstęp. Zyski z ropy mogły zostać wykorzystane do wynajęcia amerykańskich firm, które zajęłyby się zastąpieniem zwierząt najnowocześniejszym systemem zbierania i utylizacji śmieci, a Saudyjczycy mogliby z dumą podziwiać ten cud techniki.

Zacząłem traktować kozy jako jedną stronę równania, które można by zastosować do większości sektorów gospodarki królestwa - gotowy przepis na sukces w oczach rodziny królewskiej, Departamentu Skarbu i moich szefów. W dalszej kolejności pieniądze zostałyby wydane na zbudowanie rafinerii ropy przetwarzających ją na gotowe do eksportu produkty finalne. Wielkie kompleksy petrochemiczne wyrosłyby na pustyni, a wokół nich inne zakłady produkcyjne. Oczywiście realizacja tych zamierzeń wymagałaby również budowy elektrowni o mocy tysięcy megawatów, linii transmisyjnych, autostrad, rurociągów, sieci komunikacyjnych, systemów transportowych, takich jak nowoczesne lotniska i porty. Jednym słowem niezbędny byłby szeroki wachlarz inwestycji towarzyszących, pozwalających na utrzymanie tego wszystkiego w ruchu.

Wszyscy oczekiwaliśmy, że ten projekt stanie się wzorem do naśladowania w innych częściach świata. Podróżujący Saudyjczycy będą wygłaszać peany pochwalne na naszą cześć, zapraszać do swojego kraju światowych przywódców, by obejrzeli stworzone przez nas cuda. Ci przywódcy skontaktują się z nami, byśmy pomogli im wdrożyć podobny plan w ich państwach, a w większości

przypadków, czyli krajów spoza OPEC, również zorganizować finansowanie. Globalne imperium mogłoby rozkwitnąć.

Kiedy pracowałem nad tymi pomysłami, przed oczami wciąż miałem kozy, a w uszach brzmiało echo słów kierowcy - „Żaden szanujący się Saudyjczyk nie będzie zbierał śmieci". - Zdanie to słyszałem wielokrotnie w różnych sytuacjach. Stało się dla mnie oczywiste, że Saudyjczycy nie zamierzali kierować swoich obywateli do niewdzięcznych prac, nawet do pracy w zakładach przemysłowych czy przy budowie któregoś z obiektów. Po pierwsze, było ich za mało. A po drugie, rodzina królewska pragnęła dać Saudyjczykom wykształcenie i narzucić styl życia nie pasujący do pracowników fizycznych. Obywatele królestwa mogli nadzorować innych, ale nie mieli potrzeby ani motywacji by samemu pracować w fabrykach lub na budowach. Konieczny był więc import siły roboczej z innych krajów, w których ludzie zarabiali niewiele, a pracy brakowało. Najchętniej robotników rekrutowano z Europy Wschodniej lub z państw islamskich, takich jak Egipt, Palestyna, Pakistan i Jemen.

Takie podejście pozwalało na stworzenie jeszcze dalej idącej strategii rozwoju. Trzeba było zbudować dla nowych pracowników gigantyczne kompleksy mieszkalne, sklepy, szpitale, komisariaty, remizy strażackie, stacje uzdatniania wody, oczyszczalnie ścieków, sieci energetyczne, komunikacyjne i transportowe. W rezultacie na pustyni powstawało nowoczesne miasto. Dodatkową korzyścią dla nas była możliwość przetestowania nowych technologii stosowanych np. w zakładach odsalających wodę i kompleksach szpitalnych.

Arabia Saudyjska stanowiła ziszczenie marzeń każdego planisty i architekta. Oferowała gospodarczą szansę nieporównywalną z żadną inną w historii: zacofany kraj z nieograniczonymi zasobami gotówki i pragnieniem dołączenia do nowoczesnego świata w wielkim stylu i w dodatku bardzo szybko.

Muszę przyznać, że czerpałem z tej pracy dużo satysfakcji. Na temat Arabii Saudyjskiej nie było dostępnych żadnych wiarygodnych danych, które uzasadniałyby zastosowanie modeli ekonometrycznych. Prawdę mówiąc, nawet gdyby te dane istniały, to wielkość projektu - całkowitego i natychmiastowego przekształcenia kraju na niespotykaną dotąd skalę - sprawiłaby, że stałyby się nieistotne.

Nikt zresztą nie oczekiwał tego rodzaju ilościowych analiz, a przynajmniej nie na samym początku. Po prostu zaprzągłem do pracy wyobraźnię i w raportach opisałem świetlaną przyszłość czekającą pustynne królestwo. Stosując standardowe wskaźniki mogłem w przybliżeniu oszacować koszty budowy elektrowni w przeliczeniu na jeden megawat energii, kilometra drogi, lub wodociągu, oraz utrzymania mieszkania, odprowadzenia ścieków itp. świadczeń w przeliczeniu na jednego pracownika. Nie oczekiwano, bym doprecyzowywał te obliczenia, ani wyciągał końcowe wnioski. Moja praca polegała na formułowaniu szeregu planów (a może właściwszym określeniem byłoby „wizji") inwestycji potencjalnie możliwych do realizacji oraz na dostarczaniu szacunkowych obliczeń, ile to wszystko może kosztować.

Zawsze jednak miałem w pamięci prawdziwe cele: maksymalizację zysków amerykańskich firm oraz wzrastające uzależnienie Arabii Saudyjskiej od USA. Nie zajęło mi zbyt wiele czasu zrozumienie, jak bardzo cele te się przeplatają. Prawie wszystkie nowoczesne projekty wymagałyby nieustannego usprawniania i serwisowania, a reprezentowany przez nie wysoki poziom technologiczny oznaczał konieczność dalszego udziału ich projektantów w tych procesach. Po pewnym czasie zacząłem prowadzić dwie równoległe listy dla każdego projektu - kontraktów dotyczących projektowania i budowy z jednej strony oraz długoterminowych umów serwisowania i zarządzania z drugiej. MAIN, Bechtel, Brown & Root, Halliburton, Stone & Webster i wiele innych firm amerykańskich miałoby zagwarantowane krociowe zyski na wiele dekad.

Oprócz powiązań czysto gospodarczych, planowaliśmy jeszcze jeden haczyk mający uzależnić od nas Arabię Saudyjską. Liczyliśmy, że modernizacja tego roponośnego królestwa spowoduje wokół wrogie reakcje. Spodziewaliśmy się, że konserwatywni muzułmanie będą wściekli, a Izrael i inne sąsiednie kraje poczują się zagrożone. Rozwój gospodarczy królestwa miał stać się zalążkiem kolejnego przemysłu - ochrony Półwyspu Arabskiego. Prywatne firmy specjalizujące się w tego rodzaju usługach oraz przemysł zbrojeniowy mogły oczekiwać lukratywnych kontraktów, w tym długoterminowych umów serwisowych. A ich obecność w Arabii

Saudyjskiej spowodowałaby konieczność przystąpienia do kolejnego etapu budowy - lotnisk, wyrzutni rakiet, baz wojskowych i całej towarzyszącej im infrastruktury.

Za pośrednictwem wewnętrznej poczty wysyłałem swoje raporty w zapieczętowanych kopertach adresowanych do „Zarządzającego Projektem Departamentu Skarbu". Czasami spotykałem kilku innych członków zespołu - wiceprezesów MAIN i moich przełożonych. Ponieważ projekt, będący wciąż w początkowej fazie rozwoju i jeszcze nie włączony do JECOR, nie posiadał żadnej oficjalnej nazwy, ochrzciliśmy go SAMA. Teoretycznie skrót ten pochodził od słów Saudi Arabian Money-laundering Affair*, ale kryła się za nim również gra słów - bank centralny królestwa nazywał się Saudi Arabian Monetary Agency**, czyli SAMA.

Od czasu do czasu w naszych spotkaniach uczestniczył przedstawiciel Departamentu Skarbu. Zazwyczaj zadawałem niewiele pytań. Głównie mówiłem o postępach prac, odpowiadałem na uwagi i zgadzałem się wykonywać to, o co mnie proszono. Na wiceprezesach i przedstawicielu Departamentu Skarbu szczególne wrażenie wywierały moje pomysły dotyczące długoterminowych umów serwisowych. Jeden ze słuchaczy wygłosił kiedyś zdanie, które często później powtarzaliśmy określając Arabię Saudyjską jako „krowę, którą będziemy doić aż do cieplutkiej emerytury". Osobiście wyobrażałem sobie raczej kozę, a nie krowę.

W trakcie tych spotkań zorientowałem się, że kilku naszych konkurentów otrzymało podobne zlecenia, i że na koniec wszyscy otrzymają lukratywne kontrakty będące wynagrodzeniem za nasze wysiłki. Domyślałem się, że MAIN i inne firmy pokrywają koszty wstępnych prac z własnej kieszeni podejmując krótkoterminowe ryzyko, by wywalczyć swój udział w dzieleniu tortu. Domysły potwierdzał numer konta księgowego obciążanego rozliczeniami mojego czasu pracy - konta ogólnych kosztów administracyjnych. Takie podejście było typowe przy prowadzeniu wstępnych prac badawczych przy większości projektów. W tym przypadku początko-

* Pranie brudnych pieniędzy w Arabii Saudyjskiej.

** Agencja Pieniężna Arabii Saudyjskiej.

wa inwestycja zdecydowanie przekraczała przyjęte standardy, ale wiceprezesi wydawali się być wyjątkowo spokojni o wypłatę.

Przyjmowaliśmy, że, mimo udziału konkurentów, kontraktów starczy dla wszystkich. Pracowałem w tym biznesie już wystarczająco długo, by wiedzieć, że najlepsze kontrakty dostaną ci konsultanci, których największa liczba projektów zostanie zaakceptowana i przeznaczona do wdrożenia. Stworzenie scenariuszy, które trafią do realizacji, traktowałem jako osobiste wyzwanie. Gwiazda mojej kariery w MAIN już i tak jaśniała, ale znaczący udział w projekcie SAMA, w przypadku naszego sukcesu, spowodowałby jej prawdziwy rozbłysk.

Na spotkaniach otwarcie dyskutowaliśmy prawdopodobieństwo stworzenia przez SAMA i cały JECOR nowego precedensu. Operacja wykorzystywała zupełnie nowe podejście do zdobywania lukratywnych kontraktów w krajach, które nie potrzebowały zaciągać kredytów. Na myśl przychodziły od razu Iran i Irak. Znając naturę ludzką mieliśmy nadzieję, że przywódcy tych państw chętnie podążą drogą wskazaną im przez Arabię Saudyjską. Byliśmy przekonani, że embargo z roku 1973, które wydawało się na początku taką porażką, zaowocuje korzyściami dla firm budowlanych, co pozwoli na dalszy rozwój globalnego imperium.

Nad wizjonerskim etapem projektu pracowałem osiem miesięcy, aczkolwiek nigdy dłużej niż kilka dni z rzędu. Moi podwładni mieli własne zadania i zasadniczo troszczyli się sami o siebie, choć czasami zaglądałem do nich i sprawdzałem, jak im idzie. Z czasem mgła tajemnicy spowijająca nasz projekt zaczęła się rozwiewać. Coraz więcej osób wiedziało, że dzieje się coś dużego i mającego związek z Arabią Saudyjską. Podniecenie rosło, a plotki krążyły. Wiceprezesi i przedstawiciel Departamentu Skarbu stali się bardziej otwarci, po części zapewne dlatego, że sami uzyskiwali coraz więcej informacji na temat powstającego genialnego planu.

W ramach tego planu Waszyngton żądał od Saudyjczyków gwarancji dostaw ropy i akceptowalnego dla USA i naszych sojuszników poziomu cen. Gdyby inne kraje - Iran, Irak, Indonezja czy Wenezuela - zagroziły wprowadzeniem embarga, Arabia Saudyjska miała uruchomić swoje gigantyczne złoża i zrekompensować po-

wstałe niedobory. W długim okresie sama wiedza o istnieniu takiego mechanizmu zniechęciłaby pozostałe państwa nawet do rozważania embarga. W zamian za gwarancje Waszyngton zaoferował rodzinie Saudów niezwykle atrakcyjny układ - nieodwołalne zobowiązanie się Stanów Zjednoczonych do zapewnienia pełnego politycznego, a w razie potrzeby również wojskowego poparcia - pozwalającego na podtrzymanie ich rządów w kraju.

Dla rodziny Saudów była to propozycja nie do odrzucenia biorąc pod uwagę położenie geograficzne ich kraju, militarną słabość i narażenie na wrogie działania sąsiadów takich jak Iran, Syria, Irak i Izrael. Wykorzystując sytuację Biały Dom przeforsował kluczowy dla siebie warunek, który przedefiniował rolę EBR-owców i służył odtąd jako wzór postępowania w innych krajach, szczególnie w Iraku. Patrząc z perspektywy czasu dziwię się, dlaczego Arabia Saudyjska zgodziła się na niego. Świat arabski doznał szoku, gdy poznał już szczegóły umowy i sposób, w jaki rodzina królewska poddała się żądaniom USA.

Warunek ten zmuszał Arabię Saudyjską do przeznaczania zarobionych przez siebie petrodolarów na kupno dłużnych papierów wartościowych emitowanych przez rząd Stanów Zjednoczonych. Odsetki od tych papierów nie miały być wypłacane, lecz wydawane przez Departament Skarbu na przekształcenie arabskiego średniowiecznego królestwa w nowoczesny, uprzemysłowiony naród. Rząd USA zatrudniał nas i inne amerykańskie firmy na koszt Saudyjczyków, abyśmy urzeczywistnili moje (i prawdopodobnie niektórych konkurentów) wizje budowy obiektów przemysłowych, a nawet całych miast na Półwyspie Arabskim.

Saudyjczycy zarezerwowali sobie ogólne prawo do decydowania 0 rodzaju realizowanych projektów, ale w praktyce wyglądało to tak, że zespoły specjalistów z zagranicy (z punktu widzenia muzułmanów w większości niewiernych) miały określić przyszły wygląd 1 gospodarczy profil Półwyspu Arabskiego. Wszystko to miało się stać w królestwie od kilkuset lat rządzonym w oparciu o konserwatywne zasady Wahhabów i oznaczało olbrzymi skok w poglądach religijnych. Jednakże biorąc pod uwagę okoliczności - w tym polityczną i wojskową presję wywieraną przez Waszyngton - podejrzewam, że Saudowie nie mieli zbyt wielkiego wyboru.

Z naszej strony perspektywy uzyskania niewiarygodnych zysków wydawały się nieograniczone. Czekał na nas fantastyczny kontrakt, a smaku dodawał mu fakt, że nie była potrzebna zgoda Kongresu - jej uzyskiwania nienawidzą prywatne korporacje w rodzaju Bechteł czy MAIN, które nie życzą sobie ujawniania szczegółów swoich ksiąg rachunkowych i innych pieczołowicie skrywanych sekretów. Thomas W. Lippman, adiunkt w Middłe East Institute* i były dziennikarz, w ten oto obrazowy sposób streścił najważniejsze założenia umowy z Arabią Saudyjską: „Pławiący się w kasie Saudyjczycy dostarczą setki milionów dolarów Departamentowi Skarbu, który przechowa je, a we właściwym czasie opłaci kontrahentów i robotników. Ten system zapewnia wpompowanie pieniędzy z powrotem do amerykańskiej gospodarki. (...) Oprócz tego daje również zarządzającym nim menedżerom wolną rękę przy wyborze projektów, które wspólnie z Saudyjczykami uznają za pożyteczne, bez konieczności uzasadniania tych wyborów przed Kongresem"[4].

Określenie założeń tego historycznego przedsięwzięcia zajęło mniej czasu, niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Później jednak musieliśmy znaleźć sposób, by wprowadzić je w życie. Osoba z najwyższych kół rządowych została wysłana do Arabii Saudyjskiej w sekretnej misji. Nie mam pewności, lecz domyślam się, że był to Henry Kissinger.

Kimkolwiek był wysłannik, jego pierwsze zadanie polegało na przypomnieniu rodzinie królewskiej, co stało się w sąsiednim Iranie, kiedy Mossadegh próbował zaszkodzić brytyjskim interesom naftowym. Następnie miał im zaproponować plan zbyt atrakcyjny, by mogli go odrzucić, podkreślając przy tym oczywiście nikłą liczbę posiadanych przez nich opcji. Nie mam żadnych wątpliwości, że Saudowie mieli odnieść i odnieśli wrażenie, że albo zaakceptują naszą ofertę i zyskają gwarancje poparcia ich rządów, albo odrzucą ją i podążą śladami Mossadegha. Wysłannik powrócił do Waszyngtonu z informacją, że rodzina królewska chce z nami współpracować.

Pozostawała jeszcze tylko jedna niewielka przeszkoda - należało przekonać do przedsięwzięcia najważniejszych członków saudyj-

* Instytut Bliskiego Wschodu.

skiego rządu. Arabia Saudyjska nie była demokratycznym państwem, ale, jak nas poinformowano, w ramach rodziny królewskiej musiała mimo wszystko panować jednomyślność.

W 1975 roku przydzielono mi zadanie przekonania jednej z tych osób. Nazywałem go zawsze księciem W., ale nigdy nie udało mi się potwierdzić, czy faktycznie w jego żyłach płynęła królewska krew. Moje zadanie polegało na wmówieniu mu, że SAMA przyniesie korzyści zarówno jego krajowi jak i jemu samemu.

Zadanie nie było takie proste, jakim się na początku wydawało. Książę W. uważał się za dobrego Wahhabi i nie chciał się zgodzić, by jego kraj szedł w ślady Zachodu i popadał w komercjalizm. Twierdził również, że rozumie podstępną naturę proponowanego Arabii Saudyjskiej układu. Mawiał, że kierują nami te same cele, które kierowały krzyżowcami tysiąc lat temu: chrystianizacja świata arabskiego. Prawdę mówiąc częściowo miał rację. Moim zdaniem różnica polegała jedynie na hasłach - średniowieczni europejscy rycerze głosili pragnienie ocalenia muzułmanów przed piekłem, my obiecywaliśmy im modernizację. Ale w gruncie rzeczy krzyżowcy, podobnie jak korporacjokracja, dążyli po prostu do rozwoju swoich imperiów.

Abstrahując od przekonań religijnych, książę W. posiadał słabość do pięknych blondynek. Nie zamierzam budować niesprawiedliwych stereotypów, muszę więc przyznać, że był jedynym członkiem rodziny królewskiej, który przejawiał takie pragnienia, a przynajmniej jedynym, który pozwalał je dostrzec. Niemniej odegrały one znaczącą rolę w zawarciu historycznej umowy, co pokazuje, jak daleko mogłem się posunąć, by doprowadzić misję do celu.

Rozdział 10

Stręczycielstwo i finansowanie Osamy bin Ladena

Od samego początku książę W. dawał mi do zrozumienia, że w czasie odwiedzin w Bostonie oczekuje towarzystwa kobiety odpowiadającej jego upodobaniom, której rola nie ograniczy się do uczestniczenia w konwersacji. Jednakże nie chciał korzystać z usług profesjonalnych *cali girls,* na które mógłby się natknąć na ulicy lub na przyjęciu. Utrzymywanie w tajemnicy moich spotkań z księciem W. ułatwiało mi spełnianie jego zachcianek.

„Sally" była piękną, niebieskooką blondynką mieszkającą w okolicach Bostonu. Jej mąż, pilot United Airlines, nie krył się specjalnie ze swoją niewiernością. Sally beztrosko podchodziła do wyskoków męża. Doceniała jego wysoką pensję, luksusowe mieszkanie i wszystkie korzyści dostępne w owym czasie dla małżonki pilota. Dziesięć lat wcześniej, jako hippiska, poznała smak rozwiązłego życia i teraz możliwość uzyskania dodatkowego, utrzymywanego w tajemnicy, dochodu wydawała się jej bardzo kusząca. Zgodziła się dać księciu W. szansę, ale postawiła warunek: przyszłość ich związku miała zależeć od tego, jak będzie się wobec niej zachowywał.

Na szczęście dla mnie każde z nich spełniało wymagania drugiego.

Ich romans przysparzał mi licznych kłopotów. MAIN surowo zabraniała pracownikom nielegalnych działań, a z prawnego punktu widzenia zajmowałem się stręczycielstwem, traktowanym w Massachusetts jako przestępstwo. Największym problemem było opracowanie metody płacenia za usługi Sally. Na szczęście dział księgowy

pozostawiał mi wiele swobody przy wykorzystywaniu mojego limitu wydatków służbowych. Zawsze dawałem hojne napiwki, więc udało mi się namówić kelnerów w kilku ekskluzywnych bostońskich restauracjach do wystawienia faktur in blanco. Były to jeszcze czasy, gdy to ludzie, a nie komputery, wypisywali rachunki.

W miarę upływu czasu książę W. stawał się coraz śmielszy. W końcu poprosił mnie, bym zorganizował przeprowadzkę Sally do jego prywatnej rezydencji w Arabii Saudyjskiej. Prośba taka nie była czymś niezwykłym w tamtych czasach - pomiędzy Bliskim Wschodem a niektórymi krajami europejskimi kwitł w najlepsze handel młodymi kobietami, które zawierały kontrakty na pewien ustalony z góry okres. Gdy kontrakt wygasał, wracały do domów i do pokaźnych sum zgromadzonych na rachunkach bankowych. Robert Baer, wieloletni oficer działu operacyjnego CIA i specjalista od Bliskiego Wschodu, podsumował to następująco: „Na początku lat siedemdziesiątych XX w., gdy petrodolary zaczęły rzeką płynąć na wschód, przedsiębiorczy Libańczycy rozpoczęli przemyt prostytutek do królestwa książąt. (...) Ponieważ nikt w rodzinie królewskiej nie potrafi dodawać, Libańczycy dorobili się ogromnych majątków"[1].

Zdawałem sobie sprawę z sytuacji i nawet znałem ludzi, którzy mogliby pomóc w przeprowadzeniu transakcji. Jednakże widziałem dwa podstawowe problemy: Sally i zapłatę. Byłem pewien, że Sally nie ma ochoty na opuszczenie Bostonu i przeprowadzkę do pustynnej rezydencji na Bliskim Wschodzie. Nie ulegało również wątpliwości, że lewe faktury z restauracji nie pozwolą na sfinansowanie takiej operacji.

Książę W. wziął na siebie koszty sprowadzenia swojej nowej nałożnicy, ode mnie oczekiwał tylko zorganizowania samej transakcji. Kamień spadł mi z serca, kiedy zwierzył się, że do Arabii Saudyjskiej nie musi pojechać ta sama Sally, która dotrzymywała mu towarzystwa w Bostonie. Wykonałem kilkanaście telefonów do przyjaciół posiadających libańskie kontakty w Londynie i Amsterdamie. W ciągu kilku tygodni zastępcza Sally podpisała kontrakt.

Księcia W. cechowała złożona osobowość. Sally zaspokoiła jego cielesne żądze, a moja pomoc w tej kwestii zyskała mi jego zaufanie. Jednakże, nie przekonało go to do projektu SAMA. Musiałem

bardzo ciężko pracować, by osiągnąć sukces. Spędziłem wiele godzin prezentując mu statystyki i pomagając przeanalizować badania, które prowadziliśmy dla innych krajów - w tym modele ekonometryczne opracowane dla Kuwejtu podczas szkolenia z Claudine przed wyjazdem do Indonezji. W końcu skapitulował.

Nie wiem, w jaki sposób poczynali sobie moi koledzy, EBR-owcy, by przekonać do kontraktu innych członków rodziny królewskiej. Cały pakiet umów został jednak zaaprobowany. MAIN została za to wynagrodzona jednym z pierwszych lukratywnych kontraktów zarządzanych przez Departament Skarbu. Wybrano nas do przeprowadzenia szczegółowego badania przestarzałego i zdezorganizowanego systemu energetycznego Arabii Saudyjskiej oraz do opracowania nowego, który spełniałby standardy amerykańskie.

Jak zwykle miałem jako pierwszy wysłać swój zespół, by dla każdego regionu kraju opracować prognozy gospodarcze i wynikające z nich zapotrzebowanie na energię elektryczną. Przygotowywaliśmy się do wylotu do Rijadu, gdy z działu prawnego dotarła do nas nieoczekiwana informacja, że jednym z warunków kontraktu było założenie przez nas w Rijadzie biura w ciągu kilku najbliższych tygodni. Warunek ten został przeoczony i dostrzeżono go dopiero po jakimś miesiącu. Nasza umowa z Departamentem Skarbu określała dodatkowo, że całe wyposażenie musi pochodzić z USA albo z Arabii Saudyjskiej. Ponieważ na Półwyspie Arabskim nie produkuje się takich przedmiotów, wszystko musieliśmy zabrać ze Stanów Zjednoczonych. Ku naszemu przerażeniu odkryliśmy, że przed saudyjskimi portami oczekiwały długie kolejki tankowców - wysłanie do Królestwa transportu drogą morską mogło zająć wiele miesięcy.

MAIN nie mogła sobie pozwolić na utratę wartościowego kontraktu z powodu kilku mebli. Na zebraniu wspólników zorganizowaliśmy wielogodzinną burzę mózgów. W końcu postanowiliśmy wynająć Boeinga 747, załadować go zaopatrzeniem z bostońskich sklepów i wysłać do Arabii Saudyjskiej. Pomyślałem sobie wówczas, że całkiem na miejscu byłoby, gdybyśmy wynajęli samolot linii United Airlines, a za sterami zasiadł pewien pilot, którego żona walnie przyczyniła się do nawrócenia rodziny królewskiej na właściwą dla nas drogę.

*

Umowa zawarta ze Stanami Zjednoczonymi spowodowała niemal natychmiastową transformację Arabii Saudyjskiej. Śmieciożerne kozy zostały zastąpione dwustoma jaskrawożółtymi śmieciarkami dostarczonymi w ramach wartego 200 min dolarów kontraktu z Waste Management, Inc.[2] W podobny sposób modernizowany był każdy sektor gospodarki Królestwa, od rolnictwa i energetyki po szkolnictwo i komunikację. Thomas Lippman zanotował w 2003 roku: „Amerykanie przekształcili rozległe, monotonne krajobrazy wypełnione namiotami i glinianymi chatkami, na wzór i podobieństwo swojego kraju, włączając w to Starbucks na rogu i podjazdy dla niepełnosprawnych w najnowocześniejszych budynkach użyteczności publicznej. Dzisiejsza Arabia Saudyjska jest krajem autostrad, komputerów, klimatyzowanych centrów handlowych wypełnionych tymi samymi lśniącymi sklepami, które można znaleźć na zamożnych amerykańskich przedmieściach, krajem eleganckich hoteli, fast-foodów, telewizji satelitarnej, nowoczesnych szpitali, biurowców, a nawet parków rozrywki, w których można przejechać się na karuzeli"[3].

Plan sporządzony przez nas w 1974 roku ustanowił standardy dla przyszłych negocjacji z krajami posiadającymi bogate złoża ropy naftowej. Stanowił kolejny etap procesu zapoczątkowanego przez Kermita Roosevelta w Iranie. Do arsenału żołnierzy globalnego imperium dodana została polityczno-gospodarcza broń o zupełnie nowym poziomie zaawansowania.

SAMA i JECOR ustanowiły również precedens dla międzynarodowego wymiaru sprawiedliwości. Najlepszym przykładem może być ugandyjski dyktator Idi Amin. Po ucieczce z kraju w 1979 roku uzyskał azyl w Arabii Saudyjskiej. Pomimo tego, że ponosił odpowiedzialność za śmierć od 100 tys. do 300 tys. ludzi, spędził emeryturę w luksusie, który zagwarantowała mu rodzina królewska. Stany Zjednoczone zaprotestowały ostrożnie, ale nie naciskały z obawy przed zerwaniem kontraktu z Saudami. Amin spędził ostatnie lata swojego życia łowiąc ryby i wylegując się na plaży. W 2003 roku zmarł z powodu niewydolności nerek dożywając wieku osiemdziesięciu lat[4].

Arabia Saudyjska prowadziła również działania bardziej subtelne, lecz mające znacznie poważniejsze konsekwencje - pozwolono jej na sponsorowanie międzynarodowego terroryzmu. Stany Zjednoczone nie ukrywały swojego pragnienia, by rodzina królewska finansowała afgańską wojnę Osamy bin Ladena przeciwko ZSRR w latach osiemdziesiątych XX w. Rijad i Waszyngton przeznaczyły dla mudżahedinów łącznie około 3,5 mld dolarów[5], ale ich zaangażowanie wykraczało poza czyste finanse.

W 2003 roku magazyn *US News & World Report* przeprowadził wyczerpujące dochodzenie zatytułowane „Saudyjskie kontakty". Dziennikarze przejrzeli tysiące stron dokumentów sądowych, amerykańskich i zagranicznych raportów wywiadowczych oraz innych dokumentów, przeprowadzili wywiady z dziesiątkami urzędników rządowych i ekspertów od terroryzmu na Bliskim Wschodzie. Oto fragmenty wyciągniętych wniosków:

„Dowody są niepodważalne: Arabia Saudyjska, wieloletni sojusznik Stanów Zjednoczonych, a zarazem największy na świecie producent ropy naftowej, w jakiś sposób stała się - jak to określił wysoki rangą przedstawiciel Departamentu Skarbu - finansowym centrum terroryzmu. (...)

Począwszy od końca lat osiemdziesiątych XX w. - po irańskiej rewolucji i wojnie ZSRR z Afganistanem - saudyjskie półoficjalne organizacje charytatywne stały się głównym źródłem finansowania szybko rozwijających się ruchów terrorystycznych. Pieniądze wydawano w około 20 krajach na wojskowe obozy treningowe, zakup broni i rekrutację najemników. (...)

Według doświadczonych oficerów wywiadu szczodrość Saudyjczyków skłaniała urzędników amerykańskich do przymykania oczu. Miliardy dolarów w kontraktach, grantach i pensjach trafiły do byłych urzędników pracujących z Saudyjczykami - ambasadorów, oficerów CIA, a nawet sekretarek. (...)

Z podsłuchanych rozmów wynikało, że członkowie rodziny królewskiej wspierali nie tylko Al-Kaidę, ale i inne ugrupowania terrorystyczne"[6].

Więcej dowodów dotyczących tajnych związków pomiędzy Waszyngtonem a Rijadem ujrzało światło dzienne po atakach na World

Trade Center i Pentagon w 2001 roku. W październiku 2003 roku magazyn *Vanity Fair* ujawnił niepublikowane wcześniej informacje w szczegółowym raporcie „Ratując Saudów". Opisana w nim historia związków pomiędzy rodzinami Saudów, Bushów i Osamy bin Ladena ani trochę mnie nie zaskoczyła. Wiedziałem, że korzenie tych znajomości sięgają czasów SAMA, utworzonego w 1974 roku, oraz pierwszych szczebli kariery George'a H. W. Busha - ambasadora przy Narodach Zjednoczonych w latach 1971-1973 oraz szefa CIA w latach 1976-1977. Zdziwiło mnie tylko to, że prawda w końcu ujrzała światło dzienne. Dziennikarze *YanityFair* podsumowali to tak:

„Dwie najpotężniejsze dynastie świata - rodziny Bushów i Saudów - utrzymują bliskie osobiste, biznesowe i polityczne kontakty od ponad 20 lat. (...)

Saudowie wspierali Harken Energy, przeżywającą kłopoty firmę naftową, której udziałowcem był George W. Bush. Niedawno były prezydent George H. W. Bush oraz jego długoletni sojusznik, były Sekretarz Stanu, James A. Barker III, namawiali Saudów do zainwestowania w Carlyle Group, prawdopodobnie największą prywatną firmę na świecie. Były prezydent wciąż pełni w niej funkcję doradcy. Wśród jej udziałowców rzekomo znajdują się Saudowie oskarżani o wpieranie ugrupowań terrorystycznych. (...)

Kilka dni po 11 września bogaci Saudyjczycy - w tym członkowie rodziny bin Ladenów - zostali wywiezieni z USA prywatnymi odrzutowcami. Nikt nie przyznaje się do udzielenia zgody na ich start, nikt też nie przesłuchał pasażerów przed odlotem. Czy długotrwała znajomość Bushów z Saudami pomogła to zorganizować?[7]

Część III

LATA 1975-1981

Rozdział 17

Renegocjacja Traktatu Panamskiego i Graham Greene

Wiele osób zrobiło karierę dzięki Arabii Saudyjskiej. Moja i tak rozwijała się bardzo dobrze, ale sukces osiągnięty w pustynnym królestwie otworzył przede mną nowe perspektywy. Do roku 1977 stworzyłem swoje własne, małe imperium złożone z około dwudziestu wysoko wykwalifikowanych specjalistów pracujących w bostońskim biurze oraz zastępów konsultantów z innych departamentów i biur MAIN rozrzuconych po całym świecie. Zostałem najmłodszym wspólnikiem w stuletniej historii firmy. Do mojego tytułu Głównego Ekonomisty dodano drugi - Menedżera ds. Gospodarczego i Regionalnego Planowania. Wygłaszałem wykłady na Harvardzie i w innych instytucjach, gazety zabiegały o moje artykuły komentujące bieżące wydarzenia[1]. Posiadałem jacht, który cumował w Zatoce Bostońskiej tuż obok zabytkowego okrętu wojennego *USS Constitution,* wsławionego walkami przeciwko piratom berberskimi. Miałem fantastyczną pensję i portfel akcji, który mógł uczynić mnie milionerem jeszcze przed czterdziestką. Co prawda moje małżeństwo się rozpadło, ale spotykałem się z pięknymi i fascynującymi kobietami na kilku kontynentach.

Bruno wpadł na pomysł zastosowania nowatorskiego podejścia do procesu sporządzania prognoz - użycia modelu ekonometrycznego opartego na pracach pewnego rosyjskiego matematyka z przełomu wieków. Model ten zakładał przypisywanie subiektywnie określonych prawdopodobieństw do prognoz wzrostu wybranych

sektorów gospodarki. Wyglądał na idealne narzędzie do uzasadniania przeszacowanych wskaźników wzrostu, dzięki którym mogliśmy się ubiegać o większe kredyty. Bruno poprosił mnie, bym zastanowił się, w jaki sposób można by wykorzystać ten pomysł.

Zatrudniłem w swoim dziale młodego matematyka po MIT*, dr Nadipuram Prasad'a, i przydzieliłem mu budżet. W ciągu sześciu miesięcy zaadoptował metodę Markowa do modelowania ekonometrycznego. Wspólnie opublikowaliśmy kilka naukowych prac dowodzących, że jest ona rewolucyjnym sposobem prognozowania wpływu inwestycji infrastrukturalnych na rozwój gospodarczy.

Dokładnie tego potrzebowaliśmy - narzędzia „dowodzącego" w sposób naukowy, że wyświadczamy krajom przysługę pomagając im zaciągać długi, których nigdy nie będą w stanie spłacić. Tylko bardzo zdolny ekonometryk posiadający dużo wolnego czasu i pieniędzy mógł pojąć niuanse metody Markowa i zakwestionować wynikające z niej wnioski. Prace zostały opublikowane przez kilka prestiżowych organizacji, a my oficjalnie zaprezentowaliśmy je na konferencjach i uniwersytetach w kilku krajach. Metoda oraz my - jej twórcy - staliśmy się znani w przemyśle[2].

Omar Torrijos i ja honorowaliśmy wzajemnie naszą tajną umowę. Pilnowałem, by wyliczenia były rzetelne i brały pod uwagę los ubogich. Mimo iż marudzono, że moje prognozy nie spełniają wygórowanych standardów, a nawet, że trącą socjalizmem, to jednak MAIN wciąż zdobywała kontrakty od panamskiego rządu. Tymczasem przyglądałem się dotyczącym Kanału negocjacjom Torrijosa z Jimmy Carterem.

Rozmowy te budziły zainteresowanie i niemałe emocje na całym świecie. Ludzie z najdalszych zakątków globu patrzyli, czy Stany Zjednoczone zrobią to, co reszta świata uznawała za słuszne - pozwolą Panamczykom na przejęcie kontroli nad Kanałem - czy też spróbują kontynuować politykę Manifest Destiny mocno nadszarpniętą porażką w Wietnamie. Wielu wydawało się, że we właściwym momencie na prezydenta USA został wybrany rozsądny i przejmujący się losem innych człowiek. Jednak z bastionów konserwaty-

* MIT - Massachusetts Institute of Technology.

zmu i religijnej prawicy grzmiały głosy oburzenia. Jak moglibyśmy pozbyć się symbolu amerykańskiego geniuszu, kluczowej dla bezpieczeństwa narodowego wstęgi wody, która związywała południowoamerykańskie fortuny z interesami handlowymi USA?

Podczas podróży do Panamy przyzwyczaiłem się do mieszkania w Hotelu Continental. Jednak w czasie piątej wizyty musiałem przenieść się, ze względu na wyjątkowo hałaśliwy remont, do Hotelu Panama po drugiej stronie ulicy. Początkowo traktowałem to jako niedogodność - przecież Continental był jakby moim drugim domem. Jednak powoli przekonywałem się do nowego hotelu - z jego gościnnym fiołem wyposażonym w ratanowe fotele i drewniane wentylatory na suficie. To wnętrze mogłoby służyć za scenę do filmu *Casablanca* - wyobrażałem sobie nawet, że za chwilę w drzwiach pojawi się sam Humphrey Bogart.

Odłożyłem egzemplarz *New York Review of Books,* w którym przed chwilą przeczytałem artykuł Grahama Greene'a dotyczący Panamy i zacząłem wpatrywać się w wirujące wentylatory, przypominając sobie wieczór sprzed prawie dwóch lat.

- Ford jest słabym prezydentem i nie zostanie wybrany na drugą kadencję-przewidział OmarTorrijos w roku 1975 przemawiając do grupy wpływowych Panamczyków. Byłem jednym z nielicznych obcokrajowców zaproszonych na to spotkanie w eleganckim klubie, również wyposażonym w sufitowe wentylatory. - Dlatego właśnie chcę przyspieszyć rozmowy dotyczące Kanału. Nadszedł dobry moment, by rozpocząć zdecydowaną polityczną walkę ojego odzyskanie.

Po powrocie do hotelu wysłałem do *Boston Globe* list zainspirowany przemówieniem. Redakcja zaproponowała mi, bym napisał felieton. Tekst zatytułowany: „Nie ma miejsca na kolonializm w Panamie w roku 1975" zajął pół strony wydania z 19 września 1975 roku.

W felietonie wymieniłem trzy powody, dla których kontrolę nad Kanałem należałoby przekazać Panamczykom. Po pierwsze, wskazałem na niesprawiedliwość ówczesnej sytuacji. Po drugie, opierając się na badaniach przeprowadzonych przez Interoceanic Canal Commission, stwierdziłem, że zagrożenie dla bezpieczeństwa byłoby nawet mniejsze po przekazaniu większych uprawnień Panamie. Z badań wynikało, że bomba podłożona przez jednego człowieka na

Zaporze Gatun mogłaby spowodować wstrzymanie ruchu statków na dwa lata. Argument ten publicznie podkreślał sam Torrijos. I po trzecie wreszcie, spór o Kanał powodował wiele napięć w i tak nie najlepszych stosunkach Stanów Zjednoczonych z Ameryką Łacińską. Artykuł zakończyłem następująco:

„Najlepszym sposobem na zagwarantowanie sprawnego i niezakłóconego działania Kanału jest udzielenie Panamczykom pomocy w przejęć'.u nad nim kontroli i odpowiedzialności. Czyniąc tak udowodnimy nasze przywiązanie do wartości, o które sami walczyliśmy 200 lat temu. (...)

Kolonializm był równie popularny w pierwszych latach XX wieku, co w roku 1775. Kontekst historyczny może tłumaczyć powody podpisania traktatu w 1903 roku, ale w dzisiejszych czasach nie ma on już żadnego uzasadnienia. Nie ma miejsca na kolonializm w roku 1975. My, Amerykanie, świętując dwustulecie naszej niepodległości powinniśmy zdać sobie z tego sprawę i podejmować właściwe decyzje"[3].

Napisanie tego tekstu było odważnym posunięciem z mojej strony biorąc pod uwagę, że ostatnio uczyniono mnie wspólnikiem MAIN. Od wspólników oczekiwano raczej unikania prasy i powstrzymywania się od wygłaszania politycznych rozpraw, tym bardziej na łamach najbardziej prestiżowej gazety wychodzącej w Nowej Anglii. Poprzez pocztę firmową otrzymałem stos nieprzyjemnych, w większości anonimowych liścików przypiętych do kopii artykułu. Na jednym z nich rozpoznałem pismo Charliego Illingworth'a, szefa mojego pierwszego projektu. Charlie spędził w firmie ponad 10 lat - dwukrotnie dłużej ode mnie - a wciąż nie był wspólnikiem. Na kartce widniała trupia czaszka ze skrzyżowanymi piszczelami, a podpis głosił: „Czy ten komuch naprawdę jest wspólnikiem w naszej firmie?"

Bruno wezwał mnie do swojego gabinetu.

- Będziesz miał sporo kłopotów przez ten artykuł. MAIN jest bardzo konserwatywną firmą. Ale ja uważam, że to mądre posunięcie z twojej strony. Torrijos będzie wniebowzięty. Mam nadzieję, że przesłałeś mu kopię? Dobrze. Ci jajcarze w biurze, którzy myślą, że Torrijos to socjalista, będą siedzieć cicho, dopóki dostajemy zlecenia.

Bruno miał rację - jak zwykle. Nastał rok 1977, w Białym Domu rządził Carter, a negocjacje dotyczące Kanału trwały. Wielu konkurentów MAIN opowiedziało się po niewłaściwej stronie i straciło zlecenia z Panamy, ale my dostawaliśmy ich coraz więcej. Siedziałem więc w Hotelu Panama i przeglądałem artykuł Grahama Greene'a dla *New York Review of Books.*

Tekst zatytułowany „Kraj o pięciu granicach" w odważny sposób poruszał problem korupcji wśród wysokich rangą oficerów panamskiej Gwardii Narodowej. Autor zwracał uwagę na fakt, że generał sam przyznawał się do dawania wielu podwładnym specjalnych przywilejów, takich jak luksusowe mieszkania, ponieważ uważał, że: „Jeśli ja im nie zapłacę, zrobi to CIA". W rezultacie takiego podejścia amerykański wywiad pragnął pokrzyżować plany Cartera, chociażby przekupując panamskich dowódców wojskowych[4]. Zastanawiałem się, czy szakale zaczęły już krążyć wokół Torrijosa.

W dziale „Ludzie" magazynu *TIME*, a może *Newsweek,* widziałem swego czasu zdjęcie Torrijosa siedzącego razem z Grahamem Greene'em. Podpis mówił, że pisarz bywał gościem specjalnym generała, który z biegiem czasu stał się jego przyjacielem. Zastanawiałem się, co Torrijos myślał o tym niewątpliwie zaufanym człowieku, gdy czytał jego krytyczny artykuł.

Tekst Greene'a przywołał pytanie, które zadałem sobie siedząc przy stole z Torrijosem w roku 1972. Założyłem wówczas, że generał wiedział, iż program pomocy zagranicznej miał uczynić go bogatym, a jego kraj obciążyć długiem. System opierał się na założeniu, że wszystkich ludzi mających władzę można skorumpować. Gdyby Torrijos zdecydował się wykorzystać środki w sposób przynoszący korzyść narodowi, a nie jemu samemu, mogłoby to zostać odczytane jako zagrożenie dla przyszłości systemu. Oczy całego świata były zwrócone na Panamę, a skutki działań generała miały sięgnąć daleko poza granice jego kraju.

Zastanawiałem się, jak zareaguje korporacjokracja, jeżeli kredyty udzielone Panamie przeznaczone zostaną na pomoc biednym, zamiast wpędzać kraj w pętlę zadłużenia. Ciekaw byłem, czy Torrijos żałował zawartej ze mną umowy - ja sam do końca nie wiedziałem, co mam o niej myśleć. Wyszedłem z tradycyjnej roli EBR-owca.

Graliśmy według jego warunków - uczciwość w zamian za kolejne kontrakty. Z czysto ekonomicznego punktu widzenia była to słuszna decyzja dla MAIN. Jednakże odbiegała od tego, co wpajała mi Claudine - nie posuwała naprzód globalnego imperium. Czy to nie przyciągnęło uwagi szakali?

Opuszczając tamtego dnia bungalow Torrijosa pomyślałem sobie, że historia Ameryki Łacińskiej jest wybrukowana ciałami martwych bohaterów. System oparty na korumpowaniu osób publicznych nie toleruje ludzi nie dających się korumpować.

Postać przechodząca przez hall wyrwała mnie z zamyślenia. Wydawała się dziwnie znajoma. Pomyślałem, że to może Humphrey Bogart, ale przecież Bogart od dawna już nie żył. Czy oczy płatały mi figle? Dopiero po chwili rozpoznałem w mijającym mnie mężczyźnie jedną z najznamienitszych postaci angielskiej literatury, autora „Mocy i chwały", „Komediantów", „Naszego człowieka w Hawanie" i artykułu, który przed chwilą przeczytałem. Graham Greene zawahał się przez moment, rozejrzał i udał się do kafejki.

Korciło mnie, by go zagadnąć, ale się powstrzymałem. Wewnętrzny głos ostrzegł mnie, że pisarz na pewno potrzebuje prywatności, i że może mnie po prostu zignorować. Podniosłem *New York Review of Books* i udałem się za nim do kafejki.

Tego dnia jadłem już śniadanie, więc *maitre d'hotel* obrzucił mnie zdziwionym spojrzeniem. Rozejrzałem się wokół. Graham Greene siedział samotnie przy stoliku pod ścianą. Wskazałem na stolik obok.

- Czy mógłbym tam usiąść na drugie śniadanie? - wskazałem.

Hojne napiwki zaprocentowały. *Maitre d'hotel* uśmiechnął się porozumiewawczo i zaprowadził mnie do stolika.

Pisarz siedział zatopiony w lekturze gazety. Zamówiłem kawę i rogaliki z miodem. Chciałem poznać zdanie Greene'a na temat Panamy, Torrijosa i całego zamieszania z Kanałem, ale nie miałem pojęcia, w jaki sposób zagaić rozmowę. Wykorzystałem moment, gdy oderwał wzrok od gazety podnosząc do ust filiżankę.

- Przepraszam - powiedziałem.

Spojrzał na mnie badawczo.

-Tak?

- Przepraszam, że przeszkadzam, pan Graham Green, prawda?

- Tak, faktycznie - uśmiechnął się ciepło. - Większość ludzi w Panamie mnie nie rozpoznaje.

Zapewniłem go, że jest moim ulubionym autorem, a później opowiedziałem krótką historię życia, wspominając o pracy w MAIN i spotkaniach z Torrijosem. Zapytał, czy to ja jestem tym konsultantem, który napisał artykuł postulujący wycofanie się Stanów Zjednoczonych z Panamy.

- W *Boston Globe,* o ile sobie przypominam?

Osłupiałem.

- Odważne wystąpienie, biorąc pod uwagę pana stanowisko - kontynuował. - Może się pan do mnie przyłączy?

Przeniosłem się do jego stolika, gdzie spędziłem następne półtorej godziny. W trakcie pogawędki zacząłem zdawać sobie sprawę, jak bardzo zbliżył się z Torrijosem. Niekiedy wyrażał się o prezydencie tak, jakby ojciec mówił o synu.

- Generał - opowiadał - zaprosił mnie, bym napisał książkę o jego kraju. Właśnie tym się teraz zajmuję. Będzie oparta na faktach, trochę nie w moim stylu.

Zapytałem go, dlaczego wolał pisać powieści, zamiast tworzyć literaturę faktu.

- Fikcja jest bezpieczniejsza - odparł. - Większość moich powieści dotyczy kontrowersyjnych kwestii - Wietnamu, Haiti, Rewolucji Meksykańskiej. Wielu wydawców bałoby się wydać książkę o tej tematyce opartą na faktach. - Wskazał na *New York Review of Books,* który zostawiłem na sąsiednim stoliku. - Takie słowa mogą spowodować wiele złego. - Uśmiechnął się. - Poza tym lubię fikcję. Daje mi dużo więcej swobody. - Spojrzał na mnie wymownie. - Najważniejsze jest, by pisać o tym, co naprawdę ma znaczenie. Jak pański artykuł o Kanale w *Globe.*

Greene podziwiał Torrijosa. Najwyraźniej panamski prezydent potrafił oczarować go tak samo jak mieszkańców slumsów. W równie widoczny sposób pisarz obawiał się o życie swojego przyjaciela.

- To tytaniczne przedsięwzięcie - podkreślił - stawianie czoła Gigantowi Północy. - Smutno potrząsnął głową. - Boję się o jego bezpieczeństwo.

W końcu zaczął zbierać się do wyjścia.

- Muszę złapać samolot do Francji - powiedział wstając powoli i ściskając mi dłoń. Spojrzał mi prosto w oczy. - Dlaczego pan nie napisze książki? - zachęcająco skinął głową. - Ma pan to w sobie. Tylko proszę pamiętać, niech pan pisze o rzeczach, które naprawdę mają znaczenie - odwrócił się i odszedł, ale po chwili cofnął się kilka kroków.

- Proszę się nie obawiać - powiedział na odchodnym - generał przetrwa. I odzyska Kanał.

Torrijos faktycznie odzyskał kanał. W tym samym roku 1977 skutecznie wynegocjował z prezydentem Carterem nowe traktaty, które przekazały Strefę Kanału i sam Kanał pod kontrolę Panamczyków. Biały Dom musiał jeszcze przekonać Kongres do ratyfikacji. Rozpoczęła się żmudna batalia. W ostatecznej rozgrywce traktat został ratyfikowany, ale zaledwie jednym głosem. Konserwatyści poprzysięgli zemstę.

Graham Greene zadedykował swoją opartą na faktach książkę wydaną wiele lat później „przyjaciołom mojego przyjaciela, Omara Torrijosa, w Nikaragui, Salwadorze i Panamie"[5].

Rozdział 17

Irański Król Królów

W latach 1975-1978 często odwiedzałem Iran. Podróżowałem pomiędzy Ameryką Łacińską i Indonezją, a Teheranem. W kraju rządzonym przez Szacha Szachów (dosłownie „Król Królów", oficjalny tytuł władcy) mieliśmy do czynienia z zupełnie odmienną sytuacją, niż w innych państwach.

Iran posiadał bogate złoża ropy naftowej i, podobnie jak Arabia Saudyjska, nie potrzebował kredytów do sfinansowania swoich ambitnych inwestycji, aczkolwiek znacząco różnił się od swej sąsiadki. W Iranie mieszkało znacznie więcej ludzi, niekoniecznie Arabów, mających bliskowschodnie i muzułmańskie korzenie. W dodatku kraj ten miał za sobą bardzo burzliwe dzieje wewnętrzne, a stosunki z państwami ościennymi również nie należały do przyjaznych. Przyjęliśmy więc inną strategię. Waszyngton i koła biznesu połączyły siły, aby wykreować szacha na symbol postępu.

Rozpoczęliśmy intensywną kampanię, która miała pokazać światu, co może osiągnąć silny, demokratyczny władca wspierający korporacyjne i polityczne interesy Stanów Zjednoczonych. Mniejsza o wybitnie niedemokratyczny tytuł i mniej już oczywistą pomoc CIA w obaleniu demokratycznie wybranego premiera. Biały Dom i jego europejscy partnerzy pragnęli za wszelką cenę przedstawić rządy szacha jako alternatywę dla państw takich jak Irak, Libia, Chiny, Korea i inne, w których narastały silne antyamerykańskie tendencje.

Na pierwszy rzut oka szach był dobroczyńcą biedaków. W roku 1962 nakazał podzielenie dużych prywatnych posiadłości ziemskich i przekazanie ziemi chłopom. Rok później zapoczątkował Białą Rewolucję, która zawierała w sobie program reform społeczno-gospodarczych. OPEC rosło w siłę w latach siedemdziesiątych XX w., a szach stał się niezwykle wpływowym światowym przywódcą. W międzyczasie tworzył jedną z najpotężniejszych armii na muzułmańskim Bliskim Wschodzie.[1]

MAIN brała udział w projektach obejmujących prawie cały kraj, od turystycznej riwiery nad brzegiem Morza Kaspijskiego na północy po tajne instalacje wojskowe strzegące Cieśniny Hormuz na południu. Nasze zadanie i tym razem polegało na opracowaniu prognoz możliwości rozwoju poszczególnych regionów oraz na zaprojektowaniu systemów energetycznych niezbędnych dla mającego tam powstać przemysłu.

Odwiedziłem większość regionów Iranu. Podążyłem starodawnym szlakiem karawan wiodącym przez pustynne wzgórza - od Kirmanu po Bandar 'Abbas. Zwiedziłem ruiny Persepolis - legendarnego pałacu starożytnych królów, niegdyś jednego z cudów świata. Odwiedziłem najwspanialsze i najbardziej znane miejsca - Shiraz, Isfahan oraz leżące niedaleko Persepolis niesamowite miasto namiotów, w którym odbyła się koronacja szacha. W rezultacie tych podróży szczerze pokochałem Iran i jego niezwykłych mieszkańców.

Z pozoru kraj ten zdawał się być doskonałym przykładem pokojowego współistnienia chrześcijan i muzułmanów. Jednak szybko odkryłem, że pod warstwą spokoju może kryć się wiele nienawiści.

Pewnego dnia w 1977 roku wróciłem późnym wieczorem do pokoju hotelowego i odkryłem wsuniętą pod drzwiami kartkę. Ze zdumieniem stwierdziłem, że podpisał ją niejaki Yamin. Nigdy dotąd nie spotkałem tego człowieka, ale na odprawie z udziałem przedstawicieli rządu opisano go jako znanego radykała. W pięknej angielszczyźnie notatka zapraszała mnie na spotkanie w restauracji i zarazem ostrzegała, że powinienem przyjść tylko wtedy, jeżeli chcę poznać twarz Iranu, o której ludzie o „mojej pozycji" nigdy się nie dowiadują. Zastanawiałem się, czy Yamin wiedział, jaka naprawdę

była moja pozycja. Zdawałem sobie sprawę z dużego ryzyka, ale nie mogłem nie skorzystać z okazji poznania tej enigmatycznej postaci.

Taksówka wysadziła mnie przed malutką bramą umieszczoną w murze tak wysokim, że nie dostrzegałem znajdującego się za nią budynku. Piękna Iranka ubrana w długą czarną szatę poprowadziła mnie korytarzem oświetlanym przez bogato zdobione lampy naftowe zwisające z niskiego sufitu. W końcu wkroczyliśmy do pomieszczenia skrzącego się niczym wnętrze diamentu. Oszołomiło mnie piękno tego wnętrza - ściany inkrustowano półszlachetnymi kamieniami i masą perłową, zaś oświetlenie zapewniały wysokie białe świece umieszczone w rzeźbionych żyrandolach z brązu.

Wysoki mężczyzna o długich czarnych włosach ubrany w błękitny, dobrze skrojony garnitur podszedł do mnie i uścisnął mi dłoń. Przedstawił się jako Yamin, a jego akcent sugerował, że był Irańczykiem wykształconym w Wielkiej Brytanii. Uderzyło mnie, że zdecydowanie nie wyglądał na antyrządowego radykała. Poprowadził mnie obok stolików, przy których posilały się w milczeniu pary, do zacisznej wnęki w głębi pomieszczenia. Zapewnił mnie, że możemy bezpiecznie rozmawiać. Odniosłem wrażenie, że restauracja specjalizowała się w obsłudze potajemnych spotkań kochanków. Nasze spotkanie było tamtej nocy prawdopodobnie jedynym o odmiennym charakterze.

Yamin okazał się niezwykle serdecznym człowiekiem. W trakcie rozmowy stało się jasne, że uważał mnie po prostu za ekonomicznego konsultanta nie kierującego się żadnymi ukrytymi motywami. Wyjaśnił, że zaproponował mi spotkanie, ponieważ wiedział o mojej działalności ochotniczej w *Peace Corps* oraz o moich podróżach po Iranie i o fakcie, że przy każdej sposobności nawiązywałem kontakty z jego mieszkańcami.

- Jest pan bardzo młody w porównaniu z innymi przedstawicielami pańskiego zawodu - powiedział. - Jest pan żywo zainteresowany naszą historią i naszymi problemami. Reprezentuje pan nadzieję.

Otoczenie, wygląd mojego rozmówcy, a także obecność osób postronnych dawały mi poczucie bezpieczeństwa. Przyzwyczaiłem się do osób starających się ze mną zaprzyjaźnić - jak Rasy na Jawie, czy Fidel w Panamie - i traktowałem ten fakt jako komplement i szansę zarazem.

Wyróżniałem się spośród innych Amerykanów, ponieważ dawałem się oczarować miejscom, które odwiedzałem. Odkryłem, że ludzie traktują cię ciepło, jeżeli otworzysz na ich kulturę oczy, uszy i serce.

Yamin zapytał mnie, czy słyszałem o projekcie Kwitnącej Pustyni.[2]

- Szach uważa, że nasze pustynie były niegdyś żyznymi równinami, na których rosły trawy i lasy. Według jego teorii, za panowania Aleksandra Wielkiego potężne armie maszerowały przez nasze ziemie prowadząc ze sobą miliony kóz i owiec, które wyjadły całą roślinność. To doprowadziło do suszy, a cały region zmienił się w pustynię. Teraz musimy jedynie zasadzić miliony drzew, a później, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, deszcze powrócą, a pustynia znów zakwitnie. Oczywiście na realizację tego celu trzeba będzie wydać setki miliony dolarów. - Uśmiechnął się sarkastycznie. - Firmy takie jak pańska zarobią krocie.

- Rozumiem, że nie wierzy pan w tę teorię.

- Pustynia to symbol. Przekształcenie jej w zieloną równinę wymaga czegoś więcej, niż tylko rolnictwa.

Kilku kelnerów znienacka pojawiło się obok nas z wózkami wypełnionymi pięknie skomponowanymi irańskimi potrawami. Yamin poprosił o przyzwolenie, a następnie wybrał jedzenie dla nas obydwu, po czym odwrócił się do mnie.

- Chciałbym zadać panu pytanie, panie Perkins, o ile mi wolno. Co doprowadziło do zniszczenia kultury rdzennych mieszkańców Ameryki - Indian?

Odpowiedziałem, że złożyło się na to szereg czynników, włączając w to chciwość i lepsze uzbrojenie osadników.

- Tak, to wszystko prawda. Ale czy nie spowodowało tego również zniszczenie środowiska? - Zaczął wyjaśniać, że wyrąb lasów, wybicie bizonów, a następnie umieszczenie Indian w rezerwatach podkopało podstawy ich kultury. - Widzi pan, tak samo jest u nas. Pustynia stanowi nasze środowisko życia. Projekt Kwitnącej Pustyni zagraża naszej tożsamości. Nie możemy na to pozwolić.

Odpowiedziałem mu, że przedsięwzięcie wymyślili przecież sami Irańczycy. Uśmiechając się szyderczo odparł, że pomysł został szachowi podsunięty przez rząd Stanów Zjednoczonych, którego król jest jedynie marionetką.

- Prawdziwy Pers nigdy by się na coś takiego nie zgodził - stwierdził Yamin, a następnie rozpoczął dyskurs na temat związków pomiędzy Beduinami, a pustynią. Podkreślał fakt, że wielu Irańczyków mieszkających w miastach spędza wakacje na pustyni. Rozstawiają duży namiot dla całej rodziny i mieszkają w nim tydzień lub dwa.

- Lud, którym szach rządzi swoją żelazną ręką, nie tylko *pochodzi* z pustyni, on *jest* pustynią - emocjonował się, aż w końcu opowiedział mi o swoich własnych przeżyciach z nią związanych.

Gdy wieczór dobiegł końca, odprowadził mnie do bramy w murze. Taksówka już na mnie czekała. Yamin uścisnął mi dłoń i podziękował za czas, który mu poświęciłem. Znów wspomniał 0 mojej otwartości i młodym wieku oraz o jego nadziei związanej z zajmowanym przeze mnie stanowiskiem.

- Bardzo się cieszę, że mogłem spędzić wieczór z człowiekiem takim jak pan - wciąż trzymał mą dłoń w swoich. - Chciałbym pana prosić o jeszcze jedną przysługę. Nie przychodzi mi to łatwo 1 robię to wyłącznie dlatego, iż wiem, że dla pana będzie to coś znaczyć. A przy okazji może się okazać bardzo interesującym doświadczeniem.

- Cóż to takiego?

- Chciałbym panu przedstawić bliskiego przyjaciela, który może panu wiele powiedzieć o naszym Królu Królów. Może pana zszokować, ale zapewniam, że nie pożałuje pan poświęconego mu czasu.

Rozdział 17

Wyznania torturowanego człowieka

Kilka dni później Yamin wywiózł mnie przez zakurzone slumsy z Teheranu na skraj pustyni. O zachodzie słońca dotarliśmy do celu - skupiska małych glinianych chatek otoczonych palmami.

- To bardzo stara oaza - wyjaśnił. - Jej początki sięgają wielu wieków sprzed podróży Marco Polo. - Zaprowadził mnie do jednej z chatek. - Człowiek, którego pan za chwilę pozna, zdobył tytuł doktora na jednym z waszych najbardziej prestiżowych uniwersytetów. Z powodów, które za chwilę staną się jasne, nie mogę zdradzić jego imienia. Może go pan nazywać doktorem.

Zapukał do drzwi. Ktoś wewnątrz odpowiedział niewyraźnie. Yamin otworzył drzwi i weszliśmy do środka. Malutka izba nie posiadała okien, a jedyne źródło światła stanowiła lampa naftowa stojąca na niskim stoliku w rogu pomieszczenia. Gdy oczy przyzwyczaiły się do mroku, zauważyłem perskie dywany wyściełające klepisko i sylwetkę mężczyzny siedzącego przed lampą w taki sposób, że rysy jego twarzy pozostawały w cieniu. Mogłem dostrzec jedynie, że opatulono go kocami i owiązano czymś głowę. Siedział na wózku inwalidzkim, który - oprócz stolika i dywanów - stanowił jedyne wyposażenie pokoju. Yamin zachęcił mnie, bym usiadł na dywanie. Podszedł do mężczyzny na wózku, objął go delikatnie i powiedział mu coś na ucho. Później usiadł obok mnie.

-Opowiadałem panu, doktorze, o panu Perkinsie - zaczął. - Obaj jesteśmy zaszczyceni, że zechciał nas pan przyjąć.

- Witam, panie Perkins - głos mężczyzny był cichy i chrapliwy, bez żadnego wyraźnego akcentu. Bezwiednie pochyliłem się do przodu, gdy zaczął mówić. - Ma pan przed sobą inwalidę. Jednak nie zawsze tak wyglądałem - kiedyś byłem silny, tak jak pan. Pracowałem jako bliski i zaufany doradca szacha. - Zamilkł na dłuższą chwilę. - Szacha Szachów, Króla Królów. - Głos przepełniał bardziej smutek niż gniew.

- Znałem osobiście wielu światowych przywódców - kontynuował. - Eisenhowera, Nixona, de Gaulle'a. I oni, i szach ufali, że pomogę wprowadzić Iran do kapitalistycznego obozu - wydał z siebie dźwięk, który można było zinterpretować jako kaszel, ale mi wydał się śmiechem. - A ja ufałem szachowi. Wierzyłem jego retoryce. Byłem pewien, że nasz kraj poprowadzi muzułmański świat ku nowej epoce, że Persja spełni swą obietnicę, która wydawała się naszym przeznaczeniem - szacha, moim, wszystkich nas, realizujących marzenie, dla którego się urodziliśmy.

Koce poruszyły się, wózek zaskrzypiał i obrócił się nieznacznie. Mogłem teraz dostrzec zarys twarzy mężczyzny - zapuszczoną brodę i... nagle przeszedł mnie dreszcz - nienaturalną płaskość. Nie miał nosa! Z ust wyrwało mi się westchnienie.

- Niezbyt piękny widok, prawda? Szkoda, że nie może pan zobaczyć tego w normalnym świetle, moja twarz wygląda naprawdę groteskowo. - Znów usłyszałem krztuszący się śmiech. - Ale rozumie pan, że muszę pozostać anonimowy. Oczywiście mógłby pan poznać moją tożsamość, gdyby się pan postarał, ale mógłby się pan dowiedzieć, że już nie żyję. Oficjalnie już mnie nie ma. Jednak ufam, że nie będzie pan tego próbował. Tak będzie bezpieczniej dla pana i pańskiej rodziny. Ręka szacha i SAVAK sięga daleko.

Wózek znów zaskrzypiał i powrócił do pierwotnej pozycji. Poczułem ulgę, jakby ukrycie kalectwa w mroku cofnęło wyrządzoną temu człowiekowi krzywdę. Aż dotąd nie znałem tego islamskiego zwyczaju obcinania nosa osobom, które zhańbiły społeczność lub władcę. Tym sposobem zostawały napiętnowane na całe życie.

- Na pewno się pan zastanawia, po co pana tu zaprosiliśmy - powiedział mężczyzna na wózku, ale kontynuował nie czekając na

moją reakcję. - Widzi pan, człowiek, który nazywa siebie Królem Królów, jest w istocie sługą diabła. Jego ojciec został odsunięty od władzy przez wasze CIA, niestety z moją pomocą - wmówili mi, że kolaborował z nazistami. A potem była zawierucha z Mossadegh'em. Dziś szach jest na najlepszej drodze, by w krzewieniu zła prześcignąć Hitlera. Wszystko zaś dzieje się przy wiedzy i pełnym poparciu pańskiego rządu.

- Dlaczego? - zapytałem.

-Z bardzo prostej przyczyny - szach jest waszym jedynym prawdziwym sojusznikiem na Bliskim Wschodzie, a przemysłowy świat napędza ropa stąd pochodząca. Oczywiście jest jeszcze Izrael, ale ten kraj raczej stanowi wasze zobowiązania, a nie aktywa. No i nie ma tam ropy. Wasi politycy muszą dbać o głosy żydowskich wyborców i zdobywać jakoś pieniądze na kampanie wyborcze. Tak więc obawiam się, że jesteście skazani na Izrael. Iran, dla odmiany, to kluczowy partner. Wasze firmy naftowe, posiadające nawet więcej władzy niż Żydzi, potrzebują nas. Potrzebujecie naszego szacha, a przynajmniej tak wam się wydaje - podobnie jak wydawało się wam, że potrzebujecie skorumpowanych przywódców Wietnamu Południowego.

- Co pan sugeruje? Czy Iran może stać się drugim Wietnamem?

- Potencjalnie czymś dużo gorszym. Widzi pan, szach długo nie przetrwa. Świat muzułmański go nienawidzi. Nie tylko Arabowie, ale muzułmanie we wszystkich krajach - Indonezji, USA, ale przede wszystkim jego własny naród, Persowie. - Ze zdenerwowania zaczął uderzać w oparcie wózka. - Reprezentuje sobą zło! My, Persowie, nienawidzimy go. - Zamilkł i słyszałem tylko przyspieszony oddech, tak jakby ta tyrada kompletnie go wyczerpała.

- Doktor pozostaje w bliskich kontaktach z mułłami - powiedział mi Yamin stłumionym głosem. - Podziemny ruch religijny rośnie w siłę i opanowuje większość kraju - z wyjątkiem garstki tych, którzy bogacą się dzięki kapitalizmowi szacha.

- Wierzę panu - odparłem - ale muszę powiedzieć, że w trakcie moich podróży nic takiego nie dostrzegłem. Wszyscy, z którymi

rozmawiałem, wydawali się kochać szacha i doceniać rozwój gospodarczy.

- Nie mówi pan po persku - zauważył Yamin. - Słyszy pan tylko to, co mówią panu ludzie odnoszący największe korzyści. Wszyscy wykształceni w Stanach Zjednoczonych albo w Anglii kończą na etacie u szacha. Doktor jest wyjątkiem, w tej chwili.

Przerwał zastanawiając się nad kolejnymi słowami.

- Podobnie jest z waszą prasą. Dziennikarze rozmawiają tylko z ludźmi z otoczenia szacha. Oczywiście w większość prasa też jest kontrolowana przez przemysł naftowy. Tak więc słyszy tylko to, co chce słyszeć, i pisze to, co reklamodawcy chcieliby przeczytać.

- Dlaczego mówimy panu to wszystko? - głos doktora brzmiał jeszcze bardziej chrapliwie niż przedtem, jakby wysiłek związany z rozmową i związanymi z nią emocjami pozbawił go już tej niewielkiej ilości energii, którą wygospodarował na spotkanie. - Ponieważ chcemy pana namówić, by wyjechał pan i przekonał swoją firmę do opuszczenia tego kraju. Chcemy pana ostrzec, że nadzieje na zarobienie tutaj dużych pieniędzy są złudne - ten rząd nie przetrwa długo. - Znów usłyszałem uderzenie ręką o wózek. - A kiedy to się stanie, nowy rząd nie będzie miał współczucia dla pana i pańskich pobratymców.

- Sugeruje pan, że nam nie zapłacicie?

Atak kaszlu zgiął ciało doktora wpół. Yamin podszedł do niego i pogładził go po plecach. Gdy kaszel ustał, powiedział coś po persku i wrócił na swoje miejsce.

- Musimy skończyć tę rozmowę - stwierdził. - Odpowiadając na pana pytanie: nie, nie otrzymacie zapłaty. Wykonacie całą pracę, a gdy nadejdzie czas, by wystawić rachunek, szacha już tu nie będzie.

W trakcie drogi powrotnej zapytałem Yamina, dlaczego próbują ostrzec MAIN przed finansową katastrofą, którą przewidują.

- Z radością oglądalibyśmy bankructwo pana firmy. Jednak wolelibyśmy, abyście po prostu opuścili Iran. Liczymy na to, że jeżeli odejdzie jedna duża firma - taka jak pańska - może zachęcić do te-

go inne. Widzi pan, nie chcemy tutaj rozlewu krwi, ale szach musi odejść i spróbujemy wszystkiego, co mogłoby ułatwić ten proces. Tak więc modlimy się do Allacha, by przekonał pan pana Zambotti'ego do wyniesienia się, póki jest jeszcze czas.

- Dlaczego ja?

-Podczas naszej rozmowy o projekcie Kwitnącej Pustyni zorientowałem się, że jest pan otwarty na prawdę. Upewniłem się, że nasze informacje były rzetelne - jest pan człowiekiem stojącym pomiędzy dwoma światami - człowiekiem środka.

Zastanowiło mnie, jak wiele naprawdę o mnie wiedział.

Rozdział 17

Upadek Króla

Pewnego wieczoru 1978 roku siedziałem w luksusowym barze Hotelu InterContinental w Teheranie. Nagle ktoś dotknął mojego ramienia. Odwróciłem się i zobaczyłem dobrze zbudowanego Irańczyka w służbowym garniturze.

- Johnie Perkins! Nie pamiętasz mnie?

Były piłkarz przybrał na wadze, ale głos mu się nie zmienił. Był to mój dawny przyjaciel z Middlebury - Farhad. Nie widziałem go od przynajmniej dziesięciu lat. Uściskaliśmy się i usiedliśmy przy stoliku. Szybko okazało się, że wiedział wszystko o mnie i mojej pracy, ale o swojej pracy wyraźnie nie chciał opowiadać.

- Przejdźmy do rzeczy - powiedział, gdy zamówiliśmy po drugim piwie. Wylatuję jutro do Rzymu, gdzie mieszkają moi rodzice. Mam bilet również dla ciebie. Sytuacja zaczyna wymykać się spod kontroli. Musisz się stąd wynosić. - Wręczył mi bilet. Ani przez chwilę nie wątpiłem w prawdziwość jego słów.

W Rzymie zjedliśmy obiad z rodzicami Farhada. Ojciec, emerytowany irański generał, który swego czasu osłonił szacha własnym ciałem przed kulą zamachowca, okazał rozczarowanie postępowaniem swojego byłego szefa. Stwierdził, że w ostatnich latach szach odsłonił swoje prawdziwe oblicze - arogancję i chciwość. Za rozprzestrzeniającą się na Bliskim Wschodzie nienawiść generał obciążył winą politykę Stanów Zjednoczonych, a w szczególności

wspieranie Izraela, skorumpowanych przywódców i despotycznych rządów.

- Zasialiście ziarno tej rewolucji na początku lat pięćdziesiątych XX w. obalając Mossadegh'a. Uważaliście to wówczas za bardzo sprytne posunięcie, ja zresztą też. Ale teraz jego skutki wracają, by was - i nas - prześladować.[1]

Zdumiała mnie jego wypowiedź. Słyszałem podobne tezy z ust Yamina i doktora, ale teraz nabrały one nowego znaczenia. W tym czasie wszyscy wiedzieli już o istnieniu fundamentalistycznego islamskiego podziemia, ale wmówiliśmy sobie niezwykłą popularność szacha w narodzie gwarantującą mu polityczną niezwyciężalność. Generał jednak miał inne zdanie.

- Proszę zapamiętać moje słowa - powiedział poważnie. - Upadek szacha to zaledwie początek. Ukaże on, dokąd zmierza muzułmański świat. Nasza wściekłość zbyt długo tliła się pod piaskami i wkrótce wybuchnie.

Po obiedzie wiele dowiedziałem się o Ajatollahu Ruhollahu Chomeinim. Farhad z ojcem nie popierali jego fanatycznego szyizmu, ale najwyraźniej byli pod wrażeniem posunięć, którymi podkopywał pozycję szacha. Powiedzieli mi, że ten duchowny, którego imię znaczy „natchniony przez Boga", urodził się w roku 1902 w rodzinie głęboko wierzących nauczycieli szyickich w wiosce niedaleko Teheranu.

Chomeini nie zaangażował się w starcie szacha i Mossadegh'a na początku lat pięćdziesiątych XX w., ale w następnym dziesięcioleciu aktywnie sprzeciwiał się władzy szacha. Za krytykę władcy został skazany na wygnanie. Udał się do Turcji, a następnie do świętego miasta szyitów, Nadżafu w Iraku, gdzie stał się uznanym przywódcą opozycji. Wysyłał listy, artykuły i nagrane na taśmie przemówienia, w których wzywał Irańczyków do powstania, obalenia szacha i utworzenia państwa religijnego.

Dwie godziny po naszym obiedzie, z Iranu nadeszły wieści 0 zamachach bombowych i zamieszkach. Ajatollah Chomeini 1 mułłowie rozpoczęli ofensywę, która miała wkrótce utorować im drogę do władzy. Wszystko działo się bardzo szybko. Wściekłość,

o której opowiadał ojciec Farhada, znalazła ujście w islamskim powstaniu. W styczniu 1979 roku szach uciekł do Egiptu, a następnie z rozpoznaną chorobą nowotworową udał się do szpitala w Nowym Jorku.

Zwolennicy Chomeiniego zażądali jego powrotu. W listopadzie 1979 roku tłum zaatakował i zajął ambasadę USA w Teheranie biorąc na zakładników 52 obywateli amerykańskich, których przetrzymywano przez 444 dni.[2] Prezydent Carter próbował wynegocjować ich uwolnienie. Gdy negocjacje zawiodły, wydał zgodę na operację wojskową mającą ocalić zakładników. Akcja zakończyła się kompletnym fiaskiem i stanowiła gwóźdź to trumny prezydentury Cartera.

Olbrzymia presja wywierana przez amerykańskie koła gospodarcze i polityczne zmusiła chorego na raka szacha do opuszczenia Stanów Zjednoczonych. Od momentu opuszczenia Teheranu były władca miał problem ze znalezieniem bezpiecznego schronienia. Wszyscy przyjaciele odwrócili się od niego. Jednak generał Torrijos okazał swoje współczucie i zaoferował mu, mimo niskiego mniemania o jego polityce, azyl w Panamie. Szach skorzystał z propozycji i zamieszkał w tym samym kurorcie, w którym negocjowano nowy traktat dotyczący Kanału Panamskiego.

Mułłowie żądali wydania szacha w zamian za uwolnienie zakładników z ambasady. Przeciwnicy nowego traktatu w Waszyngtonie oskarżyli Torrijosa o korupcję i zmowę z szachem oraz o narażanie życia obywateli amerykańskich na niebezpieczeństwo. Oni również żądali, by wydać szacha Chomeiniemu. Wielu z nich, jeszcze kilka tygodni wcześniej, należało do zagorzałych popleczników szacha. Niegdyś dumny Król Królów ostatecznie powrócił do Egiptu, gdzie zmarł na raka.

Przewidywania doktora sprawdziły się. MAIN straciła w Iranie miliony dolarów, podobnie jak wielu naszych konkurentów. Carter stracił szanse na reelekcję. Administracja Reagana i Busha wkroczyła do Białego Domu z obietnicami uwolnienia zakładników, obalenia mułłów, przywrócenia w Iranie demokracji i uregulowania kwestii Kanału Panamskiego.

Była to gorzka lekcja. Iran ponad wszelką wątpliwość udowodnił, że my, Amerykanie, zadajemy sobie wiele trudu, by zataić prawdę o naszej roli w świecie. Trudno zrozumieć, jak mogliśmy być tak niedoinformowani o sytuacji szacha i fali nienawiści, która wzbierała przeciw niemu. Nie wiedzieli o tym nawet ci z nas, którzy pracowali w firmach posiadających biura i pracowników w Iranie. Wydaje się pewnym, że NSA i CIA musiały zauważyć to, co Torrijos uważał za oczywiste już w roku 1972. Jednak dbające o nasze własne bezpieczeństwo instytucje wywiadowcze umyślnie zachęcały nas do przymknięcia oczu.

Rozdział 17

Kolumbia: brama do Ameryki Południowej

Arabia Saudyjska, Iran i Panama oferowały możliwość zebrania fascynujących doświadczeń, ale zarazem stanowiły wyjątek od reguły. Wielkie złoża ropy naftowej w dwóch pierwszych krajach oraz Kanał w trzecim czyniły je niezwykłymi. Sytuacja Kolumbii była bardziej typowa, a MAIN otrzymała zlecenie na realizację wielkiego projektu - zaprojektowania i wybudowania hydroelektrowni.

Pewien kolumbijski profesor uniwersytetu piszący książkę o historii panamerykańskich stosunków powiedział mi kiedyś, że Teddy Roosevelt doceniał znaczenie jego ojczyzny. Amerykański prezydent ponoć określił kiedyś ten kraj mianem „bramy do Ameryki Południowej". Nigdy nie zweryfikowałem tej opowieści, ale na mapie faktycznie Kolumbia wydaje się łączyć kraje południa kontynentu z Przesmykiem Panamskim.

Niezależnie od tego, czy Roosevelt faktycznie określił w ten sposób Kolumbię, niewątpliwie był jednym z prezydentów, którzy rozumieli jej kluczowe znaczenie. Przez prawie dwa stulecia Stany Zjednoczone postrzegały ją jako bramę do Ameryki Południowej - zarówno dla biznesu, jak i polityki.

Kolumbię charakteryzuje niezwykłe piękno naturalne - palmy nad plażami Atlantyku i Pacyfiku, majestatyczne góry, pampasy mogące rywalizować z Wielkimi Równinami na amerykańskim Środkowym Zachodzie, wielkie lasy deszczowe o niezwykłym bo-

gactwie gatunków roślin i zwierząt. Mieszkańcy również są niezwykli - odziedziczyli cechy fizyczne i kulturę po najrozmaitszych grupach etnicznych - od lokalnych Taironów po wpływy z Afryki, Azji, Europy i Bliskiego Wschodu.

Kolumbia odegrała kluczową rolę w historii i kulturze Ameryki Łacińskiej. W okresie kolonialnym w kraju tym urzędował namiestnik króla Hiszpanii zarządzający terytoriami znajdującymi się na północ od Peru i na południe od Kostaryki. Floty galeonów odpływały z nadmorskiego miasta, Cartageny, transportując do portów hiszpańskich skarby zdobyte w Ameryce Południowej. Wiele ważnych zdarzeń związanych z wojnami o niepodległość miało miejsce w Kolumbii. Wojska Simona Bolivara zwyciężyły Hiszpanów w bitwie pod Bocaya w 1819 roku.

W czasach nowożytnych Kolumbia zyskała sławę wydając na świat wielu znamienitych pisarzy, artystów i filozofów Ameryki Łacińskiej, oraz odpowiedzialne i relatywnie demokratyczne rządy. Stała się wzorem dla prezydenta Kennedy'ego i jego programu budowy narodów. Jej rząd, w przeciwieństwie do gwatemalskiego, nie miał zszarganej reputacji bękarta CIA, a w przeciwieństwie do nikaraguańskiego był demokratycznie wybrany - stanowił więc alternatywę wobec prawicowych dyktatorów i komunistów. W przeciwieństwie do wielu innych krajów - w tym potężnych Brazylii i Argentyny - Kolumbia nie traktowała Stanów Zjednoczonych z nieufnością. Pomimo problemów z kartelami narkotykowymi posiadała opinię wiarygodnego sojusznika.[1]

Nienawiść i przemoc kontrastują z wzniosłymi chwilami w historii Kolumbii. Siedziba hiszpańskiego namiestnika stanowiła zarazem siedzibę inkwizycji. Wspaniałe forty, hacjendy i miasta powstały na grobach indiańskich i afrykańskich niewolników. Skarby zagrabione dawnym mieszkańcom tych ziem wywożono galeonami, a dla ułatwienia transportu przedmioty kultu i dzieła sztuki przetapiano w sztaby. Miejscowe cywilizacje zostały obrócone w pył przez miecze i choroby konkwistadorów. Zaś w czasach nowożytnych kontrowersyjne wybory prezydenckie z roku 1945 doprowadziły do głębokiego podziału pomiędzy partiami politycznymi i w rezultacie do wojny domowej, zwanej *La*

Violencia (1948-1957), w trakcie której życie straciło ponad dwieście tysięcy osób.

Pomimo wewnętrznych sprzeczności i licznych konfliktów, Waszyngton i Wall Street od początku widziały w Kolumbii kluczowy element promowania panamerykańskich interesów politycznych i gospodarczych. Wynikało to z kilku czynników: położenia geograficznego, wiary w zdolność Bogoty do inspirowania przywódców innych państw, oraz faktu, że produkuje się tam wiele cenionych w USA towarów - kawę, banany, tekstylia, szmaragdy, kwiaty, ropę i kokainę - a także sprzedaje towary wyprodukowane w Stanach Zjednoczonych.

Do najważniejszych usług, które sprzedawaliśmy Kolumbii w drugiej połowie XX wieku, należało doradztwo projektowe i budowlane. Była ona jednym z typowych państw, w których miałem okazję pracować. Nie sprawiało żadnych problemów udowodnienie, że może wchłonąć gigantyczne inwestycje finansowane kredytami, a następnie spłacić dług przychodami osiąganymi z tych inwestycji oraz ze sprzedaży surowców naturalnych. Budowa linii przesyłowych i komunikacyjnych, autostrad itp. infrastruktury miała pomóc temu krajowi w uruchomieniu zasobów ropy i gazu oraz zagospodarowaniu terenów nad Amazonką.

W teorii projekty te miały zapewnić przychody umożliwiające spłatę kredytów wraz z odsetkami. Jednakże w rzeczywistości realizowaliśmy plan podporządkowania Bogoty nadrzędnej strategii rozwijania globalnego imperium. Moje zadanie polegało na przygotowaniu uzasadnienia dla zaciągnięcia niepotrzebnych długów. Kolumbia nie posiadała swojego Torrijosa, więc nie miałem innego wyjścia i przygotowałem przeszacowane prognozy wzrostu gospodarczego i zużycia energii elektrycznej.

Ten piękny kraj stał się dla mnie azylem, którego spokój zakłócały od czasu do czasu jedynie wyrzuty sumienia związane z moją pracą. Spędziliśmy tam z Ann w sumie kilka miesięcy w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych XX w., a nawet kupiliśmy małą farmę kawową gdzieś w górach na wybrzeżu Morza Karaibskiego. Przebywanie tam jak nic innego pomagało nam w zbliżeniu się do siebie i gojeniu ran, które zadaliśmy sobie wzajemnie

w ciągu kilku poprzednich lat. Jednak ostatecznie okazały się one zbyt głębokie, a po rozpadzie naszego małżeństwa jeszcze bardziej związałem się z Kolumbią.

W latach siedemdziesiątych XX w. MAIN otrzymała sporo kontraktów na przygotowanie projektów rozwoju infrastruktury - przede wszystkim budowy sieci hydroelektrowni i linii przesyłowych dostarczających elektryczność z głębi dżungli do wysokogórskich miast. Otrzymałem do dyspozycji biuro w nadmorskim Baranąuilla i tam właśnie w roku 1977 poznałem piękną Kolumbijkę, która odegrała znaczącą rolę w moim życiu.

Paula miała długie blond włosy i niesamowite zielone oczy - zdecydowanie odbiegała od stereotypu miejscowej kobiety. Jej rodzice wyemigrowali z Włoch, a ona została projektantką mody czerpiącą natchnienie ze swego kulturowego dziedzictwa. Chcąc się rozwijać otworzyła małą fabrykę, która jej pomysły przekształcała w gotowe ubrania sprzedawane następnie w eleganckich butikach w całej Kolumbii, Panamie i Wenezueli. Była osobą współczującą i pomogła mi przejść ciężki okres po rozpadzie małżeństwa. Zajęła się niektórymi z moich niedobrych nawyków, jakich nabrałem w kontaktach z kobietami. Nauczyła mnie również wiele o konsekwencjach działań, z których składała się moja praca.

Jak już wspomniałem wcześniej, życie składa się z serii zbiegów okoliczności, nad którymi nie mamy żadnej kontroli. W moim przypadku były nimi dzieciństwo spędzone w męskiej szkole w rolniczym New Hempshire, poznanie Ann i jej wujka Franka, wojna wietnamska i spotkanie Einara Greve. Zdarzenia, które napotykamy na swojej drodze, zmuszają nas do podejmowania decyzji. Decyzje te odgrywają kluczowe znaczenie w naszym życiu. Nie znalazłbym się w obecnej sytuacji, gdybym nie ukończył szkoły z wynikiem celującym, nie poślubił Ann, nie wstąpił do Peace Corps i nie zdecydował się na karierę ekonomisty od brudnej roboty.

Paula była kolejnym z tych zbiegów okoliczności - pod jej wpływem podjąłem decyzje, które zmieniły bieg mego życia. Zanim jej nie poznałem, nie miałem większych problemów z akceptacją sy-

stemu, dla którego pracowałem. Często zadawałem sobie pytanie, dlaczego ja to wszystko robię, czasami odczuwałem wyrzuty sumienia, ale zawsze udawało mi się znaleźć jakieś uzasadnienie dla pozostania w obiegu. Może po prostu spotkałem Paulę we właściwym momencie? Być może i tak w końcu podjąłbym decyzję o wycofaniu się, być może doświadczenia z Arabii Saudyjskiej, Iranu i Panamy w końcu popchnęłyby mnie do działania. Jednak nie mam żadnych wątpliwości, że Paula stała się katalizatorem, którego w owym czasie potrzebowałem. Przekonała mnie, bym zajrzał w głąb siebie i zobaczył, że nie będę szczęśliwy kontynuując swoją brudną robotę.

Rozdział 17

Amerykańska Republika kontra Globalne Imperium

Będę z tobą szczera - powiedziała Paula pewnego dnia, gdy siedzieliśmy w kawiarni. - Indianie i wszyscy rolnicy mieszkający nad brzegami rzeki, na której budujecie tamę, nienawidzą was. Nawet mieszkańcy miast, na których życie inwestycja nie ma bezpośredniego wpływu, sympatyzują z bojówkami atakującymi budowę. Wasz rząd nazywa ich komunistami albo przemytnikami narkotyków, ale faktycznie to ludzie, którzy po prostu zamieszkują tereny niszczone przez twoją firmę.

Opowiedziałem jej o Manuelu Torresie, zatrudnionym przez MAIN kolumbijskim inżynierze, którego zaatakowano na placu budowy hydroelektrowni. Został on przyjęty do pracy z powodu wprowadzonego przez Departament Stanu zakazu wysyłania obywateli amerykańskich na miejsce tej inwestycji. Nazywaliśmy tę decyzję zasadą „kolumbijskiego mięsa armatniego". Stanowiła ona symbol podejścia, które szybko znienawidziłem. Coraz trudniej było mi pogodzić się z takimi metodami działania.

- Manuel powiedział, że napastnicy wystrzelili serię z kałasznikowa w powietrze oraz pod jego nogi - zdałem relację Pauli. - Wydawał się spokojny, gdy to opowiadał, ale wiem, że był o włos od histerii. Nikogo z pracowników nie zastrzelili, po prostu dali im ten list i spuścili w łodziach w dół rzeki.

- Mój Boże - westchnęła Paula. - Biedny człowiek, musiał być przerażony.

- Pewnie, że był. - Powiedziałem jej także, że zapytałem Manuela, czy napastnicy należeli do FARC czy do M-19 - dwóch najbardziej znanych grup partyzanckich w Kolumbii.

-No i?

- Powiedział, że do żadnej z nich. Ale uważa, że wszystko napisali w liście.

Paula podniosła gazetę i przeczytała na głos list:

- „My, którzy co dzień pracujemy walcząc o przetrwanie, przysięgamy na krew naszych przodków, że nigdy nie pozwolimy na budowę tam na naszych rzekach. Jesteśmy prostymi potomkami Indian i wolimy zginąć, niż przyglądać się, jak nasze ziemie zalewa woda. Ostrzegamy naszych kolumbijskich braci: zrezygnujcie z pracy dla firm budowlanych." - Odłożyła gazetę. - Co mu powiedziałeś?

Zawahałem się przez chwilę.

-Nie miałem wyboru. Musiałem reprezentować interes firmy. Zapytałem go, czy sądzi, że to brzmi jak list napisany przez rolnika.

Siedziała obserwując mnie w milczeniu.

- Tylko wzruszył ramionami - nasze spojrzenia spotkały się. - Paula, gardzę sobą z powodu tej pracy.

- Co zrobiłeś potem? - naciskała.

- Uderzyłem pięścią w stół. Groziłem mu. Zapytałem go, czy rolnicy z kałasznikowami wydają mu się czymś normalnym. Spytałem, czy wie, kto skonstruował kałasznikowa.

-Wiedział?

-Tak, ale ledwo wydusił z siebie odpowiedź: „Rosjanin". Powiedziałem, że ma rację - konstruktorem był komunista o nazwisku Kałasznikow, zasłużony oficer Armii Czerwonej. Przekonałem go, że autorami tego listu byli komuniści.

- A sam w to wierzysz?

Jej pytanie przerwało moją opowieść. W jaki sposób miałem na nie szczerze odpowiedzieć? Przypomniałem sobie Iran i sytuację, w której Yamin nazwał mnie człowiekiem stojącym pomiędzy dwoma światami - człowiekiem środka. W pewnym sensie żałowałem, że nie było mnie na budowie podczas ataku partyzantów, albo że sam nie byłem jednym z napastników. Ogarnęło mnie dziwne uczucie - rodzaj zazdrości wobec Yamina, doktora i kolumbijskich par-

tyzantów. Ci ludzie mieli swoje przekonania, wybrali rzeczywiste światy, a nie niczyje terytorium gdzieś pomiędzy.

- Mam zadanie do wykonania - odparłem w końcu.

Uśmiechnęła się lekko.

- Nienawidzę tego - kontynuowałem. Pomyślałem sobie o postaciach, które w tamtym okresie stawały mi często przed oczami - Tomie Paine i innych bohaterach wojny o niepodległość - oni stali w pierwszym szeregu, a nie w środku. Podjęli decyzje i ponosili ich konsekwencje. -Z każdym dniem coraz bardziej nienawidzę mojej pracy.

- Twojej pracy? - wzięła mnie za rękę.

Nasze spojrzenia spotkały się - zrozumiałem aluzję.

- Siebie.

Skinęła głową ścisnąwszy moją dłoń. Wyrzucenie tego z siebie przyniosło mi natychmiastową ulgę.

- Co zamierzasz zrobić, John?

Nie znałem odpowiedzi na to pytanie. Miejsce ulgi zajęła reakcja obronna. Wyjąkałem standardowe usprawiedliwienia: próbę czynienia dobra, poszukiwanie sposobów na zmianę systemu od środka i koronny argument - jeśli odejdę, ktoś gorszy może zająć moje miejsce. Ale po oczach Pauli wiedziałem, że jej nie przekonuję, a co gorsza nie przekonywałem samego siebie. Ona zmusiła mnie do zrozumienia, że nie mogę zwalać wszystkiego na pracę - to ja sam byłem winny.

- A ty? - spytałem. - Co ty sądzisz o tych atakach?

Westchnęła i puściła moją rękę.

- Próbujesz zmienić temat?

Przytaknąłem.

- Dobrze - zgodziła się - ale pod jednym warunkiem: jeszcze kiedyś do tego wrócimy. - Podniosła łyżeczkę i zaczęła się jej przyglądać. - Wiem, że część partyzantów odbyła szkolenie w Rosji i w Chinach. - Zanurzyła łyżkę w kawie, zamieszała i oblizała. - Czy mają inne wyjście? Muszą nauczyć się obsługi nowoczesnego uzbrojenia i umiejętności walki z żołnierzami, którzy skończyli wasze szkoły. Czasami sprzedają kokainę, by zdobyć środki na zaopatrzenie. W jaki inny sposób mogliby kupić broń? Stawiają czoła potężnym przeciwnikom. Wasz Bank Światowy nie pomoże im się

obronić, to on stawia ich w tej sytuacji. - Napiła się kawy. - Wierzę, że walczą w słusznej sprawie. Elektryczność przysłuży się tylko nielicznym, garstce najbogatszych, a tysiące ludzi umrą, gdy wasza tama zatruje wodę i doprowadzi do wymarcia ryb.

Przeszedł mnie dreszcz, gdy słuchałem, jak ze współczuciem mówiła o ludziach sprzeciwiających się nam, mnie. Odkryłem, że kurczowo zaciskałem palce.

- Skąd wiesz tak wiele o partyzantach? - zadając to pytanie przeczuwałem, że tak naprawdę wcale nie chcę znać odpowiedzi.

- Chodziłam z kilkoma do szkoły - odparła. Zawahała się i odsuwając filiżankę dodała - mój brat jest jednym z nich.

No i stało się. Byłem zdruzgotany. Myślałem, że wszystko o niej wiem, ale to… Poczułem się jak mąż, który po powrocie do domu znajduje żonę w łóżku z innym facetem.

- Dlaczego mi o tym wcześniej nie powiedziałaś?

-A dlaczego miałam powiedzieć? To nie jest coś, czym chciałabym się chwalić - przerwała. - Nie widziałam go od dwóch lat. Musi być bardzo ostrożny.

- Skąd wiesz, że wciąż żyje?

- Nie wiem. Ale rząd ostatnio umieścił go na liście poszukiwanych. To dobry znak.

Walczyłem z chęcią wygłoszenia moralizatorskiej opinii. Miałem nadzieję, że nie dostrzeże mojej zazdrości.

- Dlaczego do nich przystał? - zapytałem. Na szczęście utkwiła wzrok w filiżance.

-Przypadkiem. Demonstrował przed siedzibą koncernu naftowego. Z grupką przyjaciół protestował przeciwko prowadzeniu odwiertów na dziewiczych terenach, w lasach zamieszkiwanych przez plemię znajdujące się na skraju wymarcia. Zostali zaatakowani przez żołnierzy, pobici i wtrąceni do więzienia. Zwróć uwagę, że nie robili niczego nielegalnego - po prostu stali przed budynkiem z transparentami i śpiewali. - Wyjrzała przez okno. - Trzymano go w więzieniu przez sześć miesięcy. Nigdy nie powiedział nam, co tam się działo, ale gdy wyszedł, był zupełnie innym człowiekiem.

To była pierwsza z wielu podobnych rozmów, jakie odbyliśmy z Paulą. Myślę, że to od nich właśnie wszystko się zaczęło. Miałem

rozdartą duszę, jednak wciąż moimi działaniami kierowały pieniądze i inne słabości, które NSA zidentyfikowała w roku 1968. Paula ukierunkowywała moje przemyślenia i powoli wyciągała mnie na drogę wiodącą ku zbawieniu.

Pobyt w Kolumbii, oprócz rozwiązania dylematów osobistych, pomógł mi w zrozumieniu różnic pomiędzy dawną amerykańską republiką, a nowym globalnym imperium. Ta pierwsza dawała światu nadzieję. U jej podstaw leżały wartości natury moralnej i filozoficznej, nie materialistycznej. Zakładała równość i sprawiedliwość dla wszystkich, ale była tworem pragmatycznym - nie utopią, lecz żyjącym, oddychającym i wrażliwym na uczucia innych organizmem, który przyjmował pod swe skrzydła uciśnionych. Stanowiła inspirację i zarazem siłę, z którą trzeba się było liczyć. W razie potrzeby wkraczała do akcji - tak jak w czasie II Wojny Światowej - by bronić wartości, na straży których stała. A przecież instytucje zagrażające istnieniu republiki - wielkie korporacje, banki, administracja rządowa - mogłyby zostać wykorzystane do rozwiązania podstawowych problemów świata. Posiadają one niezbędne środki, sieci komunikacyjne i transportowe, pozwalające na wyeliminowanie chorób, głodu, a nawet wojen - o ile nakłoniono by je do takich działań.

Globalne imperium to śmiertelny wróg republiki. Jest egoistyczne, egocentryczne, chciwe i materialistyczne. Podobnie jak inne imperia w przeszłości dąży do akumulacji zasobów - chwyta wszystko, co wpadnie mu w łapy i czym może zaspokoić swoje nienasycone pragnienie posiadania. Nie zawaha się przed niczym, co pomoże jego władcom w zdobyciu większej władzy i bogactwa.

Zrozumienie różnic pomiędzy republiką a imperium pomogło mi również w określeniu mojej własnej roli, którą odgrywałem w systemie. Claudine ostrzegła mnie, czego się będzie ode mnie oczekiwać, jeżeli przyjmę ofertę MAIN. Ale dopiero praca w krajach takich jak Indonezja, Panama, Iran i Kolumbia pozwoliła mi pojąć jej głębsze implikacje. Nie do przecenienia były również cierpliwość, miłość i osobiste przeżycia innej kobiety - Pauli.

Byłem lojalny wobec amerykańskiej republiki, ale nasze działania - przejaw nowej, subtelnej formy imperializmu - miały stać się

finansowym odpowiednikiem wojskowej interwencji w Wietnamie. Gdy wydarzenia w Azji Południowo-Wschodniej nauczyły nas, że armie posiadają swoje ograniczenia, ekonomiści odpowiedzieli opracowaniem alternatywnego, lepszego planu, a agencje prowadzące programy pomocy międzynarodowej oraz prywatni wykonawcy, którzy im służyli (a może raczej sami byli obsługiwani), wyspecjalizowały się w jego realizowaniu.

W krajach na każdym kontynencie widziałem ludzi pracujących dla amerykańskich korporacji (nie wszystkie uczestniczyły w organizacji EBR-owców) biorących udział w realizacji makiawelicznego planu, o którego podstępności i szkodliwości nie śniło się nawet twórcom wszelakich teorii spiskowych. Podobnie jak wielu inżynierów w MAIN, ci pracownicy nie mieli pojęcia o skutkach swoich działań - przekonani, że fabryki należące do ich firm pomagały biednym wyjść z nędzy, a nie pogrążały ich głębiej w nowożytnym odpowiedniku niewolnictwa. Tak jak to miało miejsce w przypadku wcześniejszych form wyzysku, ci niewolnicy również zostali przekonani, że spotkał ich lepszy los od ludzi żyjących na marginesie na kresach Europy czy w dżunglach Afryki.

Moja dusza stała się polem bitwy toczonej pomiędzy sumieniem a tą drugą stroną, którą nazywałem osobowością biznesową. W swoim arsenale posiadała ona potężne bronie - moje prywatne imperium rosło w siłę, zatrudniałem nowych pracowników, podbijałem kolejne kraje i dodawałem akcje do mojego portfela inwestycyjnego, a władza dostarczała mi adrenaliny. Często przypominałem sobie Claudine, która ostrzegała mnie, że raz zasmakowawszy wystawnego stylu życia nie będę potrafił z niego zrezygnować.

Oczywiście Paula śmiała się z tego.

- Co ta cała Claudine mogła wiedzieć?

Zwróciłem Pauli uwagę, że Claudine miała rację w bardzo wielu sprawach.

- To było dawno temu. Życie wszystko zmienia. Tak czy inaczej, to nie ma znaczenia. Liczy się to, że nie jesteś szczęśliwy. Co Claudine może zrobić, by było ci jeszcze gorzej?

Paula powtarzała to jak refren i w końcu mnie przekonała. Przyznałem jej rację, że pieniądze, przygody i władza nie rekompenso-

wały już poczucia winy i stresu. Jako wspólnik w MAIN stawałem się majętnym człowiekiem i wiedziałem, że jeśli zostanę tam dłużej, to ugrzęznę na zawsze.

Pewnego dnia, gdy spacerowaliśmy wzdłuż plaży w pobliżu starego hiszpańskiego fortu w Cartagenie, który przetrwał niezliczone ataki piratów, Paula zaproponowała mi taktykę, której nigdy wcześniej nie rozważałem.

- A jeżeli nie będziesz nikomu opowiadał o sprawach, o których wiesz? - spytała.

- Mam się nie wychylać i siedzieć cicho?

- Dokładnie. Nie daj im pretekstu do ścigania cię. Wręcz przeciwnie, daj im wszelkie powody do pozostawienia cię w spokoju. Może nie będą chcieli robić niepotrzebnego szumu?

Takie podejście miało sens - zastanawiałem się, dlaczego sam na to nie wpadłem. Nie będę pisał książek, ani w inny sposób próbował wyjawić prawdy. Nie zostanę wojownikiem o sprawę, lecz przeciętną osobą korzystającą z uroków życia i podróżującą dla przyjemności. Może nawet założę rodzinę z kimś takim jak Paula. Miałem dość, po prostu chciałem się uwolnić.

- Wszystko, czego nauczyła cię Claudine jest oszustwem - dodała Paula. - Twoje życie jest jednym wielkim kłamstwem. - Uśmiechnęła się protekcjonalnie. - Czy czytałeś ostatnio swoje *resume?*

Przyznałem, że nie.

- Zrób to - poradziła. - Przeczytałam ostatnio hiszpańską wersję. Jeżeli przypomina angielską, to możesz odkryć, że jest bardzo interesujące.

Rozdział 17

Zwodnicze resume

Podczas mojego pobytu w Kolumbii otrzymałem informację, że Jake Dauber, prezes MAIN, przeszedł na emeryturę. Zgodnie z oczekiwaniami przewodniczący rady nadzorczej, Mac Hall, mianował Bruna na to stanowisko. Telefony między Bostonem a Barranąuiłłą urywały się. Wszyscy przewidywali, że ja również wkrótce dostanę awans. W końcu byłem jednym z najbardziej zaufanych protegowanych nowego prezesa.

Zmiany i towarzyszące im plotki stanowiły dla mnie dodatkową zachętę do ponownego przemyślenia mojej pozycji. Jeszcze w Kolumbii poszedłem za radą Pauli i przeczytałem hiszpańską wersję mojego *resume.* Zszokowało mnie. Po powrocie do Bostonu wyciągnąłem angielski oryginał oraz egzemplarz firmowej gazety, *MAINLINES,* z listopada 1978 roku. Wydanie to zawierało artykuł poświęcony mojej osobie, zatytułowany „Specjaliści oferują nowe usługi klientom MAIN".

Kiedyś byłem dumny z tego artykułu i z mojego życiorysu, ale teraz patrzyłem na nie oczami Pauli i czułem wzbierający gniew i irytację. Oba dokumenty zawierały informacje wprowadzające w błąd, albo wręcz kłamstwa. Dla wtajemniczonych niosły ze sobą głębokie przesłanie - odzwierciedlały rzeczywistość naszych czasów i dosięgały istoty pochodu do globalnego imperium - gry pozorów mającej ukryć prawdę przed niepowołanymi oczami. W pewnym sensie symbolizowały również historię mojego życia - nieskazitelną fasadę skrywającą tandetne wnętrze.

Nastroju nie poprawił mi oczywiście fakt, że odpowiadałem za większość zawartości *resume.* Zgodnie ze standardowymi procedurami operacyjnymi musiałem nieustannie aktualizować podstawowy życiorys oraz kartotekę zawierającą najważniejsze informacje - listę obsłużonych klientów i wykonanych dla nich projektów. Gdyby pracownik marketingu lub zarządzający projektem chciał dołączyć moje *dossier* do przygotowywanej oferty, lub wykorzystać moje umiejętności i doświadczenie w jakikolwiek inny sposób, mógł użyć tych ogólnych danych w sposób odpowiadający jego potrzebom.

Na przykład mógł podkreślić moje doświadczenie na Bliskim Wschodzie, albo fakt przeprowadzania licznych prezentacji dla Banku Światowego i na innych międzynarodowych forach. Opracowania przygotowane w ten sposób wymagały przed opublikowaniem akceptacji osoby, których dotyczyły. Ponieważ jednak bardzo dużo podróżowałem, podobnie jak wielu innych pracowników MAIN, często robiono wyjątki od tej zasady. Tak więc *resume,* które poradziła mi obejrzeć Paula, oraz jego angielski odpowiednik były mi kompletnie nieznane, chociaż wszystkie zawarte w nich informacje niewątpliwie znajdowały się w mojej kartotece.

Na pierwszy rzut oka życiorys wydawał się bardzo niewinny. W części poświęconej doświadczeniu wspominał, że prowadziłem wiele poważnych projektów w Stanach Zjednoczonych, Azji, Ameryce Łacińskiej i na Bliskim Wschodzie. Dokument określał również ich naturę: planowanie rozwoju, prognozy gospodarcze, prognozy zapotrzebowania na energię itp. Część ta kończyła się opisem mojej pracy dla *Peace Corps* w Ekwadorze, chociaż w żaden sposób nie wspominała o samym *Peace Corps,* pozostawiając wrażenie, że byłem profesjonalnym menedżerem w firmie produkującej materiały budowlane, a nie ochotnikiem pomagającym zespołowi niepiśmiennych andyjskich chłopów wytwarzających cegły.

Kolejna sekcja zawierała długą listę klientów, wśród których znalazły się *Bank for Reconstruction and Development* (oficjalna nazwa Banku Światowego), *Asian Development Bank,* rząd Kuwejtu, irańskie Ministerstwo Energii, *Arabian-American Oil Company of Saudi Arabia, Instituto de Recursos Hidraulicos y Electrificacion, Perusahaan Umum Listrik Negara* i wiele innych. Jednak mo-

Specjaliści oferują nowe usługi klientom MAIN

Pauline Oullette

Patrząc na twarze pochylone nad biurkami łatwo się domyślić, że dział Gospodarczego i Regionalnego Planowania jest jednym z najnowszych i najszybciej rozwijających się obszarów działalności MAIN. Obecnie składa się z około 20 specjalistów zatrudnionych w ciągu siedmiu lat jego funkcjonowania. Wśród nich znajdują się nie tylko ekonomiści, ale również urbaniści, demografowie, specjaliści rynkowi oraz pierwszy w MAIN socjolog.

Chociaż kilka osób przyczyniło się do powstania tego działu, największe zasługi można przypisać jednej osobie - jego obecnemu szefowi, **Johnowi Perkinsowi.** Zatrudniony na stanowisku asystenta głównego planisty w styczniu 1971 roku John był jednym z kilku ekonomistów pracujących dla MAIN w owym czasie. Na początku przydzielono go do 11-osobowego zespołu, który otrzymał zadanie przygotowania analizy zapotrzebowania na energię elektryczną w Indonezji.

- Chcieli sprawdzić, czy przetrwam tam przez trzy miesiące - wspomina śmiejąc się. Ale dzięki swojemu doświadczeniu John nie miał żadnych problemów, by „przetrwać". Dopiero co wrócił z Ekwadoru, gdzie spędził trzy lata pomagając Indianom Quechua, bezpośrednim potomkom Inków, w prowadzeniu spółdzielni produkującej materiały budowlane. Indianie ci, mówi John, byli wyzyskiwani przez producentów cegieł, więc ekwadorska agencja poprosiła go, by pomógł im stworzyć spółdzielnię. Jednym z jego posunięć było wynajęcie ciężarówki, która umożliwiła sprzedaż cegieł bezpośrednio klientom. W rezultacie zyski wzrosły o 60%. Były one dzielone pomiędzy członków spółdzielni, do której po 2,5 latach należało już ponad 200 rodzin.

Właśnie wtedy John Perkins poznał **Einara Greve'a** (byłego pracownika), który pracował przy projekcie budowy hydroelektrowni w miasteczku Paute w Ekwadorze. Zaprzyjaźnili się, a po okresie wymiany korespondencji Johnowi zaproponowano posadę w MAIN.

Rok później John został głównym planistą, a gdy rosła liczba zleceń otrzymywanych od klientów i instytucji takich jak Bank Światowy, zorientował się, że MAIN potrzebuje większej liczby ekonomistów.

- MAIN zajmuje się projektami budowlanymi - opowiada - ale klienci wymagali od nas czegoś więcej. - W roku 1973, wychodząc naprzeciw oczekiwaniom klientów, zatrudnił kolejnych ekonomistów tworząc w ten sposób nowy dział firmy, a samemu obejmując stanowisko Głównego Ekonomisty.



J. Perkins

Najnowszy projekt Johna dotyczy rozwoju rolnictwa w Panamie, skąd niedawno powrócił po miesięcznym pobycie. Właśnie w Panamie MAIN przeprowadziła swoje pierwsze badania socjologiczne, którymi kierowała **Martha Hayes** - pierwszy socjolog w firmie. Marti spędziła w tym kraju półtora miesiąca starając się odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób projekt wpłynie na kulturę i życie mieszkańców. W projekcie pomagali jej zatrudnieni w tym celu specjaliści od rolnictwa i innych pokrewnych dziedzin.

Działu Gospodarczego i Regionalnego Planowania rozwija się w szybkim tempie, lecz John uważa, że miał dużo szczęścia zatrudniając ludzi, którzy okazali się ciężko pracującymi profesjonalistami. W jego głosie można z łatwością usłyszeć godną pochwały troskę o swoich pracowników.

MAINLINES
Listopad 1978

JOHN M. PERKINS



DOŚWIADCZENIE

John M. Perkins pracuje na stanowisku Kierownika Działu Gospodarczego w Departamencie Systemów Energetycznych i Środowiska.

Pracując dla MAIN John Perkins prowadził wiele poważnych projektów w USA, Azji, Ameryce Łacińskiej i na Bliskim Wschodzie. W ich ramach zajmowano się planowaniem rozwoju, przygotowywaniem prognoz gospodarczych, prognoz zapotrzebowania na energię, analizami marketingowymi, wyborem lokalizacji obiektów przemysłowych, analizami zużycia paliwa, badaniami opłacalności, analizami wpływu inwestycji na środowisko i na gospodarkę, planowaniem inwestycji i doradztwem menedżerskim. Podczas wielu projektów szkolono klientów w zastosowaniu technik opracowanych przez Johna Perkinsa i jego zespół.

Ostatnio John Perkins kierował projektem opracowania oprogramowania komputerowego do następujących celów 1) przewidywania zapotrzebowania na energię oraz określania korelacji pomiędzy wzrostem gospodarczym a produkcją energii, 2) szacowania społeczno-ekonomicznych skutków projektów oraz ich wpływu na środowisko oraz 3) zastosowania metody Markowa oraz modeli ekonometrycznych do regionalnego i ogólnokrajowego planowania gospodarczego.

Przed rozpoczęciem pracy w MAIN John Perkins spędził trzy lata w Ekwadorze prowadząc badania marketingowe i zarządzając firmą produkującą materiały budowlane. Prowadził również studia opłacalności dla spółdzielni kredytowo-oszczędnościowych na terenie całego Ekwadoru.

WYKSZTAŁCENIE

Licencjat Administracji Biznesowej
Boston University
Studia podyplomowe:
Modelowanie, Inżynieria gospodarcza
Ekonometria, Metody oceny prawdopodobieństwa

JĘZYKI

Angielski, hiszpański

PRZYNALEŻNOŚĆ DO STOWARZYSZEŃ

American Economic Association
Society for International Development

PUBLIKACJE

Zastosowanie metody Markowa do prognozowania zapotrzebowania na energię
Podejście makroekonomiczne do prognozowania zużycia energii
Model określający bezpośrednie i pośrednie zależności pomiędzy gospodarką a środowiskiem
Energia elektryczna w systemach połączonych
Zastosowanie metody Markowa do planowania

UMIEJĘTNOŚCI

Prognozowanie
Analizy marketingowe
Analizy opłacalności
Analizy wyboru lokalizacji
Analizy wpływu na gospodarkę
Planowanie inwestycji
Analizy zapotrzebowania na paliwo
Programy szkoleniowe
Zarządzanie projektami
Planowanie alokacji środków
Konsultacje menedżerskie

Referencje:

- Arabian-American Oil Company, Arabia Saudyjska
- Asian Development Bank
- Boise Cascade Corporation
- City Service Corporation
- Dayton Power & Light Company
- General Electric Company
- Rząd Kuwejtu
- Instituto de Recursos Hidraulicos y Electrificacion, Panama
- Inter-American Development Bank
- International Bank for Reconstruction and Development
- Ministerstwo Energii, Iran
- New York Times
- Power Authority of the State of New York
- Perusahaan Umum Listrik Negara, Indonezja
- South Carolina Electric and Gas Company
- Technical Association of the Pulp and Paper Industry
- Union Camp Corporation
- Departament Skarbu USA, Królestwo Arabii Saudyjskiej

ją uwagę przykuła ostatnia pozycja - Departament Skarbu USA, Królestwo Arabii Saudyjskiej. Zdumiało mnie, że wzmianka ta - choć niewątpliwie prawdziwa - w ogóle trafiła do druku.

Odłożyłem na chwilę życiorys i zająłem się artykułem w *MAIN-LINES.* Doskonale pamiętałem wywiad udzielony jego autorce, utalentowanej młodej dziennikarce mającej wiele dobrych chęci. Przed opublikowaniem przekazała mi go do autoryzacji. Czułem się mile połechtany swoim wizerunkiem przedstawionym w superlatywach i od razu go zaakceptowałem. Tak więc i tym razem odpowiedzialność spoczywała na moich barkach. Artykuł zaczynał się następująco:

„Patrząc na twarze pochylone nad biurkami łatwo się domyślić, że dział Gospodarczego i Regionalnego Planowania jest jednym z najnowszych i najszybciej rozwijających się obszarów działalności MAIN. (...)

Chociaż kilka osób przyczyniło się do powstania tego działu, największe zasługi można przypisać jednej osobie - jego obecnemu szefowi, Johnowi Perkinsowi. Zatrudniony na stanowisku asystenta głównego planisty w styczniu 1971 roku John był jednym z kilku ekonomistów pracujących dla MAIN w owym czasie. Na początku przydzielono go do 11-osobowego zespołu, który otrzymał zadanie przygotowania analizy zapotrzebowania na energię elektryczną w Indonezji. (...)

Właśnie wtedy John Perkins poznał Einara Greve'a (byłego pracownika)*, który pracował przy projekcie budowy hydroelektrowni w miasteczku Paute w Ekwadorze. Zaprzyjaźnili się, a po okresie wymiany korespondencji Johnowi zaproponowano posadę w MAIN.

Rok później John został głównym planistą, a gdy rosła liczba zleceń otrzymywanych od klientów i instytucji takich jak Bank Światowy, zorientował się, że MAIN potrzebuje większej liczby ekonomistów."

Żadne ze stwierdzeń zawartych w tych dokumentach nie było kłamstwem - każda z tych informacji znajdowała się w mojej kartotece. Jednak wszystkie zostały przekręcone i wybielone. W kulturze wyznającej kult oficjalnych dokumentów stanowiło to przestępstwo

* Po odejściu z MAIN został prezesem Tucson Gas & Electric Company - przyp. aut.

najgorszego rodzaju. Kłamstwom można zaprzeczyć. Ale nie dało się zaprzeczyć danym zawartym w tych dwóch dokumentach, ponieważ opierały się na imitacjach prawdy oraz zostały stworzone przez korporację, która zdobyła zaufanie innych korporacji, międzynarodowych banków i rządów

W szczególności dotyczyło to stanowiącego oficjalny dokument *resume* - w przeciwieństwie do artykułu, za który odpowiedzialność ponosił autor. Logo MAIN widniejące na dole życiorysu oraz na okładkach ofert i raportów, do których moje *dossier* dołączano, miało w świecie biznesu dużą wagę. Pełniło rolę oficjalnej pieczęci gwarantującej prawdziwość informacji - tak samo ważnej, jak pieczęcie na dyplomach oraz certyfikatach oprawianych w ramki i zawieszanych przez lekarzy i prawników na ścianach gabinetów.

Obydwa dokumenty przedstawiały mnie jako niezwykle kompetentnego ekonomistę, szefa departamentu prestiżowej firmy konsultingowej, podróżującego po świecie i przeprowadzającego szereg analiz, dzięki którym świat stawał się bardziej cywilizowany i zamożniejszy. Oszustwo polegało nie na tym, co zostało powiedziane, ale na tym, co zostało pominięte. Patrząc obiektywnie muszę przyznać, że przemilczenia stawiały wiele pytań.

Na przykład ani słowem nie wspomniano o tym, że rekrutowała mnie NSA, ani o związkach Einara Greve'a z armią i jego roli jako łącznika z NSA. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że wywierano na mnie olbrzymią presję, bym przygotowywał zdecydowanie przeszacowane prognozy ekonomiczne, i że moja praca polegała w znacznym stopniu na organizowaniu dla krajów w rodzaju Indonezji czy Panamy olbrzymich kredytów, których państwa te nigdy nie byłyby w stanie spłacić. Słowem nie wspomniano o uczciwości mojego poprzednika, Howarda Parkera, ani o fakcie, że objąłem stanowisko głównego planisty, ponieważ nie miałem moralnych oporów z podrasowywaniem wyników analiz zgodnie z zaleceniami szefów. Howard upierał się przy podawaniu realistycznych liczb i w efekcie został zwolniony. Jednak najbardziej zagadkowa była ostatnia pozycja-Departament Skarbu USA, Królestwo Arabii Saudyjskiej.

Zastanawiałem się, jak ludzie interpretowali tę wzmiankę. Oczywiście narzucało się pytanie o związek pomiędzy Departamentem

Skarbu a Arabią Saudyjską. Prawdopodobnie niektórzy potraktują to jako błąd edytorski - dwa oddzielne wiersze niechcący połączone w jeden. Większość czytelników zapewne nigdy nie odgadłaby prawdy - celowego połączenia tych dwóch nazw, mającego informować krąg wtajemniczonych, że brałem udział w przygotowaniu transakcji stulecia, która odmieniła bieg historii, chociaż nawet nie napisały o niej gazety. Przyczyniłem się do powstania umowy, która zagwarantowała dostawy ropy do USA, podtrzymała rządy rodziny Saudów, pomogła sfinansować Osamę bin Ladena i dała ochronę międzynarodowym przestępcom w rodzaju ugandyjskiego dyktatora Idi Amina. Ostatni wiersz mojego *resume* był skierowany do wtajemniczonych - informował ich, że główny ekonomista MAIN może dostarczyć im takich wyników, jakich potrzebują.

Ostatni akapit artykułu w MAINLINES stanowił osobistą obserwację autora i dotykał czułego punktu:

„Działu Planowania Gospodarczego i Regionalnego rozwija się w szybkim tempie, lecz John uważa, że miał dużo szczęścia zatrudniając ludzi, którzy okazali się ciężko pracującymi profesjonalistami. W jego głosie można z łatwością usłyszeć godną pochwały troskę o swoich pracowników."

W rzeczywistości nigdy nie uważałem się za prawdziwego ekonomistę. Ukończyłem studia na Boston University z tytułem licencjata zarządzania i marketingu, z naciskiem na marketing. Zawsze byłem kiepski z matematyki i statystyki. W Middlebury College obroniłem się z literatury amerykańskiej - pisanie przychodziło mi z łatwością. Stanowiska Głównego Ekonomisty oraz szefa Działu Planowania Gospodarczego i Regionalnego otrzymałem nie ze względu na moje wysokie umiejętności analityczne i planistyczne, lecz z powodu gotowości do naginania wyników analiz do oczekiwań klientów i przełożonych, uzupełnianej wrodzonym darem przekonywania innych ludzi poprzez słowo pisane. W dodatku miałem dość sprytu, by zatrudniać pracowników o wysokich kompetencjach - wielu magistrów, a nawet doktorów - którzy wiedzieli o wiele więcej niż ja sam na temat technicznych niuansów naszej działalności. Nic więc dziwnego, że dziennikarka przeprowadzająca ze mną wywiad zauważyła „godną pochwały troskę o pracowników".

Trzymałem oba dokumenty wraz z kilkoma innymi podobnymi papierami w górnej szufladzie biurka i często do nich wracałem. Później spacerowałem wśród biurek podwładnych i patrzyłem na nich z poczuciem winy za to, co im zrobiłem, jak wciągnąłem ich - nieświadomych niczego - w spisek pogłębiający przepaść pomiędzy bogatymi a biednymi. Myślałem o ludziach umierających co dzień z głodu, podczas gdy ja i moi pracownicy nocowaliśmy w najlepszych hotelach, jadaliśmy w eleganckich restauracjach i napychaliśmy portfele akcjami.

Myślałem też o mojej odpowiedzialności za to, że ludzie, których wyszkoliłem, zasilali teraz szeregi armii EBR-owców. To ja wprowadziłem ich do systemu, ja ich zarekrutowałem i wszystkiego nauczyłem. Ale świat zmienił się od czasu, kiedy sam wstępowałem do służby dla imperium - korporacjokracja umocniła swoje pozycje i zdobyła nowe terytoria. Stawaliśmy się lepsi i bardziej bezwzględni w realizowaniu naszych zadań. Moi pracownicy różnili się ode mnie. W ich życiu nie pojawiła się Claudine ani NSA z wykrywaczem kłamstw. Nikt nie powiedział im wprost, że do ich obowiązków należy rozwijanie globalnego imperium, i że poświęcą temu swoje życie. Nigdy nie słyszeli określenia „ekonomista od brudnej roboty", czy nawet skrótu EBR. Uczyli się tego wszystkiego naśladując mnie i wyciągając wnioski ze stosowanego przeze mnie systemu nagród i kar. Wiedzieli, że mają dostarczać wyniki analiz, które mnie zadowalały. Ich pensje, premie świąteczne - a w istocie również posady - zależały od tego, czy uzyskane dane mnie usatysfakcjonują.

Oczywiście starałem się w miarę możliwości ulżyć ciężarowi spoczywającemu na ich barkach. Pisałem rozprawy, wygłaszałem wykłady i wykorzystywałem każdą nadarzającą się szansę, by przekonać ich o znaczeniu optymistycznych prognoz, wielkich kredytów i inwestycji kapitałowych, które miały pobudzić wzrost PKB i uczynić świat lepszym. Upłynęło zaledwie jedno dziesięciolecie, a przekupstwa i wymuszenia wyparte zostały przez subtelniejsze formy wywierania wpływu - rodzaj delikatnego prania mózgu. Teraz ci ludzie, siedzący przy swych biurkach przed moim gabinetem z widokiem na Zatokę Bostońską, wyruszali w świat, by posuwać

naprzód pochód globalnego imperium. W pewnym sensie to ja ich stworzyłem, podobnie jak Claudine stworzyła mnie. Różniło nas tylko jedno - oni wciąż pozostawali w nieświadomości.

Spędziłem wiele bezsennych nocy na rozmyślaniach o tych sprawach. Uwaga Pauli dotycząca mojego *resume* otworzyła puszkę Pandory. Często zazdrościłem moim pracownikom ich nieświadomości. Celowo ich zwodziłem, chroniąc ich w ten sposób przed własnymi sumieniami. Nie musieli się zmagać z prześladującym mnie poczuciem winy.

Wiele rozmyślałem również o etyce w biznesie, o grze pozorów walczącej z rzeczywistością. Niewątpliwie ludzie oszukiwali się od zarania dziejów. Legendy są pełne opowieści o nieuczciwości i wprowadzaniu innych w błąd, o okantowanych handlarzach, lichwiarskich pożyczkach, czy wreszcie o krawcu przekonującym cesarza, że uszyte dla niego szaty są niewidzialne tylko dla samego władcy.

Jednak, mimo że pragnąłem przekonać samego siebie, iż nic się nie zmieniło, a niespójność między informacjami umieszczonymi w moim *resume* a rzeczywistością odzwierciedlała jedynie słabości ludzkiej natury, w głębi serca wiedziałem, że nie była to prawda. Czasy się zmieniły. Zrozumiałem, że osiągnęliśmy nowy poziom pozorności, który w końcu doprowadzi do naszej samozagłady, o ile nie zrobimy nic, by zmienić sytuację.

Przestępczość zorganizowana może posłużyć za doskonały przykład. Mafijni bossowie często zaczynają jako uliczne bandziory, ale z czasem ci, którzy docierają na szczyty, przechodzą transformację. Przywdziewają nienagannie skrojone garnitury, prowadzą legalną działalność gospodarczą, starają wtopić się w tłum przyzwoitych obywateli. Wspierają organizacje charytatywne i są szanowani przez lokalne społeczności. Pożyczają pieniądze ludziom w tarapatach. Tak jak John Perkins zgodnie z firmowym *resume* - wydają się być wzorem dla innych. Ale pod tą cienką warstewką dobrych manier skrywa się przestępca o rękach zbroczonych krwią. Gdy dłużnik nie jest w stanie zapłacić, do akcji wkraczają specjaliści od mokrej roboty - najpierw z kijami bejsbolowymi, a później z pistoletami.

Zrozumiałem, że moje stanowisko Głównego Ekonomisty, szefa Działu Planowania Gospodarczego i Regionalnego, nie było próbą zwykłego naciągnięcia, którego powinni się strzec klienci. Była przejawem działania złowrogiego systemu nakierowanego na wprowadzanie najsubtelniejszej i najbardziej efektywnej formy imperializmu w historii. Każdy członek mojego zespołu posiadał jakiś tytuł - analityka finansowego, socjologa, ekonomisty, starszego ekonomisty, ekonometryka, specjalisty ds. wycen, itd. Żaden z tych tytułów nie pozwalał przypuszczać, że jego właściciel jest EBR-owcem służącym realizacji interesów globalnego imperium.

A przecież mój dział stanowił zaledwie wierzchołek góry lodowej. Każda wielka międzynarodowa firma - od wytwórców butów i odzieży sportowej po producentów ciężkiego sprzętu - posiadała własny odpowiednik EBR-owców. Pochód już się rozpoczął i szybko okrążał kulę ziemską. Bandyci zrzucili skórzane kurtki, założyli garnitury i przybrali pozory przyzwoitości. Opuścili swoje biura w Nowym Jorku, Chicago, San Francisco, Londynie oraz Tokio i wyruszyli we wszystkie strony świata przekonywać skorumpowanych polityków, by oddali swoje kraje we władanie korporacjokracji i nakłonili zdesperowanych obywateli do niewolniczej pracy w fabrykach.

Głębokim niepokojem przepełniło mnie zrozumienie faktu, że niedopowiedzenia w moim *resume* symbolizują otaczający nas świat fałszu i pozorów, mający utrzymać nas we władzy odrażającego, dążącego do samozagłady systemu. Nakłaniając mnie do czytania między wierszami, Paula popchnęła mnie do działań, które miały ostatecznie odmienić moje życie.

Rozdział 17

Prezydent Ekwadoru kontra koncerny naftowe

Praca w Kolumbii i Panamie pozwoliła mi na odwiedzanie kraju, który stał się moim pierwszym domem na obczyźnie. Ekwador przetrwał rządy wielu dyktatorów i prawicowych oligarchii manipulowanych przez USA. Stanowił przykład typowej republiki bananowej, w której korporacjokracja posiadała wielkie wpływy.

Eksploatacja złóż ropy na wielką skalę rozpoczęła się w Ekwadorze na początku lat sześćdziesiątych XX w., co zaowocowało boomem inwestycyjnym przeprowadzanym pod dyktando międzynarodowych banków przez wąską grupę rządzących rodzin. Akonto przychodów ze sprzedaży ropy zaciągnięto gigantyczne kredyty, którymi sfinansowano budowę dróg, zakładów przemysłowych, hydroelektrowni, linii przesyłowych i innych projektów energetycznych na terenie całego kraju. Międzynarodowe firmy projektowe i budowlane raz jeszcze ubiły doskonały interes.

Na korupcję i naciski korporacjokracji nieczuły był tylko jeden człowiek - wchodząca gwiazda na politycznym firmamencie Ekwadoru - Jaime Roldós. Tego niespełna czterdziestoletniego profesora uniwersyteckiego i adwokata spotkałem kilkukrotnie przy różnych okazjach. Był czarujący i charyzmatyczny zarazem. Kiedyś w przypływie nadgorliwości zaoferowałem mu, że na każde jego życzenie przylecę do Quito i udzielę darmowych konsultacji. Powiedziałem to pół żartem, ale naprawdę chętnie bym to zrobił w czasie urlopu - lubiłem go i nie wahałem się mu powiedzieć, że

zawsze ucieszyłby mnie pretekst do odwiedzenia jego kraju. Zaśmiał się i zrewanżował się podobną propozycją, bym dzwonił do niego zawsze, gdy będę chciał negocjować rachunek za benzynę.

Roldós wypracował sobie opinię populisty i nacjonalisty, który troszczył się o los biedaków i uważał, że należy szanować posiadane zasoby naturalne. Gdy w roku 1978 rozpoczęła się kampania prezydencka, zwrócił uwagę nie tylko obywateli Ekwadoru, ale również mieszkańców wszystkich krajów, w których zagraniczne firmy wydobywały ropę naftową, lub w których ludzie pragnęli niezależności od potężnych wpływów z zewnątrz. Roldós był rzadkim typem polityka nie bojącego się przeciwstawić status quo. Zaatakował koncerny naftowe i wspierający je niezbyt subtelny system.

Na przykład oskarżył *Summer Institute of Linguistics** (SIL), grupę ewangelickich misjonarzy ze Stanów Zjednoczonych, o potajemne związki z przemysłem naftowym. Misje SIL poznałem w czasie pracy w *Peace Corps.* Organizacja ta rozpoczęła działalność w Ekwadorze i w wielu innych krajach pod pozorem badania, nagrywania i tłumaczenia lokalnych dialektów.

W pierwszych latach wydobywania ropy SIL intensywnie pracował z plenieniem Huaorani w Amazonii. Po pewnym czasie dało się zauważyć interesujący schemat. Gdy geolodzy informowali centralę koncernu naftowego, że jakiś obszar posiada charakterystyczne cechy zwiększające prawdopodobieństwo występowania ropy pod powierzchnią ziemi, SIL wkraczał do akcji zachęcając tubylców do opuszczenia tych terenów i przeniesienia się do misyjnych rezerwatów, w których mieli otrzymywać darmową żywność, mieszkanie, ubrania, opiekę medyczną oraz wykształcenie. Warunkiem było przekazanie ich terenów koncernom naftowym.

Krążyły plotki, że misjonarze SIL stosowali wiele podstępnych sztuczek mających na celu przekonanie członków plemion do opuszczenia domostw i przeprowadzki do rezerwatu. Najczęściej powtarzała się opowieść o przekazywaniu tubylcom darów żywnościowych z dodatkiem środków przeczyszczających, a następnie ofiarowywaniu lekarstw, które usuwały objawy rozwolnienia. Na

Letni Instytut Językoznawstwa (przyp. tłum.)

terytorium Huaorani SIL dokonywał zrzutów pojemników z jedzeniem. W podwójnym dnie tych pojemników ukrywano miniaturowe radiostacje, których transmisji przysłuchiwał się personel wojskowy z bazy Shella. Gdy członek plemienia został pokąsany przez jadowitego węża, albo poważnie zachorował, na miejsce przybywał przedstawiciel SIL, często przywożony helikopterem należącym do koncernu, wyposażony we właściwe lekarstwo lub surowicę.

W pierwszych latach eksploracji znaleziono ciała pięciu misjonarzy przebitych włóczniami Huaorani. Tubylcy chcieli w ten sposób odstraszyć SIL, jednak ostrzeżenie zostało zignorowane, a wręcz odniosło efekt odwrotny do zamierzanego. Rachel Saint, siostra jednego z zamordowanych, rozpoczęła w Stanach Zjednoczonych objazdową kampanię, podczas której w licznych telewizyjnych wystąpieniach apelowała o wsparcie finansowe dla SIL i koncernów naftowych, które, jak twierdziła, pomagały ucywilizować i wykształcić „dzikusów".

SIL otrzymał finansowe wsparcie od organizacji charytatywnych Rockefellera. Jaime Roldós stwierdził, że właśnie to dowodziło prawdziwych intencji misjonarzy - wykradania ziemi ich właścicielom i w rezultacie umożliwienia wydobycia ropy. Przecież to właśnie John D. Rockefeller założył Standard Oil - naftowego giganta, który później został podzielony na kilka mniejszych, aczkolwiek wciąż wielkich koncernów naftowych - m.in. Chevron, Exxon i Mobil.[1]

W moim przekonaniu Roldós podążał śladami Torrijosa. Obaj sprzeciwiali się najpotężniejszemu światowemu mocarstwu. Generał pragnął odzyskać Kanał, a prezydent Ekwadoru kontrolę nad złożami ropy. Podobnie jak Torrijos Roldós nie był komunistą, ale po prostu pragnął dla swego narodu prawa do decydowania o własnym losie. I również w jego przypadku znawcy tematu przewidywali, że wielkie korporacje i Biały Dom nie będą tolerowały Roldósa jako prezydenta, i że szybko podzieli on los Arbenza w Gwatemali i Allende w Chile.

Wydawało mi się, że Torrijos i Roldós mogą razem zapoczątkować nowy trend polityczny w Ameryce Łacińskiej, który ma szanse stać się podstawą przemian dotykających każdego kraju na świecie.

To nie byli ludzie pokroju Castro czy Kadafiego. Nie łączyły ich więzy z Rosją ani z Chinami, ani nawet, jak to miało miejsce z w przypadku Allende, z ruchem socjalistycznym. Byli popularnymi, inteligentnymi i charyzmatycznymi przywódcami, którymi kierował pragmatyzm, a nie dogmaty. Mieli nacjonalistyczne, ale nie antyamerykańskie poglądy. Skoro korporacjokracja opierała się na trzech filarach - wielkich korporacjach, międzynarodowych bankach i wspierających ich potajemnie rządach - ci ludzie mieli szansę na usunięcie jednego z tych filarów - rządów.

Ważną część programu Roldósa stanowiła tzw. Polityka Węglowodorowa. Opierała się ona na założeniu, że największe bogactwo naturalne Ekwadoru stanowi ropa naftowa, i że jej przyszłe wydobycie musi przebiegać w sposób przynoszący jak największe korzyści jak największej liczbie obywateli. Roldós głęboko wierzył w potrzebę niesienia przez państwo pomocy ludziom najuboższym i pozbawionym perspektyw. Wyrażał nadzieję, że Polityka Węglowodorowa stanie się środkiem do przeprowadzenia reformy społecznej. Musiał jednakże zachować umiar i ostrożność w głoszonych hasłach, ponieważ wiedział, że nie może wygrać wyborów bez poparcia przynajmniej części najbardziej wpływowych rodzin. A nawet jeżeli udałoby mu się wygrać, to bez ich udziału nie dałoby się przeprowadzić programu reform.

Cieszyłem się, że w tym gorącym okresie w Białym Domu urzędował Carter. Pomimo nacisków ze strony Texaco i innych przedstawicieli lobby naftowego, Waszyngton raczej się nie wtrącał. Wiem, że w większości przypadków, gdyby administrację rządową tworzyli inni ludzie - zarówno Demokraci jak i Republikanie - sytuacja przedstawiałaby się zupełnie inaczej.

Uważam, że przede wszystkim właśnie Polityka Węglowodorowa nakłoniła Ekwadorczyków do wybrania Jaime Roldósa na prezydenta - pierwszego demokratycznego przywódcę obejmującego rządy po czasach dyktatury. Założenia swojej strategii przedstawił w inauguracyjnym orędziu, 10 sierpnia 1979 roku:

„Musimy efektywnie troszczyć się o zasoby energii naszego narodu. Państwo (musi) utrzymywać dywersyfikację odbiorców i utrzymać swoją niezależność. (...) Nasze decyzje będą miały na

uwadze wyłącznie interes narodowy i obronę naszych praw do suwerenności."[2]

Po objęciu stanowiska Roldós musiał skupić się na Texaco. Koncern ten wywalczył w owym czasie pozycję głównego gracza w biznesie naftowym. Nie ufał nowemu prezydentowi i nie chciał brać udziału w żadnej polityce, która mogłaby ustanowić precedens. Jego szefowie doskonale zdawali sobie sprawę, że inne kraje mogłyby wziąć z niej przykład.

Nowe podejście administracji państwowej w ten oto sposób podsumował główny doradca Roldósa, Jose Carvajal:

„Jeżeli jeden wspólnik [Texaco] nie chce podjąć ryzyka inwestowania w poszukiwania lub eksploatować terenów objętych koncesją, wówczas drugi wspólnik ma prawo dokonać tych inwestycji i przejąć tereny na własność. (…)

Uważamy, że nasze stosunki z zagranicznymi firmami powinny być uczciwe. Musimy być twardzi w tej walce. Musimy być przygotowani na różne formy nacisku, ale nie wolno nam okazywać strachu ani kompleksu niższości w negocjacjach z tymi obcokrajowcami."[3]

W pierwszym dniu roku 1980 podjąłem postanowienie - zaczynało się nowe dziesięciolecie, a za dwadzieścia osiem dni miałem skończyć 35 lat. Postanowiłem dokonać znaczących zmian w moim życiu w nadchodzącym roku, a w przyszłości wzorować się na nowożytnych bohaterach takich jak Jaime Roldós i Omar Torrijos.

I wtedy stało się coś nieoczekiwanego. Biorąc pod uwagę wyniki finansowe Bruno był najskuteczniejszym prezesem MAIN w historii. Pomimo tego, zupełnie bez ostrzeżenia, Mac Hall go zwolnił.

Rozdział 25

Moja rezygnacja

Zwolnienie Bruna przez Maca Halla spowodowało w MAIN prawdziwe trzęsienie ziemi. Przez firmę przetoczyła się fala domysłów. Bruno miał wrogów, ale nawet niektórzy z nich wyglądali na zniesmaczonych. Dla wielu pracowników stało się jasne, że motywem była zazdrość. Uważali, że Hall poczuł się zagrożony coraz silniejszą pozycją młodszego od niego o 15 lat prezesa, który wprowadził firmę na zupełnie nowe poziomy zyskowności.

- Hall nie mógł pozwolić, by Bruno kontynuował swoje tryumfalne rządy - powiedział ktoś. - Wiedział, że jest tylko kwestią czasu, kiedy Bruno przejmie firmę, a starego odeśle na emeryturę.

Jakby chcąc potwierdzić prawdziwość tych teorii, Hall mianował na stanowisko prezesa Paula Priddy'ego - wieloletniego wiceprezesa, a zarazem sympatycznego inżyniera-praktyka. W mojej opinii był to bezbarwny człowiek, idealny do przytakiwania zwierzchnikowi i nie będący w stanie zagrozić mu zbyt dobrymi wynikami. Wiele osób zgadzało się ze mną w tej kwestii.

Odejście Bruna stanowiło dla mnie osobistą katastrofę. Był moim mentorem i kluczowym elementem naszej pracy za granicą. Priddy natomiast koncentrował się do tej pory na zleceniach krajowych i wiedział niewiele, o ile w ogóle cokolwiek, o prawdziwym charakterze naszej zagranicznej działalności. Nasuwało się pytanie o kierunek, który teraz obierze firma. Zadzwoniłem do Bruna do domu i zastałem go w filozoficznym nastroju.

- Cóż, John, on wiedział, że nie ma żadnych podstaw, by mnie zwolnić - powiedział o Hallu - więc zażądałem bardzo wysokiej odprawy i ją otrzymałem. Mac posiada znaczący pakiet akcji, więc nic nie mogłem zrobić, gdy już podjął decyzję.

Bruno powiedział mi także, że rozważa kilka ofert z międzynarodowych banków, które były naszymi klientami. Zapytałem go, co sam mam robić.

- Miej oczy otwarte - poradził. - Mac Hall stracił kontakt z rzeczywistością, ale nikt mu tego nie powie - zwłaszcza nie po tym, co zrobił ze mną.

Pod koniec marca 1980 roku, wciąż nie mogąc się otrząsnąć po zwolnieniu Bruna, wziąłem urlop i popłynąłem jachtem na Wyspy Dziewicze w towarzystwie Mary, młodej kobiety również pracującej w MAIN. Chociaż nie zastanawiałem się specjalnie nad wyborem miejsca, jego historia okazała się jednym z czynników, które pomogły mi w podjęciu decyzji zapoczątkowującej realizację noworocznego postanowienia. Pierwsze zdarzenie miało miejsce pewnego popołudnia, gdy okrążaliśmy Wyspę Św. Jana i skierowaliśmy się na Przesmyk Sir Francisa Drakę'a, który oddziela Brytyjskie Wyspy Dziewicze od Wysp Dziewiczych Stanów Zjednoczonych.

Nazwa przesmyku miała oczywiście upamiętnić łupienie przez Anglików hiszpańskiej złotej armady. To przypomniało mi, że wielokrotnie w ciągu ostatnich dziesięciu latach rozmyślałem 0 piratach i innych historycznych postaciach, o ludziach pokroju Drakę'a i Sir Henry'ego Morgana, którzy rabowali, plądrowali 1 wyzyskiwali, a pomimo tego sławiono ich imię, a nawet przyznawano tytuły szlacheckie. Często zadawałem sobie pytanie, dlaczego mam mieć wyrzuty sumienia wykorzystując kraje takie jak Indonezja, Panama, Kolumbia czy Ekwador, skoro wychowano mnie w szacunku dla tamtych ludzi. Tak wielu moich bohaterów - Ethan Allen, Thomas Jefferson, Jerzy Waszyngton, Daniel Boone, Davy Crockett, Lewis i Clark - wykorzystywało Indian, niewolników i ziemię, która należała do innych. A ja przywoływałem ich przykład, by pomniejszyć swą winę. Teraz, żeglując Przesmykiem Sir Francisa Drakę'a, zrozumiałem niestosowność tych usprawiedliwień.

Przypomniałem sobie o sprawach, które dla wygody pomijałem. Ethan Allen spędził kilka miesięcy na cuchnących i zatłoczonych brytyjskich statkach więziennych - większość czasu zakuty w trzydziestofuntowe żelazne kajdany - a później, jeszcze dłuższy okres, w angielskim lochu. Był jeńcem wojennym pojmanym w bitwie 0 Montreal w 1775 roku, gdzie walczył za taką samą wolność, jakiej teraz pragnęli dla swych ludzi Jaime Roldós i Omar Torrijos. Thomas Jefferson, Jerzy Waszyngton i inni ojcowie-założyciele ryzykowali życiem w imię podobnych ideałów. Zwycięstwo rewolucji nie stanowiło alternatywy - wiedzieli, że jeśli przegrają, zostaną powieszeni jako zdrajcy. Daniel Boone, Davy Crockett oraz Lewis 1 Clark również stawili czoła licznym przeciwnościom losu, które zmuszały ich do poświęceń i wyrzeczeń.

A Drakę i Morgan? Ten okres historii pamiętałem dość mgliście, ale wiedziałem, że protestancka Anglia czuła się poważnie zagrożona przez katolicką Hiszpanię. Musiałem uznać możliwość, że ci mężczyźni wkroczyli na drogę piractwa nie dla własnej korzyści finansowej, lecz by uderzyć w samo serce hiszpańskiego imperium - statki pełne złota - i w ten sposób bronić Anglię.

Płynęliśmy przez przesmyk halsując pod wiatr i powoli zbliżaliśmy się do wyrastających z morza gór - wysp Great Thatch na północy i Św. Jana na południu. Wciąż nie mogłem pozbyć się prześladujących mnie myśli. Mary wręczyła mi piwo i włączyła piosenkę Jimmy'ego Buffeta. Czułem się wściekły pomimo otaczającego mnie piękna i poczucia wolności, które zwykle daje żeglowanie. Próbowałem poprawić sobie nastrój wypijając piwo do dna.

Emocje wciąż nie chciały mnie opuścić. Irytowały mnie głosy historycznych postaci, które w sobie słyszałem, a które wykorzystywałem do tłumaczenia własnej chciwości. Byłem wściekły na rodziców i na Tilton, tę położoną na wzgórzu, zadufaną w sobie szkołę, za wmuszenie we mnie całej tej historii. Otworzyłem kolejne piwo. Czułem, że mógłbym w tej chwili zabić Maca Halla za zwolnienie Bruno.

Drewniana łódź z tęczową flagą i żaglami ustawionymi na motyla przepłynęła obok nas. Szóstka młodych ludzi pomachała do nas. Wyglądali na hippisów. Większość nosiła kolorowe sarongi, a na

dziobie leżała naga para. Na pierwszy rzut oka było widać, że wszyscy mieszkali na tej łajbie tworząc małą komunę - ot, nowożytni piraci - wolni i niczym nie skrępowani.

Próbowałem odpowiedzieć na pozdrowienie, ale ręka odmówiła mi posłuszeństwa. Przepełniła mnie zazdrość. Mary stała na pokładzie patrząc za nimi, gdy powoli znikali w oddali za rufą.

- Jak by ci się podobało takie życie? - spytała.

I wtedy dotarło do mnie, że nie chodziło ani o moich rodziców, ani o Tilton, ani o Maca Halla. Ja po prostu nienawidziłem swojego życia. Swojego. To ja sam byłem za wszystko odpowiedzialny.

Mary krzyknęła. Wskazywała coś za sterburtą. Podeszła bliżej.

- To Zatoka Leinster - powiedziała. - Tam dzisiaj cumujemy.

Wciśnięta w Wyspę Św. Jana zatoka stanowiła niegdyś kryjówkę, w której okręty piratów oczekiwały na pojawienie się złotej armady. Gdy podpłynęliśmy bliżej oddałem ster Mary i poszedłem na dziób. Gdy kierowała jacht w głąb zatoki wzdłuż Watermelon Cay opuściłem i zwinąłem foka, a następnie przygotowałem kotwicę. Mary sprawnie zrzuciła grota, a ja wyrzuciłem za burtę kotwicę. Łańcuch zadzwonił, a łódź po chwili zatrzymała się.

Gdy oporządziliśmy jacht, Mary wykąpała się i ucięła sobie drzemkę. Zostawiłem jej wiadomość i powiosłowałem w łódce na ląd. Dobiłem do brzegu poniżej ruin plantacji trzciny cukrowej. Usiadłem nad wodą próbując pozbyć się wszelkich myśli i oczyścić się z emocji. Ale nie udało mi się to.

Późnym popołudniem wdrapałem się na strome wzgórze i znalazłem się wśród ruin plantacji. Obserwowałem zachód słońca oświetlający nasz jacht zakotwiczony w zatoce. Widok zapierał dech w piersiach. Ale przecież wiedziałem, że otaczająca mnie plantacja była świadkiem nieopowiedzianych cierpień. Setki afrykańskich niewolników dokonało tutaj swojego żywota. Zmuszono ich do wybudowania majestatycznej rezydencji, sadzenia i ścinania trzciny oraz obsługiwania maszynerii, która przerabiała surowy cukier na podstawowy składnik rumu. Niezmącony spokój tego miejsca skrywał ponurą przeszłość.

Słońce schowało się za górzystą wyspą, niebo oblało się purpurą, a morze zaczęło ciemnieć. Zaś ja stanąłem twarzą w twarz z szo-

kującą prawdą. Dotarło do mnie, że również byłem handlarzem niewolników. Praca w MAIN nie polegała tylko na wciąganiu biednych krajów za pomocą długów w sieć globalnego imperium. Moje przeszacowane prognozy nie stanowiły tylko środka zapewniającego mojemu krajowi ciągłości dostaw ropy, a bycie wspólnikiem w firmie nie oznaczało tylko przyczyniania się do wzrostu zysków. Efekty mojej pracy dotykały rzeczywistych ludzi i ich rodzin, ludzi podobnych do tych, którzy zbudowali mur, na którym siedziałem, ludzi, których wyzyskiwałem.

Przez dziesięć lat byłem spadkobiercą handlarzy niewolników, którzy niegdyś wkraczali do afrykańskich dżungli i łapali mężczyzn i kobiety, by zabrać ich na czekające już statki. Stosowałem o wiele nowocześniejsze i subtelniejsze podejście - nie musiałem oglądać umierających ludzi, wąchać smrodu rozkładających się ciał, ani słuchać jęków cierpienia. Ale moja działalność nie ustępowała w niczym niegodziwości tamtych ludzi. Ba, możliwość zdystansowania się i fakt, że nie musiałem osobiście brudzić sobie rąk, nie musiałem bezpośrednio obserwować skutków moich działań, oznaczały, że byłem jeszcze bardziej podły od nich.

Spojrzałem na zacumowany jacht walczący z odpływem. Mary leżała na pokładzie i pewnie piła margaritę czekając na mnie. W tamtej chwili, patrząc na nią - tak zrelaksowaną i ufną - uderzyło mnie moje postępowanie wobec niej i wobec wszystkich moich pracowników. Zmieniałem ich w EBR-owców. Robiłem im to, co Claudine zrobiła mi, ale nie w taki szczery sposób. Nęciłem ich podwyżkami i awansami, by stali się handlarzami niewolników. Mimo tego i oni, i ja sam byliśmy skuci kajdanami systemu. Także byliśmy niewolnikami.

Odwróciłem się od morza i od purpurowego nieba. Zamknąłem oczy, by nie patrzeć na ściany zbudowane przez afrykańskich niewolników. Próbowałem wyrzucić to z siebie. Kiedy ponownie otworzyłem oczy, zobaczyłem sękaty drąg o grubości kija bejsbolowego, lecz dwukrotnie dłuższy. Chwyciłem go i zacząłem nim walić w kamienne mury tak długo, aż wyczerpany opadłem na ziemię. Leżałem bez tchu na trawie wpatrując się w przepływające nade mną chmury.

W końcu zszedłem na dół do łódki. Stałem na plaży patrząc na jacht zakotwiczony na lazurowym morzu i wiedziałem już, co mam zrobić. Wiedziałem, że jeżeli wrócę do mojego dotychczasowego życia, do MAIN i do wszystkiego, co ta firma sobą reprezentowała, to będę stracony na zawsze. Podwyżki, programy emerytalne, ubezpieczenie, dodatki służbowe, akcje... Im dłużej w tym siedziałem, tym trudniej było się wydostać. Stałem się niewolnikiem. Mogłem nadal się dręczyć, albo mogłem uciec.

Dwa dni później wróciłem do Bostonu. 1 kwietnia 1980 roku udałem się do gabinetu Paula Priddy'ego i złożyłem rezygnację.

Część IV

OD ROKU 1981 DO CHWILI OBECNEJ

Rozdział 17

Śmierć prezydenta Ekwadoru

Odejście z MAIN nie było proste. Paul Priddy nie chciał mi uwierzyć.

- Prima aprilis - stwierdził mrugając okiem.

Zapewniłem go, że mówię poważnie. Przypomniałem sobie rady Pauli, że nie powinienem rozdrażniać moich pracodawców, ani dawać im jakichkolwiek powodów do podejrzeń, że mógłbym zdekonspirować działalność EBR-owców. Podkreśliłem więc, że doceniam wszystko, co MAIN dla mnie zrobiła, ale potrzebuję zmiany. Mówiłem, że zawsze chciałem pisać o ludziach, których dzięki MAIN poznałem na całym świecie. Nie miało to być nic politycznego - pragnąłem, jako wolny strzelec, podróżować i pisać reportaże dla National Geographic i innych magazynów. Zadeklarowałem lojalność wobec MAIN i obiecałem, że przy każdej okazji będę wydawał firmie same pochlebne opinii. W końcu Paul się poddał.

Później wszyscy inni starali się namówić mnie do zmiany decyzji. Przypominali mi, jak dobry byłem w swojej pracy, i podejrzewali szaleństwo. Doszedłem do wniosku, że nikt nie mógł zaakceptować faktu, że odchodziłem przynajmniej częściowo na własne życzenie, ponieważ zmuszało ich to do zastanowienia się nad samymi sobą. Jeżeli nie zwariowałem odchodząc, to może oni są szaleni zostając? Łatwiej było im przyjąć, że to ja straciłem rozsądek.

Szczególnie nieprzyjemne okazały się reakcje moich podwładnych. Z ich punktu widzenia opuszczałem ich i zostawiałem samych

sobie nie pozostawiwszy żadnego następcy. Jednak decyzja została już podjęta. Po tych wszystkich latach wahania zdecydowałem się na szybki ruch.

Moja decyzja okazała się nie do końca przemyślana. Nie miałem pracy, a nie uzbierałem jeszcze takiego majątku, który pozwoliłby mi na spokojne przeżycie na tej przedwczesnej emeryturze. Gdybym pozostał w MAIN kilka lat dłużej, mógłbym stać się czterdziestoletnim milionerem - jak to kiedyś sobie zaplanowałem. Jednakże trzydziestopięciolatka czekała jeszcze długa droga do osiągnięcia tego celu. To był wyjątkowo zimny i przygnębiający kwiecień.

Któregoś dnia zadzwonił Paul Priddy błagając, bym wpadł do niego do biura.

- Jeden z klientów chce odejść - powiedział. - Chciałbym, abyś zeznawał jako ekspert sądowy.

Długo się zastanawiałem. Siadałem naprzeciwko biurka Paula z już podjętą decyzją. Podałem swoją cenę - jako doradca chciałem dostawać trzykrotnie więcej, niż wynosiła poprzednio moja pensja. Ku mojemu zdumieniu prezes się zgodził rozpoczynając tym samym nowy etap mojej kariery.

Przez następnych kilka lat pracowałem jako hojnie opłacany ekspert - głównie dla amerykańskich publicznych przedsiębiorstw energetycznych starających się o zatwierdzenie przez stosowne urzędy nadzoru projektów budowy nowych elektrowni. Jednym z klientów było Public Service Company of New Hempshire. Moje zadanie polegało na uzasadnieniu - pod przysięgą - ekonomicznej opłacalności budowy wysoce kontrowersyjnej elektrowni atomowej Seabrook.

Chociaż nie zajmowałem się już bezpośrednio Ameryką Łacińską, wciąż śledziłem wydarzenia w tamtym rejonie. Pracując jako ekspert sądowy miałem do dyspozycji mnóstwo czasu pomiędzy kolejnymi rozprawami. Utrzymywałem kontakty z Paulą i odnowiłem stare przyjaźnie z czasów pobytu w Peace Corps w Ekwadorze, który nagle znalazł się w centrum zainteresowania światowej polityki naftowej.

Jaime Roldós kontynuował swoje dzieło. Poważnie podchodził do obietnic przedwyborczych i przeprowadzał zmasowaną ofensy-

wę przeciwko koncernom naftowym. Potrafił dostrzec rzeczy, które wielu innych po obu stronach Kanału Panamskiego nie zauważało lub wolało nie widzieć. Rozumiał niewidoczne siły, które pragnęły przekształcić świat w globalne imperium, a obywateli jego kraju zepchnąć na margines graniczący z poddaństwem. Czytałem artykuły na jego temat i podziwiałem nie tylko jego determinację, ale i umiejętność docierania do sedna spraw. A te wskazywały, że wkraczaliśmy w nową epokę światowej polityki.

W listopadzie 1980 roku Carter przegrał wybory prezydenckie na rzecz Ronalda Reagana. Głównymi przyczynami była renegocjacja traktatu dotyczącego Kanału Panamskiego i nieudana próba oswobodzenia zakładników przetrzymywanych w amerykańskiej ambasadzie w Teheranie. Równolegle zachodził jeszcze inny, ledwo dostrzegalny, proces. Prezydent pragnący światowego pokoju i zmniejszenia uzależnienie Stanów Zjednoczonych od ropy został zastąpiony przez człowieka, który uważał, że miejsce USA - utrzymywane potęgą wojskową - znajduje się na szczycie światowej piramidy, i że kontrolowanie złóż ropy, gdziekolwiek by one nie leżały, stanowi część naszego *Manifest Destiny.* Prezydenta instalującego na dachu Białego Domu ogniwa słoneczne zastąpił człowiek, który kazał je zdemontować natychmiast po wprowadzeniu się do Gabinetu Owalnego.

Carter był może politykiem nieefektywnym, ale posiadał wizję Stanów Zjednoczonych zgodną z przesłaniem Deklaracji Niepodległości. Oglądane z perspektywy jego postępowanie wydaje się dziś naiwnie archaiczne - odwołujące się do ideałów, które przyciągnęły na kontynent naszych przodków i ukształtowały nasz naród. Gdy porówna się je z bezpośrednimi poprzednikami i następcami, stanowi ewidentną anomalię, odstępstwo od reguły. Jego wizja świata nie była zgodna z wizją EBR-owców.

Reagan natomiast doskonale czuł się w roli budowniczego imperium i sługi korporacjokracji. Aktorstwo doskonale wpisywało się w ten obraz - zawód przystosował go do przyjmowania rozkazów i słuchania wytycznych przełożonych. To miał być jego znak rozpoznawczy - spełnianie życzeń ludzi kursujących pomiędzy siedzibami korporacji, zarządami banków i rządowymi gabinetami. Służył

ludziom udającym, że nimi rządzi, a którzy w istocie sami trzymali władzę. Byli to wiceprezydent George H. W. Bush, Sekretarz Stanu George Schultz, Sekretarz Obrony Caspar Weinberger, Richard Cheney, Richard Helms i Robert McNamara. Reagan realizował ich interesy i pragnienia - Stanów Zjednoczonych kontrolujących świat i światowe zasoby surowców naturalnych, Stanów Zjednoczonych wydających rozkazy i ustalających zasady postępowania wprowadzane następnie w czyn przy pomocy wojska i przy wsparciu międzynarodowego systemu bankowego i handlowego, które popierały Stany Zjednoczone w roli przywódcy globalnego imperium.

Wszystko wskazywało na to, że wkraczaliśmy w okres rozkwitu działalności EBR-owców. Jak na ironię akurat w tym momencie postanowiłem się wycofać. Ale im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym lepiej się z tym czułem. Wiedziałem, że dokonałem wyboru we właściwym czasie.

Nie potrafiłem przewidzieć, jak rozwinie się sytuacja w dłuższym okresie. Z historii wiedziałem wszakże, że imperia nie trwają wiecznie, i że wahadło odchyla się w obie strony. Uważałem, że ludzie pokroju Roldósa dają światu nadzieję, a prezydent Ekwadoru rozumiał subtelności ówczesnej sytuacji. Podziwiał Torrijosa i chwalił Cartera za odważne stanowisko w sprawie Kanału Panamskiego. Byłem pewien, że nie odpuści, i miałem nadzieję, że jego pomyślność zapali płomyk nadziei dla przywódców innych państw potrzebujących otuchy i inspiracji.

Na początku 1981 roku administracja Roldósa przygotowała projekt nowego prawa mającego realizować Politykę Węglowodorową i poddała go pod obrady parlamentu ekwadorskiego. Gdyby zostało przyjęte, zmieniłoby całkowicie stosunki między państwem a koncernami naftowymi. W opinii wielu projekt był radykalny, a wręcz rewolucyjny. Miał zdecydowanie zmienić sposób prowadzenia interesów i potencjalnie mógł objąć swym wpływem nie tylko Amerykę Łacińską, ale wręcz cały świat.[1]

Reakcja koncernów naftowych była łatwa do przewidzenia. Specjaliści od PR zostali zatrudnieni do oczernienia Jamie Roldósa, a lobbyści wysłani do Quito i Waszyngtonu z asortymentem pogróżek i walizkami pieniędzy. Próbowali przekonać wszystkich, że

pierwszy demokratycznie wybrany prezydent Ekwadoru jest drugim Castro. Ale Roldós nie ugiął się pod naciskiem. Odpowiedział demaskując spisek polityków, przemysłu naftowego i kościoła. Otwarcie oskarżył SIL o współpracę z koncernami naftowymi, a następnie wydał odważną, a być może lekkomyślną, decyzję nakazując misjonarzom opuszczenie kraju.[2]

Kilka tygodni po zgłoszeniu pakietu ustaw i parę dni po wyrzuceniu SIL z Ekwadoru Roldós ostrzegł przedstawicieli zagranicznych interesów, włączając w to koncerny naftowe, lecz nie ograniczając się do nich, że jeżeli ich działalność nie będzie miała na względzie pomocy obywatelom jego kraju, zostaną zmuszeni do jego opuszczenia. Wygłosił mowę na Stadionie Olimpijskim Atahualpa w Quito, po czym wyruszył do niewielkiej społeczności w południowym Ekwadorze.

24 maja 1981 roku zginął w katastrofie helikoptera.[3]

Świat zamarł. W Ameryce Łacińskiej zawrzało. Na całym kontynencie nagłówki gazet wykrzyczały „Morderstwo CIA!". Oprócz nienawiści ze strony Waszyngtonu i koncernów naftowych wiele okoliczności zdawało się potwierdzać te oskarżenia, a podejrzenia nabierały na sile, gdy na światło dzienne wychodziły kolejne szczegóły. Nigdy niczego nie udowodniono, ale świadkowie twierdzili, że Roldós ostrzegał o próbie zamachu na jego życie i przedsiębrał różne środki ostrożności, takie jak podróżowanie dwoma helikopterami. W ostatniej chwili jeden z oficerów ochrony przekonał go do podróży helikopterem-przynętą, który wyleciał w powietrze.

Pomimo żywej reakcji świata, wiadomość ta ledwo została odnotowana przez amerykańską prasę.

Osvaldo Hurtado przejął obowiązki prezydenta Ekwadoru. Pozwolił na powrót SIL i ich naftowych sponsorów. Przed końcem roku rozpoczął ambitny program zwiększenia wydobycia ropy przez Texaco i inne zagraniczne firmy w Zatoce Guayaąuil i w dorzeczu Amazonki.[4]

W swej mowie żałobnej Omar Torrijos nazwał Jaime Roldósa bratem. Przyznał się również, że śnią mu się koszmary o zamachu na własne życie. W tych proroczych snach widział się spadającego z nieba w wielkiej kuli ognia.

Rozdział 36

Panama: kolejna śmierć prezydenta

Śmierć Roldósa mnie oszołomiła, choć tak naprawdę chyba nie powinienem być zaskoczony. Byłem zbyt naiwny. Znałem przecież losy Arbenza, Mossadegh'a, Allende i wielu innych, których nazwiska nie trafiły nigdy do gazet, ale którym zniszczono lub skrócono życie za sprzeciw wobec korporacjokracji. Tym niemniej nie mogłem wyjść z szoku. To było szyte zbyt grubymi nićmi.

Po naszym niesamowitym sukcesie w Arabii Saudyjskiej doszedłem do wniosku, że takie brawurowe, publiczne działania odeszły do przeszłości, że szakale zostały odesłane do zoo. Okazało się, że się myliłem. Nie mam żadnych wątpliwości, że Roldós nie zginął w wypadku. Katastrofa miała wszelkie znamiona morderstwa dokonanego przez CIA. Jawność tej egzekucji mogła wynikać tylko z jednego - chęci przesłania światu jasnego sygnału. Nowa administracja Reagana budowała swój kowbojski wizerunek i styl działania „najpierw strzelaj, później zadawaj pytania". Szakale obwieściły swój powrót wszem i wobec - Omarowi Torrijosowi i każdemu, kto myślał o przyłączeniu się do krucjaty przeciwko korporacjokracji.

Ale Torrijos nie ugiął się. Również wyrzucił z kraju SIL i twardo odmawiał żądaniom administracji Reagana renegocjacji traktatu dotyczącego Kanału.

Dwa miesiące po śmierci Roldósa ziścił się również koszmar Omara Torrijosa - generał zginął w katastrofie samolotu 31 lipca 1981 roku.

Świat wstrzymał oddech. Torrijosa znano i szanowano wszędzie jako człowieka, który zmusił Stany Zjednoczone, by zwróciły Kanał Panamski prawowitym właścicielom, i który nie wahał się stawić czoła Reaganowi. Był mistrzem walki o prawa człowieka. Stał na czele kraju, który stał się schronieniem dla uchodźców reprezentujących każdą możliwą opcję polityczną - nawet szacha Iranu. Wielu wierzyło, że generał zostanie nominowany do pokojowej nagrody Nobla. A teraz nie żył. Prasowe nagłówki raz jeszcze wykrzyczały „Morderstwo CIA!".

Graham Greene rozpoczął swoją książkę zatytułowaną „Poznając generała", którą napisał w czasie swojej podróży, gdy spotkałem go w Hotelu Panama, takimi oto słowami:

„W sierpniu 1981 roku spakowany i przygotowany do piątej podróży do Panamy otrzymałem przez telefon wieść o śmierci mego przyjaciela i gospodarza, Generała Omara Torrijosa Herrer. Niewielki samolot, którym wracał do swego domu w Colesito położonego w górach Panamy, rozbił się, a katastrofy nikt nie przeżył. Kilka dni później jeden z osobistych ochroniarzy generała, sierżant Chuchu, alias Jose de Jesus Martinez, były profesor filozofii marksistowskiej na Uniwersytecie Panamskim, profesor matematyki i poeta, powiedział mi:

- W tym samolocie była bomba. *Wiem,* że była bomba w tym samolocie, ale przez telefon nie mogę ci powiedzieć, skąd to wiem."[1]

Cały świat opłakiwał śmierć człowieka, który wypracował sobie reputację obrońcy biednych i bezbronnych. Żądano, by Waszyngton rozpoczął śledztwo w sprawie działalności CIA, ale to oczywiście nie miało się zdarzyć. Na liście ludzi nienawidzących Torrijosa znajdowało się, zbyt wiele osób posiadających, zbyt potężną władzę - prezydent Reagan, wiceprezydent Bush, Sekretarz Obrony Weinberger, członkowie Połączonego Komitetu Szefów Sztabów oraz wielu prezesów wielkich korporacji.

Zwłaszcza dowódcy wojskowi mieli powody do wściekłości, ponieważ traktat zawarty pomiędzy Torrij osem a Carterem zmusił ich do zamknięcia *School ofAmericas* oraz centrum Południowego Dowództwa USA przygotowującego do walk w warunkach tropikalnych, co stanowiło poważny problem. Musieli znaleźć sposób na

ominięcie zapisów nowego traktatu, albo znaleźć inny kraj, który zgodziłby się na przyjęcie do siebie tych placówek - co nie było zbyt prawdopodobne pod koniec XX wieku. Oczywiście istniała też trzecia możliwość - pozbycie się Torrijosa i renegocjacja traktatu z jego następcą.

Wśród biznesowych wrogów Torrijosa znajdowały się wielkie, międzynarodowe koncerny. Większość z nich była blisko związana z amerykańskimi politykami i brała udział w eksploatacji siły roboczej i surowców naturalnych w Ameryce Łacińskiej - ropy, drewna, cyny, miedzi, boksytów i terenów rolniczych. Reprezentowały różne gałęzie gospodarki - produkcję, komunikację, transport i budownictwo.

Doskonałym przykładem bliskich stosunków prywatnych przedsiębiorstw z rządem USA była Bechtel Group, Inc. - najbardziej wpływowa amerykańska firma budowlano-konstrukcyjna. Znałem ją dobrze - często z nią współpracowaliśmy w MAIN i nawet zaprzyjaźniłem się z ich głównych architektem. Wśród członków zarządu znajdowali się George Schultz i Caspar Weinberger, którzy gardzili Torrijosem, gdyż ten otwarcie opowiadał się za japońskim planem zastąpienia Kanału nowym, bardziej efektywnym.[2] To posunięcie nie tylko rozwiązałoby na korzyść Panamy kwestię własności, ale i wyłączyło Bechtel z uczestnictwa w niezwykłym i potencjalnie lukratywnym projekcie budowlanym stulecia.

Torrijos sprzeciwiał się tym ludziom i czynił to z wdziękiem i niesamowitym poczuciem humoru. Teraz zginął, a władzę po nim przejął protegowany Manuel Noriega, któremu brakowało inteligencji, dowcipu i charyzmy generała. Wielu obserwatorów spodziewało się, że nie będzie miał żadnych szans w starciu z Reaganami, Bushami i Bechtelami tego świata.

Byłem załamany śmiercią Torrijosa. Spędziłem wiele godzin wspominając rozmowy z generałem. Siedziałem do późna w nocy wpatrując się w jego zdjęcie w gazecie i przypominając sobie moją pierwszą noc w Panamie, gdy przez zalewaną deszczem szybę taksówki patrzyłem na wielki billboard. „Ideałem Omara jest wolność; nie wynaleziono rakiety, która mogłaby zabić ideał!" Wspomnienie tego hasła spowodowało, że przeszły mnie dreszcze - podobnie jak tamtej burzliwej nocy.

Wówczas nie mogłem wiedzieć, że Torrijos dogada się z Carterem i odzyska Kanał Panamski, ani że ten sukces i towarzyszące mu podejmowane przez generała próby łagodzenia konfliktów pomiędzy południowoamerykańskimi socjalistami i dyktatorami tak zajdą za skórę administracji Reagana i Busha, że ta postanowi go zgładzić.[3] Nie mogłem wiedzieć, że zginie w czasie rutynowego lotu swoim Twin Otterem, ani że większość świata poza Stanami Zjednoczonymi nie będzie miała żadnych wątpliwości, iż jego śmierć była po prostu kolejnym morderstwem dokonanym przez CIA.

Gdyby Torrijos żył, bez wątpienia próbowałby przeciwstawiać się przemocy prześladującej państwa w Ameryce Łacińskiej. Na podstawie jego wcześniejszych dokonań możemy przypuszczać, że starałby się wpłynąć na ograniczenie zniszczenia środowiska przez koncerny naftowe w amazońskich regionach Ekwadoru, Kolumbii i Peru. Skutkiem tych działań byłoby złagodzenie konfliktów, które Waszyngton określa mianem wojen narkotykowych i akcji terrorystycznych, a które dla generała były tylko działaniami zdesperowanych ludzi walczących w obronie swych rodzin i domów. Ale przede wszystkim uważam, że Torrijos stałby się wzorem do naśladowania dla nowego pokolenia przywódców w Ameryce Łacińskiej, Afryce i Azji, a na to CIA, NSA i EBR-owcy nie mogli pozwolić.

/

Rozdział 36

Moja firma energetyczna. Enron i George W. Bush

Gdy zginął Torrijos, nie widziałem Pauli już od kilku miesięcy.

Umawiałem się z innymi kobietami, w tym Winifred Grant, młodą specjalistką od planowania środowiskowego, którą poznałem w MAIN, a której ojcem przez przypadek był główny architekt Bechtel. Paula spotykała się z kolumbijskim dziennikarzem. Pozostawaliśmy przyjaciółmi, lecz zdecydowaliśmy się zerwać łączące nas romantyczne więzy.

Męczyłem się w roli eksperta sądowego, szczególnie uzasadniając opłacalność elektrowni atomowej Seabrook. Wyglądało, że znów się sprzedałem wchodząc dla pieniędzy w starą rolę. Winifred stanowiła dla mnie w tym okresie znaczące wsparcie. Była zagorzałą obrończynią środowiska, ale rozumiała też konieczność zaspokajania stale rosnącego zapotrzebowania na energię elektryczną. Wychowała się w Berkley w rejonie Wschodniej Zatoki San Francisco kończąc studia na University of Columbia. Jej wolnomyślicielskie poglądy na życie mocno kontrastowały z purytańskimi zasadami moich rodziców i Ann.

Nasz związek rozwijał się. Winifred wzięła wolne i popłynęliśmy moim jachtem wzdłuż wybrzeża Atlantyku ku Florydzie. Nie spieszyliśmy się, zatrzymując się często w różnych portach, bym mógł polecieć na przesłuchania. W końcu dopłynęliśmy do West Palm Beach na Florydzie i wynajęliśmy apartament. Pobraliśmy się, a nasza córka, Jessica, urodziła się 17 maja 1982 roku. Miałem trzy-

dzieści sześć lat, sporo więcej niż inni mężczyźni uczęszczający do szkoły rodzenia.

Moje zadanie w sprawie Seabrook polegało częściowo na przekonaniu New Hempshire Public Service Commission*, że elektrownia atomowa była najlepszym sposobem produkcji energii elektrycznej w stanie. Niestety, im dłużej wgłębiałem się w sprawę, tym bardziej poddawałem w wątpliwość wiarygodność moich argumentów. W owym czasie literatura dotycząca tego tematu nieustannie się zmieniała, odzwierciedlając rosnącą wiedzę wynikającą z przeróżnych badań, a dowody coraz bardziej wskazywały na fakt, że wiele alternatywnych źródeł energii cechowało się wyższym poziomem technicznym i efektywnością.

Teoria mówiąca o bezpieczeństwie energii atomowej również zaczynała odchodzić do lamusa. Podnoszono szereg wątpliwości związanych ze skutecznością systemów rezerwowych, jakością wyszkolenia operatorów, ludzką skłonnością do popełniania błędów, zużyciem sprzętu i niewłaściwym składowaniem odpadów radioaktywnych. Zacząłem czuć się nieswojo biorąc pod uwagę swoją sytuację - miałem zeznać pod przysięgą przed komisją posiadającą status sądu. W tym czasie zacząłem dochodzić do wniosku, że niektóre nowe technologie umożliwiały wytwarzanie elektryczności w sposób naprawdę przyjazny dla środowiska - na przykład z odpadów.

Któregoś dnia poinformowałem moich przełożonych z New Hempshire Utility Company, że nie mogę dłużej ich reprezentować. Zrezygnowałem z niezwykle dochodowej kariery i postanowiłem założyć firmę, która przeniosłaby niektóre nowe technologie z desek kreślarskich do praktyki. Winifred w pełni mnie popierała, pomimo ryzyka związanego z tym przedsięwzięciem oraz faktu, że oto po raz pierwszy w życiu zakładała rodzinę.

Kilka miesięcy po narodzinach córki w roku 1982 założyłem Independent Power Systems (IPS). Firma miała zajmować się budową elektrowni przyjaznych dla środowiska i opracowywaniem schematów postępowania, które mogłyby zachęcić innych do podobnej działalności. Biznes ten charakteryzował się wysokim ryzykiem

[1] Komisja Komunalna New Hempshire - przyp. tłum.

i większość naszych konkurentów ostatecznie zbankrutowała. Jednakże „przypadki" wydawały się nam sprzyjać. W istocie byłem pewien, że kilka razy ktoś wspomógł nas swymi interwencjami - nagradzano mnie za dawne zasługi i za zachowywanie milczenia.

Bruno Zambotti otrzymał wysokie stanowisko w Inter-American Development Bank. Zgodził się wejść do zarządu IPS i pomóc w zdobyciu finansowania dla naszej raczkującej firmy. Otrzymaliśmy wsparcie z Bankers Trust, ESI Energy, Prudential Insurance Company, Chadbourn and Park (znacząca firma prawnicza z Wall Street, w której wspólnikiem był były senator, kandydat na prezydenta i Sekretarz Stanu - Ed Muskie) i Riley Stoker Corporation (firma budowlana, której właścicielem była Ashland Oil Company - projektant i producent zaawansowanych technologicznie i nowatorskich bojlerów do elektrowni). Wsparł nas nawet Kongres, który zwolnił IPS z podatku specjalnego, dając nam przewagę nad konkurencją.

W 1986 roku IPS i Bechtel równocześnie, ale niezależnie od siebie, rozpoczęły budowę elektrowni wykorzystujących najnowocześniejszą technologię spalania węgla bez emisji spalin powodujących powstawanie kwaśnych deszczy. Do końca dekady te dwie elektrownie zrewolucjonizowały energetykę, znacząco przyczyniając się do wprowadzenia nowego prawa dotyczącego ochrony środowiska i udowadniając raz na zawsze, że wiele tak zwanych odpadów można z powodzeniem stosować do produkcji elektryczności, oraz że węgiel można spalać bez emisji szkodliwych gazów. Nasza firma udowodniła również, że takie niesprawdzone, obiecujące technologie mogą być sfinansowane przez małe, niezależne przedsiębiorstwa - za pośrednictwem Wall Street lub w konwencjonalny sposób.[1] Dodatkową korzyścią uzyskiwaną z elektrowni IPS było wykorzystanie nadmiaru ciepła do ogrzania trzyipółakrowej szklarni z hydroponicznymi uprawami zamiast odprowadzenia go do chłodzących stawów.

Rola prezesa IPS pozwoliła mi na poznanie kulisów przemysłu energetycznego. Miałem do czynienia z najbardziej wpływowymi ludźmi w tym biznesie - prawnikami, lobbystami, bankierami i menedżerami wysokiego szczebla z największych firm. Miałem również

przewagę w postaci teścia pracującego od trzydziestu lat w Bechtel, który w końcu awansował do funkcji głównego architekta i nadzorował teraz budowę miasta w Arabii Saudyjskiej - bezpośredniego rezultatu mojej pracy z pierwszej połowy lat siedemdziesiątych XX w Winifred dorastała w pobliżu światowej siedziby Bechtel w San Francisco i również należała do korporacyjnej rodziny - pierwszą pracę po skończeniu uniwersytetu podjęła właśnie w tej firmie.

Branża energetyczna przechodziła głęboką restrukturyzację. Wielkie firmy budowlane prześcigały się, by przejąć przedsiębiorstwa użyteczności publicznej, które uprzednio cieszyły się przywilejem lokalnych monopolistów, lub przynajmniej nawiązać z nimi współpracę. „Deregulacja" była kluczowym słowem w tamtym okresie, a zasady zmieniały się z dnia na dzień. Przedsiębiorczy ludzie otrzymywali możliwość wykorzystania sytuacji, która wprawiała w zakłopotanie sądy i Kongres. Przedstawiciele branży nazwali ją erą „Energetycznego Dzikiego Zachodu".

Jedną z ofiar tego procesu stała się MAIN. Tak jak przewidział Bruno, Mac Hall stracił kontakt z rzeczywistością i nikt nie śmiał mu o tym powiedzieć. Paulowi Priddy nigdy nie udało się uzyskać pełnej kontroli nad firmą, a zarząd MAIN nie tylko nie potrafił wykorzystać zmian następujących w branży, ale popełnił serię fatalnych błędów. Zaledwie w kilka lat po osiągnięciu przez Bruna rekordowych zysków MAIN zrezygnowała z uczestnictwa w działalności EBR-owców i popadła w poważne tarapaty finansowe. W końcu wspólnicy sprzedali ją jednej z wielkich firm budowlanych umiejących odnaleźć się w sytuacji.

W roku 1980 pozbyłem się moich akcji po prawie 30 dolarów za sztukę, podczas gdy pozostali wspólnicy otrzymali za swoje mniej niż połowę tej ceny zaledwie cztery lata później. W ten oto poniżający sposób zakończyło się sto lat dumnej tradycji. Smutno mi było z powodu upadku firmy, ale z drugiej strony cieszyłem się, że swego czasu podjąłem słuszną decyzję. MAIN funkcjonowała przez pewien czas pod starą nazwą, ale w końcu z niej zrezygnowano. Do historii odeszło logo niegdyś tak dobrze znane na całym świecie.

MAIN stanowiła przykład przedsiębiorstwa, które nie odnalazło się w zmieniającym się otoczeniu. Na drugim końcu skali znajdo-

wała się firma, którą ludzie pracujący w branży uznawali za fascynującą: Enron. Wydawało się, że to jedno z najszybciej rozwijających się przedsiębiorstw pojawiło się znikąd i natychmiast zaczęło zdobywać wielkie kontrakty. Większość spotkań biznesowych zaczyna się od kilku minut pogawędki, podczas której jego uczestnicy nalewają sobie kawę, zajmują miejsca i porządkują papiery. W tamtym okresie najczęstszym tematem tych pogawędek był Enron. Nikt z zewnątrz nie wiedział, w jaki sposób firmie tej udawało się dokonywać takich cudów, a jej pracownicy tylko uśmiechali się znacząco i milczeli. Czasami, gdy zostali mocniej przyciśnięci, mówili o nowym podejściu do zarządzania, o „kreatywnych finansach" oraz 0 umiejętności wyszukiwania menedżerów, którzy umieją się odnaleźć w korytarzach władzy.

Dla mnie wszystko to wyglądało na nową wersję technik EBR-owców. Globalne imperium posuwało się naprzód raźnym krokiem.

Innym często dyskutowanym tematem - dla zainteresowanych rynkiem ropy i polityką zagraniczną - był syn wiceprezydenta - George W. Bush. Jego pierwsza firma naftowa, Arbusto*, okazała się niewypałem 1 została uratowana przeprowadzoną w 1984 roku fuzją ze Spektrum 7. Wkrótce potem Spektrum 7 również znalazła się na krawędzi bankructwa i została w 1986 roku wykupiona przez Harken Energy Corporation. George W. Bush pełnił nadal funkcję członka zarządu i konsultanta otrzymując roczną pensję w wysokości 120 tys. dolarów.[2]

Wszyscy rozumieliśmy, iż ważnym czynnikiem decydującym o rozwoju kariery młodego Busha musiał być jego ojciec - wiceprezydent, gdyż dokonania juniora na polu zarządzania firmą naftową nie dawały podstaw do zatrudnienia go na takim stanowisku. Nieprzypadkowo również Harken wykorzystała nadarzającą się okazję - pierwszą w swej historii - by rozpocząć poszukiwania ropy na Bliskim Wschodzie. Magazyn *Vanity Fair* odnotował: „Gdy Bush objął stanowisko członka zarządu, wspaniałe rzeczy zaczęły się przydarzać firmie Harken - nowe inwestycje, niespodziewane źródła finansowania, fantastyczne prawa do odwiertów."[3]

* „Arbusto" - po hiszpańsku „krzak" (przyp. aut.); „bush" - po angielsku „krzak" (przyp. tłum.)

W 1989 roku Amoco negocjowało z rządem Bahrajnu prawa do odwiertów na wodach przybrzeżnych, a wiceprezydent Bush został wybrany na prezydenta. Wkrótce potem Michael Ameen - pracujący w Departamencie Stanu konsultant, który otrzymał zadanie przekazania instrukcji nowemu ambasadorowi USA w Bahrajnie, Charlesowi Hostlerowi - zaaranżował spotkanie pomiędzy rządem tego kraju a Harken Energy. Nieoczekiwanie firma ta zajęła miejsce Amoco. Mimo że Harken nigdy nie wydobywała ropy poza południowo-wschodnią częścią Stanów Zjednoczonych, ani nawet nigdy nie wydobywała ropy na morzu, zdobyła ekskluzywne prawa do odwiertów w Bahrajnie. O czymś takim świat arabski jeszcze nie słyszał. W ciągu kilku tygodni cena firmy wzrosła o ponad 20% - z 4,5 do 5,5 dolara za akcję.[4]

Nawet doświadczeni przedstawiciele sektora energetycznego byli zdumieni zdarzeniami w Bahrajnie.

- Mam nadzieję, że George W. nie zbroi czegoś, za co jego ojciec będzie musiał zapłacić - powiedział mi specjalizujący się w branży prawnik, zagorzały zwolennik Partii Republikańskiej, gdy sączyliśmy drinki w barze na szczycie World Trade Center. Zniesmaczony dodał - zastanawiam się, czy kariera syna naprawdę warta jest ryzykowania prezydentury?

Mnie ta sytuacja dziwiła mniej niż moich kolegów, ale wynikało to z moich niezwykłych doświadczeń. Pracowałem z rządami Kuwejtu, Arabii Saudyjskiej, Egiptu oraz Iranu i znałem realia polityki bliskowschodniej. Wiedziałem, że Bush i menedżerowie Enronu stanowili elementy sieci, którą współtworzyłem wraz z innymi EBR-owcami. Byli feudalnymi panami i właścicielami plantacji.[5]

Rozdział 36

Przyjmuję łapówkę

W tamtym okresie zdałem sobie sprawę, że wkroczyliśmy w nową erę w gospodarce. Ciąg zdarzeń zapoczątkowanych przez Roberta McManarę, mojego dawnego idola, w czasie gdy sprawował funkcje sekretarza obrony i prezesa Banku Światowego, potoczył się w kierunku spełnienia moich najczarniejszych koszmarów. Zainspirowane poglądami Keynesa podejście McNamary do gospodarki i promowane przez niego agresywne przywództwo stały się wszechobecne. Idea EBR-owców rozprzestrzeniła się, by objąć sobą menedżerów pracujących w najrozmaitszych branżach. Nie wszystkich rekrutowała NSA, ale wszyscy spełniali podobne funkcje.

Nastąpiła tylko jedna zmiana - menedżerowie wysokiego szczebla niekoniecznie wykorzystywali finansowanie przez system międzynarodowej bankowości. Podczas gdy moja stara branża wciąż rozkwitała, nowy model działania przyjmował jeszcze bardziej złowrogą formę. W latach osiemdziesiątych XX w. młodzi ludzie przechodzili przez szczeble kierowniczej kariery wierząc, iż cel uświęca środki. A celem globalnego imperium stało się zwiększenie zysków.

Nowe trendy widać było wyraźnie na przykładzie branży energetycznej, w której pracowałem. W 1978 roku Kongres zajął się Public Utility Regulatory Policy Act* (PURPA), która po serii prawniczych

Ustawa dotycząca polityki wobec przedsiębiorstw użyteczności publicznej (przyp. tłum.)

przepychanek weszła w życie w roku 1982. W założeniu Kongres pragnął zachęcić małe, niezależne firmy do opracowywania alternatywnych paliw i sposobów produkcji energii elektrycznej. Ustawa zobowiązywała wielkie przedsiębiorstwa energetyczne do odkupowania ekologicznej energii po rozsądnych cenach. Polityka ta stanowiła efekt działań Cartera zmierzających do ograniczenia uzależnienia Stanów Zjednoczonych od ropy naftowej - i to nie tylko tej importowanej. Ustawa miała wspierać rozwój ekologicznych technologii i małych firm nawiązując w ten sposób do przedsiębiorczego ducha Ameryki. Jednakże rzeczywistość okazała się zupełnie inna.

W latach osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych XX w. deregulacja stała się wiodącym trendem gospodarczym przyćmiewając promowaną uprzednio przedsiębiorczość. Obserwowałem proces przejmowania małych, niezależnych firm przez wielkie koncerny budowlane i przez same przedsiębiorstwa użyteczności publicznej. Te ostatnie znalazły luki prawne pozwalające im na tworzenie holdingów składających się zarówno z przedsiębiorstw komunalnych, jak i z nie podlegających wielu ustawowym ograniczeniom niezależnych producentów energii. Wiele z nich rozpoczęło agresywne działania mające na celu doprowadzenie niezależnych firm do bankructwa, a następnie przejęcia ich. Inne po prostu utworzyły własne spółki zajmujące się wytwarzaniem energii.

Koncepcja uniezależnienia się od ropy odeszła w cień. Reagan miał długi wdzięczności u przemysłu naftowego, a Bush sam dorobił się fortuny w tym sektorze. Większość ważniejszych postaci w ekipach tych prezydentów również wywodziła się z branży, lub ze ściśle z nią związanych firm budowlanych. Podobnie zresztą było w przypadku Demokratów.

IPS kontynuowała misję rozwoju przyjaznych dla środowiska źródeł energii. Realizowaliśmy cele PURPA i wydawało się, że wiedziemy sielankowy tryb życia. Byliśmy jedną z nielicznych niezależnych firm, które nie tylko przetrwały, ale i rozkwitły. Nie miałem żadnych wątpliwości, że zawdzięczałem to przysługom wyświadczonym korporacjokracji.

Przemiany zachodzące w branży energetycznej stanowiły przejaw nowego trendu obejmującego całą światową gospodarkę. Tro-

ska o dobro społeczne, środowisko i inne ważne kwestie życiowe ustąpiły miejsca chciwości. Wielki nacisk kładziono na promowanie rozwoju prywatnych firm. Na początku uzasadniano to wyższością kapitalizmu nad komunizmem, później jednak takie uzasadnienie stało się zbędne - po prostu przyjęto a priori, że przedsiębiorstwa prywatne zarządzane przez bogatych inwestorów są po prostu lepsze od ich odpowiedników będących własnością państwową. Międzynarodowe instytucje w rodzaju Banku Światowego przyłączyły się do promowania tej idei, zachęcając do deregulacji i prywatyzacji wodociągów, oczyszczalni ścieków, firm transportowych i innych, które do tej pory były zarządzane przez państwo.

Niezwykle ułatwiło to rozwój koncepcji EBR-owców i umożliwiło wysyłanie menedżerów reprezentujących najrozmaitsze branże na misje dotąd zarezerwowane dla garstki członków elitarnego klubu. Ci menedżerowie rozjechali się po świecie w poszukiwaniu najtańszej siły roboczej, najłatwiej dostępnych zasobów naturalnych i kolejnych, większych rynków zbytu. Ich działania cechowała bezwzględność - podobnie jak EBR-owców, którzy pracowali przed nimi. Oni również potrafili znaleźć uzasadnienia dla swych niecnych uczynków i wplątać w sieć swych intryg lokalne społeczności i całe państwa. Obiecywali wzrost zamożności, przedstawiając rozwój sektora prywatnego jako sposób na wyjście z długów. Budowali szkoły i autostrady, darowywali telefony, telewizję i usługi medyczne. Ale, jeżeli tylko udawało się im znaleźć gdzieś indziej tańszą siłę roboczą, odchodzili. Skutki opuszczenia społeczności, których nadzieje zostały rozbudzone, były częstokroć katastrofalne. Tym niemniej decyzje takie były podejmowane bez chwili zastanowienia nad możliwymi konsekwencjami.

Zastanawiałem się, jaki wpływ miało to na ich psychikę, czy tak jak ja miewali chwile zwątpienia i refleksji? Czy stanęli kiedyś na brzegu zanieczyszczonej rzeki patrząc na młodą kobietę próbującą się wykąpać, podczas gdy powyżej do wody załatwiał swoje potrzeby starszy człowiek? Czy nie było już Howardów Parkerów, by zadać niewygodne pytania?

Cieszyłem się z sukcesów IPS i życia na łonie rodziny, ale wciąż zdarzały mi się okresy poważnych depresji. Jako ojciec martwiłem się o przyszłość, którą odziedziczy moja córka. Ciążyło mi brzemię winy za mój wkład w sytuację na świecie.

Dostrzegałem również bardzo niepokojący trend. Nowoczesny system finansowy został utworzony pod koniec II Wojny Światowej, podczas odbywającej się w Bretton Woods, w moim rodzinnym stanie (New Hempshire), konferencji, na której pojawili się przywódcy wielu krajów. Podczas obrad utworzono Bank Światowy oraz Międzynarodowy Fundusz Walutowy, które miały zająć się odbudową zniszczonej Europy, co zresztą udało się w nadzwyczajnym stopniu. System rozwijał się gwałtownie i wkrótce został zaakceptowany przez wszystkich znaczących sojuszników USA. Traktowano go jako panaceum na wszelkie problemy. Wierzono również, że obroni nas przed zakusami komunizmu.

Zastanawiałem się, dokąd to wszystko zmierza. Pod koniec lat osiemdziesiątych XX w., po upadku ZSRR stało się jasne, że powstrzymanie komunizmu nie stanowiło ostatecznego celu, oraz że globalne imperium zakorzenione w kapitalizmie przejmie teraz pełnię władzy. Jim Garrison, prezes *State of the World Forum,* zauważa:

„Integracja świata - patrząc przez pryzmat globalizacji gospodarki i mitycznych zalet „wolnorynkowego" kapitalizmu - to prawdziwe „imperium" rządzące się swoimi własnymi prawami. (...) Żadnemu narodowi nie udało się oprzeć nieodpartemu magnetyzmowi globalizacji. Nieliczni uniknęli „strukturalnego dostosowania" i „uwarunkowań" Banku Światowego i Międzynarodowego Funduszu Walutowego, albo arbitrażu Światowej Organizacji Handlu. Te instytucje finansowe wciąż określają, choć w niewłaściwy sposób, co tak naprawdę oznacza globalizacja, jakie są jej prawa oraz kto ma zostać nagrodzony za podporządkowanie się, a kto ukarany za ich naruszanie. Siła globalizacji jest tak wielka, że w ciągu jednego pokolenia najprawdopodobniej zobaczymy integrację - możliwe, że na nierównych prawach - wszystkich narodowych gospodarek w pojedynczy, globalny wolny rynek."[1]

Gdy przemyślałem wszystkie te sprawy, zdecydowałem się napisać książkę opowiadającą o kulisach systemu - *Wyznania ekonomisty od brudnej roboty* - ale nie zadałem sobie trudu, by utrzymać to w tajemnicy. Dziś wciąż nie jestem typem pisarza-samotnika, ponieważ odczuwam potrzebę dyskutowania na temat swojej pracy. Rozmowy z ludźmi mnie inspirują. Często też dzwonię do kogoś, by pomógł mi przypomnieć sobie szczegóły różnych zdarzeń. Chętnie czytam przyjaciołom fragmenty tekstu, by wysłuchać później ich opinii. Wiem, że to ryzykowne, ale nie potrafię pisać w inny sposób. Nie było więc tajemnicą, że pisałem książkę o mojej pracy w MAIN.

Pewnego popołudnia 1987 roku skontaktował się ze mną jeden z byłych wspólników MAIN i zaoferował mi niezwykle lukratywny kontrakt doradczy dla Stone & Webster Engineering Corporation (SWEC). W owym czasie firma ta należała do największych przedsiębiorstw budowlanych na świecie i szukała swojego miejsca w zmieniającym się otoczeniu sektora energetycznego. Miałem raportować do spółki zależnej SWEC - niezależnego producenta energii wzorowanego na mojej IPS. Ulżyło mi, gdy dowiedziałem się, że nikt nie oczekuje ode mnie udziału w projektach międzynarodowych, ani wypełniania roli EBR-owca.

W zasadzie powiedziano mi, że nie oczekuje się ode mnie prawie żadnych działań. Założyłem jedną z nielicznych niezależnych spółek energetycznych, którym udało się odnieść sukces, więc cieszyłem się w branży doskonałą reputacją. SWEC chciała po prostu wykorzystać moje *resume* dołączając mnie do listy swoich doradców, co stanowiło legalną i szeroko stosowaną praktykę w przemyśle energetycznym. Oferta była dla mnie niezwykle interesująca, ponieważ z różnych powodów zastanawiałem się nad sprzedażą IPS. Nie mogłem wzgardzić szansą dołączenia do zespołu SWEC i otrzymywania bajecznego honorarium.

W dniu podpisania umowy prezes SWEC zaprosił mnie na prywatny lunch. Rozmawialiśmy przez pewien czas i odkryłem, że w głębi serca chętnie wróciłbym do konsultingu - pozbywając się odpowiedzialności za prowadzenie skomplikowanej firmy konstruującej i zarządzającej elektrowniami oraz za stu pracow-

ników budujących kolejny obiekt. Już zaplanowałem, na co mógłbym wydać moje honorarium - na utworzenie organizacji non-profit.

Przy deserze gospodarz poruszył temat mojej jedynej opublikowanej wcześniej książki - *The Stress-Free Habit**. Stwierdził, że słyszał o niej same pochwały. I wtedy spojrzał mi prosto w oczy.

- Czy zamierza pan pisać jeszcze jakieś książki? - spytał.

Żołądek nagle podskoczył mi do gardła. Zrozumiałem, o co w tym wszystkim chodziło. Nie zastanawiałem się.

- Nie - odparłem. - Nie zamierzam wydawać żadnych książek w najbliższym czasie.

- Cieszę się - powiedział. - W naszej firmie bardzo cenimy sobie dyskrecję, podobnie jak w MAIN.

- Jasne, rozumiem.

Uśmiechając się rozsiadł się wygodniej na krześle. Wyglądał na rozluźnionego.

- Oczywiście książki takie, jak ta ostatnia, dotyczące radzenia sobie ze stresem i tym podobnych spraw są w pełni akceptowalne. Czasami nawet mogą pomóc w rozwoju kariery. Jako konsultant SWEC ma pan wolną rękę przy publikacji tego rodzaju prac - dodał. Wyglądał, jakby oczekiwał odpowiedzi.

- Dobrze wiedzieć.

-Tak, takie są całkowicie dopuszczalne. Jednak zrozumiałe jest chyba, że nie wolno panu wymienić w swoich publikacjach nazwy naszej firmy, ani opisywać prowadzonej przez nas działalności, pana pracy w MAIN, ani współpracy z międzynarodowymi bankami. Nie może pan poruszać tematów politycznych - zerknął na mnie. - To kwestia dyskrecji i zaufania.

- To się rozumie samo przez się - zapewniłem go. Na moment moje serce przestało bić. Ogarnęło mnie znajome uczucie, które odczuwałem już w towarzystwie Howarda Parkera w Indonezji, jeżdżąc po Panamie z Fidelem i siedząc w kolumbijskiej kawiarni z Paulą. Znów sprzedawałem się. Z prawnego punktu widzenia nie była to łapówka - SWEC miała pełne prawo zapłacić mi za umie-

* Nawyk życia bez stresu (przyp. tłum.)

szczenie mojego nazwiska na liście współpracowników, by od czasu do czasu móc poprosić mnie o radę lub uczestnictwo w spotkaniu, ale doskonale rozumiałem faktyczny powód, dla którego mnie zatrudniono.

Zaproponował mi roczne honorarium stanowiące równowartość pensji członka zarządu.

Po spotkaniu siedziałem oszołomiony na lotnisku czekając na lot powrotny na Florydę. Czułem się jak prostytutka, a nawet gorzej - zdradziłem córkę, rodzinę i ojczyznę. A jednak, powtarzałem sobie, nie miałem wielkiego wyboru. Wiedziałem, że jeśli nie skorzystałbym z tej propozycji, wkrótce usłyszałbym groźby.

Rozdział 36

Stany Zjednoczone atakują Panamę

Torrijos już nie żył, ale Panama wciąż zajmowała specjalne miejsce w moim sercu. Mieszkając na południu Florydy posiadałem dostęp do wielu źródeł informacji dotyczących bieżących wydarzeń w Ameryce Środkowej. Dzieło generała było kontynuowane, chociaż ludziom go zastępującym brakowało jego empatii i siły charakteru. Nadal podejmowano próby uśmierzenia konfliktów na kontynencie, a Panama wciąż starała się zmusić Stany Zjednoczone do przestrzegania warunków traktatu.

Następca Torrijosa, Manuel Noriega, na początku wydawał się podążać śladami swojego poprzednika. Nigdy nie poznałem go osobiście, ale wiedziałem, że próbował poprawić los biedoty. Jednym z najważniejszych projektów, którymi się zajmował, było badanie możliwości budowy i sfinansowania nowego kanału przez Japończyków. Jak można się domyślać, napotkał silny opór ze strony Waszyngtonu i prywatnych firm amerykańskich. Sam wspomina to w następujący sposób:

„Sekretarz Stanu, George Schultz, to były prezes międzynarodowej firmy budowlanej Bechtel, Sekretarz Obrony, Caspar Weinberger, był jej wiceprezesem. Bechtel pragnie zarobić miliardy dolarów na budowie nowego kanału. (…) Administracje Busha i Reagana obawiały się, że Japończycy wygrają rywalizację o uczestnictwo w tej inwestycji. Nie chodziło tylko o niewłaściwie pojmowaną troskę o kwestię bezpieczeństwa narodowego, ale również

0 konkurencję. Amerykańskie firmy budowlane nie chciały stracić miliardów dolarów."[1]

Ale Noriega nie był Torrijosem - nie posiadał charyzmy swojego poprzednika. Z czasem stał się podejrzany o korupcję i handel narkotykami, a nawet o zorganizowanie zamachu na politycznego przeciwnika, Hugo Spadafora.

Noriega zdobył popularność dowodząc jednostką G-2 Sił Obrony Panamy, dowództwem wywiadu wojskowego silnie związanego z CIA. Nawiązał bliskie stosunki z dyrektorem CIA, Williamem J. Casey'em. CIA wykorzystywała te kontakty do rozprzestrzeniania swojego wpływu na region Karaibów oraz Ameryki Łacińskiej. Gdy Reagan chciał w roku 1983 ostrzec Castro przed inwazją na Grenadę, Casey poprosił Noriegę, by podjął się roli pośrednika. Pułkownik pomógł również CIA w infiltracji kolumbijskich karteli narkotykowych.

W 1984 roku Noriega awansował na generała i głównodowodzącego Siłami Obrony Panamy. Podobno, gdy Casey przyleciał wówczas do Panamy, zapytał witającego go szefa lokalnej komórki CIA: Gdzie jest mój chłopak? Gdzie jest Noriega? - Gdy generał odwiedzał Waszyngton, spotykali się prywatnie w domu Casey'a. Wiele lat później Noriega przyznał, że bliskie kontakty z dyrektorem CIA sprawiały, że czuł się niezwyciężony. Wierzył, że CIA, podobnie jak G-2, stanowiła najsilniejszy punkt jego rządu, i że Casey będzie go chronił, pomimo jego nieprzychylnego stanowiska w kwestii traktatu i amerykańskich baz wojskowych w Strefie Kanału.[2]

Jak Torrijos stał się międzynarodowym symbolem sprawiedliwości i równości, tak Noriega wypracował sobie opinię dekadenta 1 skorumpowanego polityka. Znalazło to swoje odzwierciedlenie w opublikowanym na pierwszej stronie *New York Times* z 12 czerwca 1986 roku artykule zatytułowanym: „Władca Panamy podejrzany o handel narkotykami i pranie brudnych pieniędzy". Autor, zdobywca nagrody Pulitzera, oskarżał w nim generała o tajne i nielegalne posiadanie udziałów w kilku firmach w Ameryce Łacińskiej, o działanie w roli podwójnego agenta i szpiegowanie na rzecz zarówno Kuby jak i Stanów Zjednoczonych, o wydanie oddziałowi

G-2 rozkazu zlikwidowania Hugo Spadafora i wreszcie o osobiste kierowanie: „największym biznesem narkotykowym w Panamie". Artykułowi towarzyszył niepochlebny portret Noriegi, a w kontynuacji opublikowanej następnego dnia ujawniono kolejne szczegóły.[3]

Noriega musiał się również zmagać nie tylko z wspomnianymi problemami, lecz również z amerykańskim prezydentem cierpiącym z powodu kiepskiego wizerunku, który dziennikarze ochrzcili mianem „syndromu mięczaka".[4] Ta prezydencka przypadłość odegrała swoją rolę, gdy generał zdecydowanie odmówił przedłużenia o 15 lat pozwolenia na działanie *School ofAmericas.* Wspomnienia Noriegi dostarczają interesujących informacji:

„Byliśmy zdeterminowani, by kontynuować dzieło Torrijosa, ale Stany Zjednoczone nie chciały na to pozwolić. Amerykanie chcieli przedłużyć lub renegocjować zasady funkcjonowania placówki *(School ofAmericas* - przyp. aut.), ponieważ twierdzili, że potrzebują jej w obliczu nadchodzącej wojny w Ameryce Środkowej. Ale *School ofAmericas* przynosiła nam wstyd. Nie chcieliśmy na naszej ziemi obiektów, w których szkoli się szwadrony śmierci i prawicowe bojówki."[5]

Być może właśnie dlatego świat powinien był oczekiwać tego, co nastąpiło. A jednak wszystkich zaskoczyło, że 20 grudnia 1989 roku Stany Zjednoczone zaatakowały Panamę przeprowadzając, jak twierdzili obserwatorzy, największy od czasów II Wojny Światowej nalot bombowy na miasto.[6] Był to niczym nie sprowokowany atak na ludność cywilną. Panama i jej mieszkańcy nie stanowili żadnego zagrożenia dla USA, ani jakiegokolwiek innego kraju. Politycy, rządy i prasa na całym świecie oskarżyli Stany Zjednoczone o jawne pogwałcenie prawa międzynarodowego.

Gdyby operację przeprowadzono przeciwko krajowi oskarżonemu o ludobójstwo lub gwałcenie praw człowieka - Chile Pinocheta, Paragwajowi Stroessnera, Nikaragui Somosy, Salwadorowi D'Aubuissona, lub Irakowi Saddama - świat mógłby to zrozumieć. Ale Panama nie miała na sumieniu nic w tym stylu - po prostu odważyła się odmówić życzeniom potężnych polityków i prezesów korporacji. Nalegała, by przestrzegano postanowień traktatu, prowadziła

dyskusje o reformach społecznych i rozważała możliwość budowy nowego kanału przy udziale japońskiego kapitału i japońskich wykonawców. Za swoją postawę poniosła straszliwe konsekwencje. Noriega opisuje to w następujący sposób:

„Chcę postawić sprawę jasno: destabilizacyjna kampania rozpoczęta przez Stany Zjednoczone w 1986 roku i zakończona inwazją na Panamę w roku 1989 była efektem odrzucenia przez USA wszelkich scenariuszy, w których kontrolę nad Kanałem Panamskim przejąłby w przyszłości niezależny rząd Panamy - wspierany przez Japonię. (...) W międzyczasie Schultz i Weinberger - odgrywając role urzędników działających dla dobra publicznego i wykorzystując ludzką ignorancję dotyczącą potężnych gospodarczych interesów, które reprezentowali - prowadzili kampanię propagandową mającą na celu wyeliminowanie mnie z gry."[7]

Oficjalnym uzasadnieniem ataku podanym przez Biały Dom był jeden człowiek. Walcząc z Noriegą rząd Stanów Zjednoczonych rzucił na szalę życie młodych żołnierzy, obciążył ich sumienia śmiercią niewinnych ofiar, w tym nie znanej bliżej liczby dzieci, i spalił dużą część miasta. Generała przedstawiono jako istne wcielenie zła, wroga ludzkości i potwora handlującego narkotykami. Ten obraz uznano za wystarczającą podstawę dla inwazji na dwumilionowy kraj, którego obywatele - niezwykłym zbiegiem okoliczności - mieszkali na jednej z najcenniejszych nieruchomości na świecie.

Atak na Panamę wytrącił mnie z równowagi do tego stopnia, że wpadłem w wielodniową depresję. Wiedziałem, że Noriega miał ochroniarzy, ale nie wierzyłem, że zdołają ochronić go przed szakalami, tak jak nie ochronili Torrijosa i Roldósa. Podejrzewałem, że amerykańscy specjaliści wyszkolili większość z nich, więc nie stanowiło większego problemu, by zapłacić im za przymknięcie oczu, albo za własnoręczne dokonanie morderstwa.

Im więcej czytałem i myślałem o inwazji, tym silniej umacniałem się w przekonaniu, że akcja ta oznaczała zwrot w polityce USA i powrót do starych metod budowy imperium. Administracja Busha pragnęła prześcignąć Reagana i zademonstrować światu, że nie zawaha się przed użyciem brutalnej siły dla osiągnięcia swych zamierzeń. Wszystko wskazywało na to, że operacja w Panamie miała na

celu - oprócz zastąpienia następcy Torrijosa marionetkowym rządem - również zastraszenie innych krajów, na przykład Iraku.

Piszący dla *New York Times Magazine* David Harris, poczynił interesujące obserwacje. W jednej ze swoich licznych książek - *Shooting the Moon* - zauważa:

„Spośród tysiąca władców, potentatów, watażków, junt i dyktatorów, z którymi Ameryka miała do czynienia w najodleglejszych zakątkach świata, generał Manuel Antonio Noriega jest jedynym, wobec którego Stany Zjednoczone postąpiły w ten sposób. Tylko raz w ciągu swego 225-letniego istnienia USA dokonały inwazji na inny kraj i uprowadziły jego władcę, by następnie postawić go przed sądem i uwięzić za złamanie amerykańskiego prawa na terytorium jego własnej ojczyzny."[8]

Po bombardowaniu Stany Zjednoczone znalazły się w delikatnej sytuacji. Przez chwilę wydawało się, że operacja obróci się przeciwko nim. Administracja Busha pozbyła się opinii mięczaków, ale - przyłapana na akcie terroryzmu - stanęła przed problemem nielegalności swoich działań. Ujawniono, że amerykańska armia przez trzy dni nie dopuszczała do zbombardowanych terenów prasy, Czerwonego Krzyża, ani innych niezależnych obserwatorów. W tym czasie żołnierze palili i grzebali ciała ofiar. Prasa zadawała pytania, jak wiele dowodów zbrodni zniszczono i ile osób zmarło, ponieważ odmówiono im pomocy medycznej, ale na zawsze pozostały one bez odpowiedzi.

Nigdy nie poznamy wielu szczegółów inwazji, ani prawdziwych rozmiarów masakry. Sekretarz Obrony, Richard Cheney, mówił o pięciuset do sześciuset zabitych, ale niezależne organizacje obrony praw człowieka szacowały, że ofiar było od trzech do pięciu tysięcy, a kolejne dwadzieścia pięć tysięcy straciło dach nad głową.[9] Noriega został aresztowany, przetransportowany do Miami i skazany na czterdzieści lat więzienia. Był w owym czasie jedyną, w Stanach Zjednoczonych, osobą posiadającą oficjalnie status więźnia wojennego.[10]

Świat zawrzał z oburzenia z powodu pogwałcenia międzynarodowego prawa i niepotrzebnego zabicia niewinnych ludzi przez najpo-

* „Strzelając do Księżyca" - przyp. tłum.

tężniejszą armię na planecie, ale w USA tylko nieliczni dowiedzieli się o tych oskarżeniach i o zbrodniach popełnionych przez Waszyngton. Relacje prasowe były bardzo skąpe, do czego przyczyniło się kilka czynników, takich jak polityka rządu, telefony z Białego Domu do wydawców i szefów telewizji oraz podejście dziennikarzy, którzy uważali, że widownia od obiektywizmu wyżej ceni bohaterów.

Wyjątek stanowił Peter Eisner, redaktor naczelny *Newsday,* reporter Associated Press, który relacjonował inwazję na Panamę, a następnie przez wiele lat ją analizował. W wydanym w 1987 roku *The Memoirs of Manuel Noriega: America 's Prisoner** pisał:

„Śmierć, zniszczenie i niesprawiedliwość zadane w imię walki z Noriegą oraz towarzyszące im kłamstwa stanowiły zagrożenie dla podstawowych wartości amerykańskiej demokracji. (...) Żołnierzom wydano rozkaz zabijania, wmawiając im, że pomagają ocalić Panamę z rąk okrutnego i zdeprawowanego dyktatora. Gdy wykonali zadanie, do ratowanego kraju wkroczyli ich rodacy."[11]

W wyniku żmudnego dochodzenia, w tym przeprowadzenia wielu wywiadów z Noriegą w jego celi w Miami, Eisner stwierdza:

„Nie wydaje mi się, by Noriega był winny zarzucanych mu czynów. Nie uważam, by jego działania jako przywódcy wojskowego czy przywódcy niepodległego państwa zagrażały bezpieczeństwu narodowemu USA i uzasadniały inwazję na Panamę."[12]

A oto ostateczne wnioski, które wyciągnął Eisner:

„Moja analiza sytuacji politycznej oraz reportaże pisane przed, w trakcie i po inwazji doprowadziły mnie do wniosku, że atak ten był haniebnym nadużyciem władzy. Służył wyłącznie realizacji celów aroganckich amerykańskich polityków i ich panamskich sojuszników kosztem niepotrzebnego rozlewu krwi."[13]

Do władzy przywrócono rodzinę Ariasów i całą oligarchię, która służyła jako amerykańska marionetka od czasów oderwania Panamy od Kolumbii aż do przewrotu, w wyniku którego prezydentem został Torrijos. Punktem spornym pozostawał nowy traktat. Waszyngton ponownie objął kontrolę nad Kanałem - wbrew temu, co stwierdzały oficjalne dokumenty.

* Wspomnienia Manuela Noriegi: Więzień Ameryki (przyp. tłum.)

Rozmyślając nad tymi wydarzeniami i nad moimi doświadczeniami zdobytymi w czasie pracy w MAIN zadawałem sobie w kółko te same pytania: jak wiele decyzji - włączając w to te o historycznym znaczeniu, wpływające na miliony osób - podejmowanych jest przez ludzi kierujących się motywami osobistymi, a nie pragnieniem czynienia dobra? U jak wielu wysokich rangą urzędników patriotyzm ustąpił miejsca chciwości? Ile wojen toczy się, ponieważ jakiś prezydent nie chce być postrzegany jako mięczak?

Moja frustracja spowodowana bezsilnością w kwestii inwazji na Panamę popchnęła mnie, wbrew obietnicom złożonym prezesowi SWEC, do kontynuacji pracy nad książką. Postanowiłem skoncentrować się naTorrijosie. Jego historia doskonale nadawała się do zilustrowania niesprawiedliwości przeżerającej nasz świat. Tym razem zdecydowałem się zachować w tajemnicy swoją pracę i nie prosić przyjaciół o rady.

Gdy pisałem kolejne rozdziały, coraz bardziej oszałamiał mnie ogrom dokonań EBR-owców na całym świecie. Próbowałem skupić się na kilku wyróżniających się krajach, ale lista miejsc, w których pracowałem, i których sytuacja pogorszyła się w wyniku między innymi moich działań, była zdumiewająco długa. Przeraziła mnie również własna znieczulica. Wielokrotnie badałem zakamarki własnej duszy, ale przebywając w ogniu zdarzeń, skoncentrowany na codziennych zajęciach, nie potrafiłem spojrzeć z dalszej perspektywy. Przebywając w Indonezji martwiłem się sprawami, o których dyskutowałem z Howardem Parkerem i młodymi przyjaciółmi Rasy'ego. Podczas pracy w Panamie wielkie wrażenie wywarły na mnie slumsy, Strefa Kanału i dyskoteka, które pokazał mi Fidel. W Iranie poruszyły mnie rozmowy z Yaminem i doktorem. Teraz, pisanie umożliwiło mi nabranie dystansu. Zrozumiałem, jak łatwo można było stracić ostrość widzenia i nie dostrzegać reperkusji własnych działań.

Na myśl przychodziło mi porównanie do żołnierza - z początku naiwnego młodzieńca, który kwestionuje moralne podstawy zabijania innych ludzi, ale przede wszystkim musi uporać się z własnym strachem i skupić na przetrwaniu. Gdy zabija pierwszego wroga, zalewają go emocje. Rozmyśla o rodzinie poległego i paraliżują go

wyrzuty sumienia. Ale w miarę upływu czasu, gdy stoczy już wiele bitew i zabije wielu przeciwników, uodparnia się i twardnieje. Staje się profesjonalnym żołnierzem.

Ja również stałem się profesjonalnym żołnierzem. Stwierdzenie tego faktu umożliwiło mi lepsze zrozumienie procesu, w którym za pomocą przestępstw buduje się imperia. Teraz wiedziałem już, dlaczego tak wielu ludzi dopuszcza się ohydnych czynów - dlaczego kochający rodzinę Irańczycy mogli pracować w brutalnej tajnej policji szacha, dlaczego porządni Niemcy podążyli za Hitlerem, i dlaczego porządni Amerykanie zbombardowali Panamę.

Jako EBR-owiec nie otrzymałem ani grosza bezpośrednio z NSA, ani z żadnej innej agencji rządowej. Pensję wypłacała mi MAIN - jak zwykłemu obywatelowi zatrudnionemu w zwykłej, prywatnej firmie. Na świecie pojawił się nowy gatunek żołnierzy, których cechowała obojętność wobec skutków własnych działań. Napisałem:

„W dzisiejszych czasach menedżerowie wyruszają na Filipiny, do Tajlandii, Botswany, Boliwii i innych krajów, w których szukają ludzi desperacko potrzebujących pracy. Mają na celu wykorzystanie skrzywdzonych przez los, mieszkających w slumsach biedaków, których dzieci chorują i umierają z głodu, i którzy stracili nadzieję na lepsze życie. Ci menedżerowie opuszczają swoje ekskluzywne biura na Manhattanie, w San Francisco i Chicago, przemierzają kontynenty w luksusowych odrzutowcach, mieszkają w najdroższych hotelach i stołują się w najlepszych restauracjach w kraju. Potem wyruszają na poszukiwania zdesperowanych.

Dziś wciąż istnieją handlarze niewolników. Już nie muszą penetrować afrykańskich lasów, by złowić najdorodniejszych osobników, za których dostaną najwyższe ceny na aukcjach w Charlestonie, Cartagenie czy Hawanie. Po prostu rekrutują zdesperowanych ludzi i budują im fabrykę. W niej wytwarzają kurtki, dżinsy, tenisówki, części samochodowe, podzespoły komputerów i tysiące innych produktów, które następnie sprzedają na wybranym przez siebie rynku. Nie muszą nawet posiadać tej fabryki - mogą po prostu wynająć miejscowego biznesmena, który odwali za nich całą brudną robotę.

Ci menedżerowie uważają się za uczciwych. Powracają do domów przywożąc dzieciom zdjęcia nieziemskich krajobrazów i starożytnych ruin. Uczęszczają na seminaria, na których poklepują się po plecach i wymieniają wskazówkami, jak radzić sobie z egzotycznymi zwyczajami panującymi w odległych krainach. Ich szefowie zatrudniają prawników dowodzących, że ich działalność jest całkowicie zgodna z prawem. Mają do dyspozycji zespoły psychoterapeutów i innych specjalistów od zarządzania zasobami ludzkimi, którzy przekonują ich, że w istocie pomagają wykorzystywanym przez siebie ludziom.

Dawni handlarze niewolników powtarzali sobie, że handlują osobnikami niższej rasy nie będącymi w pełni ludźmi, i że ofiarowują im możliwość nawrócenia się na chrześcijaństwo. Rozumieli również, że ich społeczeństwo potrzebowało niewolników, którzy stanowili podstawę funkcjonowania gospodarki. Nowocześni handlarze niewolników wmawiają sobie, że zdesperowani ludzie wolą zarabiać jednego dolara dziennie, niż nie zarabiać nic, i że otrzymują w ten sposób szansę integracji ze światową społecznością. Rozumieją również, że biedacy stanowią podstawę przetrwania ich firmy i umożliwiają podtrzymanie ich stylu życia. Nie zastanawiają się jednak, w jaki sposób ich styl życia i stojący za nim system gospodarczy wpływają na świat, i jak mogą wpłynąć na przyszłość ich dzieci."

Rozdział 36

Porażka EBR-owców w Iraku

Stanowiska prezesa IPS i konsultanta SWEC w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX w. zapewniały mi dostęp do nieosiągalnych dla większości ludzi informacji na temat Iraku. W latach osiemdziesiątych XX w. większość Amerykanów wiedziała bardzo niewiele o tym kraju, ponieważ nie leżał w kręgu ich zainteresowań. Jednak mnie fascynowały jego dzieje.

Utrzymywałem kontakty ze starymi przyjaciółmi, w tym z moim teściem, pracującymi dla Banku Światowego, USAID, Międzynarodowego Funduszu Walutowego i innych międzynarodowych organizacji finansowych, a także dla wielkich koncernów budowlanych, jak Bechtel i Halliburton. Wielu inżynierów zatrudnianych przez podwykonawców IPS brało udział w projektach realizowanych na Bliskim Wschodzie. Doskonale zdawałem sobie sprawę, że EBR-owcy pracowali w Iraku w pocie czoła.

Administracje Busha i Reagana pragnęły przekształcić Irak w drugą Arabię Saudyjską. Saddam Husajn posiadał wiele powodów, by podążyć drogą rodziny Saudów. Wystarczyło, by zauważył korzyści odniesione przez nich w wyniku projektu SAMA - na saudyjskich pustyniach wyrosły nowoczesne miasta, śmieciożerne kozy ustąpiły miejsca lśniącym śmieciarkom, a w kraju wdrożono wiele zaawansowanych technologii - stacje odsalania wody, oczyszczalnie ścieków, sieci komunikacyjne i węzły energetyczne.

Saddam musiał zdawać sobie również sprawę, że Saudowie cieszyli się specjalnymi względami w kwestii przestrzegania prawa międzynarodowego. Ich dobrzy przyjaciele w Waszyngtonie przymykali oczy na wiele działań rodziny królewskiej, takich jak finansowanie fanatycznych ugrupowań uznawanych przez świat za radykałów balansujących na krawędzi terroryzmu oraz udzielanie schronienia uciekinierom. W rzeczywistości Stany Zjednoczone popierały finansowanie przez Arabię Saudyjską wojny Osamy bin Ladena przeciwko ZSRR. Reagan i Bush nie tylko zachęcali do tego Saudyjczyków, ale również naciskali na inne państwa, by robiły to samo, a przynajmniej odwracały wzrok.

W latach osiemdziesiątych XX w. w Bagdadzie pracowało wielu EBR-owców, którzy wierzyli, że Saddam w końcu dostrzeże otwierające się przed nim perspektywy. Ja również podzielałem ten pogląd. Gdyby Irak osiągnął z USA porozumienie podobne do tego z Arabią Saudyjską, Saddam uzyskałby pewność swoich rządów, a nawet mógłby rozszerzyć swoje wpływy w krajach regionu.

Nie miał znaczenia fakt, że Husajn był tyranem o rękach splamionych krwią masowych mordów, a jego brutalny styl działania przypominał Adolfa Hitlera. Stany Zjednoczone niejednokrotnie tolerowały, a nawet wspierały podobnych ludzi. Z radością zaoferowalibyśmy mu rządowe papiery dłużne w zamian za petrodolary, gwarancje dostaw ropy i obietnicę zaangażowania amerykańskich firm do (finansowanej odsetkami z tych papierów) budowy infrastruktury, miast i oaz na pustyni. Tak jak działo się to w wielu krajach - mogliśmy sprzedać mu czołgi, myśliwce, zbudować przemysł chemiczny i elektrownie atomowe, nie bacząc na fakt, że technologie te mogłyby posłużyć do konstrukcji zaawansowanego uzbrojenia.

Irak miał dla nas ogromne znaczenie - znacznie większe, niż się na pierwszy rzut oka wydawało. Wbrew obiegowej opinii kraj ten jest ważny nie tylko ze względu na złoża ropy naftowej, lecz także ze względu na wodę i kwestie geopolityczne. Przez Irak przepływają Tygrys i Eufrat, które stanowią najważniejsze w regionie źródło coraz cenniejszej wody. W latach osiemdziesiątych XX w. jej znaczenie - polityczne i gospodarcze - stawało się coraz bardziej oczy-

wiste dla ludzi pracujących w branży energetycznej i budowlanej. W trakcie prywatyzacyjnej gorączki wiele koncernów, które przejęły kontrolę nad małymi producentami energii, miało chrapkę na prywatyzowane systemy wodne w Afryce, Ameryce Łacińskiej i na Bliskim Wschodzie.

Oprócz wspomnianych zasobów Irak posiada jeszcze jedną zaletę - strategiczne położenie. Graniczy z Iranem, Kuwejtem, Arabią Saudyjską, Jordanem, Syrią i Turcją, ma dostęp do Zatoki Perskiej. Leży w umożliwiającej atak rakietowy odległości od Izraela i krajów byłego ZSRR. Wojskowi teoretycy porównują ten kraj do rzeki Hudson w czasie wojny francusko-indiańskiej oraz wojny o niepodległość. W XVIII wieku Francuzi, Brytyjczycy i Amerykanie zdawali sobie sprawę, że kontrolę nad całym kontynentem sprawuje ten, kto kontroluje dolinę tej rzeki. Dziś wiadomo, że Bliski Wschód kontroluje ten, kto włada Irakiem.

Ponadto kraj ten wydawał się być doskonałym rynkiem zbytu dla amerykańskich technologii i doradztwa budowlanego. Jedne z największych na świecie złóż ropy naftowej - według niektórych szacunków większe od saudyjskich - zapewniały możliwość sfinansowania olbrzymich projektów budowy infrastruktury i obiektów przemysłowych. Wszyscy wielcy gracze - koncerny budowlane, farmaceutyczne, chemiczne, producenci systemów komputerowych, samolotów, czołgów, rakiet - skupiali swą uwagę na Iraku.

Jednakże pod koniec lat osiemdziesiątych XX w. okazało się, że Saddam nie ma ochoty na realizację scenariusza nakreślonego przez EBR-owców. Dla administracji Busha stanowiło to powód do frustracji i przynosiło jej wstyd. Podobnie jak Panama, Irak przyczyniał się do umocnienia wizerunku George'a H. W. Busha - mięczaka. Gdy prezydent szukał wyjścia z sytuacji Saddam wziął sprawy w swoje ręce i w sierpnu 1990 roku zaatakował bogaty w ropę Kuwejt. Bush oskarżył irackiego przywódcę o pogwałcenie międzynarodowego prawa, choć minął niecały rok od nielegalnej, jednostronnej inwazji Stanów Zjednoczonych na Panamę.

Wydany przez prezydenta rozkaz ataku nie stanowił żadnego zaskoczenia. W ramach sił międzynarodowych wysłano w rejon Zatoki Perskiej 500 tys. amerykańskich żołnierzy. Na początku roku

1991 przeprowadzono szereg nalotów na wojskowe i cywilne cele w Iraku. Po nich nastąpiła stugodzinna ofensywa, która rozbiła mniej liczne i słabiej uzbrojone oddziały irackie. Kuwejt został ocalony. Saddama skrytykowano, ale nie postawiono przed sądem. Popularność Busha wśród Amerykanów sięgnęła 90%.

W czasie inwazji na Irak przebywałem na spotkaniach w Bostonie. Była to jedna z nielicznych sytuacji, gdy poproszono mnie, bym faktycznie zrobił coś na rzecz SWEC. Pamiętam doskonale wybuch entuzjazmu po ogłoszeniu decyzji Busha. Pracownicy Stone & Webster cieszyli się nie tylko dlatego, że sprzeciwiliśmy się morderczemu dyktatorowi. Dla nich amerykańskie zwycięstwo w Iraku oznaczało szansę na wielkie zyski, awanse i podwyżki.

Podniecenie udzieliło się nie tylko tym, którzy mogli odnieść bezpośrednie korzyści z wojny. Wszyscy Amerykanie pragnęli, by ich kraj odzyskał wojskowy prestiż. Sądzę, że u podstaw takiego podejścia leżało szereg czynników - zwycięstwo Reagana nad Carterem, uwolnienie zakładników z ambasady w Teheranie i ogłoszenie przez Reagana chęci renegocjacji traktatu dotyczącego Kanału Panamskiego. Inwazja na Panamę tylko rozniecila tlący się ogień.

Pod przykrywką patriotycznej retoryki i wezwań do działania dokonywała się subtelna transformacja sposobu, w jaki ludzie reprezentujący amerykańskie interesy handlowe - a w tym większość pracowników zatrudnionych w amerykańskich korporacjach - postrzegali świat. Marsz ku globalnemu imperium stał się faktem, w którym uczestniczyła większość obywateli. Idee globalizacji i prywatyzacji wnikały w głąb naszej psychiki.

Po głębszej analizie stwierdzało się jednak, że nie chodziło już wyłącznie o Stany Zjednoczone. Globalne imperium rozprzestrzeniało się ponad granicami. Korporacje, które niegdyś uważaliśmy za amerykańskie, stały się naprawdę międzynarodowe - nawet z prawnego punktu widzenia. Sporo było zarejestrowanych w wielu krajach, więc mogły wybierać systemy prawne, w ramach których chciały prowadzić działalność, a mnogość globalizacyjnych umów i instytucji jeszcze bardziej ułatwiała im zadanie. Słowa takie jak: „demokracja", „socjalizm" i „kapitalizm" stawały się przeżytkiem.

Korporacjokracja zmaterializowała się i wszystkie siły poświęcała wywieraniu wpływu na politykę i gospodarkę.

Dziwnym zbiegiem okoliczności uległem korporacjokracji sprzedając IPS w listopadzie 1990 roku. Ja i moi wspólnicy zrobiliśmy doskonały interes, ale udziałów pozbyliśmy się głównie ze względu na olbrzymią presję wywieraną na nas przez Ashland Oil Company. Z doświadczenia wiedziałem, że walka przeciw nim byłaby z wielu powodów niezwykle ciężka i kosztowna, podczas gdy sprzedaż IPS uczyniła nas bogatymi. Za ironię losu uważałem fakt, iż to koncern naftowy stanie się właścicielem mojej firmy zajmującej się alternatywną energią. Czułem się trochę jak zdrajca.

SWEC wykorzystywała bardzo niewiele mojego czasu. Niekiedy proszono mnie o przylot do Bostonu na spotkania lub do pomocy w przygotowaniu oferty. Czasami wysyłano mnie do miejsc w rodzaju Rio de Janeiro, bym spędził czas z miej scowymi szyszkami. Raz poleciałem prywatnym odrzutowcem do Gwatemali. Często dzwoniłem do menedżerów projektów, by przypomnieć im, że tkwię na liście płac i mogę pomóc. Otrzymywanie takich pieniędzy za nic nie robienie drażniło moje sumienie. Doskonale orientowałem się w branży i chciałem wnieść coś pożytecznego. Ale tego nikt po prostu nie planował.

Prześladował mnie obraz człowieka środka. Chciałem wykazać się czymś, co uzasadniałoby moje istnienie i mogłoby przekształcić negatywne zdarzenia z przeszłości w coś pozytywnego. Potajemnie i nieregularnie kontynuowałem pracę nad „Wyznaniami ekonomisty od brudnej roboty", ale nie łudziłem się, że książka kiedykolwiek zostanie wydana.

W roku 1991 zająłem się organizacją niewielkich wypraw w głąb Amazonii. Ich uczestnicy spędzali czas ucząc się od Shuarów, którzy chętnie dzielili się swoją wiedzą przyrodniczą i metodami leczniczymi. W ciągu kilku lat popyt na takie wyprawy zwiększył się gwałtownie, co zaowocowało utworzeniem organizacji non-profit o nazwie Dream Change Coalition*. Za cel stawiała sobie zmianę sposobu postrzegania Ziemi i stosunku do niej u ludzi pochodzących z krajów uprzemysłowionych. Dream Change znalazła naśladowców na całym świecie i zachęcała do tworzenia podob-

* Koalicja Przemiany Marzeń (przyp. tłum.)

nych organizacji w innych krajach. Magazyn *TIME* uznał jej stronę internetową za jedną spośród trzynastu najlepiej prezentujących ideały i cele Dnia Ziemi.[1]

W latach dziewięćdziesiątych XX w. coraz bardziej angażowałem się w świat organizacji non-profit. Pomogłem utworzyć kilka z nich i działałem w zarządach innych. Wiele powstało dzięki zaangażowaniu osób z Dream Change i zajmowało się pracą z tubylcami w Ameryce Łacińskiej - Shuarami i Achuarami w Amazonii, Quechua'mi w Andach i Majami w Gwatemali - lub przedstawianiem ich kultur mieszkańcom USA i Europy. SWEC aprobowała moją filantropię, która pozostawała w zgodzie z udzielanym przez tę firmę wsparciem dla United Way*. Pisałem też książki, w których opisywałem tubylcze zwyczaje i starałem się unikać odniesień do mojej roli EBR-owca. Oprócz zabicia nudy, moja działalność pozwalała mi na utrzymanie kontaktu z bliską memu sercu Ameryką Łacińską i bieżącymi wydarzeniami politycznymi w regionie.

Próbowałem się przekonać, że dzięki działalności w organizacjach non-profit oraz dzięki pisarstwu zmazuję powoli grzechy przeszłości, ale okazało się to niebywale trudne. W głębi serca czułem, że przerzucam odpowiedzialność na barki mojej córki. Jessica miała odziedziczyć świat, w którym miliony dzieci rodzą się obciążone długami, których nie będą nigdy w stanie spłacić. I to ja powinienem ponieść za to odpowiedzialność.

Moje książki cieszyły się rosnącą popularnością, zwłaszcza *The WorldIsAs You Dream It** *. Jej sukces spowodował, że zacząłem otrzymywać coraz więcej zaproszeń do prowadzenia wykładów. Czasami, gdy stałem przed słuchaczami w Bostonie, w Nowym Jorku czy w Mediolanie, nachodziła mnie ironiczna refleksja. Jeżeli świat jest taki, jakim go sobie wymarzysz, to dlaczego ja wymarzyłem sobie taki świat? Jak mogłem odegrać tak znaczną rolę w realizacji tego koszmaru?

W1997 roku zlecono mi przeprowadzenie tygodniowych warsztatów *Omega Institute* w ośrodku na Wyspie Św. Jana na Karaibach. Na

* United Way - amerykańska organizacja non-profit zajmująca się rozwiązywaniem problemów lokalnych społeczności (przyp. tłum.)

** Świat jest taki, jakim go sobie wymarzysz (przyp. tłum.)

miejsce przybyłem późno w nocy, a gdy rano obudziłem się i wyszedłem na malutki balkon, odkryłem, że przede mną rozpościera się ta sama zatoka, nad którą siedemnaście lat wcześniej podjąłem decyzję o odejściu z MAIN. Przytłoczony emocjami opadłem na krzesło.

Większość czasu w ciągu tego tygodnia spędziłem na balkonie wpatrując się w Zatokę Leinster i próbując zrozumieć własne uczucia. Pojąłem, że choć zrezygnowałem z pracy, to jednak nie postawiłem następnego kroku, a moja decyzja o pozostaniu w środku zbierała niszczycielskie żniwo. Przed opuszczeniem Karaibów doszedłem do wniosku, że świat wokół mnie nie był tym, o którym chciałbym marzyć. Stwierdziłem, że muszę wprowadzić w życie zasady, których uczyłem moich studentów - zmienić swe marzenia, by odzwierciedlały to, czego naprawdę w życiu pragnę.

Po powrocie do domu zrezygnowałem z funkcji konsultanta. Prezes SWEC, który mnie zatrudnił, przeszedł już na emeryturę. Jego miejsce zajął młodszy ode mnie mężczyzna, którego zupełnie nie interesowała moja historia. Wprowadzał w życie program cięcia kosztów i z radością przyjął do wiadomości fakt, że już nie będzie musiał płacić mi kosmicznego wynagrodzenia.

Postanowiłem skończyć książkę, nad którą pracowałem już tak długo. Samo podjęcie tej decyzji przyniosło mi natychmiastową ulgę. Podzieliłem się moimi pisarskimi pomysłami z bliskimi przyjaciółmi, w większości pochodzącymi ze świata organizacji non-profit, zajmującymi się pracą z tubylcami i ochroną lasów deszczowych. Ku mojemu zdumieniu okazali zaniepokojenie. Bali się, że opublikowanie prawdy podkopie mój autorytet nauczyciela i zagrozi działalności organizacji, które wspierałem. Wielu pomagało rdzennym mieszkańcom Amazonii chronić ich ziemie przed zakusami koncernów naftowych. Powiedzieli mi, że próbując się oczyścić mogę utracić wiarygodność i spowodować upadek całego ruchu. Niektórzy nawet grozili, że wycofają swoje poparcie.

Tak więc raz jeszcze przestałem pisać. Zająłem się pokazywaniem ludziom Amazonii - miejsca i plemienia, na których nowoczesny świat praktycznie nie odcisnął swojego piętna. Tam właśnie przebywałem 11 września 2001 roku.

Rozdział 36

11 września i jego wpływ na moje życie

września 2001 roku spływałem z Shakaim Chumpim, współautorem mojej książki „Spirit of the Shuar", w dół rzeki w ekwadorskiej części Amazonii. Prowadziliśmy grupę szesnastu Amerykanów do wspólnoty ukrytej głęboko w lesie deszczowym. Przybysze mieli poznać zwyczaje plemienia i pomóc mu w zachowaniu bezcennego lasu.

Shakaim jako żołnierz brał udział w walkach w niedawnym konflikcie pomiędzy Ekwadorem i Peru. Większość osób pracujących w przemyśle naftowym nigdy nie słyszała o tej wojnie, choć toczono ją głównie w celu dostarczenia im ropy. Spór o granicę pomiędzy tymi państwami trwał wiele lat, ale dopiero niedawno rozstrzygnięcie stało się sprawą pilną, ponieważ koncerny naftowe musiały wiedzieć, z kim negocjować prawa do terenów roponośnych. Granice trzeba było jednoznacznie określić.

Shuarowie utworzyli pierwszą linię obrony Ekwadoru. Okazali się walecznymi żołnierzami, którzy potrafili pokonać liczniejsze i lepiej uzbrojone oddziały. Nie wiedzieli nic o polityce stojącej u podstaw tej wojny, ani że jej rozstrzygnięcie otworzy drzwi koncernom naftowym. Walczyli, ponieważ wyrośli w wielowiekowej tradycji wojowników i nie chcieli wpuścić obcych żołnierzy na swoje terytorium.

Gdy wiosłowaliśmy w dół rzeki, obserwując przelatujące nad nami rozwrzeszczane stado papug, zapytałem Shakaima, czy zawieszenie broni wciąż obowiązuje.

- Tak - odparł. - Ale muszę ci niestety wyznać, że przygotowujemy się do wojny z wami - ciągnął swój wywód wyjaśniając, że nie miał na myśli mnie osobiście, ani nikogo z grupy. - Wy jesteście naszymi przyjaciółmi - zapewnił mnie. Chodziło mu o koncerny naftowe i oddziały wojskowe, które przybędą do dżungli Shurów, by je ochraniać.

- Widzieliśmy, co stało się z plemieniem Huaorani. Zniszczono ich lasy, zatruto rzeki i zabito wielu ludzi, nawet dzieci. Dziś Huaorani praktycznie już nie istnieją. Nie pozwolimy, by nas spotkało to samo. Nie wpuścimy na nasze terytorium koncernów naftowych, tak samo jak nie wpuściliśmy Peruwiańczyków. Wszyscy przysięgliśmy walczyć do ostatniej kropli krwi.[1]

Tę noc spędzaliśmy przy ogniu, w pięknej shuarskiej chacie. Była długa, zbudowana z wbitych w ziemię, rozpołowionych łodyg bambusa i pokryta trzcinowym dachem. Opowiedziałem członkom wyprawy moją rozmowę z Shakaimem. Zastanawialiśmy się, ilu ludzi na całym świecie w ten sam sposób odnosi się do naszych koncernów naftowych i naszego kraju. Jak wielu boi się, tak jak Shuarowie, że pojawimy się w ich życiu i zniszczymy ich kulturę i ziemie? Jak wielu nas nienawidzi?

Rano udałem się do mini-biura, w którym przechowywaliśmy radiostację. Chciałem poprosić pilotów, by przylecieli po nas za kilka dni. Gdy rozmawialiśmy, nagle usłyszałem krzyk.

- Mój Boże! - wykrzyknął mój rozmówca. - Nowy Jork został zaatakowany! - Pogłośnił radio, z którego muzykę wcześniej słyszałem w tle. Przez następne pół godziny wsłuchiwaliśmy się w relację na żywo z wydarzeń w Stanach Zjednoczonych. To były chwile, których nigdy nie zapomnę.

Po powrocie do domu na Florydzie postanowiłem odwiedzić strefę *Ground Zero* - miejsce, na którym stały wieże World Trade Center. Wykupiłem bilet do Nowego Jorku i wczesnym popołudniem zameldowałem się w hotelu. Był ciepły, słoneczny, listopadowy dzień. Wolnym krokiem minąłem Central Park i podniecony skierowałem się do części - obecnie nazywanej *Ground Zero.* Leżała niedaleko Wall Street. Niegdyś w tym miejscu spędziłem dużo czasu.

W miarę jak zbliżałem się do celu, coraz bardziej przejmowała mnie zgroza. Wszystko wokół nosiło ślady potwornej katastrofy. Skręcone i stopione szkielety wielkich niegdyś budynków, gruz, duszący swąd spalenizny, osmalone ruiny, zapach spalonych ciał. Widziałem to wszystko w telewizji, ale przebywanie w tym miejscu - to było zupełnie coś innego.

Nie byłem przygotowany na to co zobaczyłem, a zwłaszcza zaskoczyło mnie zachowanie ludzi. Minęły już dwa miesiące, a oni wciąż stali wokół - ci, którzy mieszkali lub pracowali w pobliżu, ci, którzy przeżyli. Jakiś Egipcjanin snuł się przed swoim małym warsztatem szewskim kręcąc z niedowierzaniem głową.

-Wciąż nie mogę się z tym oswoić - wymamrotał. - Straciłem wielu klientów i wielu przyjaciół. Mój bratanek tam zginął - wskazał na błękitne niebo. - Wydaje mi się, że widziałem, jak wyskoczył przez okno, ale nie jestem pewien... Tak wielu ich wyskoczyło... Trzymali się za ręce i machali nimi, jakby myśleli, że uda im się polecieć.

Zaskoczyło mnie, jak ludzie ze sobą rozmawiali - to był przecież Nowy Jork! Rozumieli się bez słów, wystarczyło, że spojrzeli sobie w oczy. Choć przepełniał je smutek, wymieniali współczujące spojrzenia i półuśmiechy, które mówiły więcej niż milion słów.

Jednak wyczuwałem coś jeszcze, coś nieuchwytnego w atmosferze tego miejsca. Nie potrafiłem tego zidentyfikować, aż w końcu odkryłem. To było - światło. W czasach, gdy odwiedzałem Dolny Manhattan pozyskując kapitał dla IPS, ta ulica przypominała mroczny kanion. By zobaczyć słońce, trzeba było wjechać na górę, na sam szczyt World Trade Center. Teraz światło docierało do ulic. Kanion został rozdarty, a stojący na chodniku ludzie wygrzewali się w słońcu. Nie mogłem się powstrzymać od myśli, że gdyby światło i widok nieba docierały tu wcześniej, to pomogłoby to ludziom otworzyć swoje serca. Lecz refleksje te budziły we mnie poczucie winy.

Skręciłem przy Trinity Church i podążyłem w dół Wall Street zagłębiając się w stary, skryty w cieniu Nowy Jork - pozbawiony nieba i światła. Ludzie pospiesznie maszerowali chodnikami ignorując się wzajemnie. Policjant krzyczał na kierowcę blokującego ruch.

Usiadłem na pierwszych napotkanych stopniach, pod numerem czternastym. Szum gigantycznych wentylatorów zagłuszał inne

dźwięki. Wydawało się, że wydobywa się z kamiennej ściany budynku giełdy New York Stock Exchange. Obserwowałem ludzi. Tłoczyli się opuszczając biura, śpieszyli do domów, lub do restauracji na spotkania biznesowe. Nieliczni szli parami rozmawiając ze sobą, lecz większość milczała, pogrążona w swej samotności. Próbowałem nawiązać kontakt wzrokowy - bezskutecznie.

Wycie alarmu samochodowego przyciągnęło moją uwagę. Jakiś mężczyzna wybiegł z biura i wycelował pilota w samochód. Alarm wyłączył się. Siedziałem w milczeniu przez dłuższą chwilę. Następnie wyciągnąłem z kieszeni równo złożoną kartkę pokrytą statystykami.

I wtedy go zauważyłem. Szedł wolno wzdłuż ulicy patrząc pod nogi. Miał rzadką siwą brodę i nosił przybrudzony płaszcz, który wydawał się być szczególnie nie na miejscu w to ciepłe popołudnie. Wyglądał na Afgańczyka.

Spojrzał na mnie, zawahał się przez moment i wspiął się na schody. Skinął mi uprzejmie głową i usiadł w odległości półtora metra ode mnie. Patrzył przed siebie dając do zrozumienia, że nawiązanie rozmowy zależy tylko ode mnie.

- Ładny dzień mamy - zagaiłem.

- Piękny - odparł z bardzo wyraźnym obcym akcentem. - W takich czasach potrzebujemy słońca.

- Ma pan na myśli World Trade Center?

Kiwnął głową.

- Pochodzi pan z Afganistanu?

Spojrzał na mnie zdziwiony.

- Czy to aż tak oczywiste?

- Wiele podróżowałem. Ostatnio odwiedziłem Himalaje i Kaszmir.

- W Kaszmirze trwają walki - pogłaskał brodę.

- Tak, Indie i Pakistan, hindusi i muzułmanie. To skłania do refleksji na temat religii, prawda?

Spojrzeliśmy sobie w oczy. Jego były ciemnobrązowe, prawie czarne. Przebijała z nich mądrość i smutek. Odwrócił się w stronę budynku New York Stock Exchange wskazując nań długim, kościstym palcem.

- A może - zgodziłem się - chodzi o gospodarkę, a nie religię.

- Był pan żołnierzem?

Nie mogłem powstrzymać się od chichotu.

- Nie - odparłem. - Tylko konsultantem ekonomicznym. - Wręczyłem mu kartkę ze statystykami. - Oto moja broń.

- Liczby - powiedział biorąc papier.

- Światowe statystyki.

Studiował przez chwilę zapiski, po czym roześmiał się oddając mi kartkę.

- Nie potrafię tego przeczytać.

- Te liczby mówią nam, że każdego dnia z głodu umiera dwadzieścia cztery tysiące ludzi.

Gwizdnął i zastanowił się przez chwilę.

- Niewiele brakowało, a byłbym jednym z nich - westchnął. - Posiadałem małą farmę granatów w pobliżu Kandaharu. Przybyli Rosjanie, a mudżahedini ukryli się za drzewami i w rowach nawadniających. - Uniósł ręce przez chwilę imitując wycelowany karabin. - Urządzili zasadzkę. Zniszczyli wszystkie drzewa i rowy.

- Co pan robił później?

Wskazał na kartkę, którą trzymałem w dłoni.

- Czy jest tam coś na temat żebraków?

Nie było, ale wydawało mi się, że pamiętam właściwe dane.

- Sądzę, że jest ich około osiemdziesięciu milionów na całym świecie.

- Byłem jednym z nich - zwiesił głowę i pogrążył się w myślach. Siedzieliśmy w milczeniu przez kilka minut, zanim ponownie się odezwał. - Nie podobało mi się to. Umarło mi dziecko, więc zacząłem uprawiać mak.

- Na opium?

- Nie było drzew, nie było wody - wzruszył ramionami. - To była jedyna możliwość utrzymania rodziny.

Przygnębienie i poczucie winy ścisnęły mi gardło.

- Nazywamy hodowców maku przestępcami, chociaż wielu z naszych najbogatszych zawdzięcza swe majątki handlowi narkotykami.

Nasze spojrzenia spotkały się ponownie. Wydawało mi się, że poprzez oczy chciał dotrzeć do wnętrza mej duszy.

- Był pan żołnierzem - stwierdził i pokiwał głową, jakby chcąc podkreślić ten fakt. Powoli wstał i zaczął schodzić. Chciałem, by został, ale nie potrafiłem wydusić z siebie słowa. Wstałem i podążyłem za nim, ale na dole schodów zatrzymała mnie tablica. Umieszczono na niej rysunek budynku, na którego schodach siedziałem, oraz nazwę fundatora tablicy - Heritage Trails of New York. Napis głosił:

„Mauzoleum Halicarnassus umieszczone na szczycie dzwonnicy kościoła Św. Marka w Wenecji, a wszystko to na rogu ulic Wall i Broad - taka idea przyświecała projektantom Wall Street 14. Ten niegdyś najwyższy wieżowiec bankowy na świecie ma wysokość 539 stóp* i po wybudowaniu mieścił siedzibę Bankers Trust, jednej z najzamożniejszych instytucji finansowych w kraju."

Stałem i patrzyłem z podziwem na budynek. Na przełomie XIX i XX w. pełnił tę samą rolę, którą później przejęło World Trade Center. Stanowił symbol władzy i potęgi gospodarczej. Niegdyś mieścił siedzibę Bankers Trust - jednej z firm, które finansowały moją firmę energetyczną. Należał do mojego dziedzictwa - jak to trafnie określił afgański starzec - dziedzictwa żołnierza.

Niezwykłemu zbiegowi okoliczności zawdzięczałem fakt, że spotkałem go w tym dniu w tym właśnie miejscu. Zbieg okoliczności - słowa te skłoniły mnie do refleksji. Zacząłem się zastanawiać nad tym, jak zbiegi okoliczności kształtują nasze życie. W jaki sposób zareaguję na to wydarzenie?

Szedłem dalej wypatrując wśród przechodniów mojego rozmówcy, ale bez powodzenia. Przed kolejnym budynkiem stał spory pomnik przykryty niebieską folią. Napis wyryty na fasadzie objaśniał, że jest to Federal Hall, Wall Street 26, gdzie 30 kwietnia 1789 roku Jerzy Waszyngton został zaprzysiężony na pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych. W tym właśnie miejscu otwierający poczet prezydentów człowiek przyjął na siebie odpowiedzialność za ochronę życia, wolności i dążenie do uszczęśliwienia wszystkich ludzi. Tak blisko Ground Zero, tak blisko Wall Street.

* Ok. 164 m - przyp. tłum.

Ruszyłem dalej i dotarłem do Pine Street, gdzie odnalazłem światową siedzibę Chase - banku rozwiniętego niegdyś przez Davida Rockefellera i wypchanego petrodolarami, z których korzystali ludzie mojego pokroju. Ta instytucja, służąca EBR-owcom, osiągnęła mistrzostwo w poszerzaniu wpływów globalnego imperium i mogła śmiało uchodzić za symbol korporacjokracji.

Gdzieś kiedyś przeczytałem, że projekt budowy World Trade Center rozpoczął właśnie David Rockefeller w roku 1960, jednak ostatnio budynki zaczęto traktować jak źródło nieustających kłopotów. Uważano je za finansową porażkę - niedostosowane do potrzeb światłowodów i technologii internetowych, obciążone nieefektywnym i kosztownym w utrzymaniu systemem wind. Przezwano je niegdyś „David" i „Nelson".

Powoli, wręcz niechętnie, ruszyłem dalej. Pomimo ciepłego popołudnia poczułem, że ogarnia mnie chłód i złe przeczucia. Nie potrafiłem zidentyfikować ich źródła, więc spróbowałem się ich pozbyć przyspieszając kroku. W końcu ponownie dotarłem do wypalonej w ziemi blizny pełnej pogiętego metalu. Oparłem się o budynek, któremu udało się przetrwać i wpatrywałem się w głęboką jamę. Próbowałem wyobrazić sobie ludzi uciekających z zapadających się wież i strażaków biegnącym im na pomoc. Starałem się wczuć w desperację tych, którzy zdecydowali się wyskoczyć. Nie udało mi się to.

Zamiast tego widziałem Osamę bin Ladena przyjmującego pieniądze i warte miliony dolarów uzbrojenie od konsultanta z firmy pracującej na zlecenie rządu Stanów Zjednoczonych oraz siebie siedzącego przed pustym ekranem komputera.

Odwróciłem wzrok od Ground Zero i spojrzałem na nowojorskie ulice, które uniknęły ognia i teraz powracały do normalności. Zastanawiałem się, co sądzili o tym wszystkim przemierzający ulice przechodnie - nie tylko o zniszczeniu wież, ale o zrujnowanych farmach granatów i o dwudziestu czterech tysiącach ludzi umierających codziennie z głodu. Czy w ogóle myśleli o takich rzeczach? Czy potrafili się oderwać od swojej pracy, paliwożernych samochodów i inkasowanych odsetek. Czy kiedykolwiek zastanawiali się jaki jest ich wkład wnoszony w historię świata i przekazywany wła-

snym dzieciom? Zastanawiałem się, co wiedzieli o Afganistanie - nie tym z telewizji, zaśmieconym amerykańskimi czołgami i wojskowymi namiotami - lecz o ojczyźnie tego starego człowieka. Zastanawiałem się, co myśli te dwadzieścia cztery tysiące ludzi umierających co dzień z głodu.

I znów zobaczyłem siebie siedzącego przed wygaszonym ekranem komputera.

Siłą woli skoncentrowałem się ponownie na Ground Zero. W tej chwili jedno było pewne - moje państwo planowało zemstę i zwracało uwagę na kraje takie jak Afganistan. Ale ja myślałem o wszystkich innych miejscach na świecie, gdzie nienawidzono naszych firm, naszego wojska, naszej polityki i naszego marszu ku globalnemu imperium. Co z Panamą, Ekwadorem, Indonezją, Iranem, Gwatemalą, większością Afryki?

Porzuciłem ścianę, która dawała mi oparcie, i ruszyłem przed siebie. Niski, smagły mężczyzna wymachiwał gazetą krzycząc po hiszpańsku. Zatrzymałem się.

-Wenezuela na krawędzi rewolucji! - przekrzykiwał uliczny zgiełk.

Kupiłem gazetę i przystanąłem, by przeczytać artykuł na pierwszej stronie. Dotyczył Hugo Chaveza - demokratycznie wybranego, niechętnego Stanom Zjednoczonym prezydenta Wenezueli - oraz wzbierającej nienawiści wywoływanej przez politykę USA wobec Ameryki Łacińskiej.

No właśnie. A co z Wenezuelą?

Rozdział 33

Wenezuela: ocalona przez Saddama

Obserwowałem Wenezuelę przez wiele lat. Była typowym krajem, który dzięki ropie otrząsnął się z ubóstwa i obrósł w piórka. W konsekwencji tego procesu następowało rozwarstwienie zarobków biednych i zamożnych doprowadzające do niepokojów społecznych. Wenezuela stanowiła również przykład państwa bezwstydnie wykorzystywanego przez korporacjokrację. Tam zbiegały się drogi EBR-owców starego typu, takich jak ja, i ich nowoczesnych, korporacyjnych odpowiedników.

Zdarzenia, o których przeczytałem w gazecie tamtego dnia pod Ground Zero, stanowiły bezpośrednie następstwo wyborów z roku 1998, gdy wenezuelska biedota, przytłaczającą większością głosów, wybrała na prezydenta Hugo Chaveza.[1] Ten zastosował drastyczne środki - przejął kontrolę nad sądami i innymi instytucjami państwowymi oraz rozwiązał parlament. Oskarżył Stany Zjednoczone o „bezwstydny imperializm", wypowiadał się zdecydowanie przeciwko globalizacji i uchwalił ustawę węglowodorową nawiązującą - również w nazwie - do tej, którą w Ekwadorze wprowadzał przed swoją śmiercią Jaime Roldós. Nowe prawo podwoiło opłaty ponoszone przez zagraniczne koncerny naftowe. Wtedy Chavez zdecydował się pogwałcić tradycyjną niezależność państwowej firmy naftowej, Petróledos de Venezuela, obsadzając jej zarząd zaufanymi ludźmi.[2]

Ropa naftowa pochodząca z Wenezueli ma kluczowe znaczenie dla światowej gospodarki. W 2002 roku kraj ten był czwartym

największym producentem ropy na świecie i trzecim co do wielkości jej dostawcą do USA.[3] Petróledos de Venezuela zatrudnia 40 tys. pracowników i generuje rocznie 50 mld dolarów przychodów, co stanowi 80% całego wenezuelskiego eksportu. Przemysł naftowy jest najważniejszym sektorem gospodarki Wenezueli.[4] Przejmując nad nim kontrolę Chavez stał się ważnym graczem na światowym rynku.

Wielu Wenezuelczyków uważało to za zrządzenie losu, zwieńczenie procesu, który rozpoczął się osiemdziesiąt lat wcześniej. 14 grudnia 1922 roku w pobliżu Maracaibo wytrysnął z ziemi gigantyczny gejzer brunatnej mazi - każdego z trzech kolejnych dni 100 tys. baryłek ropy wzbijało się w powietrze. To zdarzenie geologiczne na zawsze odmieniło Wenezuelę. Do roku 1930 stała się największym eksporterem ropy na świecie, a jej mieszkańcy upatrywali w niej rozwiązania swoich problemów.

Przychody ze sprzedaży surowca, uzyskiwane przez kolejnych 40 lat, pozwoliły Wenezueli przeobrazić się z jednego z najuboższych krajów na świecie w jeden z najbogatszych w Ameryce Łacińskiej. Wszystkie kluczowe statystyki uległy poprawie - opieka medyczna, edukacja, zatrudnienie, długość życia i przeżywalność noworodków. Przemysł rozkwitał.

Podczas wprowadzonego przez OPEC naftowego embarga w 1973 roku ceny ropy poszybowały w górę, a budżet Wenezueli wzrósł czterokrotnie. EBR-owcy ruszyli do pracy. Międzynarodowe banki zalewały kraj kredytami, z których finansowano projekty infrastrukturalne, przemysłowe i budowę najwyższych na kontynencie drapaczy chmur. W latach osiemdziesiątych XX w. pojawili się nowocześni EBR-owcy korporacyjni. Wenezuela była dla nich idealnym miejscem do zdobycia doświadczenia - jej klasa średnia stała się na tyle duża, że stanowiła chłonny rynek dla szerokiego asortymentu produktów. Jednocześnie wciąż wielu obywateli żyło w ubóstwie zapewniając dopływ siły roboczej do fabryk.

Wtedy ceny ropy załamały się i Wenezuela nie była w stanie spłacić swoich długów. W 1989 roku Międzynarodowy Fundusz Walutowy narzucił jej wiele ograniczeń i naciskał na rząd w Caracas, by ulegał żądaniom korporacjokracji. Wenezuelczycy zareago-

wali przemocą - w zamieszkach zginęło ponad dwieście osób. Iluzja nieograniczonych możliwości finansowania dzięki ropie została rozwiana. W latach 1978-2003 dochód Wenezueli w przeliczeniu na jednego mieszkańca spadł o 40%.[5]

W miarę pogłębiania się ubóstwa narastały radykalne nastroje. Społeczeństwo uległo polaryzacji, a klasa średnia zwróciła się przeciwko biedocie. W sposób typowy dla krajów, których gospodarka opiera się na ropie, nastąpiła eksplozja demograficzna. Kryzys gospodarczy zebrał swoje żniwo wśród klasy średniej, spychając wielu jej przedstawicieli w szeregi ubogich.

Nowa sytuacja dała podstawy sukcesowi Chaveza i konfliktowi z Waszyngtonem. Po przejęciu władzy nowy prezydent, swoimi działaniami, rzucił wyzwanie administracji Busha. Tuż przed 11 września Biały Dom rozważał swoje opcje. EBR-owcy zawiedli - czy nadszedł czas, by wysłać szakali?

11 września przewartościował priorytety. Prezydent Bush i jego doradcy skupili się na nakłanianiu opinii światowej do poparcia działań USA w Afganistanie i inwazji na Irak. W dodatku amerykańska gospodarka znajdowała się w recesji. Wenezuela zeszła na dalszy plan. Jednak wiadomo było, że w końcu dojdzie do wymiany ciosów pomiędzy Bushem a Chavezem. Gdy zagrożone zostały dostawy ropy z Iraku i innych źródeł na Bliskim Wschodzie, Waszyngton nie mógł sobie pozwolić na zbyt długie ignorowanie Wenezueli.

Spacer w pobliżu Ground Zero i Wall Street, spotkanie starego Afgańczyka i w końcu lektura artykułu o Chavezie doprowadziły mnie do momentu w moim życiu, którego unikałem od wielu lat. Zmusiły mnie do trzeźwego spojrzenia na konsekwencje moich czynów z ostatnich trzydziestu lat. Nie mogłem zaprzeczyć, że moja działalność EBR-owca bardzo negatywnie wpływała na sytuację życiową pokolenia mojej córki. Zdałem sobie sprawę, że nie mogę już dłużej odkładać odkupienia grzechów. Musiałem oczyścić się i zrobić to w sposób, który otworzyłby innym ludziom oczy na fakt istnienia korporacjokracji i pomógł im zrozumieć, dlaczego reszta świata tak bardzo nas nienawidzi.

Znowu zacząłem pisać, ale wydawało mi się, że moja opowieść zdezaktualizowała się. Musiałem zrobić coś, by stała się bardziej na

czasie. Rozważałem podróż do Afganistanu, Iraku i Wenezueli, by następnie napisać komentarz o bieżącej sytuacji tych krajów. Każdy z nich przeszedł poważne zawirowania polityczne, w wyniku których władzę przejęli przywódcy pozostawiający wiele do życzenia - okrutni i despotyczni Talibowie, psychopata Saddam i gospodarczy nieudacznik Chavez. Jednak korporacjokracja nie zareagowała próbą rozwiązania głębszych problemów tych krajów. Po prostu próbowała usunąć polityków stojących na drodze przemysłowi naftowemu. W Afganistanie wojskowa interwencja miała już miejsce, a w Iraku wydawała się nieunikniona. Sytuacja Wenezueli była najbardziej interesująca, ponieważ reakcja rządu USA na prezydenturę Chaveza wciąż pozostawała zagadką. Moim zdaniem nie było istotne, czy Chavez to dobry przywódca - chodziło o sposób postępowania Białego Domu wobec człowieka, który hamował marsz korporacjokracji ku globalnemu imperium.

Zanim zdążyłem zorganizować tę wyprawę, znowu nastąpiło kilka zbiegów okoliczności, które odmieniły moje plany. W roku 2002 kilkukrotnie wyjechałem do Ameryki Południowej w związku z działalnością w organizacjach non-profit. Do jednej z moich wypraw do Amazonii dołączyła wenezuelska rodzina, której interesy zbliżały się do bankructwa z powodu rządów Chaveza. Zaprzyjaźniliśmy się i poznałem ich pogląd na sytuację. Spotkałem również ludzi zza drugiej strony barykady, którzy uznawali Chaveza za zbawcę. Zdarzenia mające miejsce w Caracas były typowe dla świata stworzonego przez nas, EBR-owców.

W grudniu 2002 roku sytuacja w Wenezueli oraz w Iraku osiągnęła punkt krytyczny. Kraje te stawały się swoimi przeciwieństwami. W Iraku zawiodły wszystkie subtelne metody EBR-owców i szakali mające na celu nakłonienie Saddama do współpracy, więc teraz przygotowywaliśmy ostateczne rozwiązanie - inwazję. W Wenezueli administracja Busha wprowadzała w życie irański model działania Kermita Roosevelta. *New York Times* donosił:

„Setki tysięcy Wenezuelczyków wyległo dziś na ulice, by zamanifestować poparcie dla ogólnonarodowego strajku trwającego już dwudziesty ósmy dzień i mającego na celu odsunięcie od władzy prezydenta Hugo Chaveza.

Strajk, do którego przyłączyło się ok. 30 tys. pracowników przemysłu naftowego, może jeszcze przez wiele miesięcy zbierać swoje niszczycielskie żniwo. (…)

W ostatnich dniach wytworzyła się patowa sytuacja. Chavez stara się przy pomocy nie strajkujących robotników znormalizować działalność państwowego koncernu naftowego. Jego przeciwnicy twierdzą jednak, że strajk doprowadzi do upadku firmę, a w rezultacie i rząd."[6]

Dokładnie w ten sam sposób CIA obaliła Mossadegha i zastąpiła go szachem. Analogia nie mogła być wyraźniejsza. W zagadkowy sposób historia powtarzała się po pięćdziesięciu latach. Minęło pół wieku, a ropa wciąż stanowiła motyw politycznych działań.

4 stycznia 2003 roku poplecznicy i przeciwnicy Chaveza starli się. Dwie osoby zostały zastrzelone, a dziesiątki odniosły rany. Następnego dnia rozmawiałem z przyjacielem, który przez wiele lat współpracował z szakalami. Podobnie jak ja nigdy nie pracował bezpośrednio dla żadnego rządu, ale prowadził tajne operacje w wielu krajach. Powiedział mi, że próbowano nakłonić go do organizowania strajków w Caracas i do przekupywania oficerów, z których wielu kształciło się w School of Americas, by zwrócili się przeciwko własnemu, demokratycznie wybranemu prezydentowi. Odrzucił tę propozycję, ale wyznał w sekrecie, że człowiek, który ją przyjął, zna się na rzeczy.[7]

W tym samym miesiącu ceny ropy zdecydowanie wzrosły, podczas gdy ceny akcji amerykańskich firm spadły do poziomu najniższego od dwudziestu sześciu lat. Znając sytuację na Bliskim Wschodzie wiedziałem, że administracja Busha dokłada wszelkich starań, by obalić Chaveza. I w końcu udało im się. *New York Times* wykorzystał sposobność, by przedstawić szerszy kontekst historyczny i przedstawić człowieka, który wydawał się spełniać we współczesnej Wenezueli rolę Kermita Roosevelta:

„Stany Zjednoczone (…) popierały w imię obrony swych interesów gospodarczych i politycznych autorytarne reżimy w Ameryce Środkowej i Południowej w trakcie i po Zimnej Wojnie.

W maleńkiej Gwatemali CIA zorganizowała przewrót obalając w 1954 roku demokratycznie wybrany rząd, a następnie wspierała

przez cztery dziesięciolecia kolejne prawicowe rządy w walce przeciwko małym grupom lewackich partyzantów Zginęło ok. 200 tys. cywilów.

W Chile wspierany przez CIA przewrót wyniósł do władzy generała Augusto Pinocheta na lata 1973-1990. W Peru słaby demokratyczny rząd wciąż bada rolę, jaką odegrała agencja przez dekadę popierając już zdymisjonowanego i pogardzanego prezydenta Alberto K. Fujimoriego i jego współpracownika, niesławnego szefa wywiadu, Vladimiro L. Montesinosę.

Stany Zjednoczone musiały w roku 1989 zaatakować Panamę, by odsunąć od władzy uwikłanego w handel narkotykami dyktatora, Manuela A. Noriegę, który przez ponad dwadzieścia lat był cenionym informatorem amerykańskiego wywiadu. Zaś przeprowadzane za wszelką cenę starania (w tym sprzedaż za gotówkę broni Iranowi) mające na celu zorganizowanie nieuzbrojonej opozycji przeciwko nikaraguańskim lewakom w latach osiemdziesiątych XX w. doprowadziły do postawienia oskarżeń wobec urzędników administracji Reagana.

Wśród przesłuchiwanych wówczas osób znajdował się Otto J. Reich, weteran potyczek w Ameryce Łacińskiej. Jednak jemu samemu nigdy nie przedstawiono żadnych zarzutów. Później został ambasadorem Stanów Zjednoczonych w Wenezueli, a obecnie pracuje jako zastępca Sekretarza Stanu ds. polityki wobec krajów na kontynencie amerykańskim, nominowany przez prezydenta. Upadek Chaveza to kolejne trofeum w jego kolekcji."[8]

Jeżeli Reich i Bush świętowali osiągnięty sukces, impreza została brutalnie przerwana. W zdumiewających okolicznościach Chavez odzyskał władzę w ciągu niecałych siedemdziesięciu dwóch godzin. W przeciwieństwie do Mossadegha w Iranie Chavez utrzymał lojalność armii - pomimo czynionych starań, by zwrócić przeciw niemu najwyższych rangą oficerów. W dodatku miał poparcie potężnego państwowego koncernu naftowego. Petróledos de Venezuela nie uległa tysiącom strajkujących robotników i wróciła do gry.

Gdy sytuacja się uspokoiła, Chavez wzmocnił kontrolę nad pracownikami koncernu naftowego, pozbył się nielojalnych oficerów,

którzy dali się przekupić, i zmusił wielu znaczących przeciwników do opuszczenia kraju. Zażądał 20 lat więzienia dla dwóch prominentnych opozycjonistów organizujących strajki na polecenie Białego Domu.[9]

W końcowym rozrachunku zawirowania w Wenezueli obróciły się przeciwko administracji Busha. *Los Angeles Times* donosił:

„Urzędnicy z administracji Busha potwierdzili we wtorek, że prowadzili rozmowy z wojskowymi i cywilnymi przywódcami w Wenezueli dotyczące odsunięcia od władzy prezydenta Hugo Chaveza. (…) Metody postępowania administracji związane z nieudanym przewrotem stały się przedmiotem dochodzenia."[10]

Stało się jasne, że zawiedli zarówno EBR-owcy jak i szakale. Wenezuela z roku 2003 okazała się zupełnie inna od Iranu z roku 1953. Zastanawiałem się, czy to początek końca, czy po prostu wyjątek od reguły, i co Waszyngton zamierza z tym dalej począć.

Uważałem, że przynajmniej w tej chwili kryzys w Wenezueli został zażegnany, a Chavez ocalony - przez Saddama Husajna. Administracja Busha nie była w stanie poradzić sobie na raz z Afganistanem, Irakiem i Wenezuelą. Chwilowo nie posiadała ani niezbędnej siły militarnej, ani politycznego poparcia. Wiedziałem jednak, że sytuacja może się bardzo szybko zmienić, a prezydent Chavez może wkrótce napotkać poważne przeciwności. Tak czy inaczej, Wenezuela stanowiła przypomnienie, że niewiele zmieniło się w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat - oprócz rezultatu.

Rozdział 36

Ponownie w Ekwadorze

Wenezuela stanowiła klasyczny przypadek. Jednak obserwując rozwój sytuacji w tym kraju stwierdziłem, że istotna część linii frontu biegnie poza jego granicami. Prowadzona na tym froncie walka była istotna, nie ze względu na wyższe kwoty wchodzące w grę, ani na ludzkie życie, ale ponieważ dotyczyła kwestii wykraczających daleko poza materialistyczne cele typowe dla imperiów. Linia frontu rozciągała się dalej, niż sięgała armia bankierów, dyrektorów i polityków - docierała w głąb duszy nowoczesnej cywilizacji. Prowadziła do kraju, który poznałem i pokochałem, gdzie pracowałem niegdyś jako ochotnik Peace Corps - do Ekwadoru.

Od czasu, gdy w 1968 roku znalazłem się tam po raz pierwszy, ten maleńki kraj stał się typową ofiarą korporacjokracji. Ja i moi koledzy EBR-owcy, a następnie nasi nowocześniejsi następcy, praktycznie doprowadziliśmy Ekwador do bankructwa. Pożyczyliśmy mu miliardy dolarów, by mógł zatrudnić nasze firmy budowlane do zrealizowania projektów przynoszących korzyści najbogatszej warstwie społeczeństwa. W rezultacie, w ciągu tych trzydziestu lat, oficjalny wskaźnik ubóstwa wzrósł z 50% do 70%, dług publiczny wzrósł z 240 min do 16 mld dolarów, a udział środków państwowych przeznaczanych na potrzeby najuboższych spadł z 20% do 6%. Dziś kraj ten musi przeznaczać połowę swojego budżetu na spłatę długów, zamiast na pomoc dla milionów obywateli sklasyfikowanych jako żyjący w skrajnej nędzy.[1]

Sytuacja Ekwadoru udowadnia, że nie istniał żaden tajny spisek, a proces zadłużania trwał pod rządami zarówno Demokratów jak i Republikanów. Brały w nim udział wszystkie największe międzynarodowe banki, wiele korporacji i zagranicznych instytucji pomocowych z licznych krajów. Stany Zjednoczone grały pierwsze skrzypce, ale nie działały same.

W ciągu tych trzydziestu lat tysiące ludzi uczestniczyło w doprowadzaniu Ekwadoru do dramatycznej sytuacji, w której znalazł się na początku nowego milenium. Niektórzy z nich, jak ja, zdawali sobie sprawę z tego, co robią. Jednak większość po prostu wykonywała zadania, których nauczono ich na politechnikach, uczelniach ekonomicznych i prawniczych, albo podążali za przykładem swoich szefów, którzy nakierowywali pracowników na realizację celów systemu za pomocą nagród i kar. Ci podwładni w najgorszym razie uważali swoją rolę za niewiele znaczącą, a w najlepszym sądzili, że pomagają ubogiemu krajowi.

Nieświadomi, oszukani, a w wielu przypadkach okłamujący samych siebie, ludzie ci nie brali udziału w żadnym sekretnym spisku. Byli po prostu produktem systemu, który wprowadzał w życie najsubtelniejszą i najefektywniejszą formę imperializmu, jaką widział świat. Nikt nie musiał wyruszać na poszukiwanie osób, które można by przekupić lub zastraszyć - zostali już zatrudnieni przez firmy, banki i agencje rządowe. Na łapówki składały się pensje, premie, ubezpieczenia emerytalne i zdrowotne, a rolę gróźb spełniały zasady społecznego postępowania, presja ze strony rówieśników i niewypowiedziane pytania o przyszłe wykształcenie dzieci.

System zatryumfował w spektakularny sposób. Ekwador wpadł w pułapkę. Mieliśmy go w garści tak, jak mafioso ma w garści człowieka, który nie może spłacić swojego długu. Nie spieszyliśmy się. Mogliśmy pozwolić sobie na cierpliwość wiedząc, że pod lasami deszczowymi tego kraju znajduje się morze ropy, i że nadejdzie jeszcze nasz czas.

Ten czas nadszedł na początku roku 2003. Chavez odzyskał i umocnił władzę w Wenezueli. Rzucił wyzwanie Bushowi i wygrał. Saddam również nie ulegał i przygotowywał się do odparcia inwazji. Dostawy ropy spadły do poziomu najniższego od trzydziestu lat

i nie widać było żadnych perspektyw na zwiększenie wydobycia z dotychczasowych źródeł, co odbijało się negatywnie na zyskach korporacjokracji. Potrzebowaliśmy asa w rękawie. Nadszedł czas na odzyskanie należności od Ekwadoru.

Drogę z Quito do położonego w głębi dżungli miasteczka Shella przebyłem w moim subaru outback. Przejeżdżając obok gigantycznej zapory na rzece Pastaza, zdałem sobie sprawę, że walka odbywająca się w Ekwadorze nie była zwykłą potyczką pomiędzy bogatymi a biednymi, pomiędzy wykorzystującymi a wykorzystywanymi. Miała określić, kim tak naprawdę jesteśmy jako cywilizacja. Byliśmy zdecydowani zmusić ten malutki kraj do udostępnienia amazońskich lasów deszczowych naszemu przemysłowi naftowemu, co zaowocowałoby niewyobrażalnymi zniszczeniami towarzyszącymi eksploatacji.

Gdybyśmy domagali się spłaty długów, spowodowałoby to skutki, których nie sposób oszacować. I nie chodzi mi tylko o anihilację rdzennych kultur, straty w ludziach, zagładę setek tysięcy gatunków zwierząt, owadów i roślin, które mogą skrywać nieodkryte jeszcze leki. I również nie o to, że lasy deszczowe absorbują gazy cieplarniane wytwarzane przez nasz przemysł, w zamian produkując niezbędny do życia tlen i przyczyniają się do powstawania chmur, które stanowią ważne źródło świeżej wody. Efekty takiego postępowania wykraczałyby daleko poza argumenty standardowo wysuwane przez ekologów walczących o ocalenie przyrody i sięgnęłyby głęboko do naszych dusz.

Poczynając sobie w ten sposób, kontynuowalibyśmy imperialistyczne metody działania wywodzące się z czasów na długo przed powstaniem Imperium Rzymskiego. Krytykujemy niewolnictwo, a przecież nasze globalne imperium uczyniło niewolnikami większą liczbę ludzi, niż Rzymianie i wszystkie potęgi kolonialne przed nami. Zastanawiałem się, w jaki sposób możemy realizować tak krótkowzroczną strategię w Ekwadorze i nie cierpieć od wyrzutów sumienia.

Gdy poprzez szybę subaru oglądałem nagie stoki Andów, które w czasach mojej pracy w Peace Corps pokrywała bujna tropikalna roślinność, zrozumiałem jeszcze jedno. Przypisywanie przeze mnie

wyjątkowego znaczenia walce toczonej przez Ekwador wynikało z przyczyn osobistych. A przecież każdy kraj, w którym pracowałem, i każdy posiadający zasoby surowców naturalnych, na których imperium chciało położyć rękę, był jednakowo ważny. Czułem szczególny sentyment do Ekwadoru sięgający końca lat sześćdziesiątych XX w., gdy utraciłem tu niewinność. Lecz było to tylko moje subiektywne odczucie.

Chociaż ekwadorskie lasy tropikalne są cenne, podobnie jak ludzie i wszelkie inne formy życia je zamieszkujące, nie są jednakże cenniejsze od irańskich pustyń i Beduinów, od gór Jawy, morza u brzegów Filipin, azjatyckich stepów, afrykańskich sawann, północnoamerykańskich lasów, arktycznej czapy lodowej i setek innych zagrożonych miejsc. Każde z nich stanowi linię frontu, a tocząca się na niej bitwa zmusza nas do sięgnięcia w głąb siebie, do zbadania własnej duszy.

Przypomniałem sobie statystyki, które doskonale ilustrowały ogólnoświatowy trend: stosunek dochodów najbogatszej jednej piątej ludności świata do najbiedniejszej jednej piątej wzrósł z 30:1 w 1960 roku do 74:1 w roku 1995.[2] W tym samym czasie Bank Światowy, US Agency for International Development, MFW i inne banki, korporacje i rządy zaangażowane w programy międzynarodowej „pomocy" powtarzają nam, że wywiązują się ze swoich obowiązków, i że postęp został osiągnięty.

Tak więc ponownie znalazłem się w Ekwadorze, który zajmował w mym sercu wyjątkowe miejsce. Był rok 2003 - trzydzieści pięć lat po moim pierwszym pobycie, gdy przyjechałem jako członek amerykańskiej organizacji noszącej w nazwie słowo „pokój". Tym razem przybyłem, by zapobiec wojnie, którą przez trzy dekady pomagałem wywołać.

Wydawałoby się, że wydarzenia w Afganistanie, Iraku i Wenezueli wystarczą, by powstrzymać nas przed uwikłaniem się w kolejny konflikt, jednak sytuacja w Ekwadorze przedstawiała się odmiennie. Ta wojna nie wymagała udziału amerykańskiej armii. Toczyć ją miało kilka tysięcy indiańskich wojowników uzbrojonych we włócznie, maczety i jednostrzałowe, ładowane przez lufę strzelby, przeciwko nowocześnie uzbrojonej ekwadorskiej armii wspieranej

przez doradców z amerykańskich Sił Specjalnych oraz wyszkolonych najemników opłacanych przez koncerny naftowe. To miała być wojna podobna do tej z roku 1995 pomiędzy Ekwadorem a Peru, o której większość obywateli Stanów Zjednoczonych nigdy nie słyszała. Ostatnie wydarzenia zwiększyły prawdopodobieństwo jej wybuchu.

W grudniu 2002 roku przedstawiciele koncernu naftowego oskarżyli tubylczą społeczność o porwanie zespołu ich robotników. Zasugerowali, że wojownicy biorący udział w napaści należeli do ugrupowania terrorystycznego, potencjalnie związanego z al-Kaidą. Sytuacja była szczególnie skomplikowana, ponieważ koncern jeszcze nie uzyskał pozwolenia na prowadzenie odwiertów, jednakże stał na stanowisku, że jego pracownicy mieli prawo przeprowadzać wstępne badania. Tubylcy przedstawili własną wersję wydarzeń. Twierdzili zdecydowanie, że robotnicy weszli na teren, na który nie mieli prawa wchodzić. Wojownicy nie nosili broni, ani w żaden sposób nie grozili intruzom. Odprowadzili ich do swojej wioski, a następnie ugościli jedzeniem i lokalnym piwem *chicha.* Gdy goście spożywali posiłek, wojownicy namówili ich przewodników, by odpłynęli. Indianie utrzymywali, że nie przetrzymywali robotników siłą - wolno im było udać się, dokąd tylko chcieli.[3]

Jadąc drogą przez dżunglę przypomniałem sobie, co Shuarowie powiedzieli mi w 1990 roku, gdy po sprzedaży IPS zaoferowałem im pomoc w walce o ocalenie ich lasów. - „Świat jest taki, jakim go sobie wymarzysz" - stwierdzili zwracając mi uwagę, że my, mieszkańcy Północy, wymarzyliśmy sobie uprzemysłowiony świat pełen samochodów i gigantycznych drapaczy chmur, a teraz odkrywamy, że nasza wizja stała się koszmarem, który prowadzi do naszego własnego zniszczenia.

- Zmień to marzenie - poradzili mi. Jednak teraz, dziesięć lat później, pomimo pracy wielu ludzi i organizacji, włączając w to te, w których sam działałem, koszmar trwał nadal i w zatrważający sposób przybierał na intensywności.

Gdy mój outback wynurzył się w końcu z dżungli dotarłszy do miasteczka Shella, zostałem natychmiast wciągnięty na spotkanie. Uczestniczyli w nim przedstawiciele plemion Kichwa, Shuar,

Achuar, Shiwiar i Zaparo. Niektórzy wiele dni maszerowali przez dżunglę, inni dotarli tam małymi samolotami wynajętymi przez różne organizacje. Kilku nosiło tradycyjne spódniczki, pióropusze i miało pomalowane twarze. Większość jednak starała się naśladować miastowych i nosiła buty, spodnie i koszule.

Przedstawiciele społeczności oskarżanej o przetrzymywanie zakładników zabrali głos pierwsi. Opowiedzieli, że wkrótce po powrocie robotników do firmy w ich wiosce zjawiło się ponad stu ekwadorskich żołnierzy. Przypomnieli, że działo się to na początku szczególnego okresu w lasach deszczowych - dojrzewania świętych dla tubylców drzew *chonta,* które wydają owoce tylko raz w roku. Jest to zarazem sygnał rozpoczęcia okresu godowego dla wielu ptaków, w tym dla rzadkich i zagrożonych gatunków. Tworząc stada, stają się wówczas szczególnie wrażliwe. Plemiona zdecydowanie zakazują polowań na te ptaki w sezonie *chonta.*

- Żołnierze nie mogli zjawić się w gorszym momencie - tłumaczyła jedna z obecnych kobiet. Współczułem jej, gdy opowiadała, jak żołnierze ignorowali zakazy. Strzelali do ptaków, by zdobyć pożywienie oraz dla rozrywki. Tratowali przyzagrodowe ogródki, pola manioku i gaje bananowe, często nieodwracalnie niszcząc cienką warstwę gleby. Stosowali materiały wybuchowe do łowienia ryb, zjadali zwierzęta domowe, skonfiskowali myśliwym broń, nieprawidłowo wykopywali latryny, zanieczyścili rzeki paliwem i rozpuszczalnikami, molestowali kobiety i nie pozbywali się śmieci, które przyciągały owady i inne szkodniki.

- Mieliśmy tylko dwa wyjścia - stwierdził jeden z mężczyzn. - Mogliśmy walczyć, albo stłumić dumę i postarać się naprawić zniszczenia. Zdecydowaliśmy, że jeszcze nie nadszedł czas na walkę. - Opowiadał następnie, jak próbowali zrekompensować szkody, wyrządzone przez żołnierzy, zachęcając współplemieńców do postu. Określił to mianem głodówki, ale brzmiało to raczej jak dobrowolne przymieranie głodem. Starcy i dzieci rozchorowali się z powodu niedożywienia.

Opowiadali o pogróżkach i łapówkach.

- Mój syn - powiedziała kobieta - mówi po angielsku, hiszpańsku i w kilku dialektach. Pracował jako tłumacz i przewodnik dla

firmy zajmującej się turystyką ekologiczną. Płacili mu przyzwoitą pensję, ale koncern naftowy zaoferował dziesięć razy więcej. Co mógł zrobić? Teraz pisze donosy na swojego poprzedniego pracodawcę i wszystkich innych, którzy przybywają tu, by nam pomóc, zaś koncerny naftowe nazywa naszymi przyjaciółmi. - Potrząsnęła smutno głową. - Nie jest już jednym z nas. Mój syn...

Starszy mężczyzna, noszący tradycyjne nakrycie głowy szamana ozdobione piórami tukana, wstał i zabrał głos.

- Wszyscy wiecie o naszych trzech przedstawicielach, których wybraliśmy, by reprezentowali nas przeciwko koncernom naftowym, a którzy zginęli w katastrofie samolotu? Nie będę tu stał i mówił wam to, co twierdzi wielu innych - że koncerny naftowe maczały w tym palce. Ale powiem wam, że ich śmierć stanowi wielką stratę dla naszej organizacji, stratę, którą koncerny natychmiast wypełniły swoimi ludźmi.

Inny mężczyzna pokazał i odczytał kontrakt, który w zamian za trzysta tysięcy dolarów przenosił prawo własności wielkiego obszaru na firmę zajmującą się wyrębem. Widniały na nim podpisy trzech przedstawicieli plemienia.

- Te podpisy są fałszywe - powiedział. - Wiem, ponieważ jedną z podpisanych tu osób jest mój brat. To po prostu inna forma zabójstwa - skompromitowanie naszych przywódców.

Zebranie odbywało się w tej części Ekwadoru, w której koncerny naftowe nie otrzymały jeszcze pozwolenia na odwierty. Ropa była już wydobywana w wielu miejscach naokoło, a tubylcy widzieli skutki wierceń i obserwowali ich niszczycielski wpływ na życie swoich sąsiadów. Gdy tak siedziałem i przysłuchiwałem się kolejnym mówcom, zastanawiałem się, w jaki sposób zareagowaliby mieszkańcy mojego kraju, gdyby relacje z takich spotkań transmitowano w CNN albo w wieczornych wiadomościach.

Zebrania były fascynujące, a ujawniane na nich fakty wysoce niepokojące. Ale poza stroną oficjalną działo się na nich jeszcze coś więcej. Podczas przerw, w czasie obiadów i wieczorami, gdy rozmawiałem z ludźmi prywatnie, często zadawano mi pytanie, dlaczego Stany Zjednoczone grożą Irakowi. Nadchodząca wojna trafiła na czołowe strony ekwadorskich gazet, a wieści o niej dotarły nawet do

tego miasteczka w dżungli. Jednakże relacje i komentarze zdecydowanie różniły się od tych, które można było przeczytać w USA. Prasa wspominała o posiadanych przez Busha udziałach w koncernach naftowych i w United Fruit oraz o roli wiceprezydenta Cheneya jako byłego prezesa Halliburton.

Gazety czytano także tym, którzy nigdy nie chodzili do szkoły. Każdy wydawał się zainteresowany tematem. Znajdowałem się w środku amazońskiego lasu deszczowego otoczony niepiśmiennymi ludźmi, których wielu mieszkańców Ameryki Północnej uznałoby za „zacofanych" albo wręcz „dzikusów", a którzy mimo to potrafili zadać pytania uderzające w samo serce globalnego imperium.

Wyjechałem z miasteczka mijając elektrownię wodną i skierowałem się w góry. Rozmyślałem o różnicach pomiędzy postrzeganiem świata, które miałem okazję dokładnie poznać w czasie tej wizyty, a tym, do czego przyzwyczaiłem się w Stanach Zjednoczonych. Najwyraźniej plemiona amazońskie mogły nas wiele nauczyć. Pomimo całego naszego wykształcenia, godzin spędzonych na czytaniu gazet i oglądaniu telewizji, brakowało nam tej świadomości, którą oni posiadali. Tak rozmyślając przypomniałem sobie „Proroctwo o Kondorze i Orle", które wielokrotnie słyszałem na terenie Ameryki Łacińskiej, a także inne podobne przepowiednie, z którymi spotkałem się w różnych zakątkach świata.

Prawie każda ze znanych mi kultur posiada proroctwa twierdzące, że w latach dziewięćdziesiątych XX w. wkroczyliśmy w okres niezwykłej przemiany. W himalajskich klasztorach, indonezyjskich miejscach kultu, północnoamerykańskich rezerwatach, od amazońskich lasów po szczyty Andów, w starożytnych miastach Majów w Ameryce Środkowej, wszędzie słyszałem, że oto nadszedł wyjątkowy moment ludzkiej historii, i że każdy z nas urodził się teraz, ponieważ mamy misję do wypełnienia.

Nazwy i treść proroctw różnią się nieznacznie. Opowiadają one o Nowej Erze, Trzecim Tysiącleciu, Erze Wodnika, Erze Piątego Słońca, o końcu starych kalendarzy i rozpoczęciu kolejnych. Pomimo odmiennej terminologii posiadają wiele wspólnego, a „Proroctwo o Kondorze i Orle" może stanowić doskonały przykład ich przesłania. Mówi ono, że dawno temu, wpomrokach dziejów, ludzkie społeczno-

ści wkroczyły na dwie różne ścieżki rozwoju: kondora (reprezentującego serce, intuicję i mistycyzm) oraz orła (reprezentującego umysł, racjonalizm i materializm). W latach dziewięćdziesiątych XV w. ścieżki te znów się połączyły, a orzeł doprowadził kondora na krawędź wymarcia. Jednak pięćset lat później, w latach dziewięćdziesiątych XX w., rozpocząć ma się nowa epoka, w której kondor i orzeł otrzymają szansę, by zjednoczyć siły i wspólnie przemierzać niebo. Jeżeli oba ptaki wykorzystaj ą tę szansę, wydadzą na świat tak niezwykłe potomstwo, jakiego świat jeszcze nigdy nie widział.

„Proroctwo o Kondorze i Orle" można interpretować na wiele sposobów. Najbardziej typowe wyjaśnienie mówi, że chodzi w nim 0 połączenie wiedzy kultur żyjących w naturalnym środowisku z wysoko zaawansowaną technologią, zrównoważenie yin i yang, zbliżenie kultur Północy i Południa. Jednak najpotężniejsze przesłanie proroctwa dotyczy naszej samoświadomości - oto wkroczyliśmy w okres, w którym otrzymujemy możliwość patrzenia na siebie 1 na świat z najrozmaitszych perspektyw i czerpania korzyści z tego faktu. Możemy go wykorzystać jako odskocznię do wyższych poziomów świadomości. My, ludzie, możemy przebudzić się ze snu i wyewoluować w bardziej świadomy siebie gatunek.

Amazoński lud kondora daje nam jasno do zrozumienia, że jeśli chcemy uzyskać odpowiedź i na pytania o istotę człowieczeństwa w nowym tysiącleciu i o określenie naszych zamierzeń na najbliższe kilkadziesiąt lat, musimy otworzyć oczy i dostrzec konsekwencje własnych działań - działań orła - w miejscach takich jak Irak czy Ekwador. Musimy obudzić się. My, obywatele najpotężniejszego państwa w historii świata, musimy przestać troszczyć się tak bardzo o losy bohaterów oper mydlanych, rozstrzygnięcia meczów piłkarskich, wyniki kwartalne spółek i poziom indeksu Dow Jones. Musimy przewartościować nasz świat i określić, jakiej przyszłości pragniemy dla własnych dzieci. Uchylanie się od zadawania najistotniejszych pytań i odpowiadania na nie może doprowadzić do katastrofy.

Rozdział 36

Przedzierając się przez gąszcz pozorów

Wkrótce po moim powrocie z Ekwadoru w 2003 roku Stany Zjednoczone zaatakowały Irak po raz drugi w ciągu kilkunastu lat. EBR-owcy i szakale zawiedli, więc młodzi niewinni mężczyźni i kobiety zostali wysłani by zabijać i umierać wśród piasków pustyni. Inwazja postawiła ważne pytanie, nad którym jednakże bardzo niewielu Amerykanów mogło się zastanawiać: kwestię przyszłości rodziny Saudów. Jeżeli Stany Zjednoczone przejęłyby Irak, który posiada wedle niektórych szacunków większe złoża ropy naftowej niż Arabia Saudyjska, mogłyby odstąpić od umowy zawartej w latach siedemdziesiątych XX w., wywodzącej się z projektu SAMA.

Upadek Saddama, podobnie jak upadek Noriegi, zmieniłby sytuację. W Panamie po wprowadzeniu marionetkowego rządu faktycznie przejęliśmy kontrolę nad Kanałem niezależnie od tego, co mówiły zapisy traktatu wynegocjowanego pomiędzy Torrijosem a Carterem. Gdybyśmy kontrolowali Irak, czy moglibyśmy wywołać rozłam w OPEC? Czy rodzina Saudów straciłaby na znaczeniu na arenie polityki naftowej? Niektórzy eksperci już zadawali pytania, dlaczego Bush zaatakował Irak zamiast skupić wszystkie siły na ściganiu al-Kaidy w Afganistanie. Czy to możliwe, by dla administracji rządowej, na czele której stoi rodzina magnatów naftowych, zapewnienie nowych źródeł ropy i zdobycie kolejnych kontraktów budowlanych były ważniejsze od zwalczania terrorystów?

Oczywiście istniało jeszcze jedno możliwe wyjście - OPEC mogła zdecydować się na demonstrację siły. Po zdobyciu przez Stany Zjednoczone kontroli nad Irakiem pozostałe bogate w ropę kraje miałyby niewiele do stracenia podnosząc ceny i/lub ograniczając wydobycie. Tylko nieliczne osoby z kręgu międzynarodowej finansjery najwyższego szczebla potrafiłyby przewidzieć potencjalne skutki takiego scenariusza, który zachwiawszy równowagą geopolityczną mógłby doprowadzić do upadku system korporacjokracji.

W ostatecznym rozrachunku funkcjonowanie globalnego imperium zależy od tego, że dolar stanowi podstawową walutę na świecie, a amerykańska mennica ma wyłączne prawo do jego emisji. W związku z tym możemy udzielać kredytów krajom w rodzaju Ekwadoru doskonale zdając sobie sprawę, że ich nigdy nie spłacą. W istocie wcale nie chcemy, by je spłacali - ich długi są naszym asem w rękawie, czekającym na użycie w najdogodniejszej chwili. W normalnych warunkach ryzykowalibyśmy, że nasza waluta straci na wartości - bądź co bądź żaden kredytodawca nie może sobie pozwolić na zbyt duży odsetek złych długów. Ale my nie działamy w normalnych warunkach. Stany Zjednoczone emitują walutę nie posiadającą pokrycia w złocie, ani w niczym innym, z wyjątkiem ogólnoświatowej wiary w amerykańską gospodarkę i naszą umiejętność zarządzania zasobami imperium w taki sposób, by się samopodtrzymywało.

Możliwość emisji waluty daje nam olbrzymią władzę. Między innymi oznacza, że możemy udzielać nie spłacanych kredytów, a jednocześnie sami możemy się zadłużać. Na początku 2003 roku dług Stanów Zjednoczonych przekraczał oszałamiającą kwotę 6 bilionów dolarów i prognozowano, że do końca roku osiągnie poziom 7 bilionów dolarów, co daje około 24 tys. dolarów na jednego mieszkańca. USA są znacznie zadłużone u krajów azjatyckich, zwłaszcza Japonii i Chin, które kupują amerykańskie papiery skarbowe ze środków uzyskanych ze sprzedaży dóbr konsumpcyjnych - elektroniki, komputerów, samochodów, AGD i ubrań - do Stanów Zjednoczonych i na inne rynki.[1]

Dopóki świat akceptuje dolara jako podstawową walutę, olbrzymie zadłużenie nie stanowi poważnego zagrożenia dla systemu

korporacjokracji. Jeżeli jednak jakaś waluta zdetronizowałaby dolara, a część wierzycieli USA zażądałoby spłaty długów, sytuacja zmieniłaby się diametralnie, a Stany Zjednoczone znalazłyby się w opałach.

W istocie istnienie takiej waluty przestało być kwestią teoretyczną - euro zadebiutowało na rynkach finansowych 1 stycznia 2002 roku i z każdym miesiącem zdobywa coraz większy prestiż i rośnie w siłę. Euro daje OPEC niezwykłą szansę, gdyby organizacja ta zdecydowałaby się na odwet za inwazję, lub z innych powodów chciała utrzeć nosa Ameryce. Decyzja o zastąpieniu dolara przez euro zatrzęsłaby podstawami imperium.

Takie myśli chodziły mi po głowie w Wielki Piątek, 18 kwietnia 2003 roku, gdy szedłem z domu do przerobionego na biuro garażu. Usiadłem przy biurku, włączyłem komputer i wszedłem, jak zwykle, na stronę internetową *New York Times.* Przeczytany nagłówek artykułu momentalnie przerwał moje rozmyślania o nowej sytuacji w międzynarodowych finansach, długu publicznym i euro, i przypomniał mi czasy mojej dawnej pracy: „USA przyznają Bechtel wielki kontrakt na odbudowę Iraku".

New York Times informował: „Administracja Busha przyznała Bechtel Group z San Francisco pierwszy znaczny kontrakt w ramach gigantycznego planu odbudowy Iraku." Nieco dalej autorzy artykułu informowali czytelników, że: „Odbudowując swój kraj Irakijczycy będą współpracować z Bankiem Światowym oraz Międzynarodowym Funduszem Walutowym, w których to instytucjach Stany Zjednoczone posiadają znaczące wpływy."[2]

Znaczące wpływy! To się nazywa eufemizm!

Przeszedłem do innego artykułu pod tytułem: „Firma ma powiązania z Waszyngtonem i z Irakiem". Ominąłem kilka pierwszych akapitów, które zasadniczo powtarzały informacje z poprzedniego tekstu, aż dotarłem do następującego fragmentu:

„Bechtel od długiego czasu związana jest ze środowiskiem osób pracujących w ochronie bezpieczeństwa narodowego. (...) Jednym z członków zarządu firmy, a zarazem doradcą, jest George P. Schultz, który za prezydentury Ronalda Reagana piastował stanowisko Sekretarza Stanu, a jeszcze wcześniej był prezesem Bechtel.

Współpracował wówczas z Casparem W. Weinbergerem, członkiem zarządu, który następnie otrzymał nominację na stanowisko Sekretarza Obrony. W tym roku prezydent Bush mianował prezesa Bechtel, Riley'a R Bechtel'a, na członka swojej Rady ds. Eksportu."[3]

W tych dwóch artykułach znajdowała się esencja najnowszej historii i dążenia do realizacji globalnego imperium. Sytuacja w Iraku opisana w porannej prasie była owocem pracy, do której Claudine szkoliła mnie jakieś trzydzieści pięć lat temu i którą w pocie czoła wykonywały zastępy kobiet i mężczyzn żądnych władzy i pieniędzy.

Artykuły opowiadał o inwazji na Irak z 2003 roku i podpisywanych kontraktach, które dotyczyły odbudowy kraju i usunięciu zniszczeń tą inwazją spowodowanych, a przy okazji budowy nowego kraju na podobieństwo Zachodu. Wiadomości z 18 kwietnia 2003 roku przypominały wtajemniczonym wczesne lata siedemdziesiąte XX w. i projekt SAMA, w ramach którego amerykańskie firmy budowlane i przemysł naftowy uzyskały możliwość rozbudowy pustynnego królestwa. Jednocześnie SAMA narzuciła nowe zasady globalnego zarządzania ropą naftową, przedefiniowała sytuację geopolityczną i doprowadziła do zawarcia przymierza z rodziną Saudów, które dawało im gwarancję rządów i zmuszało do gry na naszych zasadach.

Gdy czytałem te artykuły, zastanawiałem się, jak wielu ludzi zdawało sobie sprawę, że Saddam wciąż rządziłby swym krajem, gdyby wzorem Saudów zdecydował się na współpracę. Wciąż miałby swoje rakiety i zakłady chemiczne - ba, sami byśmy mu je zbudowali, a nasi ludzie nieustannie by je unowocześniali i serwisowali. Taka umowa byłaby niezwykle soczystym kąskiem - tak jak swego czasu Arabia Saudyjska.

Aż dotąd najważniejsze środki masowego przekazu zachowywały ostrożność i nie publikowały tego rodzaju informacji. Ale dzisiaj stało się. Choć artykuły stanowiły zaledwie zalążek trendu, namiastkę pełnej prawdy, tym niemniej fakty zaczęły wypływać na powierzchnię. Zaciekawiony, czy *New York Times* zdecydował się na samotny zryw, odwiedziłem stronę CNN i dowiedziałem się, że „Bechtel zdobywa kontrakt w Iraku". Tekst CNN bardzo przypominał ten z Times'a, ale dodawał jeszcze, że:

„Kilka innych firm rywalizowało o ten kontrakt, zarówno jako samodzielni wykonawcy, jak i w ramach syndykatów - Kellogg Brown & Root (KBR), spółka należąca do Halliburton Co., której prezesem był swego czasu wiceprezydent Dick Cheney. (...) Halliburton już zdobył kontrakt na naprawę irackiej infrastruktury naftowej, którego wartość może sięgnąć 7 mld dolarów w ciągu dwóch lat."[4]

Kamuflowana historia marszu ku globalnemu imperium faktycznie zdawała się wyciekać do publicznej wiadomości. Na razie bez szczegółów, bez informacji o tragediach spowodowanych zadłużeniem, oszustwami, zniewoleniem, wyzyskiem i najzuchwalszym w historii wykorzystaniem serc, umysłów i zasobów ludzi na całym świecie. Nic w tych artykułach nie sugerowało, że sytuacja w Iraku stanowi kontynuację wstydliwego ciągu wydarzeń. Nie ujawniały one również, że historia imperium przybiera nowe przerażające formy, zarówno ze względu na towarzyszącą postępowi globalizacji wszechobecność jak i podstępną subtelność działania. Pomimo wszelkich tych braków informacje, jakby niechętnie, ale jednak zaczęły wyciekać.

Wyłom w zmowie milczenia poruszył mnie. Przypomniał mi, że od wielu lat odwlekałem opowiedzenie własnej historii. Patrząc wstecz przypominałem sobie, że od początku miałem wątpliwości, słyszałem szmer wyrzutów sumienia. Zaczęły się w mieszkaniu Claudine, jeszcze zanim zdecydowałem się wyruszyć w pierwszą podróż do Indonezji, i od tamtego czasu prześladowały mnie niemal nieustannie.

Wiedziałem także, że gdyby wątpliwości i poczucie winy wciąż mnie nie nękały, nigdy nie wydostałbym się z uchwytu korporacjokracji. Jak wielu innych ugrzązłbym w niej na zawsze. Nie stanąłbym na plaży na Wyspach Dziewiczych i nie zdecydował się odejść z MAIN.

Nagłówki wskazywały na powiązania pomiędzy korporacjami, międzynarodowymi bankami a rządami, ale podobnie do mojego resume z czasów MAIN, opisane w artykułach fakty stanowiły zaledwie wierzchołek góry lodowej. Prawdziwa historia nie dotyczyła tego, że po raz kolejny wielkie koncerny budowlane zarabiały mi-

liardy dolarów przebudowując kraj na naszą modłę, pomimo iż mieszkają w nim ludzie, którzy najprawdopodobniej nie chcą się do nas upodabniać, ani że elitarny krąg osób powtarzał odwieczny rytuał nadużywania przywilejów związanych z wysokimi stanowiskami w rządzie.

To uproszczony obraz. Sugeruje, że chcąc naprawić system, powinniśmy po prostu pozbyć się tych ludzi. Wpisuje się w spiskową teorię dziejów dostarczając wygodnej wymówki, by włączyć telewizor i zapomnieć o sprawie pozostając w błogim przeświadczeniu wyniesionym ze lekcji wiedzy o społeczeństwie w szkole średniej, że „oni" zajmą się wszystkim, że państwo jest silnym i stabilnym organizmem, który po chwilowych zawirowaniach powróci na właściwe tory. Być może musimy poczekać do najbliższych wyborów, ale później wszystko wróci do normy.

Prawdziwa historia nowoczesnego imperium - korporacjokracji wyzyskującej zdesperowanych ludzi i zagarniającej w brutalny, samolubny i docelowo prowadzący do autodestrukcji sposób wszystkie dostępne zasoby - ma niewiele wspólnego z tym, co pojawiło się tamtego ranka w gazetach, jest natomiast bezpośrednio związane z nami samymi. I właśnie dlatego sprawia nam niezwykłą trudność przyjęcie do wiadomości prawdy. Wolimy wierzyć w mit mówiący, że tysiące lat ewolucji społecznej wykształciły doskonały system gospodarczy, zamiast spojrzeć faktom prosto w twarz i przyznać, że nasza czujność została uśpiona i daliśmy zwieść się na manowce. Wmówiliśmy sobie, że rozwój gospodarczy w każdej postaci przynosi ludzkości korzyści, i że im większy wzrost, tym szersze grono beneficjentów. Przekonywaliśmy się nawzajem, że skutki wprowadzenia w życie tej koncepcji są moralnie słuszne: ludzie rozpalający ogień wzrostu gospodarczego powinni być szanowani i nagradzani, zaś tych urodzonych na marginesie można dowolnie wykorzystywać.

Ideą tą uzasadnia się wszelkiego rodzaju piractwo - udzielane są licencje na gwałty, grabież i morderstwa dokonywane na niewinnych ludziach w Iranie, Panamie, Kolumbii, Iraku i innych krajach. EBR-owcy, szakale i armie prosperują tak długo, jak długo ich działania można przedstawić jako przynoszące wzrost gospodarczy -

a prawie zawsze tak są właśnie przedstawiane. Tendencyjne i łatwe do manipulacji „dziedziny naukowe" - ekonometria i statystyka - pozwalają na osiągnięcie niezwykłych efektów. Jeżeli zbombardujesz miasto, a następnie odbudujesz je, statystyki zarejestrują gwałtowny wzrost gospodarczy.

Prawda jest taka, że żyjemy w świecie kłamstwa. Stworzyliśmy zasieki pozorów, za którymi skrywa się zgnilizna. Można ją zobaczyć prześwietlając nasze własne statystyki, które ukazują przerażające fakty - najpotężniejsze i najbogatsze imperium w historii świata odnotowuje niezwykle wysoki odsetek samobójstw, zażywania narkotyków, rozwodów, molestowania dzieci, gwałtów i morderstw. Tocząca nas niczym rak choroba rozprzestrzenia się z roku na rok. W sercu każdy z nas czuje ból. Wewnątrz krzyczymy błagając o zmianę, a jednak wkładamy do ust zaciśniętą pięść i gryząc ją tłumimy krzyki w sobie, tak by nikt nas nie usłyszał.

Wspaniale byłoby, gdybyśmy mogli zwalić winę na jakiś podstępny spisek. Ale nie możemy. Imperium zależy od skutecznego współdziałania wielkich banków, korporacji i rządów - części składowych korporacjokracji - lecz nie ma to nic wspólnego ze spiskiem. Korporacjokracja to my, to my sprawiamy, że interes się kręci. I dlatego właśnie większości z nas tak trudno jest sprzeciwić się jej. Wolimy wypatrywać konspiratorów czających się w cieniu, ponieważ większość z nas pracuje dla tych banków, korporacji lub rządów, lub w jakiś sposób zależy od nich ze względu na produkowane przez nie dobra. Nie możemy pozwolić sobie na gryzienie ręki, która nas karmi.

Nad tymi dylematami zastanawiałem się siedząc przed komputerem i czytając artykuły. Nasuwały one wiele pytań. W jaki sposób sprzeciwić się systemowi, który zapewnia ci dom, samochód, jedzenie, ubranie, energię elektryczną i opiekę zdrowotną - nawet jeżeli się wie, że tworzy on świat, w którym dwadzieścia cztery tysiące osób umiera codziennie z głodu, a kolejne miliony nienawidzą ciebie, a przynajmniej polityki prowadzonej przez reprezentantów, których sam wybrałeś? Jak zebrać odwagę, by wystąpić przed szereg i zakwestionować idee, które twoi sąsiedzi uznają

za święte, nawet jeśli jesteś pewien, że system znalazł się na krawędzi samozagłady? Powoli wstałem i udałem się do domu po kolejną porcję kawy.

Po drodze zabrałem z podjazdu, doręczony przez pocztę, egzemplarz *Palm Beach Post.* Znajdował się w nim przedrukowany z *New York Times* ten sam artykuł o Bechtel w Iraku. Moją uwagę przykuła słynna, przynajmniej w Nowej Anglii, data - 18 kwietnia. Była mi ona szczególnie znana dzięki rodzicom czczącym pamięć Wojny o Niepodległość oraz z wiersza Longfellow'a:

Słuchajcie dziatki, a opowiem wam
Jak w noc ciemną Paul Revere gnał,
Kwietnia osiemnastego
roku siedemdziesiątego piątego;
Niewielu ludzi żyje wciąż
Pamiętających ten słynny dzień i rok.

W tym roku Wielki Piątek wypadł w rocznicę jazdy Paula Revere'a. Patrząc na datę na okładce *Post* wyobraziłem sobie kolonistę, złotnika pędzącego konno ulicami miast Nowej Anglii, wymachującego kapeluszem i krzyczącego „Brytyjczycy nadchodzą!" Revere ryzykował życiem roznosząc wieści, a lojalni Amerykanie odpowiedzieli na wezwanie i wówczas powstrzymali marsz imperium.

Zastanawiałem się, co ich do tego skłoniło, dlaczego byli gotowi wystąpić przed szereg. Wielu prowodyrów zaliczało się do osób majętnych. Co zdecydowało o tym, że postawili na szalę swoje interesy i ryzykując życiem ugryźli karmiącą ich rękę? Niewątpliwie każdy z nich posiadał jakieś osobiste powody, ale oprócz tego musiała jeszcze istnieć jakaś jednocząca siła, iskra, która roznieciła w jednym momencie tysiące osobistych ognisk buntu.

I wtedy mnie olśniło: słowa.

To opowieść o prawdziwym obliczu Imperium Brytyjskiego, o jego samolubnym i w konsekwencji prowadzącym do samozagłady merkantylizmie stanowiła tę iskrę. Słowa ludzi w rodzaju Toma Paine'a i Thomasa Jeffersona wydobywające na powierzchnię to, co dotąd było skrywane, rozpaliły wyobraźnię ich rodaków, otworzyły

ich serca i umysły. Koloniści zaczęli stawiać pytania, a następnie odkrywać, że skrywając się za zasłoną kłamstw Imperium Brytyjskie manipulowało, oszukiwało i zniewalało ich.

Zrozumieli, że ich angielscy panowie opracowali system, który zdołał omamić większość ludzi i przekonać ich, że stanowił dla świata najlepsze rozwiązanie. Wmówił im, że lepsze jutro najłatwiej osiągnąć kierując wszystkie zasoby do dyspozycji Króla Anglii, i że imperialne podejście do handlu i polityki było najefektywniejszym i najbardziej humanitarnym sposobem niesienia pomocy ludzkości w potrzebie. Faktycznie system wzbogacał garstkę osób kosztem ogółu. Kłamstwo to i wynikający z niego wyzysk trwały przez dziesiątki lat, aż a końcu grupka filozofów, biznesmenów, farmerów, rybaków, traperów, pisarzy i mówców odważyła się powiedzieć prawdę.

Słowa. Myślałem o ich mocy wracając do biura z nową porcją kawy. Usiadłem przed komputerem i otworzyłem dokument, nad którym pracowałem poprzedniej nocy. Przeczytałem ostatni napisany przez siebie akapit:

„Historia *musi* zostać opowiedziana. Żyjemy w czasach wielkiego kryzysu, a zarazem niezwykłej szansy. Przeżycia ekonomisty od brudnej roboty tłumaczą nam, w jaki sposób znaleźliśmy się w obecnym położeniu i dlaczego zmagamy się z problemami wydającymi się być nie do rozwiązania. Historia musi zostać opowiedziana, ponieważ wyłącznie dzięki zrozumieniu popełnionych błędów możemy wykorzystać nadarzające się okazje. (...) Jednak historia musi zostać opowiedziana przede wszystkim dlatego, że po raz pierwszy w dziejach jedno państwo ma możliwości, pieniądze i siłę by wszystko to zmienić. To moja ojczyzna, kraj, dla którego pracowałem jako EBR-owiec: Stany Zjednoczone Ameryki Północnej."

Tym razem już nic mnie nie powstrzyma. Zdarzenia z mojego życia i podejmowane przeze mnie wybory doprowadziły mnie do tego miejsca, a ja zamierzam iść naprzód.

Wspomniałem znów jeźdźca galopującego nocą poprzez miasteczka i wsie Nowej Anglii, wykrzykującego swoje ostrzeżenie. On wiedział, że słowa Paine'a i Jeffersona torowały mu drogę. Ludzie czytali je w domach, a następnie dyskutowali w oberżach i tawer-

nach. Paine zdemaskował tyranię Imperium Brytyjskiego. Jefferson ogłosił, że nasz naród będzie pielęgnował wartości takie jak życie, wolność i dążenie do szczęścia. Zaś Revere pędząc przez noc wiedział, że słowa te natchnęły mieszkańców kolonii, i że powstaną, by walczyć o lepszy świat.

Słowa...

Zdecydowałem, że skończę z ciągłym odkładaniem na później i wreszcie dokończę to, co zaczynałem tak wiele razy w ciągu minionych lat - oczyszczę się wyznając prawdę, spiszę słowa w niniejszej książce.

Rozdział 36

Epilog

Dotarliśmy na koniec książki, lecz zarazem na początek. Pewnie się zastanawiacie, co teraz, co można zrobić, by powstrzymać korporacjokrację w jej szaleńczym i autodestrukcyjnym marszu ku globalnemu imperium. Chcecie odłożyć książkę i ruszyć naprawiać świat.

Jeżeli potrzebujecie pomysłów, mogę wam kilka zaoferować.

Można powiedzieć, że poprzedni rozdział dotyczący kontraktów Bechtel i Halliburton w Iraku to stare dzieje. Od tamtych wydarzeń do chwili, kiedy go przeczytaliście, upłynęło już zapewne sporo czasu, więc może się wydawać, że się zdezaktualizował. Nic podobnego - jego przesłanie sięga daleko poza ramy czasowe. Mam nadzieję, że zmieni wasze spojrzenie na codzienne wiadomości, pomoże czytać pomiędzy wierszami każdego artykułu i szukać głębszych znaczeń w każdym informacyjnym programie telewizyjnym lub radiowym.

Rzeczy nie są takimi, jakimi się wydają. NBC należy do General Electric, ABC do Disney'a, CBS do Viacom, a CNN do gigantycznego holdingu AOL Time Warner. Większość gazet, czasopism i wydawnictw jest własnością i podlega manipulacji przez wielkie międzynarodowe korporacje. Nasze media stanowią integralną część korporacjokracji. Menedżerowie i prezesi zarządzający środkami masowego przekazu znają swoje miejsce w szyku. Przez całe życie uczą się, że istotny aspekt ich pracy polega na podtrzymywa-

niu, umacnianiu i rozwijaniu systemu, który odziedziczyli. Robią to niezwykle efektywnie, a w razie napotkania sprzeciwu potrafią być bezwzględni. Tak więc na wasze barki spada konieczność szukania prawdy w gąszczu pozorów i ujawniania jej. Opowiadajcie o niej rodzinie i przyjaciołom. Przekazujcie ją dalej.

Mogę dać wam wiele praktycznych rad. Po pierwsze ograniczcie zużycie benzyny. W 1990 roku przed inwazją na Irak importowaliśmy 8 milionów baryłek ropy. Do roku 2003 i drugiej inwazji import wzrósł o 50%, do ponad 12 milionów baryłek.[1] Następnym razem, gdy najdzie was ochota na zakupy, powstrzymajcie ją i zamiast tego przeczytajcie książkę, pójdźcie poćwiczyć lub pomedytujcie. Zminimalizujcie wielkość swojego domu, garderobę, samochód, biuro i inne rzeczy, z których korzystacie. Protestujcie przeciwko umowom dotyczącym „wolnego" handlu i przeciwko firmom wykorzystującym niewolniczą pracę robotników lub dokonującym rabunkowej eksploatacji środowiska.

Mogę śmiało stwierdzić, że w obecnym systemie drzemie wielki potencjał - banki, korporacje i rządy, nie są złe z założenia - tak samo jak ludzie nimi zarządzający i nie jest powiedziane, że muszą tworzyć korporacjokrację. Gnębiące nas obecnie problemy nie wynikają z wrodzonej niegodziwości tychże instytucji, a raczej z błędnego rozumienia istoty rozwoju gospodarczego. Wina tkwi w naszym postrzeganiu ich funkcjonowania, wzajemnych interakcji i roli odgrywanej przez menedżerów.

W istocie ich wysoce efektywne globalne systemy komunikacyjne i logistyczne mogłyby zostać wykorzystane do wprowadzania pozytywnych zmian na świecie. Wyobraźcie sobie, że logo Nike, MacDonalda i Coca-Coli stają się symbolami firm, których główny cel stanowi ubranie i wykarmienie ubogich. Taka koncepcja nie jest bardziej nierealna niż człowiek na księżycu, doprowadzenie do rozpadu ZSRR czy też utworzenie infrastruktury pozwalającej tym przedsiębiorstwom na dotarcie do każdego miejsca na świecie. Potrzebujemy rewolucji w podejściu do edukacji, która zainspiruje nas i nasze dzieci do myślenia, stawiania pytań i natchnie odwagą do działania. Bądźcie nauczycielami i uczniami, swoim postępowaniem dawajcie przykład innym.

W życiu codziennym możecie podejmować konkretne działania, które wywrą wpływ na otaczające was instytucje. Wyrażajcie swoje zdanie publicznie, jeżeli tylko nadarza się do tego okazja, piszcie listy i maile, dzwońcie zgłaszając pytania i zastrzeżenia, wybierajcie inteligentnych przedstawicieli do rad nadzorczych szkół i lokalnych władz. Kiedy musicie zrobić zakupy, wybierajcie produkty świadomie, osobiście się angażując.

Pamiętajcie o tym, co powiedzieli mi niegdyś Shuarowie - świat będzie takim, jakim go sobie wymarzycie. Możemy zamienić koszmar trującego przemysłu, zakorkowanych autostrad i zatłoczonych miast na nowe marzenie oparte na poszanowaniu środowiska i zasadach odpowiedzialności społecznej - samowystarczalności i równości. Tylko od nas samych zależy, czy zmienimy sposób funkcjonowania otaczającego nas świata.

Pozwolę sobie wymienić niektóre z niezwykłych szans, które stoją obecnie przed nami, a których wykorzystanie może zmienić świat na lepsze: zapewnienie wyżywienia i wody dla wszystkich głodujących i spragnionych, leków pozwalających na wyleczenie chorych i zapobieżenie kolejnym epidemiom zabijających miliony ludzi, stworzenie systemów transportowych dostarczających niezbędne do życia produkty do najdalszych zakątków globu. Możemy zmniejszyć poziom analfabetyzmu i zapewnić dostęp do Internetu, umożliwiający wszystkim ludziom na kontaktowanie się ze sobą, stworzyć metody pokojowego rozwiązywania konfliktów, które sprawią, że wojny odejdą do przeszłości. Możemy opracować technologie pozwalające na badanie ogromu kosmosu i odkrywanie mikro-tajemnic energii atomowej, które wykorzystamy następnie do budowy bardziej ekologicznych i wydajnych domów dla każdego. Posiadamy wystarczające środki, by dokonać tego wszystkiego, a nawet o wiele, wiele więcej.

Aby pomóc innym zrozumieć kryzysy, z którymi się zmagamy, i stojące przed nami szanse, możecie podjąć następujące działania:

- Zorganizujcie w księgarni lub bibliotece spotkania dyskusyjne poświęcone „Wyznaniom ekonomisty od brudnej roboty" (poradnik znajdziecie na www.JohnPerkins.org).

- Przygotujcie dla pobliskiej szkoły podstawowej prelekcję dotyczącą waszego hobby (sportu, gotowania, mrówek - czegokolwiek) i wykorzystajcie ją do zwrócenia uwagi uczniów na najistotniejsze cechy społeczeństwa, którego członkami się stają.
- Wyślijcie maile do jak największej liczby osób, w których wyrazicie swoje przemyślenia wywołane przez niniejszą (i inne) książkę.

Sądzę jednak, że już pomyśleliście o większości z podanych przeze mnie pomysłów. Po prostu wybierzcie kilka tych, które najbardziej wam odpowiadają, i wprowadzajcie je w życie. Pamiętajcie, że stanowią one część większego wyzwania, które musimy wspólnie podjąć. Musimy poświęcić się uświadamianiu wszystkich wokół, wyrwać ich z letargu. Musimy usłyszeć przesłanie przepowiedni, otworzyć serca i umysły na stojące przed nami szansy, stać się świadomymi siebie i wreszcie ruszyć do działania.

Niniejsza książka nie jest receptą, lecz jedynie prostym i szczerym wyznaniem człowieka, który pozwolił uczynić się pionkiem, ekonomistą od brudnej roboty. Pozwolił się wchłonąć skorumpowanemu systemowi, gdyż ten oferował wiele osobistych korzyści i doskonałe wymówki do dalszego w nim pozostania. Choć wiedział, że postępuje niewłaściwie, zawsze potrafił znaleźć uzasadnienie dla własnej chciwości, wyzyskiwania zdesperowanych ludzi i rabunkowej eksploatacji planety. Bezwstydnie wykorzystywał to, że urodził się jako członek najbogatszego społeczeństwa w historii, a jednocześnie użalał się nad sobą, ponieważ jego rodzice nie znajdowali się na szczycie społecznej piramidy. Zdobył ekonomiczne wykształcenie, a następnie naśladował tych, którzy sankcjonowali wszystkie działania przyspieszające rozwój globalnego imperium, nawet jeżeli skutkowały morderstwami, ludobójstwem i dewastacją środowiska. Później sam szkolił następców, by podążali jego śladami. Ten człowiek to ja. Oto moje wyznanie.

Skoro dotarliście aż dotąd, to znaczy, że w jakimś stopniu identyfikujecie się z moim światopoglądem, że w istocie mamy wiele wspólnego. Może podróżowaliśmy różnymi drogami, ale korzysta-

liśmy z podobnych samochodów, z tego samego paliwa i jadaliśmy w restauracjach należących do tych samych korporacji.

Dla mnie uczynienie wyznania stanowiło kluczowy element osobistego przebudzenia. To pierwszy krok czyniony w celu odkupienia win.

Teraz kolej na wasze własne wyznania. Gdy już oczyścicie sumienia, określicie swój wpływ na kształt świata, podsumujecie swoje czyny - te, z których jesteście dumni, i te, których się wstydzicie - a następnie sprecyzujecie plany na przyszłość - odczujecie natychmiastową ulgę, a nawet euforię.

Uwierzcie mi, że napisanie tej książki stanowiło niezwykle emocjonalne przeżycie, częstokroć bolesne i poniżające. Było również źródłem strachu, którego w takim stopniu nigdy wcześniej nie zaznałem. Jednak przyniosło mi ogromną ulgę, uczucie, które mogę określić mianem ekstazy.

Zadajcie sobie pytania: co muszę wyznać? W jaki sposób oszukiwałem siebie i innych? Jakie zaniechania popełniłem? Dlaczego pozwoliłem wciągnąć się systemowi, o którym wiem, że nie jest zrównoważony? Co uczynię, by umożliwić dzieciom zrealizowanie marzeń Ojców Założycieli - ochrony życia i wolności oraz dążenia do szczęścia? Co uczynię, by zlikwidować głód i sprawić, by nigdy więcej nie powtórzył się 11 września? W jaki sposób pomogę dzieciom zrozumieć, że ludziom wiodącym nieumiarkowane życie należy współczuć, a nie wzorować się na nich? Nawet jeżeli kreują się w kontrolowanych przez siebie mediach na symbole sukcesu i próbują wszystkich przekonać, że luksusowe apartamenty i jachty dają szczęście? W jaki sposób zamierzam zmienić moje postrzeganie i stosunek do świata? Za pomocą jakich środków będę starał się nauczać innych i samemu zdobywać wiedzę?

Są to kluczowe pytania naszych czasów. Każdy z nas musi sam sobie udzielić na nie jasnych i jednoznacznych odpowiedzi. Paine i Jefferson wspólnie z innymi patriotami patrzą nam przez ramię, a ich słowa wciąż nas inspirują. Unoszą się nad nami duchy ludzi, którzy opuścili swoje farmy i łodzie rybackie, by stawić czoła potężnemu Imperium Brytyjskiemu, którzy walczyli o wyzwolenie

niewolników w czasie Wojny Secesyjnej, i którzy poświęcili swe życie, by ocalić świat przed faszyzmem. Towarzyszą im duchy tych, którzy pozostali w domach, by zapewniać dostawy ubrań i żywności oraz udzielać moralnego wsparcia żołnierzom, którzy walczyli we wszystkich tych bitwach. Są to duchy nauczycieli, poetów, artystów, przedsiębiorców, lekarzy, pracowników fabryk…

Wybiła nasza godzina. Nadszedł czas, by każdy z nas udał się na linię frontu, postawił ważne pytania i podjął działania.

Wszystkie zbiegi okoliczności, wszelkie zdarzenia waszego życia oraz podejmowane w ich wyniku wybory doprowadziły was do tego punktu...

Życiorys Johna Perkinsa

1963	Kończy szkołę podstawową, wstępuje do Middlebury College.
1964	Zaprzyjaźnia się z Farhad'em, synem irańskiego generała. Opuszcza Middlebury.
1965	Pracuje dla gazet Hearsfa w Bostonie.
1966	Wstępuje na studia ekonomiczne na Boston Uniyersity College.
1967	Żeni się z koleżanką z klasy w Middlebury, której „wujek Frank" jest wysokiego szczebla pracownikiem National Security Agency (NSA, Narodowa Agencja Bezpieczeństwa)
1968	Profil psychologiczny sporządzony przez NSA określa go jako idealnego ekonomistę od brudnej roboty. Po uzyskaniu zgody wujka Franka John Perkins wstępuje do Peace Corps, które wysyła go do ekwadorskiego rejonu Amazonii, gdzie miejscowe plemiona toczą walkę z amerykańskimi koncernami naftowymi.
1969	Mieszka w lasach deszczowych oraz w Andach. Na własne oczy przekonuje się, jak koncerny naftowe i agencje rządowe stosują podstępne praktyki niosące za sobą niszczycielskie skutki dla miejscowej kultury i środowiska.

1970 Spotyka w Ekwadorze wiceprezesa międzynarodowej firmy konsultingowej MAIN, który jest również oficerem łącznikowym NSA.

1971 Rozpoczyna pracę w MAIN. Przechodzi w Bostonie tajne szkolenie na ekonomistę od brudnej roboty (EBR). Następnie zostaje członkiem 11-osobowego zespołu wysłanego na Jawę w Indonezji. Nakłaniany do przygotowywania fałszywych analiz gospodarczych - odczuwa wyrzuty sumienia.

1972 Ze względu na „gotowość do współpracy" awansuje na stanowisko głównego ekonomisty i dorabia się reputacji „młodego geniusza". Spotyka ważne osobistości, w tym prezesa Banku Światowego, Roberta McNamarę. Zostaje wysłany z misją specjalną do Panamy. Zaprzyjaźnia się z charyzmatycznym prezydentem tego kraju, Omarem Torrijosem. Poznaje historię amerykańskiego imperializmu i determinację Torrijosa, by od Stanów Zjednoczonych odzyskać dla Panamy tytuł własności Kanału.

1973 Jego kariera rozwija się błyskotliwie. Rozpoczyna budowę własnego imperium wewnątrz MAIN. Kontynuuje pracę w Panamie. Wiele podróżuje przeprowadzając analizy w Azji, Ameryce Łacińskiej i na Bliskim Wschodzie.

1974 Bierze udział w rozpoczęciu zakończonego olbrzymim sukcesem projektu EBR-owców w Arabii Saudyjskiej. Rodzina królewska zgadza się zainwestować miliardy dolarów ze sprzedaży ropy w amerykańskie papiery skarbowe, z których odsetki Departament Skarbu przeznacza na wynajęcie amerykańskich firm do budowy infrastruktury wodnej, energetycznej, autostrad, portów i miast w królestwie. W zamian Stany Zjednoczone udzielają Saudom gwarancji podtrzymania ich rządów. Umowa ta ma w przyszłości służyć za

wzór postępowania przy zawieraniu przez EBR-owców kolejnych międzynarodowych transakcji. Próbę zawarcia takiej umowy przeprowadzono także tej w Iraku, ale ostatecznie nie dochodzi ona do skutku.

1975 Ponownie awansuje. Staje się najmłodszym wspólnikiem w stuletniej historii MAIN oraz otrzymuje funkcję szefa działu Gospodarczego i Regionalnego Planowania. Publikuje serię prac, które zdobywają uznanie. Prowadzi wykłady na Harvardzie i w innych instytucjach.

1976 Kieruje dużymi projektami na całym świecie - w Afryce, Azji, Ameryce Łacińskiej, Ameryce Północnej i na Bliskim Wschodzie. Na przykładzie szacha Iranu poznaje rewolucyjne podejście EBR-owców do budowania imperium.

1977 Związek z Kolumbijką uczula go na ciężki los rolników, których napiętnowano jako terrorystów i przemytników narkotyków, a którzy w istocie są zwykłymi chłopami starającymi się chronić własne rodziny i domy.

1978 Wywieziony z Iranu przez Farhada. Razem udają się do Rzymu, do ojca Farhada, irańskiego generała, który przewiduje rychły upadek szacha i winą za nienawiść rozprzestrzeniającą się na Bliskim Wschodzie obarcza politykę USA, skorumpowanych przywódców i despotyczne rządy. Ostrzega, że jeżeli Stany Zjednoczone nie zmienią swojego podejścia, to sytuacja ulegnie dalszemu pogorszeniu.

1979 Zmaga się z wyrzutami sumienia, gdy szach ucieka z kraju, a Irańczycy szturmują ambasadę USA biorąc pięćdziesięciu dwóch zakładników. Zdaje sobie sprawę, że Stany Zjednoczone starają się ukryć prawdę o swojej imperialistycznej roli na świecie. Po latach napięć i częstych separacji rozwodzi się z pierwszą żoną.

1980	Cierpi z powodu depresji, poczucia winy i zrozumienia , że pieniądze i władza przywiązały go do MAIN. Składa wymówienie.
1981	Ciężko przeżywa, gdy prezydent Ekwadoru, Jaime Roldós (prowadzący kampanię przeciwko przemysłowi naftowemu), i prezydent Panamy, Omar Torrijos (naraził się interesom Waszyngtonu swoim stanowiskiem w sprawie Kanału Panamskiego i amerykańskich baz wojskowych), giną w katastrofach lotniczych, które mają wszelkie znamiona zamachów zorganizowanych przez CIA. Żeni się po raz drugi. Jego żoną zostaje córka głównego architekta Bechtel Corporation nadzorującego projektowanie i budowę miast w Arabii Saudyjskiej. Projekt finansowany jest na zasadach określonych przez umowę zawartą przez EBR-owców w 1974 roku.
1982	Zakłada Independent Power Systems Inc. (IPS), firmę zajmującą się przyjazną dla środowiska produkcją energii elektrycznej. Zostaje ojcem córki o imieniu Jessica.
1980-1989	Jako prezes IPS odnosi spektakularny sukces, w dużej mierze dzięki „zbiegom okoliczności" - pomocy wysoko postawionych osób, zwolnień podatkowych itp. Jako ojciec zamartwia się kryzysami na świecie i swoją przeszłością EBR-owca. Rozpoczyna pisanie wspomnień, ale otrzymuje lukratywną posadę doradcy w zamian za obietnicę rezygnacji z książki.
1990-1991	Po amerykańskiej inwazji na Panamę i uwięzieniu Noriegi sprzedaje IPS i przechodzi na emeryturę w wieku czterdziestu pięciu lat. Rozważa powrót do pracy nad książką, ale daje się przekonać, by zamiast tego poświęcić się działalności w organizacjach non-profit, która mogłaby ucierpieć ze względu na publikację książki.

1992-2000 Obserwuje porażkę EBR-owców w Iraku, która doprowadza do pierwszej Wojny w Zatoce. Trzykrotnie próbuje napisać książkę, lecz ulega groźbom i przekupstwom. Stara się uciszyć wyrzuty sumienia pisząc książki o zagrożonych kulturach, wspierając organizacje non-profit, wykładając na forach New Age, podróżując do Amazonii i w Himalaje, spotykając się z Dalajlamą, itp.

2001-2002 Prowadzi grupę Amerykanów w głąb Amazonii na tereny indiańskich plemion, gdzie 11 września 2001 roku docierają do niego informacje o zamachach terrorystycznych. Spędza dzień pod Ground Zero i przyrzeka sobie napisać książkę, która uśmierzy jego wyrzuty sumienia i ujawni prawdę o EBR-owcach.

2003-2004 Powraca do ekwadorskiej Amazonii, by spotkać się z plemionami, które zagroziły wojną koncernom naftowym. Pisze „Wspomnienia ekonomisty od brudnej roboty".

Przypisy

Przedmowa

[1] Światowy Program Żywnościowy Organizacji Narodów Zjednoczonych, http://www.wfp.org/index.asp?section=l (27 grudnia 2003 r.). Również National Association for the Prevention of Starvation szacuje, że „każdego dnia 34 tys. dzieci poniżej piątego roku życia umiera z głodu lub chorób z niego wynikających" (http://www.napsoc.org, 27 grudnia 2003 r.). Portal Starvation.net szacuje, że „dodając do siebie trzy najczęstsze powody śmierci najuboższych ludzi - głód, skażoną wodę i AIDS, otrzymalibyśmy prawie 50 tys. zgonów dziennie" (http://www.starvation.net, 27 grudnia 2003 r.).

[2] Dane Departamentu Rolnictwa USA ogłoszone przez Food Research and Action Center (FRAC), http://ww.franc.org (27 grudnia 2003 r.).

[3] Organizacja Narodów Zjednoczonych, *Humań Development Report,* New York 1999.

[4] „W 1998 r. Program Narodów Zjednoczonych ds. Rozwoju szacował, że zapewnienie każdemu człowiekowi na świecie świeżej wody i urządzeń sanitarnych kosztowałoby dodatkowo 9 mld dolarów (ponad obecne wydatki). Dodatkowe 12 mld dolarów kosztowałoby zapewnienie opieki położniczej wszystkim kobietom na świecie. Kolejne 13 mld dolarów wystarczyłoby na zapewnienie wszystkim ludziom na świecie nie tylko żywności, ale także podstawowej opieki medycznej. 6 mld dolarów pozwoliłoby na sfinansowanie podstawowego wykształcenia. (…) Łącznie daje to 40 mld dolarów." - John Robbins, autor *Diet for a New America* oraz *The Food Revolution,* http://www.foodrevolution.org (27 grudnia 2003 r.).

Prolog

[1] Gina Chavez i in., red. Mario Melo, Juana Sotomayor, *Tarimiat - Firmes an Nuestro Territorio: FIPSE vs. ARCO,* CDES and CONAIE, Quito 2002

[2] Sandy Tolan, *Ecuador: Lost Promises,* National Public Radio, Morning Edition, 9 lipca 2003 r., http://www.npr.org/programs/morning/features/2003/jul/latinoil (9 lipca 2003 r.).

[3] Juan Forero, *Seeking Balance: Growth* vs. *Culture in the Amazon,* New York Times, 10 grudnia 2003 r.

[4] Abby Ellin, *Suit Says Chevron Texaco Dumped Poisons in Ecuador,* New York Times, 8 maja 2003 r.

[5] Chris Jochnick, *Peńlous Prosperity,* New Interaationalist, czerwiec 2001, http://www.newint.org/issue335/perilous.htm. Patrz również: Pamela Martin, *The Globalization of Contentious Politics: The Amazonian Indigenous Rights Movement,* Rutledge, New York 2002; Kimerling, *Amazon Crude,* Natural Resource Defense Council, New York 2002; Leslie Wirpsa (tłum.), *Upheaval in the. Back Yard: Illegitimate Debts and Humań Rights - The Case of Ecuador-Norway,* Centro de Derechos Económicos y Sociales, Quito 2002; oraz Gregory Palast, *Inside Corporate America,* Guardian, 8 października 2002 r.

[6] Informacje na temat wpływu ropy naftowej na gospodarki narodowe i gospodarkę światową - patrz: Michael T. Klarę, *Resource Wars: The New Landscape of Global Conflict,* Henry Holt and Company, New York 2001; Daniel Yergin, *The Prize: The Epic Questfor Oil, Money & Power,* Free Press, New York 1993; oraz Daniel Yergin, Joseph Stanisław, *The Commanding Heights: The Battle for the World Economy,* Simon & Schuster, New York 2001.

[7] James S. Henry, *Where the Money Went,* Across the Board, marzec/kwiecień 2004, ss. 42-45. Patrz również: James S. Henry, *The Blood Bankers: Tales from the Global Underground Economy,* Four Walls Eight Windows, New York 2003.

[8] Gina Chavez i in., red. Mario Melo, Juana Sotomayor, *Tarimiat - Firmes an Nuestro Terńtońo: FIPSE vs. ARCO,* CDES and CONAIE, Quito 2002; Victor Lopez A (red.), *Petróleo, Ambientey Derechos en la Amazonia,* Centro de Derechos Económicos y Socialos, OPIP, IACYT-A (pod auspicjami Oxfam America), Sergrafic, Quito 2002.

[9] Sandy Tolan, *Ecuador: Lost Promises,* National Public Radio, Morning Edition, 9 lipca 2003 r., http://www.npr.org/programs/morning/features/2003/jul/latinoil (9 lipca 2003 r.).

[10] Po więcej informacji na temat szakali i innych rodzajów specjalistów od brudnej roboty patrz: P. W. Singer, Corp*orate Warriors, The Rise of the Privatized Military Indus try,* Ithaca, Cornell University Press, NY and London 2003; James R. Davis, *Fortune s Warriors: Private Armies ant the New World Order,* Douglas & Mclntyre, Vancouver and Toronto 2000; Felix I. Rodriguez, John Weisman, *Shadow Warrior: The CIA Hero of 100 Unknown Battles,* Simon & Schuster, New York 1989.

Rozdział 2. Na całe życie

[1] Więcej informacji na temat tej brzemiennej w skutki operacji czytelnik znajdzie w: Stephen Kinzer, Ali the Shah's Men: An American Coup and the Roots of Middle East Terror, Hoboken, John Wiley & Sons, Inc., NY 2003.

[2] Jane Mayer, *Contract Sport: What Did the Vice-President Do for Halliburton?,* New Yorker, 16 i 23 lutego 2004, s. 83.

Rozdział 3. Indonezja: lekcja dla EBR-owca

[1] Więcej informacji na temat Indonezji i jej historii czytelnik znajdzie w: Jean Gelman Taylor, *Indonesia: Peoples and Histories,* Yale University Press, New Haven and London 2003; oraz Teodore Friend, *Indonesian Destinies,* The Belknap Press of Harvard University, Cambridge MA and London 2003.

Rozdział 6. W roli inkwizytora

[1] Teodore Friend, *Indonesian Destinies,* The Belknap Press of Harvard University, Cambridge MA and London 2003, s. 5.

Rozdział 10. Prezydent i bohater Panamy

[1] Patrz: David McCullough, *The Path Between The Seas: The Creation of the Panama Canal 1870-1914,* Simon & Schuster, New York 1999; William Friar, *Portrait ofthe Panama Canal: From Construction to the Twenty-First Century,* Graphic Arts Publishing Company, New York 1999; Graham Greene, *Conversations with the General,* Pocket Books, New York 1984.

[2] Patrz: *Zapata Petroleum Corp.,* Fortune, kwiecień 1958, s. 248; Darwin Payne, *Initiative in Energy: Dresser Industries, Inc. 1880-1978,* Simon & Schuster, New York 1979; Steve Piazzo i in., I*nside Job: The Looting of America s Savings and Loans,* McGraw Hill, New York 1989; Gary Webb, *Dark Alliance: The CIA, The Contras, and the Crack Cockaine Explosion,* Seven Stories Press, New York 1999; Gerard Colby, Charlotte Dennet, *Thy Will Be Done, The Conquest of the Amazon: Nelson Rockefeller and Evangelism in theAge of Oil,* Harper Collins, New York, 1995.

[3] Manuel Noriega, Peter Eisner, *The Memoirs of Manuel Noriega, America 's Prisoner,* Radom House, New York 1997; Omar Torrijos Herrera, *Ideario,* Editorial Universitaria Centroamericano, 1983; Graham Greene, *Conversations with the General,* Pocket Books, New York 1984.

[4] Graham Greene, *Conversations with the General,* Pocket Books, New York 1984; Manuel Noriega, Peter Eisner, *The Memoirs of Manuel Noriega, America s Prisoner,* Radom House, New York 1997.

[5] Derrick Jensen, *A Language Older than Words, Context Books,* New York 2000, ss. 86-88.

[6] Graham Greene, *Conversations with the General,* Pocket Books, New York 1984; Manuel Noriega, Peter Eisner, *The Memoirs of Manuel Noriega, America s Prisoner,* Radom House, New York 1997.

Rozdział 13. Rozmowy z generałem

[1] William Shawcross, *The Shah s hast Ride: The Fate of an Ally,* Simon and Schuster, New York 1988; Stephen Kinzer, *Ali the Shahs Men: An American Coup and the Roots ofMiddle East Terror,* Hoboken, John Wiley & Sons, Inc., NY 2003, s. 45.

[2] Wiele napisano o Arbenz, United Fruit i pełnej przemocy historii Gwatemali, patrz np.: Howard Zinn (mój profesor na Boston University), *A Peoples His tory of the United States,* Harper & Row, New York 1980; Dianę K. Stanley, *For the Record: The United Fruit Company 's Sixty-Six Years in Guatemala,* Centro Impresor Piedra Santa, Guatemala City 1994. Łatwo dostępne informacje: *The Banana Republic: The United Fruit Company,* http://www.mayaparadise.com/ufcle.html; *CIA Involved in Guatemala Coup, 1954,* http://www.english.upenn.edu/~aifilreis/50s/guatemala.htm. Po więcej informacji na temat udziału rodziny Bush'ów patrz: *Zapata Petroleum Corp.,* Fortune, kwiecień 1958, s. 248.

Rozdział 14. Nowy, złowieszczy okres historii gospodarczej

[1] Robert S. McNamara: 8th Secretary of Defense, (23 grudnia 2003 r.).

Rozdział 15. Pranie brudnych pieniędzy w Arabii Saudyjskiej

[1] Po więcej informacji na temat zdarzeń, które doprowadziły do naftowego embarga wl973 r., i skutkach embargo patrz: Thomas W. Lippman, *Inside the Mirage: America 's Fragile Partnership with Saudi Arabia,* Westview Press, Boulder CO 2004, ss. 155-159; Daniel Yergin, *The Prize: The Epic Questfor Oil, Money & Power,* Free Press, New York 1993; Stephen Schneider, *The Oil Price Revolution,* John Hopkins University Press, Baltimore 1983; łan Seymour, *OPEC: Instrument of Change,* McMillan, London 1980.

[2] Thomas W. Lippman, *Inside the Mirage: America 's Fragile Partnership with Saudi Arabia,* Westview Press, Boulder CO 2004, s. 160.

[3] David Holden, Richard Jones, *The House of Saud: The Rise and Rule of the Most Powerful Dynasty in the Arab World,* Holt Rinehart and Winston, New York 1981, s. 359.

[4] Thomas W. Lippman, *Inside the Mirage: America 's Fragile Partnership with Saudi Arabia,* Westview Press, Boulder CO 2004, s. 167.

Rozdział 16. Stręczycielstwo i finansowanie Osamy bin Ladena

[1] Robert Baer, *Sleeping with the Devil: How Washington Sold Our Soulfor Saudi Oil,* Crown Publishers, New York 2003, s. 26.

[2] Thomas W. Lippman, *Inside the Mirage: America 's Fragile Partnership with Saudi Arabia,* Westview Press, Boulder CO 2004, s. 162.

[3] Thomas W. Lippman, *Inside the Mirage: America 's Fragile Partnership with Saudi Arabia,* Westview Press, Boulder CO 2004, s. 2.

[4] Henry Wasswa, *Idi Amin, Murderous Ugandan Dictator, Dies,* Associated Press, 17 sierpnia 2003 r.

[5] *The Saudi Connection,* U.S. News & World Report, 15 grudnia 2003 r., s. 21.

[6] *The Saudi Connection,* U.S. News & World Report, 15 grudnia 2003 r., ss. 19, 20,26.

[7] Craig Unger, Saving the Saudis, Vanity Fair, październik 2003. Po więcej informacji na temat udziału rodziny Bush'ów, Bechtel, itp. patrz: *Zapata Petroleum Corp.,* Fortune, kwiecień 1958, s. 248; Darwin Payne, *Initiative in Energy: Dresser Industries, Inc. 1880-1978,* Simon & Schuster, New York 1979; Nathan Vardi, *Desert Storm: Bechtel Group Is Leading the Charge* oraz *Contacts for Contracts,* oba w Forbes, 23 czerwca 2003 r., ss. 63-66; Graydon Carter, *Editors Letter: Fly the Friendly Skies (...),* Vanity Fair, październik 2003; Richard A. Oppel, Diana B. Henriąues, *A Nation at War: The Contractor. Company has ties in Washington, and to Iraq,* New York Times, 18 kwietnia 2003 r.

Rozdział 17. Renegocjacja Traktatu Panamskiego i Graham Greene

[1] Patrz np.: John M. Perkins, *Colonialism in Panama Has No Place in 1975,* Boston Evening Globe, 19 września 1975; John M. Perkins, U.S.-Brazil Pact Upsets Ecuador, The Boston Globe, 10 maja 1976.

[2] Przykłady prac opublikowanych w pismach fachowych przez Johna M. Perkinsa patrz: John M. Perkins i in., *A Markov Process Applied to Forecasting, Part I- Economic Development,* Conference Papers C 73 475-1, The Institute of Electrical and Electronics Engineers, lipiec 1973; John M. Perkins i in., *A Markov Process Applied to Forecasting, Part II -The Demandfor Electricity,* Conference Papers C 74 146-7, The Institute of Electrical and Electronics Engineers, styczeń 1974; John M. Perkins, Nadipuram R. Prasad, *A Modelfor Describing Direct and Indirect Interrela-*

tionships Between the Economy and the Environment, Consulting Engineer, kwiecień 1973; Edwin Vennard, John M. Perkins, Robert C. Ender, *Electric Demand from Interconnected Systems,* TAPPI Journal*, 28th Conference Edition, 1974; John M. Perkins i in., *Iranian Steel: Implications for the Economy and the Demand for Electricity* oraz M*arkov Method Applied to Planning,* zaprezentowane na Fourth Iranian Conference on Engineering, Pahlavi University, Shiraz, Iran, 12-16 maja 1974; oraz *Economic Theories and Applications: A Collection of Technical Papers* z przedmową Johna M. Perkinsa, Chas. T. Main, Inc., Boston, 1975.

3 John M. Perkins, *Colonialism in Panama Has No Place in 1975,* Boston Evening Globe, 19 września 1975.

4 Graham Greene, *Getting to Know the General,* Pocket Books, New York 1984, ss. 89-90.

5 Graham Greene, *Getting to Know the General,* Pocket Books, New York 1984.

Rozdział 18. Irański Król Królów

1 William Shawcross, *The Shah 's Last Ride: The Fate of an Ally,* Simon and Schuster, New York 1988. Po więcej informacji na temat dojścia do władzy przez szacha patrz: H. D. S. Greenway, *The Iran Conspiracy,* New York Review of Books, 23 września 2003; Stephen Kinzer, Ali the Shah's Men: An American Coup and the Roots of Middle East Terror, Hoboken, John Wiley & Sons, Inc., NY 2003.

2 Po więcej informacji na temat Yamina, projektu Kwitnącej Pustyni oraz Iranu patrz: John M. Perkins, Shapeshifting, VT: Destiny Books, Rochester 1997.

Rozdział 20. Upadek Króla

1 Po więcej informacji na temat dojścia do władzy przez szacha patrz: H. D. S. Greenway, *The Iran Conspiracy,* New York Review of Books, 23 września 2003; Stephen Kinzer, Ali the Shah's Men: An American Coup and the Roots of Middle East Terror, Hoboken, John Wiley & Sons, Inc., NY 2003.

2 Patrz artykuły główne magazynu *TIMES* na temat ajatollacha Ruhollaha Chomeiniego, 12 lutego 1979, 7 stycznia 1980, 17 sierpnia 1987.

Rozdział 21. Kolumbia: brama do Ameryki Południowej

1 Gerard Colby, Charlotte Dennet, *Thy Will Be Done, The Conquest of the Amazon: Nelson Rockefeller and Evangelism in the Age of Oil,* Harper Collins, New York, 1995, s. 381.

Rozdział 24. Prezydent Ekwadoru kontra koncerny naftowe

1 Po szczegółowe informacje na temat historii, działalności i powiązań SIL z koncernami naftowymi oraz z rodziną Rockefellerów patrz: Gerard Colby, Charlotte Dennet, *Thy Will Be Done, The Conquest of the Amazon: Nelson Rockefeller and Evangelism in the Age of Oil,* Harper Collins, New York, 1995; Joe Kane, *Savages,* Alfred A. Knopf, New York 1995 (informacje na temat Rachel Saint - ss. 85, 156, 227).

2 John D. Martz, *Politics and Petroleum in Ecuador,* Transaction Books, New Brunswick and New York 1987, s. 272.

3 Jose Carvajal Candall, *Objetivos y Politicas de CEPE,* Primer Seminario, Quito 1979, s. 88.

* Technical Association of the Pulp and Paper Industry - przyp. aut.

Rozdział 26. Śmierć prezydenta Ekwadoru

[1] John D. Martz, *Politics and Petroleum in Ecuador,* Transaction Books, New Brunswick and New York 1987, s. 272.

[2] Gerard Colby, Charlotte Dennet, *Thy Will Be Done, The Conquest of the Amazon: Nelson Rockefeller and Evangelism in the Age of Oil,* Harper Collins, New York, 1995, s. 813.

[3] John D. Martz, *Politics and Petroleum in Ecuador,* Transaction Books, New Brunswick and New York 1987, s. 303.

[4] John D. Martz, *Politics and Petroleum in Ecuador,* Transaction Books, New Brunswick and New York 1987, ss. 381, 400.

Rozdział 27. Panama: kolejna śmierć prezydenta

[1] Graham Greene, *Getting to Know the General,* Pocket Books, New York 1984, s. 11.

[2] George Schultz piastował stanowiska Sekretarza Skarbu oraz przewodniczącego Council of Economic Policy za rządów Nixona i Forda w latach 1972-1974, prezesa Bechtel Group (1974-1982), Skretarza Stanu za rządów Busha i Reagana (1982-1989); Caspar Weinberger był dyrektorem Office of Management and Budget, Sekretarzem Zdrowia, Edukacji oraz Opieki Społecznej za rządów Nixona i Forda (1973-1975), wiceprezesem i doradcą Bechtel Group (1975-1980) oraz Sekretarzem Obrony za rządów Reagana i Busha (1980-1987).

[3] Podczas przesłuchań w 1973 r. w sprawie afery Watergate John Dean, zeznając przed Senatem USA, jako pierwszy ujawnił tajne amerykańskie plany zamordowania Torrijosa; w 1975 r. badająca działania CIA komisja senacka pod przewodnictwem senatora Franka Church'a ujawniła dokumentację dotyczącą planów zamordowania zarówno Torrijosa jak i Noriegi. Patrz np.: Manuel Noriega, Peter Eisner, *The Memoirs of Manuel Noriega, America s Prisoner,* Radom House, New York 1997, s. 107.

Rozdział 28. Moja firma energetyczna, Enron i George W. Bush

[1] Po dodatkowe informacje na temat IPS, jej spółkę zależną Archbald Power Corporation oraz byłego prezesa Johna M. Perkinsa, patrz: Jack M. Dały, Thomas J. Duffy, *Burning Coals Waste at Archbald,* Civil Engineering, lipiec 1988; Vince Coveleskie, *Co-Generation Plant Attributes Cited,* The Scranton Times, 17 października 1987; Robert Curran, *Archbald Facility Dedicated,* Scranton Tribune, 17 października 1987; *Archbald Plant Will Tum Coal Waste into Power,* Citizen's Voice, Wilkes-Barre, PA, 6 czerwca 1988; Li*abilities toAssets: Culm to Light, Food,* Citizen's Voice, Wilkes-Barre, PA, 7 czerwca 1988.

[2] Joe Conason, *The George W Bush Success Story,* Harpers Magazine, luty 2002; Craig Unger, *Saving the Saudis,* Vanity Fair, październik 2003, s. 165.

[3] Craig Unger, *Saving the Saudis,* Vanity Fair, październik 2003, s. 178.

[4] Patrz: George Lardner Jr., Lois Romano, *The Turning Point After Coming Up Dry,* Washington Post, 30 lipca 1999; Joe Conason, *The George W Bush Success Story,* Harpers Magazine, luty 2002; oraz Sam Parry, *The Bush Family Oligarchy - Part Two: The Third Generation,* http://www. newnetizen.com/presidential/busholigarchy.htm (19 kwietnia 2002).

[5] Teoria ta nabrała nowego znaczenia i niemal został potwierdzona, gdy pod presją opinii publicznej dochodzenie ujawniło, że szanowana firma konsultingowa, ArthurAndersen, pomagała zarządowi Enron'u oszukać odbiorców energii, pracowni-

ków i inwestorów na kwotę wielu miliardów dolarów. Nadchodząca wojna w Iraku w roku 2003 odsunęła dochodzenia na dalszy plan. W trakcie trwania wojny Bahrain odgrywał kluczową rolę w strategii George'a W. Busha.

Rozdział 29. Przyjmuję łapówkę

[1] Jim Garrison, *American Empire: Global Leader or Rogue Power?,* Berrett-Koehler Publishers, Inc., San Francisco 2004, s. 38.

Rozdział 30. Stany Zjednoczone atakują Panamę

[1] Manuel Noriega, Peter Eisner, *The Memoirs of Manuel Noriega, America 's Prisoner,* Radom House, New York 1997, s. 56.

[2] David Harris, *Shooting the Moon: The True Story of an American Manhunt Unlike Any Other, Ever,* Little, Brown and Company, Boston 2001, ss. 31-34.

[3] David Harris, *Shooting the Moon. The True Story of an American Manhunt Unlike Any Other, Ever,* Little, Brown and Company, Boston 2001, s. 43.

[4] Manuel Noriega, Peter Eisner, *The Memoirs of Manuel Noriega, America s Prisoner,* Radom House, New York 1997, s. 212; patrz również Craig Unger, *Saving the Saudis,* Vanity Fair, październik 2003, s. 165.

[5] Manuel Noriega, Peter Eisner, *The Memoirs of Manuel Noriega, America s Prisoner,* Radom House, New York 1997, s. 114.

[6] Patrz: www.famoustexans.com/georgebush.htm, s. 2.

[7] Manuel Noriega, Peter Eisner, *The Memoirs of Manuel Noriega, America 's Prisoner,* Radom House, New York 1997, ss. 56-57.

[8] David Harris, *Shooting the Moon. The True Story of an American Manhunt Unlike Any Other, Ever,* Little, Brown and Company, Boston 2001, s. 6.

9www.famoustexans.com/georgebush.htm, s. 3.

[10] David Harris, *Shooting the Moon. The True Story of an American Manhunt Unlike Any Other, Ever,* Little, Brown and Company, Boston 2001, s. 4.

[11] Manuel Noriega, Peter Eisner, *The Memoirs of Manuel Noriega, America s Prisoner,* Radom House, New York 1997, s. 248.

[12] Manuel Noriega, Peter Eisner, *The Memoirs of Manuel Noriega, America s Prisoner,* Radom House, New York 1997, s. 211.

[13] Manuel Noriega, Peter Eisner, *The Memoirs of Manuel Noriega, America s Prisoner,* Radom House, New York 1997, s. xxi.

Rozdział 31. Porażka EBR-owców w Iraku

[1] Morris Barrett, *The Webs Wild World,* TIME, 26 kwietnia 1999, s. 62.

Rozdział 32.11 września i jego wpływ na moje życie

[1] Po więcej informacji na temat plemienia Huaorani patrz: Joe Kane, *Savages,* Alfred A. Knopf, New York 1995.

Rozdział 33. Wenezuela: ocalona przez Saddama

[1] Venezuela on the Brink, New York Times, 18 grudnia 2002.

[2] The Revolution Will Not Be Televised, reżyseria Kim Bartley i Donnacha 0'Briain (przy współpracy z Irish Film Board, 2003). Patrz: www.chavezthefilm.com.

[3] Yenezuelan President Forced to Resign, Associated Press, 12 kwietnia 2002.

[4] Simon Romero, *Tenuous Truce in Yenezuelafor the State and its Oil Company,* New York Times, 24 kwietnia 2002.

[5] Bob Edwards, *What Went Wrong with the Oil Dream in Yenezuela,* Morning Edition, National Public Radio, 8 lipca 2003.

[6] Ginger Thompson, *Venezuela Strikers Keep Pressure on Chavez and Oil Exports,* New York Times, 30 grudnia 2002.

[7] Po więcej informacji na temat szakali i innych rodzajów specjalistów od brudnej roboty patrz: P. W. Singer, Corp*orate Warriors, The Rise ofthe Privatized Military Industry,* Ithaca, Cornell University Press, NY and London 2003; James R. Davis, *Fortune s Warriors: Private Armies ant the New World Order,* Douglas & Mclntyre, Vancouver and Toronto 2000; Felix I. Rodriguez, John Weisman, *Shadow Warrior: The CIA Hero of100 Unknown Battles,* Simon & Schuster, New York 1989.

[8] Tim Weiner, *A Coup byAny Other Name,* New York Times, 14 kwietnia 2002.

[9] *Venezuela Leader Urges 20 Yearsfor Strike Chiefs,* Associated Press, 22 luty 2003.

[10] Paul Richter, *U.S. Had Talks on Chavez Ouster,* Los Angeles Times, 17 kwietnia 2002.

Rozdział 34. Ponownie w Ekwadorze

[1] Chris Jochnick, *Perilous Prosperity,* New Internationalist, czerwiec 2001, htp://www.newint.org/issue335/perilous.htm.

[2] Organizacja Narodów Zjednoczonych, *Humań Development Report,* New York 1999.

[3] Po więcej informacji na temat sytuacji zakładników patrz: Alan Zibel, *Natives Seek Redressfor Pollution,* Oakland Tribune, 10 grudnia 2002; Hoy (dziennik wydawany w Quito w Ekwadorze), artykuły z 10-28 grudnia 2003; El Commercio (dziennik wydawany w Quito), 16 grudnia 2002 (również przekazywane przez Reuters); *Ecuador: Oil Firm Stops Work because StaffSeized, Demands GovernmentAction* oraz *Sarayacu-Indigenous Groups to Discuss Release ofKidnapped Oil Men,* El Universo (dziennik wydawany w Guayaąuil w Ekwadorze), http://www.eluniverso.com, 24 grudnia 2002; oraz Juan Forero, *SeekingBalance: Growth vs. Culture in the Amazon,* New York Times, 10 grudnia 2003. Zaktualizowana informacja na temat mieszkańców ekwadorskiej części Amazonii jest dostępna na stronie Pachamama Alliance Web: http://www.pachamama.org.

Rozdział 35. Przedzierając się przez gąszcz pozorów

[1] Krajowe dane statystyczne dotyczące długu pochodzą z Bureau of the Public Debt, opublikowane na stronie: www.publicdebt.treas.gov/opd/opdpenny.htm; krajowe dane statystyczne dotyczące dochodów pochodzą ze strony Banku Światowego: www.worldbank.org/data/databytopic/GNIPC.pdf.

[2] Elizabeth Becker, Richard A. Oppel, *A NationAt War: Reconstruction. U.S. Gives Bechtel a Major Contract in Rebuilding Iraq,* New York Times, 18 kwietnia 2003, http://www.nytimes.com/2003/04/18/international/worldspecial/18REBU.html.

[3] Richard A. Oppel, Diana B. Henriąues, A Nation at War: The Contractor. Company Has Ties in Washington, and to Iraq, New York Times, 18 kwietnia 2003, http://www.nytimes.com/2003/04/18/international/worldspecial/18CONT.html.

[4] http://money.cnn.com/2003/04/17/news/companies/war-bechtel/index.htm.

EPILOG

[1] Energy Information Administration, dane ogłoszone w USA Today, 1 marca 2004, s. 1.

O Autorze

W ciągu swego życia John Perkins przeszedł kolejno cztery wcielenia: ekonomisty od brudnej roboty (EBR-owca), prezesa prosperującej firmy produkującej energię z alternatywnych źródeł, eksperta od rdzennych kultur i szamanizmu, a zarazem nauczyciela i pisarza, który wykorzystywał swoje doświadczenie do promowania ekologii i samowystarczalności, honorując jednocześnie przysięgę milczenia dotyczącą swojej przeszłości EBR-owca. Obecnie jest pisarzem opowiadającym swoje niesamowite przeżycia w roli ekonomisty od brudnej roboty i ujawniającym świat międzynarodowych intryg i korupcji, który przekształca amerykańską Republikę w globalne imperium pogardzane przez coraz większą liczbę ludzi na całym świecie.

Zadanie Johna jako EBR-owca polegało na przekonaniu krajów trzeciego świata do przyjęcia olbrzymich kredytów przeznaczonych na rozwój infrastrukturalny, których wielkość znacznie przekraczała ich rzeczywiste potrzeby, oraz dopilnowanie, by kontrakty budowlane zostały przyznane amerykańskim korporacjom, takim jak Halliburton i Bechtel. Po wpędzeniu ofiar w pułapkę zadłużenia rząd amerykański wspierany przez międzynarodowe agencje pomocowe mógł kontrolować ich gospodarki i zagwarantować sobie, by pochodzące z tych krajów ropa naftowa i inne surowce zostały wykorzystane do budowy globalnego imperium.

John podróżował po całym świecie, gdzie stawał się bezpośrednim uczestnikiem lub świadkiem niektórych z najbardziej dramatycznych wydarzeń w najnowszej historii, takich jak epokowy kontrakt USA z Arabią Saudyjską, upadek szacha Iranu, śmierć prezydenta Panamy Omara Torrijosa i następująca po niej inwazja na Panamę, a także inwazja na Irak w roku 2003.

W 1980 roku John Perkins założył Independent Power Systems, Inc. (IPS), firmę zajmującą się produkcją energii z alternatywnych źródeł. IPS pod jego kierownictwem odniosła zdecydowany sukces w wysoce ryzykownej branży, w której wielu konkurentów zbankrutowało. Wiele „zbiegów okoliczności" oraz przysług ze strony wysoko postawionych osób pomogło firmie stać się liderem na rynku. John pracował również jako wysoko opłacany doradca dla kilku korporacji, którym w przeszłości pomógł napełnić kieszenie. Tę lukratywną ofertę, stanowiącą formę przekupstwa, przyjął w związku z serią nie do końca zawoalowanych gróźb.

Po sprzedaży IPS w 1990 roku John stał się wojownikiem walczącym o prawa rdzennych kultur i wspierającym ruchy ekologiczne. W szczególności pomagał plemionom w Amazonii w walce 0 ocalenie lasów deszczowych. Napisał pięć książek przełożonych na wiele języków - dotyczących rdzennych kultur, szamanizmu, ekologii i samowystarczalności. Wykładał na uniwersytetach i innych placówkach naukowych na czterech kontynentach. Założył 1 zasiadał w zarządach kilku znaczących organizacji non-profit.

Jedna z nich - Dream Change Coalition (później nazywana po prostu Dream Change lub DC) - postawiła sobie za cel inspirowanie ludzi do osiągania wytyczonych celów i jednocześnie do rozumienia wpływu prowadzonego przez nich życia na innych ludzi i na planetę. DC stara się nakłaniać ludzi do tworzenia zrównoważonych, samowystarczalnych społeczności. W ramach prowadzonego przez siebie programu Pollution Offset Lease for Earth (POLE) podejmuje działania rekompensujące zanieczyszczenie atmosfery powodowane przez ludzi, udziela pomocy rdzennym plemionom w walce o ocalenie należących do nich lasów oraz promuje proekologiczne zmiany w masowej świadomości. DC znajduje naśladowców na całym świecie inspirując ludzi do zakładania podobnych organizacji.



W latach dziewięćdziesiątych XX w. i na początku nowego tysiąclecia John honorował przysięgę milczenia dotyczącą faktów ze swojej przeszłości EBR-owca i otrzymywał wysokie honoraria doradcze. Uśmierzał wyrzuty sumienia przeznaczając znaczną część tych pieniędzy na swoją działalność w organizacjach non-profit. Telewizja *Art & Entertainment* gościła go w programie Leonarda Nimoy'a „Headhunters of the Amazon"*. *Italian Cosmopolitan* zamieścił duży artykuł na temat prowadzonych przez Johna w Europie warsztatów poświęconych „Zmiennokształtności". Magazyn *TIME* wyróżnił Dream Change jako jedną z trzynastu organizacji, których strona internetowa najlepiej przedstawia ideę i cele Dnia Ziemi.

Wówczas nadszedł 11 września 2001 roku. Potworne wydarzenia tego dnia nakłoniły Johna do wyjścia z cienia, zignorowania gróźb oraz łapówek i ujawnienia szczegółów swojego życia EBR-owca w książce „Wyznania ekonomisty od brudnej roboty". Uznał za swój obowiązek podzielenie się wiedzą o roli rządu Stanów Zjed--

* „Łowcy głów z Amazonii" (przyp. tłum.)

noczonych, międzynarodowych organizacji „pomocowych" i korporacji w stworzeniu świata, w którym takie zdarzenia mogły mieć miejsce. Chciał ujawnić fakt, że EBR-owcy stają się coraz bardziej wszechobecni. Uważał, że jest to winien swojej ojczyźnie, córce, wszystkim ludziom na świecie, którzy cierpią z powodu pracy wykonanej przez niego i jego współpracowników, a także samemu sobie. W swojej książce opisuje niebezpieczną ścieżkę, którą podąża jego kraj odchodząc od ideałów amerykańskiej republiki w kierunku globalnego imperium.

W bibliografii Johna Perkinsa znajdują się następujące książki: „Shapeshifting", „The World Is As You Dream It", „Psychonavigation", „The Stress-Free Habit" oraz „Spirit of the Shuar".

Na podanej poniżej stronie internetowej można uzyskać kontakt z Johnem, zamówić jego książki, a także znaleźć więcej informacji na temat jego samego oraz prowadzonych przez niego wykładów: www. JohnPerkins. org

Więcej informacji na temat Dream Change, zmieniającej globalną świadomość organizacji non-profit działającej na podstawie art. 501(c)3 znajduje się na stronie: www.dreamchange.org

HIT MAN JOHN PERKINS

Opowieść o tym, jak Ameryka z szanowanej republiki przeistoczyła się w zwyczajne imperium.

„Ekonomiści od brudnej roboty" pisze John Perkins „są wysoko opłacanymi profesjonalistami, którzy wyduszają z różnych krajów świata miliardy dolarów. Narzędzia ich pracy stanowią kłamliwe sprawozdania finansowe, fałszowane wybory, przekupstwo, wymuszenia, seks i morderstwa".

John Perkins wie, co mówi bo był jednym z nich. Jego praca polegała na przekonywaniu przywódców krajów posiadających, z punktu widzenia Stanów Zjednoczonych, znaczenie strategiczne – od Indonezji po Panamę by zgodziły się na gigantyczne inwestycje w rozwój infrastruktury, a wynikające z nich kontrakty przyznały korporacjom amerykańskim. Obciążone ogromnymi długami kraje te stawały się wasalami rządu amerykańskiego, Banku Światowego i innych, zdominowanych przez USA agencji, które pod szyldem pomocy ekonomicznej skrywały swą lichwiarską działalność, narzucając terminy spłat i uzależniając od siebie rządy suwerennych państw.

Ta oparta na faktach opowieść odsłania międzynarodowe intrygi, korupcję i sekretne działania rządu oraz korporacji, pociągające za sobą konsekwencje zgubne dla demokracji amerykańskiej i całego świata.

Jest to opowieść głęboko przejmująca, ale mimo wszystko dająca wiarę w możliwość zrealizowania amerykańskiego marzenia o sprawiedliwym, opartym na wzajemnym poszanowaniu świecie, który zapewni nam bezpieczną egzystencję.

„Prawdziwa bomba. Jeden z tych rzadkich przypadków, w których ktoś głęboko wciągnięty w struktury naszego rządu i korporacji odsłania z całkowitą otwartością kulisy ich działalności. Dzieło nacechowane wnikliwością i odwagą moralną".

– **John E. Mack**, profesor Harvard University
i autor wyróżnionej Nagrodą Pulitzera książki
A Prince of Our Disorder: The Life of T.E. Lawrence.

WYDAWNICTWO Studio

ISBN 83-60652-01-5

